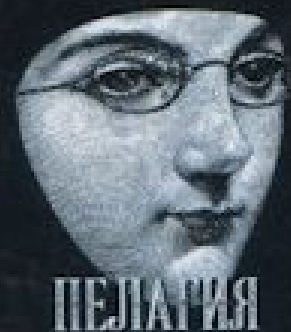


BORYS AKUNIN

PELAGIA I CZARNY MNICH



KRYMINALNE PROWINCJONALNY

Boris Akunin

PELAGIA I CZARNY MNICH

(Пелагия и чёрный монах)

Przełożył:

Wiktor Dłuski

Noir sur Blanc

2008

Prolog

Pojawia się Wasilisk

...kilkoma długimi krokami podszedł do zakonnicy. Wyjrzał przez okno, zobaczył spienione konie, rozchełstanego czerńca i groźnie zmarszczył krzaczaste brwi.

Pelagia zameldowała przewielebnemu półgłosem:

– Zawołał do mnie: „Mateczko, nieszczęście! On już tu jest! Gdzie władyka?”

Przy słowie „nieszczęście” Mitrofaniusz ze zrozumieniem pokiwał głową, jakby dziś, tego bezmiernie długiego dnia, który w żaden sposób nie chciał się zakończyć, nie liczył na nic innego. Skinął palcem na oberwanego, zakurzonego zwiastuna (samo jego zachowanie, a także wykrzyczane przezeń słowa świadczyły jasno, że ów mnich, który przyleciał tu nie wiadomo skąd, jest właśnie zwiastunem, i to z tych niedobrych): ano wejdź tu na górę.

Krótko, ale głęboko, do ziemi prawie, pokłoniwszy się biskupowi, czerniec rzucił wodze i popędził do gmachu sądu, roztrącając wychodzącą po procesie publiczność. Widok sługi Bożego z gołą głową i czołem podrapanym do krwi był tak niezwykły, że ludzie oglądali się, jedni z ciekawością, inni z niepokojem. Burzliwe dyskusje na temat dopiero co zakończonego posiedzenia i zadziwiającego wyroku ustały. Wyglądało na to, że szykuje się, a może nawet już nastąpiło, jakieś nowe Wydarzenie.

Tak to już bywa w takich cichych zatoczkach jak nasz spokojny Zawołzsk: pięć albo dziesięć lat cisza, spokój, senne odrętwienie, aż tu nagle jeden po drugim takie huragany się zrywają, że dzwonnice gną

się do ziemi.

Wysłannik nieszczęścia wbiegł po białych marmurowych schodach. Na górnym podejściu, pod wagą, którą trzymała w ręku Temida z opaską na oczach, zawahał się trochę, bo nie od razu się zorientował, dokąd ma skręcić, na prawo czy na lewo, ale szybko dojrzał w odległym końcu poczekalni grupkę stołecznych korespondentów i dwie obleczone w czerń postaci, dużą i małą: władkę Mitrofaniusza, a przy nim siostrzyczkę w okularach – tę, co przed chwilą stała w oknie.

Łomocząc buciorami po podłodze, aż echo niosło, mnich rzucił się do archijereja i już z daleka zawył:

– Władko, on już tu jest! Blizusieńko! Za mną nadciąga! Ogromny! Czarny!

Petersburscy i moskiewscy dziennikarze – wśród których były też prawdziwe gwiazdy tego zawodu, przybyłe do Zawołzka z okazji głośnego procesu – gapili się ze zdumieniem na cudacznego zakonnika.

– Kto nadciąga? Kto czarny? – zagrzemiał przewielebny. – Mów jasno. I ktoś ty? Skąd?

– Pokorny czerniec Antipa z Araratu. – Spłoszony przybysz pokłonił się skwapliwie i wyciągnął rękę, żeby zerwać z głowy skufię, ale skufii nie było, gdzieś ją zgubił. – Wasilisk nadchodzi, a niby kto?! On, Orędownik nasz! Z pustelni odszedł. Każ, władko, w dzwony bić, ikony święte wystawić! Spełnia się proroctwo Janowe! „Oto przychodzę rychło, a zapłata moja ze mną jest, abym oddał każdemu wedle uczynków jego”! Kooniec! – zawył mnich. – Wszystkiego koniec!

Na ludziach stołecznych wrażenia to nie zrobiło, nie przestraszyli się wiadomości o końcu świata, tylko nadstawili uszu i przysunęli się do mnicha, ale posługacz sądowy, który już zaczął machać w korytarzu

miotłą, zamarł w miejscu od tego dziwnego krzyku, upuścił swoje narzędzie i przeżegnał się.

A zwiastun Apokalipsy z rozpaczy i przerażenia już nie był zdolny do artykułowanej mowy – zatrzęsł się całym ciałem, a po zapylonej, zarośniętej twarzy pociekły mu łzy.

Jak zawsze w krytycznych chwilach przewielebny przejawiał rzeczowość i zdecydowanie. Zgodnie z pradawną receptą, w myśl której najlepszy środek na histerię to dać porządnie w gębę, Mitrofaniusz potężną swoją prawicą wlepił szlochającemu dwa soczyste policzki i mnich od razu przestał się trząść i wyć. Zamrugał oczami, czknął. Biskup, idąc za ciosem, chwycił gońca za kołnierz i powłókł do najbliższych drzwi, za którymi mieściło się archiwum sądowe. Pelagia jęknęła żałośnie na dźwięk policzka i podreptała w ślad za nimi.

Archiwista z okazji zamknięcia posiedzenia zamierzał właśnie uraczyć się herbatką, ale biskup tylko brwią poruszył – urzędnika jakby wiatr zdmuchnął i trzy duchowne osoby zostały w urzędowym pomieszczeniu same.

Władyka posadził pochlipującego Antipę na krzesło, podsunął mu pod nos szklanekę z ledwie napoczętą herbatą – pij. Odczekał, póki mnich, stukając o szkło zębami, nie zwilży ściśniętego gardła, i zapytał niecierpliwie:

– No, co tam się u was w Araracie stało? Opowiadaj.

Korespondenci tymczasem zebrali się pod zamkniętymi drzwiami. Postali jakiś czas, na wszelkie sposoby powtarzając zagadkowe słowa „Wasilisk” i „Ararat”, a potem zaczęli się powoli rozchodzić, wciąż gubiąc się w domysłach. Co zresztą rozumiały – byli to wszystko ludzie przyjezdni, w naszych zawołzańskich świętościach i legendach niezorientowani. Miejscowi od razu wiedzieliby, o czym mowa.

Ale że i wśród naszych czytelników mogą się znaleźć osoby

postronne, które w guberni zawołużskiej nigdy nie bywały, a nawet, być może, o niej w ogóle nie słyszały, to zanim opiszemy rozmowę, do jakiej doszło w pomieszczeniu archiwum, poczynimy pewne objaśnienia, które mogą się wydać zbyt obszerne, lecz dla zrozumienia dalszej części opowieści są absolutnie konieczne.



Od czego by tu zacząć?

Chyba od Araratu. Dokładniej – od Nowego Araratu, monasteru Nowoararackiego, bardzo sławnego świętego przybytku, położonego na najdalszej północy naszej rozległej, ale słabo zaludnionej guberni. Tam, wśród wód Jeziora Modrego, dla swych rozmiarów podobniejszego do morza (lud tak je właśnie nazywa: Modre Morze), na porośniętych lasem wyspach, z dawien dawna chronili się przed ziemskim zgiełkiem i ludzką złością święci starcy. Z czasem klasztor stopniowo popadał w zapuszczenie, tak że na całym archipelagu, w samotnych celkach i eremach, przebywała tylko maleńka garstka anachoretów, nigdy jednak do końca nie opustoszała, nawet w czasach smuty.

Była pewna szczególna przyczyna takiej żywotności, a przyczyna owa miała na imię Pustelnia Wasiliskowa, o niej jednak opowiemy trochę niżej, ponieważ pustelnia zawsze istniała jakby niezależnie od właściwego klasztoru. Ten zaś w dziewiętnastym stuleciu, w sprzyjających warunkach naszego w spokoju i ładzie upływającego czasu, zaczął jakoś wyjątkowo wspaniale rozkwitać – z początku dzięki modzie na północne świątynie, która upowszechniła się wśród zamożnych pielgrzymów, a całkiem ostatnio – staraniem obecnego archimandryty Witalisa II, tak nazywanego, ponieważ w poprzednim stuleciu był już w klasztorze przeor tego samego imienia.

Ten niepospolity sługa Kościoła doprowadził Nowy Ararat do

niebываłego dotąd rozkwitu. Mianowany zarządcą cichego wyspiarskiego monasteru, czcigodny ojciec doszedł do słusznego wniosku, że moda to wietrznica i póki nie obróci wzroku w stronę jakiegoś innego, nie mniej szacownego przybytku Bożego, warto wyciągnąć z napływu ofiar wszelkie możliwe pożytki.

Najpierw zastąpił więc dawny klasztorny zajazd, prastary i kiepsko utrzymany – nowym, otworzył doskonałą postną jadłodajnię, zorganizował przejażdżki łodziami po cieśninkach i zatoczkach, żeby przyjezdni zamożni ludzie nie spieszyli z wyjazdem z błogosławionych okolic, które urodą, czystym powietrzem i wszelakimi urokami przyrody nie ustępują najlepszym fińskim uzdrowiskom. A potem, zręcznie wykorzystując uzyskaną nadwyżkę środków, zaczął powoli tworzyć z rozmaitych przedsiębiorstw złożone i wielce dochodowe gospodarstwo, ze zmechanizowanymi fermami, wytwórnią ikon, flotyllą rybacką, wędzarniami i jeszcze fabryczką wyrobów żelaznych, produkującą najlepsze w Rosji zasuwki do okien. Zbudował także wodociąg, a nawet kolejkę szynową od przystani rzecznej do składów. Niektórzy z doświadczonych starców zaczęli szemrać, że życie w Nowym Araracie nie zapewnia już zbawienia, ale głosy te rozlegały się nieśmiało i na zewnątrz prawie wcale się nie przedostawały, zagłuszone różnym stukotem dynamicznego budownictwa. Na głównej wyspie, Kanaanie, przeor zbudował wiele nowych gmachów i świątyń, które imponowały wielkością i wspaniałością, chociaż zdaniem znawców architektury nie zawsze wyróżniały się nieposzlakowaną elegancją.

Kilka lat temu nowoararacki „cud gospodarczy” badała specjalna komisja rządowa pod przewodnictwem samego ministra handlu i przemysłu, przemądrego hrabiego Litte. Wysoka komisja miała sprawdzić, czy nie dałoby się wykorzystać doświadczeń tak pomyślnego rozwoju ku pożytkowi całego cesarstwa.

Otóż okazało się, że nie. Po powrocie do stolicy hrabia zameldował Najjaśniejszemu Panu, że ojciec Witalis jest wyznawcą wątpliwej teorii ekonomicznej, dopatrującej się prawdziwego bogactwa kraju nie w zasobach naturalnych, lecz w pracowitości mieszkańców. Dobrze tak mówić archimandrycie, kiedy mieszkańców ma szczególnych: mnichów, wykonujących wszystkie prace jako swoje ćwiczenia zakonne, do tego jeszcze bez żadnego wynagrodzenia. Stoi taki pracownik przy maszynie do tłoczenia oleju czy przy tokarce i ani o rodzinie nie myśli, ani o butelce, tylko jakby nigdy nic duszę swoją zbawia. Stąd i jakość produkcji, i jej niewyobrażalna dla konkurentów taniość.

Dla państwa rosyjskiego ten model ekonomiczny zdecydowanie się nie nadawał, ale w granicach powierzonego ojcu Witalisowi archipelagu przynosił zaiste wspaniałe owoce. Można powiedzieć, że klasztor ze wszystkimi swoimi osadami, fermami, służbami gospodarczymi przypominał nieduże państwo, może nie suwerenne, ale w każdym razie w pełni samorządne i podlegające wyłącznie gubernialnemu archijerejowi, przewielebnemu Mitrofaniuszowi.

Liczba zakonników i nowicjuszy na wyspach doszła za ojca Witalisa do półtora tysiąca, a ludność głównej osady, w której oprócz braci żyło także mnóstwo pracowników najemnych z rodzinami i domownikami, nie ustępowała liczebnością powiatowemu miastu, zwłaszcza jeśli doliczyć jeszcze pątników, których strumień, wbrew obawom przeora, nie tylko nie wysechł, ale jeszcze wielokrotnie się zwiększył. Teraz, kiedy gospodarka klasztorna stanęła mocno na nogach, czcigodny ojciec zapewne chętnie obszedłby się nawet bez pielgrzymów, którzy odrywali go tylko od pilnych spraw związanych z kierowaniem nowoosaracką gminą (przecież wśród pątników trafiały się i wpływowe osoby, wymagające szczególnych względów), lecz na to już żadnej rady nie było. Ludzie nie po to wędrowali i jechali

z najdalszych stron, a potem jeszcze przepływali klasztornym parowcem ogromne Jezioro Modre, by popatrzeć na przemysłowe dokonania zaradnego pasterza, tylko żeby pokłonić się nowoararackim świętościom i pierwszej z nich – Pustelni Wasiliskowej.

Ta zresztą była zupełnie niedostępna dla zwiedzających, jako że znajdowała się na niewielkiej, porośniętej lasem skale, zwanej Wyspą Rubieżną, leżącej dokładnie na wprost Kanaanu, lecz nie od jego strony zamieszkaney, ale od bezludnej. Pielgrzymi przybywający do Nowego Araratu mieli zwyczaj klękać nad wodą i nabożnie przyglądać się wysepce, gdzie przemieszkiwali, modląc się za całą ludzkość, święci pokutnicy.

Ale o Pustelni Wasiliskowej, a także o jej legendarnym założycielu, opowiemy, jak obiecaliśmy, dokładniej.



Dawno, dawno temu, przed sześciuset, a może i ośmiuset laty (w szczegółach chronologii Żywot świętego Wasiliska nieco się płacze), przedzierał się przez dziewicze lasy pewien anachoreta, o którym wiadomo na pewno tylko to, że zwano go Wasiliskiem, że lat już liczył sobie niemało, życie przeżył trudne, a w początkach swoich jakoś wyjątkowo grzeszne, ale u schyłku opromienione światłem prawdziwej skruchy i żądzы zbawienia. Dla odkupienia poprzednich, występnie przeżytych lat mnich złożył ślub, że obejdzie całą ziemię i nie zatrzyma się, aż znajdzie miejsce, gdzie będzie mógł najlepiej służyć Panu. Niekiedy, w jakimś świętym klasztorze, bądź też przeciwnie – wśród bezbożnych pogan, wydawało mu się, że oto właśnie trafił tam, gdzie powinien pozostać pokorny zakonnik Wasilisk, ale szybko starca ogarniały wątpliwości – a może kto inny, tu przebywając, nie gorzej przysłuży się Najwyższemu? – i popędzany

tą myślą, niewątpliwie zsyłaną mu z góry, ruszał dalej i nigdzie nie znajdował tego, czego szukał.

I oto razu pewnego, rozsunąwszy gęste gałęzie świerkowego boru, zobaczył przed sobą modrą wodę, która rozpościerała się od samego skraju lasu aż hen, daleko, po chmurne niebo, z którym zlewała się w jedno. Przedtem nie zdarzyło się Wasiliskowi widzieć naraz tyle wody, toteż w prostoduszności swej wziął to zjawisko za wielki cud Boski, padł więc na kolana i modlił się aż do zapadnięcia zmroku, a potem długo jeszcze – w ciemności.

I miał zakonnik widzenie. Ognisty paluch rozciął niebo na dwie połowy, tak że jedna pojaśniała, a druga poczerniała, i wbił się w spienione z nagłą wody. I gromowy głos obwieścił Wasiliskowi: „Nigdzie więcej nie szukaj. Ruszaj tam, gdzie pokazano. Tam jest miejsce, z którego do Mnie blisko. Służ mi nie pośród ludzi, gdzie zamęt, tylko pośród ciszy, a za rok cię wezwę”.

W błogostawionej swej prostoduszności mnich nawet nie myślał wątpić w możliwość spełnienia tego dziwaczного żądania; kazano mu pójść na środek morza, to poszedł, a woda ugięła się pod nim, ale go utrzymywała, czemu Wasilisk, pamiętający o ewangelicznym chodzeniu po wodzie, nie nazbyt się dziwił. Szedł sobie i szedł, odmawiając Wierzę w Boga przez całą noc, a potem i cały dzień, aż pod wieczór lęk go ogarnął, że nie znajdzie pośród wodnego pustkowiecia miejsca, które wskazał mu palec. I wtedy czerńcowi objawił się drugi z rzędu cud, co w żywotach świętych nie zdarza się często.

Kiedy się ściemniło, starzec ujrzał daleko przed sobą żarzącą się iskierkę i skrzył ku niej, a po pewnym czasie zobaczył, że to sosna, płonąca na szczycie wzgórza, wzgórze zaś wznosi się wprost z wody, a za nim jest znowu ziemia, bardziej płaska i szeroka (był to obecny Kanaan, największa wyspa archipelagu).

I osiedlił się Wasilisk w pieczarze pod nadpaloną sosną. Przeżył

tam jakiś czas w zupełnym milczeniu, nieustannie w myśli zmagając modlitwy, a rok potem Pan Nasz dopełnił obietnicy: przyjął skruszonego grzesznika do siebie i dał mu miejsce przy swoim tronie. Pustelnię zaś, a potem powstały w jej sąsiedztwie klasztor, nazwano Nowym Araratem na cześć góry, która samotnie wznosiła się nad wodami i uratowała sprawiedliwych, kiedy „wezbrały wody i bardzo wylały i wszystko napełniły na wierzchu ziemi”.

Żywot nie wyjaśnia, skąd następcy Wasiliska dowiedzieli się o Cudzie z Paluchem, skoro starzec zachował tak bezwzględne milczenie, ale bądźmy wyrozumiali dla starego podania. Robiąc ustępstwo na rzecz naszego sceptycznego i racjonalistycznego stulecia, dopuszczamy nawet możliwość, że święty założyciel pustelni dotarł do wysepki nie cudownie idąc po wodzie, tylko na jakiejś tratwie bądź, powiedzmy, wydrążonym pniu – niech będzie. Ale mamy fakt niezaprzeczalny, sprawdzony przez wiele pokoleń i, jeśli wola, nawet potwierdzony dokumentalnie: żaden z pustelników osiadłych w podziemnych celach Pustelni Wasiliskowej nie czekał długo na wezwanie Boże. Po pół roku, po roku, najwyżej po półtora wszyscy łaknący zbawienia wybrańcy osiągnęli to, czego pragnęli, i zostawiwszy za sobą kościste, doczesne szczątki, wynosili się z królestwa ziemskiego w inne, niebieskie. I nie była to sprawa skąpego pożywienia czy surowego klimatu. Znamy przecież wiele innych pustelni, gdzie pokutnicy dokonywali jeszcze większych wyczynów pustelniczej ascezy i zacieklej umartwiali swe ciała, tyle że Pan wybaczał im i powoływał ich do siebie znacznie mniej pospiesznie.

Dlatego właśnie rozszedł się słuch, że ze wszystkich miejsc na ziemi Pustelnia Wasiliskowa jest najbliższa Bogu, że leży na samej rubieży królestwa niebieskiego i stąd jej druga nazwa: Wyspa Rubieżna. Niektórzy z tych, co po raz pierwszy odwiedzali archipelag, sądzili, że nazwano tak wyspę ze względu na sąsiedztwo z Kanaanem,

gdzie stoją wszystkie świątynie i gdzie przebywa archimandryta. Ale wysepka była blisko nie archimandryty, lecz Pana Boga.

Mieszkało zawsze w tej pustelni nie więcej niż tylko trzech szczególnie zasłużonych starców i dla mnichów z Nowego Araratu nie było większego zaszczytu niż dokończyć swej ziemskiej drogi w tamtejszych pieczarach, na kościach poprzednich sprawiedliwych.

Oczywiście wcale nie wszyscy bracia rwali się, by szybko wstąpić do innego królestwa, dlatego że i wśród mnichów jest wielu takich, którym życie doczesne wydaje się bardziej pociągające od wiecznego. Wolentarzy jednak nie brakowało nigdy, przeciwnie – zawsze czekała cała kolejka spragnionych, w której, jak to w każdej kolejce, zdarzały się kłótnie, spory i nawet całkiem poważne intrygi – tak bardzo chcieli niektórzy mnisi przepłynąć jak najszybciej wąską cieśninę dzielącą Kanaan od Wyspy Rubieżnej.

Z trzech pokutników jeden był uważany za przełożonego i wyświęcany na igumena. Tylko jemu reguła pustelni pozwalała otwierać usta – dla wypowiedzenia nie więcej niż pięciu słów, przy czym cztery powinny koniecznie pochodzić z Pisma Świętego, a tylko jedno mogło być dowolne – i w nim to mieścił się zwykle główny sens wypowiedzi. Powiadają, że w dawnych czasach schiigumenowi, przełożonemu pustelników, nawet tego nie było wolno, ale kiedy na Kanaanie odrodził się monaster, pobożni starcy już nie tracili czasu na zdobywanie skąpego pożywienia – jagód, korzonków i robaków (więcej niejadalnego na Wyspie Rubieżnej, jak pamięć sięga, nie było), tylko otrzymywali wszystko, co potrzebne, z klasztoru. Teraz święci pokutnicy spędzali czas na wyrzynaniu cedrowych różańców, za które pielgrzymi płacili monasterowi niemałe pieniądze – zdarzało się, że do trzydziestu rubli za sznur.

Raz na dzień do Rubieżnej podpływała łódka – żeby zabrać różańce i wyładować zamówione rzeczy. Do łódki wychodził przełożony

pustelni i wygłaszał krótki cytat, zawierający w sobie prośbę, zwykle praktycznego charakteru: o dostarczenie jakichś zapasów albo lekarstw, albo obuwia, albo ciepłego okrycia. Starzec mówił na przykład: „Przynieś mi i daj kołdrę” albo „Niechaj przyniesie wodę gruszową”. W tym wypadku początek wypowiedzi pochodzi z Księgi Rodzaju, z wersu, w którym Izaak zwraca się do swego syna Ezawa, ostatnie zaś słowo dotyczy codziennej potrzeby. Łódkarz zapamiętywał to, co mu powiedziano, i przekazywał słowo w słowo ojcu ekonomowi i ojcu szafarzowi, a ci dopiero starali się przeniknąć sens, czasami bez powodzenia. Weźmy choćby ową „wodę gruszową”. Opowiadają, że raz przełożony eremitów, pokazując kostur jednego ze starców, oznajmił posepnie: „I rozpuły się wszystkie wnętrzości jego”. Kierownictwo klasztoru długo przeglądało Pismo, aż znalazło te słowa w Dziejach Apostolskich, gdzie opisane jest samobójstwo godnego pogardy Judasza, i przeraziło się bardzo, że pustelnik dopuścił się na sobie najstraszniejszego z grzechów śmiertelnych. Przez trzy dni bito w dzwony, poszczono najsurowiej i odprawiano nabożeństwa za oczyszczenie od zła, a potem okazało się, że starcowi przydarzyła się tylko biegunka i igumen prosił o przysłanie odwaru z gruszy.

Kiedy najstarszy z pustelników mówił wioślarzowi: „Pozwalasz odejść słudze swemu”, oznaczało to, że jeden pokutnik został dopuszczony do Pana, i powstały w ten sposób wakat natychmiast zajmował nowy wybraniec spośród oczekujących swojej kolejki. Niekiedy fatalne słowa wypowiadał nie schiigumen, tylko jeden z dwóch pozostałych milczków. W ten sposób w klasztorze dowiadywano się, że poprzedni starzec został powołany do Świętego Przybytku, a pustelnia ma teraz nowego przełożonego.

Pewnego razu, lat temu sto, na jednego z pustelników napadł niedźwiedź, który przypląnął z którejś z odległych wysp, i zaczął szarpać nieszczęśnika. Ten zaś, niewiele myśląc, zakrzyczał: „Bracia,

bracia!” Przybiegło dwóch pozostałych, razem przegnali krzywołapego kosturami, ale potem żyć z towarzyszem, który naruszył ślub milczenia, nie życzyli sobie – odesłali go do monasteru, przez co wygnaniec upadł na duchu i wkrótce umarł, więcej ani razu nie otworzywszy ust, ale czy dopuszczono go przed jasne oczy Pana, czy też przebywa wśród dusz potępionych – nie wiadomo.

Co jeszcze powiedzieć o mieszkańcach pustelni? Chodzili w czarnym stroju, który był czymś w rodzaju grubo tkanego worka przepasanego sznurem. Kaptury nosili wąskie, opuszczone aż na twarz i zszyte bokami, na znak pełnego odcięcia od marności świata. Dla oczu w tym spiczastym kołpaku wycinano dwie dziurki. Jeśli pątnicy, modlący się na kananejskim brzegu, dostrzegali na wysepce któregoś ze świętych starców (zdarzało się to bardzo rzadko i uchodziło za szczególnie szczęśliwy traf), to mieli przed sobą coś w rodzaju czarnego wora, wolno poruszającego się pośród omszałych gładów – jakby to wcale nie był człowiek, lecz bezcielesny cień.

A teraz, kiedy opowiedzieliśmy i o Nowym Araracie, i o pustelni, i o świętym Wasilisku, czas wrócić do archiwum sądowego, gdzie władca Mitrofaniusz już zaczął przesłuchiwać nowoararackiego czerńca Antipę.



– Że z pustelnią coś jest nie w porządku, nasi dawno już mówią. – Tak zaczął swoją niewiarygodną opowieść brat Antipa, uspokoiwszy się nieco pod wpływem otrzymanych policzków i herbaty. – W samo Przemienienie, tuż przed nocą, wyszedł Agapiusz, nowicjusz, na mierzeję wyprać spodnie odzienie starszym braciom. Nagle widzi – przy Rubieżnej na wodzie jakby jakiś cień. No, cień to cień, mało to się po ciemku człowiekowi przywidzi? Przeżegnał się Agapiusz i spokojnie dalej pranie płucze. Ale słyszy coś jakby cichy dźwięk na

wodach. Podniósł głowę – Matko Bogarodzico! Czarny cień wisi nad falami, wcale ich nie dotykając, i słowa jakieś słyhać niewyraźne. Agapiusz zrozumiał tylko „przeklinam” i „Wasilisk”, ale i tego dość mu było. Rzucił niedoprane rzeczy, poleciał co sił w nogach do braci, do cel, i jak nie zacznie krzyczeć. Wasilisk, powiada, wrócił się, strach jaki gniewny, na wszystkich klątwę rzuca.

Agapiusz – głupi smarkacz, w Araracie od niedawna, nikt mu nie uwierzył, a za bieliznę porzuconą, co ją fala zmyła, jeszcze mu pomocnik ojca szafarza dał po łbie. Ale potem czarny cień zaczął się i innym braciom objawiać: najpierw ojcu Hilariuszowi, starcowi wielce szanownemu i powściągliwemu, potem bratu Melchizedekowi, potem bratu Diomedesowi. Zawsze nocą, przy księżycu. Słowa każdy słyszał inne: ten klątwę, ów napomnienie, a jeszcze inny – coś całkiem niezrozumiałego, to już zależy, jak tam wiatr powiał, ale widzieli wszyscy jedno i na potwierdzenie przed samym archimandrytą Witalisem ikonę całowali: ktoś czarny w ubraniu do pięt i spiczastym kapturze, tak jak starcy z wyspy, unosił się nad wodami, słowa jakieś mówił i palcem groźnie gdzieś w bok mierzył.

Archimandryta, jak się dowiedział o tych cudach niewidach, to braci zwymyślał. Znam ja was, pleciugi, powiada. Jeden dureń coś palnie, a już drudzy radzi w dzwony bić. Prawdę mówią, że czerniec od gadatliwej baby gorszy. I jeszcze różnie ich tam rugał, a potem najsurowiej zabronił po zmierzchu na tamtą stronę Kanaanu chodzić, tam gdzie Mierzeja Postna w stronę Wyspy Rubieżnej się wyciąga.

Tu przewielebny przerwał opowiadającemu:

– Tak, pamiętam. Pisał mi ojciec Witalis o głupich słuchach, narzekał na mniszą durnotę. Jego zdaniem bierze się to z nieróbstwa i lenistwa, dlatego prosił, żebyśmy pozwolili mu kierować wszystkich mnichów, aż do stopnia jeromonacha, do prac pożytecznych dla ogółu. Dałem mu na to swoje błogosławieństwo.

A siostra Pelagia, korzystając z przerwy w opowiadaniu, zapytała szybko:

– A powiedz, bracie, ile jest mniej więcej sążni od tego miejsca, gdzie widziano Wasiliska, do Wyspy Rubieżnej? I jak daleko w jezioro wchodzi mierzeja? I jeszcze: gdzie dokładnie cień się unosił – przy samej pustelni czy może jednak w pewnej odległości?

Antipa popatrzył na ciekawską zakonnice, zamrugnął oczami, ale na pytania odpowiedział:

– Od mierzei do Rubieżnej sążni z pół setki będzie. A co do Orędownika, to zanim na mnie padło, tylko z daleka go widziano, z naszego brzegu porządnie nie dało mu się przyjrzeć. Do mnie zaś Wasilisk bliżusieńko podszedł, ot – jak stąd do tego obrazka.

I wskazał fotograficzny portret zawołzkiego gubernatora na przeciwległej ścianie, do której było jakieś piętnaście kroków.

– To już nie „cień jakiś”, tylko akurat sam Orędownik Wasilisk?! – ryknął biskup na mnicha swoim gromowym głosem i za gęstą brodę garścią się chwycił, co było u niego znakiem narastającego rozdrażnienia. – Dobrze mówi Witalis! Wy, czerńcy, gorsi od przekupek z bazaru jesteście!

Od tych groźnych słów Antipa wciągnął głowę w ramiona i więcej mówić nie mógł, tak że z pomocą musiała mu przyjść Pelagia. Poprawiła swoje druciane okulary, schowała pod chusteczkę nieposłuszny kosmyk rudych włosów i odezwała się z wyrzutem:

– Sam, władko, mówisz zawsze, że szkodliwe są pospieszne wnioski. Warto by dosłuchać świętego ojca, nie przerywając.

Antipa przestraszył się jeszcze bardziej, pewien, że od takiej zuchwałości archijerej dopiero we wściekłość wpadnie, ale Mitrofaniusz na siostrę się nie rozzłościł i gniewny blask w oczach wygasł. Machnął do zakonnika ręką.

– Opowiadaj dalej. Tylko uważaj, nie łżyj.

I Antipa opowiadał, tyle że opowieść jego maćły nieco usprawiedliwienia, w które, przestraszony, uznał za właściwe się wdawać.

– Dlaczego to ja archimandryty zakazu nie posłuchałem? Bo takie mam ćwiczenie zadane, żeby za zielarza być i braci leczyć, tych, co za grzech mają do świeckiego lekarza chodzić. A u nas, zielarzy klasztornych, tak już jest, że każdą trawkę trzeba koniecznie w dzień szczególnego orędownika zbierać. Mierzeja Postna, ta, co naprzeciwno pustelni się ciągnie, to najbardziej zielne miejsce na całym Kanaanie. I kirjak tam porasta, na przepicie dobry, za wstawiennictwem wielkiego męczennika Bonifacego, i trawa ochotón od grzesznych namiętności, której czcigodna Fomaida patronuje, i liadunica, od złego uroku strzegąca za przyczynieniem się wielkiego męczennika Cypriana, i moc innych leczniczych ziół. Ja już i tak przez ten zakaz ani rdestu ostrogorzkiego, ani dragomory, które o nocnej rosie rwać trzeba, nie zebrałem. A na wielką męczennicę Eufemię, co od gorączki chroni, szusza późna rozkwita, a ją, tę szuszę niby, w jedną tylko noc za cały rok zbierać można. To jak mogłem przepuścić? No to i nie posłuchałem. Jak tylko wszystkich braci sen zmorzył, ja po cichutku na dwór, potem za ogrodzenie i polem do kaplicy Pożegnalnej, gdzie pokutników przed umieszczeniem w pustelni zamykają, a tam już Mierzeja Postna tuż-tuż. Z początku strach brał, zęgnąłem się ciągle, na boki oglądałem, a potem nic, odwagi nabrałem. Szuszy późnej szukać trudno, tu i praktyki trzeba, i starunku niemałego. Ciemno było oczywiście, ale lampę miałem ze sobą olejną. Z jednej strony szmatką ją zasłoniłem, żeby nie zobaczyli. Pełzną ja sobie na czworaczkach, kwiatki zrywam i już nie pamiętam ani o archimandrycie, ani o świętym Wasilisku. Na samiusieńki brzeg zszedłem, dalej tylko woda i gdzieś kamienie z niej sterczą. Już chciałem wracać. Nagle słyszę z ciemności...

Na to straszne wspomnienie mnich pobladł, zaczął gwałtownie sapać i szczękać zębami, Pelagia dołała mu więc wrzątku z samowara.

– Dzięki stokrotne, siostrzyczko... Nagle z ciemności głos się rozlega, cichy, ale natchniony, i każde słowo słychać wyraźnie: „Idź. Powiedz wszystkim”. Odwracam się do jeziora i tak strasznie mi się zrobiło, że i latarnię upuściłem, i torbę, do której ziele zbierałem. Nad wodą – obraz mętny, wąski, jakby kto na kamieniu stał. Tylko że kamienia żadnego tam nie ma... Nagle... nagle światło jakies niezemskie, jasne, o wiele jaśniejsze niż od tych latarni gazowych, co to u nas w Nowym Araracie teraz na ulicach się palą. I tu już stanął on przede mną w całej oczywistości. Czarny, w habicie, za plecami światło się rozlewa, i stoi wprost na toni – drobna fala pod nogami mu pluska. „Idź – powiada. – Powiedz. Pusto ma być”. Wyrzekł i paluchem na Rubieżną wskazał. A potem kroczyć zaczął do mnie wprost po wodzie – jeden krok, drugi, trzeci. Ja zem krzyknął, rękami zamachał, odwrócił się i ile sił w nogach uciekł...

Mnich chlipnął, wytarł nos rękawem. Pelagia westchnęła, pogłaskała biedaka po głowie, a Antipa od tego zupełnie się już rozkleił.

– Tom pobiegł do ojca archimandryty, a on jak na mnie ryknie słowami, jakie tylko zna: nie wierzy – poskarżył się mnich płaczącym głosem. – Wsadził mnie do ciemnicy, za kratę, o skórkach od chleba i o wodzie. Cztery dni tam siedziałem, trząłem się i cały czas modły wznosiłem, w środku mi wszystko zaschło. Wyszędłem – a tu nogi się pode mną uginają. Bo już czcigodny ojciec nasz nowe ćwiczenie mi nagotował: z Kanaanu na Ukataj, najdalszą wyspę, popłynąć i tam przy gadzim karmniku zostać.

– A co to znowu za gadzi karmnik? – zadziwił się Mitrofaniusz.

– A to archimandrycie dochtór Korowin doradził, Donat Sawwicz. Chytrego to rozumu chłop, ojciec czcigodny go słucha. Gadzi jad,

powiada, u Niemców teraz w cenie, to my te gady zaczęliśmy hodować. Jad z ich mord wrednych wyciskamy i wysyłamy do niemieckiej ziemi, tfu! – Antipa przeżegnał swoje usta, żeby splunięciem się nie skalać, i wsadził rękę za pazuchę. – Tylko że najbardziej doświadczeni i najpobożniejsi starcy zebrali się po kryjomu i nakazali mi na Ukataj nie jechać, ale z Araratu samowolnie do przewielebności waszej uciec i o wszystkim, co widziałem i słyszałem, donieść. I pismo, żebym ze sobą zabrał, mi dali. O, to.

Władyka zasępił się, wziął do ręki szary arkusik, założył pince-nez i zaczął czytać. Pelagia bez ceremonii zaglądała mu przez ramię.

Wielce przewielebny i wielce oświecony Właduko!

My, poniżej wymienieni zakonnicy Nowoararackiego monasteru wspólnotowego, pokornie przypadamy do stóp Waszej Przewielebności, błagając, byś w wysokiej swojej mądrości nie obrócić na nas, za naszą samowolę i zuchwalstwo, swego arcypasterskiego gniewu. Jeśli nawet ośmieliliśmy się okazać nieposłuszeństwo naszemu czcigodnemu ojcu archimandrycie, to nie z krnąbrności, tylko pod strachem Bożym i z gorliwością służenia Panu Naszemu. Trudny i do rozmarzeń niewczesnych skłaniający jest żywot ziemski i łasy jest ród ludzki na zmyślenia marne, ale wszystko, co opowie Przewielebności Waszej brat nasz Antipa, to prawda najprawdziwsza, bo zakonnik ów znany jest pośród nas jako brat niekłamlivy, rozgłosu nieszukający i do czczych ziemskich marzeń nieskłonny. A także i my wszyscy, podpisujący się tutaj, widzieliśmy to, co i on, chociaż nie tak z bliska.

Ojciec Witalis zatwardził przeciwko nam serce swoje i słuchać nas nie chce, tymczasem zaś wśród braci zamęt i wrzenie panuje, a i strach bierze: co może znaczyć zasmucający ten znak? Czemuż to święty Wasilisk, opiekun wspaniałej tej samotni, palcem wygraża i na swoją świetlaną pustelnię kłatwę rzuca? A słowa „pusto ma być” co

oznaczają? Czy to o pustelni powiedziane, czy o monasterze, czy też, być może, w jeszcze szerszym znaczeniu, o jakim nam, ubożego rozumu ludziom, nawet pomyśleć strach? Tylko Przewielebności Waszej dozwolone jest i możliwe objaśniać straszne te widzenia. Dlatego też błagamy Waszą Przewielebność, przezacnego naszego władcy, byś nie kazał karać ani nas, ani brata Antipa, tylko rozlał na straszne owo wydarzenie światło swej mądrości.

Błagamy o święte Waszej Przewielebności modlitwy, pokłon niski składamy i łączymy się, niegodni, z Nim w modlitwie, pozostając Jego jakże grzesznymi sługami

*jeromonach Hilariusz
jeromonach Melchizedek
mnich Diomedes*

– Ojciec Hilariusz pisał – z uszanowaniem wyjaśnił Antipa. – Wielce uczony mąż, z akademików. Gdyby zechciał, mógłby igumenem być albo i więcej, ale zamiast tego u nas zbawienia szuka i marzy, żeby do Pustelni Wasiliskowej trafić, pierwszy jest w kolejce. A tu takie rozgoryczenie dla niego...

– Znam Hilariusza. – Władcy kiwnął głową, przeglądając suplikę. – Pamiętam. Niegłupi, szczerzej wiary, tylko bardzo już zapamiętały.

Zdjął pince-nez i przyjrzał się uważnie gońcowi.

– A coś ty, synu, taki oberwany? I dlaczego bez czapki? Chyba nie od samego Araratu konie gnałeś? Przez jezioro to chyba raczej niemożliwe, chyba że potrafisz tak stapać po wodzie jak Wasilisk.

Tym żartem zapewne biskup chciał dodać mnichowi otuchy i wprowadzić go w spokojniejszy nastrój, konieczny dla poważnej rozmowy, ale wynik osiągnął wprost przeciwny.

Antipa zerwał się nagle z krzesła, podbiegł do wąskiego okienka składnicy akt i zaczął wyglądać na zewnątrz, bełkocząc nieskładnie:

– Boże święty, jakże to ja zapomniałem! Przecież on już tu, tylko

patrzeć, w mieście! Przenajświętsza Orędowniczko, ochroń i obroń!

Odwrócił się do władyki i zatrajkotał:

– Lasem jechałem, do władyki spieszyłem. Mnie sprawnik, jak w Modrooziersku ze statku zszedłem, dał swoją kolaskę, żebyśmy szybciej do Zawołzka dojechali. Już i w Modrooziersku o pojawieniu się Wasiliska słyszeli. A jak już blisko miasta byłem, patrzę, a nad sosnami – on!

– No, ale co za on?! – zawołał z irytacją Mitrofaniusz.

Antipa buchnął na kolana i poczołgał się do przewielebnego, starając się chwycić go za poję.

– Toć on sam, Wasilisk! Za mną widać przyleciał, siedmiomilowymi krokami albo po powietrzu! Czarny, ogromny, znad drzew patrzy, oczyska wytrzeszcza! Ja jak nie pognam koni! Gałęzie po twarzy biją, wiatr gwizdże, a ja nic, tylko gnam. Chciałem uprzedzić, że już blisko jest!

Łebska Pelagia pierwsza domyśliła się, o co chodzi.

– On, ojciec, o pomniku mówi. Jermaka Timofiejewicza.

Tu trzeba wyjaśnić, że pozaprzeszłego roku, na rozkaz gubernatora Antoniego Antonowicza von Hagenau na wysokim brzegu Rzeki postawiono wspaniały monument: „Jermak Timofiejewicz niesie dobrą nowinę Wschodowi”. Pomnik ten, największy na całym zarzeczu, jest obecnie szczególną dumą naszego miasta, które niczym innym przed znakomitymi sąsiadami, Niżnim Nowogrodem, Kazaniem czy Samarą, pochwalić się nie może. A przecież każda miejscowość musi mieć jakiś powód do dumy! No i my teraz właśnie mamy.

Pewni historycy uważają, że do swej sławnej wyprawy na Syberię, której skutkiem imperium zawdzięcza większą część swych bezkresnych obszarów, Jermak Timofiejewicz wyruszył właśnie z naszej krainy, i by uczcić to wydarzenie, wzniesiono brązowego olbrzyma. Odpowiedzialną tę pracę zlecono pewnemu zawołzkiemu

rzeźbiarzowi, być może nie tak uzdolnionemu jak niektórzy artyści stołeczni, za to prawdziwemu patriocie naszej krainy i w ogóle bardzo porządnemu człowiekowi, bardzo kochanemu przez wszystkich zawoźczan za szczerą duszę i otwarte serce. Hełm zdobywcy Syberii rzeczywiście wyszedł rzeźbiarzowi nieco podobny do mnisiego kaptura, co wprawilo biednego brata Antipę, nieobeznanego z naszymi nowinkami, w zabobonny lęk.

To jeszcze nic! Zeszłej jesieni kapitan holownika, ciągnącego barki z astrachańskimi arbusami, wypłynawszy zza łuku rzeki i ujrawszy nad stromym brzegiem szczerzącego oczy bałwana, ze strachu posadził całą swoją flotyllę na mieliźnie, wskutek czego przez kilka następnych tygodni po Rzece pływały zielone, pasiaste kule, zmierzające w rodzinne strony. I to, proszę zwrócić uwagę, kapitan, a czego tu chcesz od ubożego duchem zakonnika?

Objaśniewszy Antipie pomyłkę i jako tako go uspokoiwszy, Mitrofaniusz wyprawił mnicha do diecezjalnego zajazdu, żeby tam czekał na rozstrzygnięcie swego losu. Było jasne, że odsyłać zbiega do surowego nowoararackiego archimandryty nie można, trzeba będzie mu znaleźć miejsce w jakimś innym klasztorze.

No, a kiedy biskup ze swoją córą duchowną zostali sam na sam, władyka zapytał:

– No i co ty myślisz o tych niedorzecznościach?

– Wierzę – bez wahania odpowiedziała Pelagia. – Patrzyłam bratu Antipie w oczy, nie łże. Opisał, co widział, niczego nie dodał.

Przewielebny poruszył brwiami, hamując niezadowolenie. Odrzekł powściągliwie:

– Specjalnie tak mówisz, żeby mnie podrażnić. W żadne widma nie wierzysz, niby to ja cię nie znam.

Połapał się jednak od razu, że wpadł w pułapkę zastawioną przez chytrą pomocnicę, i pogroził jej palcem:

– Aha, ty w tym sensie, że on sam wierzy w swoje brednie. Zamajaczyło mu się coś, co się naukowo nazywa halucynacją, i wziął to za rzeczywiste wydarzenie. Tak?

– Nie, ojczy, nie tak – westchnęła zakonnica. – To jest człowiek prosty, byle czego niewygadujący, czyli, jak w liście piszą, „do czcnych ziemskich marzeń nieskłonny”. Takim ludziom halucynacje się nie zdarzają, za mało w nich fantazji. Ja myślę, że jemu się rzeczywiście ktoś objawił i mówił z nim. A poza tym – nie sam tylko Antipa tego Czarnego Mnicha widział, są przecież i inni naoczni świadkowie.

Cierpliwość nigdy nie zaliczała się do zalet gubernialnego archijereja i sądząc po purpurze, która zalała wysokie czoło i policzki Mitrofaniusza, teraz była już wyczerpana.

– A o sugestii zbiorowej, której przykładów tyle jest po klasztorach, zapomniałaś?! – wybuchnął arcypasterz. – Pamiętasz, jak w monasterze Maryjskim siostron bies zaczął się objawiać, najpierw jednej, potem drugiej, a potem wszystkim innym? Opisywały go ze wszystkimi szczegółami i słowa jego powtarzały, których zacne mniszki nie miały jak poznać. Samaś mi przecież wtedy radziła lekarza od chorób nerwowych i psychicznych do klasztoru posłać!

– To było całkiem co innego, zwykła babska histeria. A tu świadectwo dają rozważni starcy – zaoponowała mniszka. – Niespokojnie jest w Nowym Araracie i dobrze to się nie skończy. Już nawet do Zawoźska doszły słuchy o Czarnym Mnichu. Trzeba by się zorientować.

– W czym się zorientować, w czym?! Czy ty naprawdę w przywidzenia wierzysz? Wstydz się, Pelagio, toż to zabobon! Święty Wasilisk już osiemset lat temu ducha wyzionął i nie ma po co wokół wyspy po wodach żeglować, głupawych mnichów straszyć!

Pelagia ukłoniła się z pokorą, jakby uznając pełne prawo biskupa do gniewliwości, ale w jej głosie pokory było niewiele, a w słowach to już

zupełnie.

– To, ojcze, przez ciebie męskie ograniczenie przemawia. Mężczyźni w swoich ocenach zbyt często zdają się na wzrok, kosztem pozostałych pięciu zmysłów.

– Czterech – nie omieszkał poprawić Mitrofaniusz.

– Nie, władko, pięciu. Nie wszystko, co jest na świecie, można uchwycić wzrokiem, słuchem, dotykiem, węchem i smakiem. Jest jeszcze jeden zmysł, bezimienny, dany nam po to, byśmy mogli odczuwać świat Boży nie tylko ciałem, ale i duszą. I nawet dziwne, że to ja, słaba rozumem i duchem czernica, muszę to ojcu wyjaśniać. Czy to nie ty, władko, mnóstwo razy mówiłeś o tym uczuciu i w kazaniach, i w prywatnych rozmowach?

– Miałem na myśli wiarę i miarę moralną, które każdemu człowiekowi są od Boga dane! A ty mi o jakiejś fatamorganie opowiadasz!

– A choćby i o fatamorganie. – Zakonnica z uporem pokiwała głową. – Wokół i wewnątrz naszego świata istnieje jeszcze jeden, niewidzialny, a może nawet więcej niż jeden. My, kobiety, wyczuwamy go lepiej od mężczyzn, bo mniej boimy się czuć. Przecież ty sam, władko, nie będziesz przeczył, że są miejsca, od których na duszy robi się jasno (tam zazwyczaj wznosi się świątynie Boże), a są i takie, gdzie mrowie po duszy przebiega. Przyczyny żadnej nie ma, a mimo to przyspiesza człowiek kroku i jeszcze się przeżegna. Ja zawsze tak właśnie koło Czarnego Jaru przebiegałam, dreszcz mi po skórze przechodził. I co? Właśnie tam armatę znaleźli.

Ten argument, przytoczony przez Pelagię jako nieodparty, wymaga wyjaśnienia. Pod Czarnym Jarem, leżącym pół wiorsty od Zawoźska, dwa lata temu wykryto skarb: stary brązowy mózdzierz, cały nabity czerwocami i półszlachetnymi kamieniami. Leżał najwyraźniej w ziemi od czasów, kiedy hulał po tutejszych okolicach

pugaczowowski „jenerał” Czika Zarubin, którego Samozwaniec mianował hrabią Czernyszowem. Wiele musiał on łez i krwi przelać, gromadząc taki skarb. (Zauważmy nawiasem, że za te same pieniądze i na tym samym miejscu wzniesiono wspinały monument, który niemalże na śmierć przeraził brata Antipę).

Ale „armatni” dowód przewielebnego nie przekonał. Mitrofaniusz tylko w ręce klasnął.

– No, o dreszczu to dopiero potem sobie wymyśliłaś.

I tak archijerej i jego córa duchowna spierali się jeszcze długo, aż wreszcie mało na dobre się nie pokłócili. Dlatego koniec sporu o zabobony opuścimy i przejdziemy od razu do jego praktycznego zakończenia, do którego doszło już nie w archiwum sądowym, lecz w pałacu biskupim, podczas świątecznej herbatki.



Na herbatkę, urządzoną nazajutrz dla uczczenia pomyślnego końca procesu sądowego, przewielebny zaprosił oprócz siostry Pelagii jeszcze jedno ze swoich duchowych dzieci, podprokuratora okręgowego Matwieja Bencjonowicza Berdyczowskiego, który też przyczynił się był do tryumfu sprawiedliwości. Na stole obok samowara stała butelka cahors, a już słodczy była po prostu obfitość: i pierniki, i owoce kandyzowane, i konfitury najrozmaitsze, i nieodmienne jabłkowe zefirki, których wielkim amatorem był sam władca.

Towarzystwo siedziało w refektarzu, gdzie na ścianach wisały kopie dwóch ulubionych ikon Mitrofaniusza: cudami słynącej Zmiękczenie złych serc i mało znanej Judasz całuje Chrystusa Zbawiciela, doskonale namalowanych, oprawnych w drogie, srebrne sukienki. Przewielebny umieścił je tutaj nie tak sobie, lecz znacząco, by przypominały mu o tym, co w wierze chrześcijańskiej

najważniejsze: o powszechnym przebaczeniu i przyjęciu przez Chrystusa każdej, nawet najpodlejszej duszy, bo nie ma takich, dla których nie byłoby żadnej w ogóle nadziei na zbawienie. O tym, a zwłaszcza o wybaczeniu, archijerej ze względu na namiętny charakter skłonny był zapominać, a że wiedział o tym swoim grzechu – starał się go przewyciężyć.

Porozmawiali o świeżo zakończonym procesie, wspominając różne jego zwroty i perypetie, potem o spodziewanym przyroście w rodzinie prawnika – przyszły ojciec niepokoił się tym, że dziecko będzie trzynaste z kolei, a władyka pokpiwał z Berdyczowskiego: że niby z was, wychrztów neofitów, zawsze najwięksi wstecznicy wyrastają, i wymawiał panu Matwiejowi wiarę w zabobony, wstyd przynoszącą oświeconemu człowiekowi.

Stąd, z zabobonów, rozmowa w naturalny sposób zesłała na Czarnego Mnicha. Podkreślić należy, że pierwszy o tym tajemniczym zjawisku wspomniał podprokurator okręgowy, który, jak pamiętamy, przy rozmowie w archiwum nie był obecny, a nawet w ogóle o niej nie wiedział.

Okazało się, że o wczorajszej gonitwie, urządzonej przez nowoararackiego mnicha po ulicach, mówi już całe miasto. Rozeszła się już także wieść o pojawieniu się Wasiliska i o złych znakach. Brat Antipa, poganiając konie, nie tylko przejechał kotkę wpływowej mieszkanki Zawożńska, Olimpiady Sawieljewny Szestago, ale jeszcze wykrzykiwał najrozmaitsze alarmujące słowa: „Ratujcie się, prawosławni!”, „Wasilisk nadchodzi!” i inne, a także domagał się, by mu powiedziec, gdzie może znaleźć archijereja.

Wychodziło na to, że siostra Pelagia miała wczoraj rację: puścić w niepamięć tego wydarzenia nie można. Z tym, ostygnąwszy po wczorajszym rozdrażnieniu, przewielebny już się nie spierał, ale co do środków, jakie należy podjąć, wśród biesiadników wystąpiły

rozbieżności.

Wszystkie swoje liczne sukcesy na niwie działalności arcybiskupiej Mitrofanusz przypisywał Panu Bogu, pokornie uznając się tylko za widome narzędzie niewidzialnie działającej Siły, a wypowiadał się w sposób absolutnie fatalistyczny, lubił powtarzać: „Jeśli Bogu się spodoba, to na pewno się spełni, a jeśli Bogu się nie podoba, to ja też nie potrzebuję”. Ale w rzeczywistości kierował się maksymą: „Licz na Pana Boga, ale sam się nie gap”, i – trzeba powiedzieć – zagapiał się rzadko, nie obarczając Pana Boga zbędnymi troskami.

Nie warto nawet wspominać, że biskup od razu się zapalił, żeby jechać do Nowego Araratu samemu, tam przemówić komu trzeba do rozumu i skończyć z całą sprawą (możliwości występowania jakiegoś prawdziwie mistycznego zjawiska stanowczo nie chciał dopuścić i w pojawieniu się Wasiliska widział tylko masowe znięcenie umysłu albo czyjąś intrygę).

Roztropny Matwiej Bencjonowicz władykę od wyjazdu odwodził. Wypowiadał się w tym sensie, że pogłoski to materia trudna do opanowania i niebezpieczna. Wszystkim gęby się nie zatka. Ingerencja administracyjna w podobnych wypadkach daje taki sam skutek jak gaszenie pożaru naftą – ogień tylko jeszcze bardziej się rozpała. Berdyczowski miał następującą propozycję: przewielebny na wyspy w żadnym wypadku płynąć nie może i w ogóle powinien zachowywać się tak, jakby nic szczególnego tam się nie działo, a po cichutku posłać do Nowego Araratu jakiegoś rozumnego i taktownego urzędnika, który we wszystkim się zorientuje, znajdzie źródło pogłoski i przedstawi wyczerpujący raport. Było jasne, że mówiąc o „rozumnym urzędniku”, Matwiej Bencjonowicz ma na myśli siebie, jak zwykle gotów zapomnieć o wszystkich sprawach bieżących, a nawet o względach rodzinnych, byle tylko oddać przysługę swemu duchowemu

opiekunowi.

Co do Pelagii, to zgadzając się z Berdyczowskim, że archijerejska inspekcja jest niecelowa, nie widziała też sensu w odkomenderowaniu na wyspę człowieka świeckiego, który, po pierwsze, może nie zrozumieć wszystkich subtelności klasztornej egzystencji i mnisiej psychologii, a po drugie... Nie, ten drugi argument lepiej już przytoczyć dosłownie, żeby obciążyć nim wyłącznie sumienie polemistki.

– W kwestiach dotyczących niepojętych zjawisk i duchowego niepokoju mężczyźni są nazbyt prostolinijni – oświadczyła Pelagia, szybko szcękając drutami (po trzeciej szklance herbaty, poprosiwszy władcykę o pozwolenie, wyciągnęła z torebki robótkę). – Mężczyźni nie interesuje nic, co wydaje im się nieważne, a w rzeczach nieważnych kryje się często to, co najistotniejsze. Gdzie trzeba coś zbudować, a jeszcze lepiej – zburzyć, tam mężczyźni nie mają sobie równych. Jeśli zaś trzeba okazać cierpliwość, zrozumienie, a może i współczucie, lepiej powierzyć sprawę kobiecie.

– Ale przecież kobieta na widok widma od razu zemdleje albo, co gorsza, w histerię wpadnie – podrażnił zakonnicę archijerej. – I nic się nie uda.

Pelagia popatrzyła na rząd oczek, który skrzywił jej jakoś krzywo i w skos, ale nie zdecydowała się go spruć, niech będzie tak, jak jest.

– Kobieta nie ma po co mdleć ani wpadać w histerię, jeśli w pobliżu nie ma mężczyźni – powiedziała. – Kobiece omdlenia, histerie i płaczliwość to wszystko męskie wymysły. Wy macie ochotę przedstawiać nas jako słabe i bezradne, to my się pod wasze pragnienia dostrajamy. Dla sprawy byłoby najlepiej, gdybyś, ojcze, dał mi swoje błogosławieństwo na urlop, na małe dwa albo trzy tygodnie. Pojechałabym na Kanaan, pokłoniła się tamtejszym relikwiom, a przy okazji popatrzyła, co tam u nich za widmo unosi się nad wodami. W szkole tymczasem moimi dziewczynkami zajęłyby się siostra

Apolinaria i siostra Ambrozja. Jedna poprowadziłaby gimnastykę, druga literaturę i wszystko doskonale by się ułożyło...

– Nic z tego nie wyjdzie – przewielebny z widocznym zadowoleniem przerwał marzenia swej duchowej córy. – Czy nie zapomniałaś, Pelasiu, że mniszki na Ararat wstępu nie mają?

I tym argumentem od razu zamknął zakonnicy usta.

W istocie, w myśl surowej nowoararackiej reguły zakonnicom i nowicjuszkom wstępu na wyspy zakazano. Postanowienie to stare, trzysta lat liczące, ale dotąd przestrzegane bezwzględnie.

Nie zawsze tak było. W dawnych czasach na Kanaanie obok męskiego monasteru mieścił się również klasztor żeński, tylko że z tego sąsiedztwa wynikły wszelakiego rodzaju pokusy i nieprzyzwoitości, dlatego kiedy patriarcha Nikon w trosce o przywrócenie honoru stanowi zakonnemu zaostrzył wszędzie reguły klasztorne, zlikwidował też nowoararacki klasztor żeński i mniszkom zakazał się pojawiać nad Jeziorem Modrym. Kobietom świeckim pielgrzymować wolno i wiele rzeczywiście tam jeździ, ale oblubienicom Chrystusa nie wolno, są dla nich inne święte miejsca.

Pelagia najwyraźniej chciała się jeszcze spierać z władką, ale spojrzawszy na Berdyczowskiego, nie odezwała się. Dyskusja na temat Czarnego Mnicha, wszczęta przez triumwirat najmądrzejszych ludzi w guberni zawołżskiej, znalazła się zatem w ślepym zaułku.

Rozwiązał trudność, jak zwykle w takich wypadkach, przewielebny Mitrofaniusz, i to w charakterystyczny dlań paradoksalny sposób. Władka miał całą teorię na temat pożytku płynącego z paradoksów, które tym się zalecają, że obalają nazbyt ciężkie konstrukcje ludzkiego umysłu, otwierając przez to nieoczekiwane i czasami krótsze drogi do rozwiązania problematycznych zadań. Archijerej lubił ni stąd, ni zowąd oszołomić rozmówcę jakimś nieoczekiwanym zdaniem albo nieprawdopodobnym rozstrzygnięciem, uprzednio zrobiwszy minę

znamionującą bardzo mądre i surowe skupienie.

Teraz też, kiedy wymieniono argumenty, nie dochodząc do żadnego wniosku, i nastąpiło męczące milczenie, władyka nachmurzył białe, przecięte trzema pionowymi zmarszczkami czoło, zamknął oczy i zaczął przebierać paciorki różańca z drewna sandałowego swymi wspaniale białymi i wypielęgowanymi palcami (o ręce dbał Mitrofaniusz szczególnie troskliwie i prawie nigdy nie wychodził na dwór bez jedwabnych rękawiczek, objaśniając to tym, że osoba duchowna, dotykająca komunikantów, powinna traktować ręce z największym szacunkiem).

Posiedziawszy tak przez jakąś minutę, przewielebny znów otworzył błękitne oczy, w których błysnęła iskierka, i tonem nieznoszącym sprzeciwu powiedział:

– Alosza pojedzie, Lentoczkin.

Matwieja Bencjonowicza i Pelagię stać było tylko na głośnie:

– Ach!



Nawet gdyby się ktoś specjalnie starał, nie zdołałby chyba wynaleźć bardziej paradoksalnego kandydata do tajnej inspekcji w niezwykle delikatnej, wewnątrzkościelnej sprawie.

Aleksy Stiepanowicz Lentoczkin, którego dla młodości lat i rumianej pyzatości policzków poza oczy (a często i otwarcie – on się nie obrażał) nazywano nie inaczej, tylko Aloszą, pojawił się w naszym mieście niedawno, ale od razu znalazł się w liczbie szczególnych faworytów archijereja.

Miał zresztą przewielebny po temu w pełni wybaczone podstawy, ponieważ Aleksy Stiepanowicz był synem starego kolegi władyki, który, jak wiadomo, przed przyjęciem święceń był oficerem kawalerii. Ten jego kolega z wojska poległ na ostatniej wojnie tureckiej,

pozostawiając wdowę z dwojgiem maleństw, córką i synem, oraz bez żadnych niemal środków do życia.

Mały Aloszeńka rósł na jakiegoś zupełnie wyjątkowo zdolnego człowieka; w wieku jedenastu lat bez wysiłku przeprowadzał rachunki całkowe, a koło dwudziestki zapowiadał się po prostu na geniusza w dziedzinie nauk przyrodniczych lub matematycznych.

Lentoczkinowie mieszkali nie w Zawoźsku, lecz w wielkim uniwersyteckim mieście K., też leżącym nad Rzeką, ale w jej niższym biegu, toteż kiedy na Aloszę przyszedł czas wyboru uczelni, nie tylko przyjęto go na tamtejszy uniwersytet bez żadnych opłat, ale nawet przyznano mu osobiste stypendium, żeby uczył się i pielęgnował swój talent ku chwale rodzinnego miasta. Bez stypendium studiować by nie mógł, nawet bezpłatnie, ponieważ rodzina żyła w nadzwyczaj ciężkich warunkach.

W wieku dwudziestu trzech lat, kiedy do ukończenia studiów zostało mu nie tak wiele, Aleksy Stiepanowicz zmierzał wprost do tego, by stać się nowym Ewarystem Galois czy Michałem Faradayem, co przyznawało całe jego otoczenie i o czym on sam mówił bez skrępowania. Jednak oprócz nadzwyczajnych zdolności młodzieńca cechowała również ogromna pycha, co nie jest rzadkością wśród wczesnie dojrzałych talentów. Odnosił się bez szacunku do autorytetów, był zuchwały, ostry w języku i zarozumiały, co, jak wiadomo, nie pozwoliło wspomnianemu Ewarystowi Galois dożyć dojrzałego wieku i zadziwić świat całym blaskiem swego wielce obiecującego geniuszu.

Nie, Alosza Lentoczkin nie zginął w pojedynku jak młody Francuz, ale zaplątał się w historię, która mu bokiem wyszła.

Pewnego razu ośmielił się nie zgodzić z oceną swojego traktatu – ni to chemicznego, ni to fizycznego – napisaną ręką samego Serafima Wikientjewicza Nosaczewskiego, gwiazdy ojczystej nauki, a także

tajnego radcy i prorektora uniwersytetu w K. W swej recenzji uczony nie dość się zachwycił wywodami zdolnego studenta, czym doprowadził Lentoczkińa do szału. Młody człowiek dopisał do oceny Nosaczewskiego arcybezczełną uwagę i odesłał zeszyt z powrotem.

Uczony obraził się straszliwie (uwaga Aloszy podawała w wątpliwość dokonane przezeń odkrycia i w ogóle znaczenie dorobku naukowego jego magnificencji) i korzystając ze swej administracyjnej władzy, kazał zuchwalca pozbawić osobistego stypendium.

Wyskok Aleksego Stiepanowicza był oczywiście oburzający, ale biorąc pod uwagę młodość i niewątpliwe zdolności studenta, Nosaczewski mógł się ograniczyć do mniej surowej kary. Pozbawienie stypendium oznaczało, że Lentoczkin będzie musiał odejść z uniwersytetu i jak najszybciej wziąć jakąkolwiek posadę, choćby buchaltera w przedsiębiorstwie żeglugi parowej, czyli położyć krzyżyk na wszystkich wielkich marzeniach.

Wielu potępiło srogość wyroku prorektora, niektórzy namawiali Aloszę, żeby poszedł się pokajać, że to niby Nosaczewski jest surowy, ale niepamiętliwy, jednak duma nie pozwoliła. Młodzieniec obrał inną drogę, wyobraził sobie, że jest rycerzem, walczącym ze smokiem. No i poraził bestię śmiercionośnym ciosem. Zemścił się tak, że pan tajny radca był zmuszony...

Ale nie wybiegajmy naprzód. Historia jest godna tego, by ją opowiedzieć po porządku.

Serafim Wikientjewicz Nosaczewski miał pewną słabostkę, znaną całemu miastu – chorobliwą wręcz zmysłowość. Ten kapłan nauki, choć osiągnął już wiek dość podeszły, nie mógł spokojnie patrzeć na ładniutką mordeczkę czy kędzierzawy loczek nad uchem, od razu zamieniał się w koźlonogiego satyra, przy czym nie robił różnicy między przyzwoitymi damami a kokotkami najniższej kategorii. Jeśli

opinia publiczna wybaczała mu taką nieobyčajność, to tylko z szacunku dla uczoneści k-skiego koryfeusza, a także dlatego, że Nosaczewski swymi eskapadami się nie popisывał, zachowując roztropną dyskrecję.

I w tę właśnie piętę ugodził go nasz młodociany Parys.

Był Alosza młodzieńcem cudownej urody, lecz urody nie męskiej, raczej dziewczęcej: kędzierzawy, o gęstych brwiach, z puszystymi, prześlicznie wygiętymi rzęsami, z brzoskwiniowym puszkim na różowych policzkach. Należał, jednym słowem, do tej rasy piękniśców, którzy bardzo długo się nie starzeją, do czterdziestki zachowując świeże kolory twarzy i lśniącą cerę, za to potem zaczynają szybko więdnąć i marszczyć się niczym nadgryzione i zapomniane jabłko.

W swych niezbyt zaawansowanych latach Alosza wydawał się jeszcze młodszy, niż był rzeczywiście – istny paż Cherubin. Dlatego kiedy wystroił się w najlepszą suknię siostry, nałożył wspaniałą perukę, przykleił sobie muszkę i upiększył wargi szminką, zrobiła się z niego taka przekonująca szelmutka, że lubieżny pan profesor po prostu nie mógł nie zwrócić na nią uwagi, tym bardziej że pokiśliwa panna jak na złość przechadzała się w pobliżu willi jego magnificencji.

Nosaczewski wysłał do miłośniczki spacerów kamerdynera. Ten zameldował, że mamzela rzeczywiście jest z tych spacerujących, ale bardzo wybredna, a po ulicy Paryskiej przechadza się nie dla zarobku, tylko żeby ruchu zażyć. Satyr nakazał wobec tego służącemu, by jak najszybciej zaciągnął na nim gorset, nałożył atłasową kamizelkę i aksamitny surdut ze złotymi iskierkami i udał się prowadzić negocjacje osobiście.

Czarodziejka śmiała się, strzelała nad wachlarzem błyszczącymi oczkami, ale odwiedzenia jego magnificencji odmówiła i wkrótce oddaliła się, zupełnie zawróciwszy w głowie uczoneму mężowi.

Przez dwa dni pan Serafim nie ruszał się z domu na krok i tylko

wciąż wypatrywał z okna, czy nimfa nie pojawi się znów.

Pojawiła się – na trzeci dzień. Tym razem jednak dała się przekonać perspektywą szafirowego pierścionka, który miał być dodatkiem do dwustu rubli. Ale postawiła warunek: kawaler ma wynająć najlepszy numer w hotelu „Sans Souci”, zakładzie luksusowym, ale nieco wątpliwej reputacji, i zjawić się tam na spotkanie o dziesiątej wieczorem. Uszczęśliwiony Nosaczewski na wszystko się zgodził i za pięć dziesiątą, z ogromnym bukietem róż w rękę, stukał już do drzwi zawczasu zamówionego apartamentu.

W bawialni płonęły dwie świece i pachniało wschodnimi wonnościami. Zgrabna, wysoka postać w bieli wyciągnęła do prorektora rękę, ale natychmiast ze śmiechem odskoczyła i wszczęła z konającym z pożądania Nosaczewskim lekki flirt, polegający na kokieteryjnym bieganiu wokół stołu, a kiedy zalotnik kompletnie się zasapał i poprosił o litość, postawiono mu ultimatum: ma bezwzględnie wypełniać wszystkie zalecenia zwyciężczyni.

Jego magnificencja chętnie skapitulował, tym bardziej że warunki wyglądały kusząco: piękność osobiście rozbierze kochanka i wprowadzi go do buduaru.

Drżąc od rozkosznego oczekiwania, Nosaczewski pozwolił lekkim, szybkim palcom zdjąć z siebie całe ubranie. Nie sprzeciwił się też, kiedy pomysłowa panienska obwiązała mu oczy chusteczką, nałożyła na głowę koronkowy czepeczek, a zreumatyzowane kolano obwiązała różową podwiązką.

– Idziemy do przybytku marzeń, kaczorku – szepnęła podstępna kusicielka i zaczęła popychać oślepionego prorektora w stronę sypialni.

Uczony usłyszał skrzyp otwierających się drzwi, następnie otrzymał całkiem solidnego szturchańca w plecy, przebiegł kilka kroków i omal nie upadł. Drzwi z tyłu zatrzasnęły się.

– Pupeczko! – zawołał ze zdziwieniem Serafim Wikientjewicz. –
Laluniu! Gdzie jesteś?

W odpowiedzi gruchnął zgodny śmiech tuzina męskich krtani
i niezbyt zgrany chór ryknął:

Przybył do nas nasz przemiły
Pan Serafim ko-cha-ny!

A dalej już zupełnie okropnie, z miauczeniem i wyciem:

Sima, Sima, Sima,
Sima, Sima, Sima,
Pij do dna, pij do dna,
Pij do dna!

Przerażony Nosaczewski zdarł z oczu przepaskę i zobaczył, że na
ogromnym łożu a la Louis Quinze siedzą rzędem studenci
uniwersytetu w K., i to z tych najwięcej pijących i najzuchwalszych,
bezczelnie przyglądają się nieprzystojnej nagości preceptora, piją
prosto z butelki cennego szampana, a owoce i czekoladę zdążyli już
zeżreć.

Dopiero teraz nieszczęsny prorektor zrozumiał, że padł ofiarą
spisku. Rzucił się do drzwi i zaczął szarpać klamkę, ale otworzyć mu
się nie udało – mściwy Alosza zamknął pokój od wewnątrz.
Usłyszawszy wycia i krzyki, przez drzwi dla służby przybiegli służący,
a potem stójkowy z ulicy. Jednym słowem, zrobił się najokropniejszy
skandal, jaki tylko można sobie wyobrazić.

To znaczy – z oficjalnego punktu widzenia żadnego skandalu nie
było, ponieważ wstydliwą historię zatuszowano, ale już nazajutrz
o „benefisie” tajnego radcy, ze wszystkimi epatującymi i, jak to
w takich wypadkach bywa, podkolorowanymi szczegółami, wiedziały
i miasto K., i k-ska gubernia.

Nosaczewski dobrowolnie podał się do dymisji i wyjechał z K. na zawsze, bo zostawać tu dłużej w żaden sposób nie mógł. Pośród jak najpoważniejszej, nawet naukowej rozmowy interlokutor nagle zaczynał purpurowieć, nadymać się od powstrzymanego śmiechu i gorliwie odchrząkiwać, najwyraźniej wyobrażając sobie prorektora nie z gwiazdą Orderu Świętej Anny, tylko w czepeczku i z różową podwiązką.

Historia miała dla pana Serafima również i inne smutne następstwa. Nie tylko od tej pory utracił całkowicie ciekawość do płci pięknej, ale jeszcze zaczął bardzo nieawantażownie trząść głową, nerwowo zarzucać okiem, a i dawnej błyskotliwości naukowej już u niego nie obserwowano.

Ale i urwisowi kawał nie uszedł płazem. Wszyscy oczywiście dowiedzieli się natychmiast, kto wyciął prorektorowi taką sztuczkę (Aleksy Stiepanowicz i spółka nie za bardzo zresztą ukrywali, czyjego autorstwa było to przedstawienie), i władze gubernialne dały byłemu studentowi do zrozumienia, że lepiej będzie dla niego, jeśli zmieni miejsce zamieszkania.

Wtedy właśnie niepokieszona matka napisała do naszego przewielebnego, błagając, by wziął kłopotliwą latorośl majora Lentoczkiną do Zawołzka pod swój pasterski nadzór, przysposobił do jakiejś pracy i oduczył robienia głupstw i płatania figli.

Mitrofaniusz zgodził się – z początku ze względu na pamięć towarzysza broni, a potem, kiedy poznał bliżej Aleksego Stiepanowicza, już był po prostu rad z takiego podopiecznego.



Lentoczkin junior podbił surowego biskupa nieokiełznaną zuchwałością i kompletną obojętnością na fakt, że jest pod każdym względem od władzy zależny. To, czego Mitrofaniusz od innych za

nic by nie zniósł – brak szacunku i otwarta drwina – ze strony Aloszy go nie złościło, tylko bawiło, a może nawet zachwycało.

Zacząć trzeba od tego, że Alosza był bezbożnikiem, i to nie z takich, wiecie, agnostyków, jakich teraz wielu namnożyło się pośród wykształconych ludzi – tak że kogo tylko spytać, prawie każdy odpowiada: „Dopuszczam istnienie wyższego rozumu, ale w pełni za to nie ręczę” – tylko najbardziej jak to możliwe zdeklarowanym ateistą. Zaraz przy pierwszym spotkaniu w pałacu archijerejskim, w pokoju ze świętymi obrazami, pod promiennymi spojrzeniami ewangelistów, sprawiedliwych i wielkich męczennic, między młodym człowiekiem a Mitrofianuszem doszło do sprzeczki na temat wszechwiedzy i miłosierdzia Najwyższego, która zakończyła się tym, że biskup przepędził bluźniercę na zbity łeb. Potem jednak, kiedy nieco ostygł, kazał znów po niego posłać, napoił bulionem z pierożkami i mówił z nim już inaczej: wesoło i przyjaźnie. Wyszukał młodemu człowiekowi odpowiednią posadę – młodszego audytora w konsystorzu, umieścił na kwaterze u dobrej, troskliwej gospodyni i kazał bywać na archijerejskich pokojach bez uprzedzenia, z czego Lentoczkin, który nie zdążył jeszcze nawiązać w Zawołżsku znajomości, korzystał bez żadnych ceremonii: i biesiadował, i w biskupiej bibliotece godzinami przesiadywał, i nawet długo rozprawiał przed Mitrofianuszem o tym i owym. Bardzo wielu uważałoby za niebywałe szczęście słuchanie wywodów biskupa, z którym rozmowa była nie dość, że pouczająca, to i w najwyższym stopniu przyjemna, Lentoczkin jednak więcej paplał sam – a Mitrofianusz nic, nie przerywał, tylko słuchał z wyraźną przyjemnością.

Doszło do tego zbliżenia niewątpliwie dlatego, że spośród wszystkich ludzkich zalet władcyka niemal na pierwszym miejscu stawiał bystrość umysłu i niechęć do przypochlebiania się,

a Lentoczkin posiadał obie te cechy w najwyższym stopniu. Siostra Pelagia, której Aleksy Stiepanowicz od samego początku się nie spodobał (cóż, zazdrość to uczucie spotykane również u osób zakonnego stanu), mówiła, że skłonność Mitrofaniusza do chłopaczka bierze się również z ducha współzawodnictwa – chce rozłupać ten twardy orzeszek, rozbudzić w nim Wiarę. Kiedy mniszka zarzuciła władcy światową próżność, ten nie próbował się z nią spierać, tylko na swoją obronę powołał się na to, że jest to grzech niewielki i w pewnej mierze nawet usprawiedliwiony przez Pismo Święte, jako że powiedziano: „Powiadam wam, że takąż radość będzie w niebiesiach z jednego skruszonego grzesznika, co z dziewięćdziesięciu i dziewięciu sprawiedliwych, którzy skruchy nie potrzebują”.

A nam się wydaje, że oprócz tego chwalebego dążenia do uratowania żywej człowieczej duszy była tam także pewna przyczyna psychologiczna, z której przewielebny najpewniej sam nie zdawał sobie sprawy. Będąc z racji swej godności zakonnej pozbawiony rozkosznego brzemienia ojcostwa, Mitrofaniusz mimo to nie w pełni wykorzenił odpowiedni emocjonalny odrostek ze swego serca i o ile Pelagia do pewnego stopnia zastąpiła mu córkę, to dopóki nie pojawił się Alosza, wakat na miejscu przeznaczonym dla syna pozostawał niezajęty. Przenikliwy Matwiej Bencjonowicz, sam wielodzietny i wielce doświadczony ojciec, pierwszy zwrócił siostrze Pelagii uwagę na możliwą przyczynę niezwyklej słabości przewielebnego do zuchwałego młodzieńca i chociaż w głębi duszy był oczywiście urażony, to jednak znalazł w sobie dość ironii, żeby zażartować: „Władyka może i rad by był mieć mnie za syna, ale wtedy przecież musiałby na dodatek przyjąć tuzin wnucząt, a na taki wyczyn mało kto się odważy”.

Przebywając ze sobą, Mitrofaniusz i Alosza najbardziej

przypominali (niech będzie mi wybaczone tak pozbawione szacunku porównanie) wielkiego starego psa i czupurnego szczeniaczka, który, swawołąc, to chwyci rodzica za ucho, to zacznie się na niego wdrapywać, to capnie go drobnymi ząbkami za nos; do czasu olbrzym znosi te zaczepki bez protestu, a kiedy szczeniak już za bardzo się rozbryka, to warknie na niego albo przycisnie do podłogi mocną łapą, ale leciutko, żeby nie zmiażdżyć.



Nazajutrz po ważkim spotkaniu przy herbacie biskup musiał wyjechać w pilnych sprawach do pewnej oddalonej od miasta instytucji dobroczynnej, ale o swej decyzji Mitrofaniusz nie zapomniał i zaraz po powrocie wezwał Aleksego Stiepanowicza do siebie, a jeszcze przedtem posłał po Berdyczowskiego i Pelagię, żeby wyjaśnić im swoje powody już bez żadnych paradoksów.

– W tym, żeby wysłać właśnie Lentoczkiną, kryje się dwoisty sens – powiedział władyka swoim doradcom. – Po pierwsze, dla sprawy jest lepiej, żeby tymi chimerami zajęła się nie jakaś osoba o skłonnościach do mistycyzmu (tu przewielebny zerknął na swoją duchową córę), lecz ktoś o możliwie najbardziej sceptycznym, a nawet materialistycznym światopoglądzie. Ze względu na swój charakter nasz Alosza skłonny jest każde niezrozumiałe zjawisko zgłębiać do samej istoty i na wiarę niczego nie przyjmuje. Jest wykształcony, pomysłowy, a i bardzo bezczelny, co w danym wypadku może okazać się pożyteczne. A po drugie – Mitrofaniusz podniósł palec – uważam, że i dla samego wysłannika ta misja będzie pożyteczna. Niech zobaczy, że są ludzie, i to wielu, dla których duch jest droższy od ciała. Niech odetchnie czystym powietrzem świętego klasztoru. Tam, w Araracie, jak słyszałem, powietrze jest szczególne: pierś cała dźwięczy z zachwyty, człowiek jakby wydycha z siebie to, co brudne, a wdycha

rajską ambrozię.

Archijerej opuścił wzrok i dodał ciszej, jakby niechętnie:

– Chłopaczek z niego żywy, dociekliwy, ale nie ma kośćca, który człowiekowi tylko Wiara daje. Ktoś w rozum uboższy i uczuciami mniej wyrazisty od biedy może i tak da sobie radę, jakoś tam przeżyje, ale Aloszę bez Boga czeka po prostu zguba.

Berdyczowski z Pelagią wymienili ukradkowe spojrzenia i wedle z nagłą zawartego milczącego układu władcy nie zaprzeczyli – byłoby to niegrzeczne, a do tego okrutne.

Wkrótce pojawił się również Alosza, nie podejrzewając, jak dalekie widoki ma na niego władyka.

Przywitawszy się z obecnymi, potrząsnął kasztanowymi kędziorami, spadającymi mu prawie do ramion, i wesoło się zainteresował:

– Cóż to, widzę, że Torquemada zebrał całą swoją inkwizycję. Jakąż to torturę wymyślono dla heretyka?

Mówiliśmy przecież, że młodzieniec miał umysł niesłychanie bystry – od razu się zorientował, że zebranie zwołano nie bez przyczyny, a i szczególny wyraz twarzy obecnych od razu zauważył. Co zaś do „Torquemady”, to miał Aleksy Stiepanowicz taki żarcik – nazywał ojca Mitrofaniusza mianem jakiejś historycznej postaci: to kardynałem Richelieu, to protopopem Awwakumem, to jeszcze jakoś, zależnie od toku rozmowy i nastroju biskupa, w którym rzeczywiście można się było dopatrzeć i państwowego umysłu francuskiego diuka, i zapamiętałej żarliwości raskolnickiego męczennika, a bodajże i srogości kastylijskiego pogromcy zła.

Mitrofaniusz nie odpowiedział uśmiechem na żart, rozmyślnie sucho przedstawił niepokojące zjawiska w Nowym Araracie i bez zbędnych słów objął młodemu człowiekowi sens polecenia, na zakończenie zaś oznajmił:

– Wedle pragmatyki służbowej audytor konsystorski zawiaduje nie tylko księgowością, ale i innymi diecezjalnymi sprawami, wymagającymi szczególnej kontroli. Jedź więc i skontroluj. Liczę na ciebie.

Historii o błakającym się nad wodami Czarnym Mnichu Aleksy Stiepanowicz z początku słuchał z nieufnym zdziwieniem, jakby się obawiał, że biorą go na fundusz, i nawet dwa razy wtrącił jakieś złośliwe uwagi, ale potem zrozumiał, że rozmowa jest poważna, i pokpiwać przestał, chociaż od czasu do czasu nie bez ostentacji unosił brew.

Wysłuchawszy wszystkiego do końca, pomilczał chwilę, pokiwał głową i, jak się zdaje, doskonale zrozumiał „dwoistość” powodów stojących za nieoczekiwaną decyzją protektora.

Uśmiechnął się pulchnymi wargami, od czego na rumianych policzkach utworzyły się urocze dołeczki, i z zachwytem rozłożył ręce.

– No i chytrus z naszego biskupa Autun: od jednego zamachu dwóch zbrojców do piachu. Chce wasza przewielebność znać moje zdanie na temat tych tajemnic? Ja sobie myślę, że...

– „Ja” to u nas, w Rosji, ostatnia litera alfabetu – przerwał chłopakowi przewielebny, któremu porównanie z Talleyrandem spodobało się jeszcze mniej niż mianowanie go wielkim inkwizytorem.

– Za to az po cerkiewnemu też znaczy, „ja” i w alfabecie stoi na pierwszym miejscu – chwacko odgryzł się Lentoczkin.

Mitrofaniusz zachmurzył się, dając wesołkowi poznać, że posuwa się już za daleko.

Przeżegnał młodzieńca i powiedział cicho:

– Jedź. I niech cię Bóg ma w swej opiece.

Część pierwsza

Wyprawy na Kanaan

Wyprawa pierwsza

Przygody prześmiewcy

Aleksy Stiepanowicz nie zbierał się długo do drogi i już na drugi dzień po rozmowie z przewielebnym wyruszył na swoją tajną wyprawę, bardzo surowo napomniany, by relacje z niej przysyłał nie rzadziej niż raz na trzy dni.

Droga do Nowego Araratu, z oczekiwaniem na parowiec w Modrooziersku i z następującą potem żegluga włącznie, trwała cztery dni, a pierwszy list przyszedł równo po tygodniu, co dowodziło, że przy całym swoim nihilizmie Alosza to wysłannik, na którym można polegać, ściśle wykonujący polecenia.

Władyka był bardzo rad z takiej punktualności i z samego raportu, a najbardziej z tego, że nie pomylił się co do chłopaczka. Wezwał do siebie Berdyczowskiego i siostrę Pelagię i przeczytał im całą epistołę na głos, chociaż od czasu do czasu krzywił się na niemożliwie rozbuchany styl.



Pierwszy list Aleksego Stiepanowicza

Do najdostojniejszego arcybiskupa Turpina od jego wiernego paladyna, wysłanego na bój z czarnoksiężnikami i Saracenami

O pasterzu nad podziw mądry i surowy,
O postrachu zastarzałych zabobonów,
Gwiazdo wiary, miłości i dobra,

Obrońco sierot, pysznych prześladowco!
Do stóp Twych składam dzisiaj najpokorniej
Opowieść mą niewymyślną i prostą.
Ahoj!

Gdy na wózeczku, trzęsąc się, skrzypiącym
Królestwo Zawołzkie przemierzałem
I na tej smutnej drodze naliczyłem
Wybojów i wądołów rozmaitych
Całe piętnaście tysięcy sto jeden,
Nierazem ja o waszej ekscelencji
Myślał niedobrze i niekiedy nawet
Błuźnierczem jakieś słowa wykrzykiwał.
Ahoj!

Lecz kiedy tylko załśniło na słońcu
Święte zwierciadło, Modrym Morzem zwane,
Ja, uderzony wdzięcznym tym pejzażem,
o udręczeniach swoich zapomniałem
i odmówiwszy modlitwę, na korab
Dymem buchający, śnieżnobiały,
Pamięci Wasiliska poświęcony,
Przesiadłem się.
Ahoj!

I przez noc długą, księżycową, zimną,
Marzłem pod podszytą wiatrem derką,
Kiedy zaś powieki przymknąć próbowałem,
Natychmiast w sen mój lęki się wdzierały
Potworne przekleństwa kapitana,

Żeglarzy pobożnych tęskne pieśni
I dzwonu cogodzinne bicie.

Ogólnie zaś mówiąc, to – jeśli mam przejść z nużącego poezji układania na radość przynoszącą prozę – na przystań w Nowym Araracie zstąpiłem niewyspany i wściekły jak diabli. Och, proszę, Ojczy, wybaczyć – samo mi się tak napisało, gdybym zaś zaczął wymazywać, wyszłoby niechlujnie, czego Wasza Przewielebność nie lubi, zatem do diabła z nimi, niby tymi diabłami, passons^[1].

Prawdę mówiąc, oprócz okrętowych hałasów nie dawała mi też zasnąć książka, którą na pożegnanie wsunął mi Ojciec do koszyka z niezrównanymi archijerejskimi drożdżówkami, dodając niewinnie: „Ty, Alosza, na tytuł nie zwracaj uwagi i nie lękaj się, to nie żadna pobożna lektura, tylko takie sobie powieścidło, żeby ci się w drodze nie dłużyło”. O, najprzebieglejszy z kapłanów Babilonu!

Tytuł – Biesy – i pokaźna grubość „powieścidła” rzeczywiście mnie nastraszyły i czytać je zacząłem dopiero na statku, przy akompaniamencie plusku fal i krzyku mew. Przez noc przeczytałem do połowy i zdaje się, że zrozumiałem, czemu podsunałeś mi, Ojczy, ten niezdarne pisany, lecz natchniony traktat, udający beletrystykę. Rozumie się, nie z powodu niedorzecznego łajdaczyny Piotrusia Wierchowieńskiego i jego karykaturalnych towarzyszy karbonariuszy, tylko z powodu Stawrogina, w którego przykładzie widzi zapewne Wasza Przewielebność śmiertelne dla mnie niebezpieczeństwo: że będę zgrywał ubermenscha, a w końcu wyjdę na jarmarcznego błazna, czyli wedle Twojej, Ojczy, terminologii – „zagubię duszę swoją nieśmiertelną”.

Pudło, eminence^[2] Między nami a bajronicznym imć Stawroginem zachodzi zasadnicza różnica. On rozrabia dlatego, że w boga wierzy (już widzę, jak w tym miejscu Wasza Przewielebność czoło zasępił – no dobrze, niech będzie „w Boga”) i obraża się: jakże to Ty na mnie,

zbytnika, swego ojcowskiego wzroku nie obracasz, ani mnie nie zrugasz, ani nóżką nie tupniesz? A ja jeszcze, ot co jeszcze nawyrabiam, a jeszcze ot co napaskudzę. Auu! Gdzieś Ty? Obudź się! Bo jak nie, to tylko patrzeć – wyobrażę sobie, że Ciebie wcale nie ma. Stawrogin nudzi się wśród zwykłych ludzi, jemu dawaj Najwyższego Rozmówcę. Ja zaś, w przeciwieństwie do gwałciciela małych dziewczynek i uwodziciela idiotek, ani w Boga, ani w boga nie wierzę i twardo przy tym stoję. Towarzystwo ludzi wystarcza mi w zupełności.

Poprzednia aluzja literacka była trafniejsza, kiedy to na dzień mego patrona podarowałaś mi, Ojczy, utwór hrabiego Tołstoja Wojna i pokój. Do Bałkańskiego bardziej jestem podobny – oczywiście nie w sensie wielkopańskości, tylko ze względu na zainteresowanie bonapartyzmem. Mnie właśnie dwudziesty czwarty rok mija, a Tulonu jakoś nie widać, nawet w dalekiej perspektywie twierdza ta się nie rysuje. Tyle że w książątce taka niepohamowana ambicja rozwinęła się z sytości i zblazowania, przecież wszystkie, jakie tylko można sobie wyobrazić, dary Fortuny – wysoka pozycja, bogactwo, uroda – dostały mu się najzwyczajniej w świecie, prawem urodzenia, tak że czego innego mógł jeszcze pragnąć, jeśli nie tego, by zostać bożyszczem całego ludu. Ja zaś, przeciwnie, wywodzę się ze stanu wół głodnego i zawistnego, co – nawiasem mówiąc – łączy mnie z Napoleonem o wiele bardziej niż Tołstojowskiego arystokratę i zwiększa moje szanse na koronę cesarską. Żarty żartami, ale sytemu trudniej wtłoczyć się między Bonapartów niż głodnemu, jako że pełny żołądek skłania nie do obrotności, lecz do filozofowania i spokojnej drzemki.

Zresztą – rozgadałem się. Nie rozważań o literaturze oczekuje Ojciec ode mnie, tylko raportu szpiegowskiego ze swojej ogarniętej zamętami włości.

Spieszę uspokoić Waszą Przenajświętszość. Jak zwykle bywa, kłopotliwa miejscowość z dala wygląda o wiele straszniej niż z bliska.

Siedząc w Zawołzsku, można sobie wyobrazić, że w Nowym Araracie o niczym się nie mówi, tylko o Czarnym Mniechu, zwykły zaś bieg życia jest kompletnie nim zamagnetyzowany.

Nic podobnego. Życie tutaj pulsuje i bulgocze żywiej niż w naszej gubernialnej stolicy, o naszym zaś świętym Wiłkołaku, to jest, entschuldigen^[3], Wasilisku, żadnych plotek na razie nie słyszałem.

Nowy Ararat mnie z początku rozczarował, ponieważ z rana w dniu mego przybycia nad jeziorem zawisły chmury, z których wylał się na wyspy wstrętny, zimny deszcz, i z pokładu parowca ujrzałem krajobraz koloru „mokra mysz”: szare, oślizgłe dzwonnice, bardzo przypominające gruszki do lewatywy, oraz posępne dachy miasteczka.

Mając w pamięci, że wszystkie moje wydatki będą opłacane ze skarbca Waszej Przewielebności, kazałem tragarzowi zaprowadzić się do najlepszego miejscowego hotelu, noszącego dumną nazwę „Arka Noego”. Spodziewałem się jakiejś postnej jak oliwa do lampy, drewnianej szopy, gdzie, jak to w arce Noego, ze wszelkiego bydła i ze wszystkich gadów będzie po parze, ale zostałem przyjemnie zaskoczony. Hotel jest urządzony całkiem po europejsku: pokój z łazienką, lustrami i sztukaterią na suficie.

Większość gości to petersburskie i moskiewskie damulki w wieku platonicznym, ale wieczorem w kawiarni na parterze zobaczyłem przy stoliku taką Księżniczkę Marzenie, jaka w Zawołzsku się nie trafia. Nie wiem, czy zdarzyło się już coś takiego w światowych dziejach stosunków między płciami, ale ja zakochałem się w pięknej nieznajomej od razu na widok jej pleców, zanim jeszcze zdążyła się odwrócić. Proszę sobie wyobrazić, Pasterzu Nabożny, szczupłą sylwetkę w najwytworniejszej sukni z czarnego jedwabiu, szerokoskrzydły kapelusz ze strusimi piórami i rozkoszną, giętką, oślepiającą w swej doskonałości szyję, podobną do zwężającej się ku górze alabastrowej kolumny.

Poczuwszy mój wzrok, Księżniczka odwróciła się profilem, który zobaczyłem niezupełnie wyraźnie, ponieważ twarz jej wysokości osłonięta była popielatą woalką, ale wystarczyło i tego, co ujrzałem: delikatny, z ledwo dostrzegalnym garbkiem nos, wilgotnie błyszczące oko... Zna Ekscelencja tę kobiecą osobliwość (ach, zresztą, niby skąd, z tym całym celibatem!) – umiejętność obejmowania kątem oka, niemal bez odwracania się, bardzo szerokiego sektora najbliższej okolicy. Mężczyzna musiałby wykręcić i szyję, i ramiona, a taka zachwycająca osóbka lekko zerknie w bok i w mig wypatrzy wszystko, czego potrzeba.

Jestem pewien, że Księżniczka obejrzała moją skromną (no dobrze – niech będzie, że nieskromną) osobę bardzo szczegółowo. I odwróciła się – proszę zauważyć – nie od razu, tylko najpierw ledwo zauważalnym ruchem dotknęła krtani i dopiero potem znów pokazała mi swą królewską potylicę. O, jak wiele oznacza ten gest, ten nieprzypadkowy wzlot paluszków ku źródłu oddechu!

Ach, tak, zapomniałem wspomnieć, że piękność siedziała w kawiarni sama – chyba każdy się zgodzi, że to niezupełnie przyjęte, i też mnie zaintrygowało. Może na kogoś czekała, a może po prostu patrzyła przez okno na plac. Natchniony paluszkami, moimi tajnymi sprzymierzeńcami, nakierowałem wszystkie swe zdolności matematyczne na rozwiązanie takiego oto zadania: jak by tu najszybciej zawrzeć znajomość z tą nowoararacką Kirke – ale całki tej wyliczyć nie zdążyłem. Dama nagle porywczym ruchem wstała, uroniła na stół drobną srebrną monetę i szybko wyszła, rzuciwszy na mnie spod woalki jeszcze jedno czarne jak węgiel spojrzenie. Kelner powiedział, że ta dama bywa w kawiarni często. Czyli będę miał jeszcze szansę, pomyślałem, i z braku lepszego zajęcia zacząłem wyobrażać sobie najrozmaitsze kuszące obrazki, których Ekscelencja, jako osoba duchowna, znać nie musi.

Lepiej podzielę się zatem wrażeniami z wyspy.

Cóż, w dziwnieś mnie, Rebe, wydelegował miejsce. Główny plac, przy którym stoi hotel, wygląda, jakby go ktoś wyciął nożycami z jakiegoś Baden-Baden: domy murowane, pomalowane na jasne kolory, jedno – lub nawet dwupiętrowe, ludzie czysto ubrani, wieczorem prawie tak widno jak w dzień. Wszędzie najzupelniej świeckie, powiedziałbym nawet: światowe zakłady, o nieprawdopodobnych nazwach: mięsna restauracja „Uczta Baltazara”, salon fryzjerski „Dalila”, kram pamiątkarski „Dary Wieszczków”, kantor bankowy „Wdowi Grosz” i tym podobne. Wystarczy jednak oddalić się od placu i po kilku minutach trafia się jakby nad brzegi Newy wkrótce po założeniu naszej suchotniczej stolicy, gdzieś tak w roku 1704: biegają robotnicy z taczkami, wbijają w błotnistą ziemię słupy, piją bierwiona, kopią doły. Wszyscy brodaci, w czarnych habitach, ale z zakasаныmi rękawami i w ceratowych fartuchach, po prostu żywe wcielenie rewolucyjnego marzenia – zmusić pasożytniczy stan duchowny do społecznie użytecznej pracy.

Po kilka razy dziennie, w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, spotyka się władcę tego mrówczego hufca, arcymrówkę Witalisa Drugiego (sic!), który rzeczywiście przypomina Piotra Wielkiego: długi, groźny, energiczny, chodzi tak zamasyście, że świta ledwie za nim nadąża, a habit wydyma mu się jak balon. Nie pop, tylko pocisk wystrzelony z armaty. Gdyby tak Ciebie, Zakonniku Przewielebny, postawić na wprost niego, w zasięgu bezpośredniego ostrzału, i popatrzeć, kto kogo pokona! Ja bym zapewne, tak czy inaczej, na Waszą Ekscelencję postawił: archimandryta jest może i bardziej szybkostrzelny, ale Ty, Ojcze, kaliber masz większy.

Zdaje się, że tu, na wyspach, nauczyli się niebywalej na Rusi sztuki wydobywania pieniędzy ze wszystkiego, a nawet z niczego. U nas przecież bywa zwykle na odwrót: im więcej złotej rudy czy diamentów

wala się pod nogami, tym bardziej rujnujące są straty, a tu Witalis wymyślił sobie, że nieurodzajną kamienistą ziemię na Przylądku Sprawiedliwych doprowadzi do użytku, i od razu okazało się, że kamienie są tam nie zwykłe, tylko święte, bo skropione krwią świętych męczenników, których trzysta lat temu wykończyli rajtarzy szwedzkiego hrabiego de la Gardie. Faktem jest, że kamienie te mają kolor czerwonobury, ale, jak sądzę, nie od krwi, tylko od wrostków manganu. Zresztą to nieważne, ważne natomiast jest to, że pielgrzymi teraz sami odkuwają kawałki gładów i zabierają ze sobą. Stoi tam specjalnie w tym celu mnich z kilofem i wagą. Chcesz skorzystać z kilofa – płacisz piętnaście kopiejek. Chcesz zabrać ze sobą święty kamień – zważ i zabieraj, po dziewięćdziesiąt dziewięć kopiejek funt. W ten sposób Witalis powolutku oczyszcza do niczego niezdatną działkę, a skarbiec klasztorny ma dochód. Nieźle pomyślane, co?

Albo woda. Cała kompania mnichów rozlewa tutejszą studzienną wodę w butelki, kapsluje, nakleja etykiety „Nowoararacki święty płyn pobłogosławiony przez najczcigodniejszego ojca Witalisa”, potem tę H₂O hurtem przesyła na ląd, do Pitra, a zwłaszcza do nabożnej Moskwy. A w Araracie dla wygody pielgrzymów urządzono cud nad cudy, dziw nad dziwy, nazywa się to „automaty z wodą święconą”. Stoi sobie drewniany pawilon, a w nim przemysłne maszyny, wynalazek tutejszych Kulibinów. Wpuszcza człowieka w szparę piąta, moneta pada na klapkę, uchyla się membranka i do kubka spływa święty płyn. Jest i coś droższego: za dziesiątaka dolewa się jeszcze syropu malinowego, szczególnie jakoś „potrójnie pobłogosławionego”. Mówią, że latem kolejka tam stoi, ale mnie się nie powiodło – od połowy jesieni pawilonik zamykają, żeby przemysłnego sprzętu nie uszkodziły nocne przymrozki. Nic to, wcześniej czy później Witalis wpadnie na pomysł, żeby w środku postawić maszynę parową dla ogrzania pomieszczenia, i wtedy automaty będą mu także zimą plon przynosić.

A to jeszcze nic! Kilka dziesięcin najlepszej podmiejskiej ziemi archimandryta odstąpił pod prywatną lecznicę psychiatryczną, za co dostaje ni to pięćdziesiąt, ni to siedemdziesiąt tysięcy rocznie. Władą tą posepną instytucją niejaki Donat Korowin, z tych samych Korowinów, właścicieli połowy uralskich kopalni i fabryk. Wynika więc z tego, że kuzyni doktora wysysają krew i pot z braci w Chrystusie, a Donat Sawwicz przeciwnie – leczy poranione dusze. Mówią, co prawda, że przyjmuje do swojego cudownego szpitala tylko nielicznych wybrańców, których wariactwo wydaje się eskulapowi milionerowi interesujące z naukowego punktu widzenia.

Widziałem tę jego lecznicę. Ani ścian, ani zamków, nic tylko łączki, zagajniczki, domki dla lalek, pagódki, altanki, stawy ze strumyczkami, oranżerie – po prostu rajskie miejsce. Chciałbym się tak poleczyć z tydzień, dwa. Metoda Korowina jest najbardziej, jak tylko może być, postępową i dla psychiatrii nawet rewolucyjną. Do niego ze Szwajcarii i – aż strach powiedzieć – z samego Wiednia przyjeżdżają się uczyć. No, może nie uczyć się, tylko popatrzeć sobie, ale, tak czy inaczej, jest się czym pochwalić.

Rewolucyjność polega zaś na tym, że Korowin trzyma swoich pacjentów nie w zamknięciu, jak to od dawna jest przyjęte w cywilizowanych krajach, tylko na zupełnej swobodzie – łaż sobie, gdzie tylko chcesz. To przydaje nowoararackiemu tłumowi ulicznemu szczególnej pikanterii: dojdź tu, kto ze spotkanych przechodniów to człowiek normalny, który przyjechał na wyspy pomodlić się, oczyścić dusze i świętej woduchny popić, a który stuknięty i klient Korowina.

Niekiedy, co prawda, nie trzeba nawet łątać sobie głowy. Na przykład – nie zdążyłem zejść z parowca, kiedy podszedł do mnie wielce malowniczy okaz. Proszę sobie wyobrazić kosmyk bródki przy do czysta zgolonych wąsach, pod pachą zwinięty parasol (a przypominam, że padał ohydny, lodowaty deszczyk), berecik typu

„Doktor Faust”, na długachnym nosie – ogromne okulary z grubasnymi fioletowymi szklami.

Ów Faust, czy też raczej kapitan Fracasse, wlepił we mnie oczy w najbardziej bezceremonialny sposób, pokręcił jakimiś metalowymi dźwigienkami na oprawce swoich okularów i wymamrotał nadzwyczaj niespokojnym tonem: „Aj, aj. Klatka piersiowa – zimna, szarozielona gama, czoło – gorąca, pąsowa. Bardzo, bardzo niebezpiecznie. Strzeż się własnego rozumu”. Potem odwrócił się do mojego sąsiada z kajuty, pulchnego jegomościa z moskiewskiej palestry, i też powiedział mu coś paskudnego: „A u pana występuje bura emanacja z lewej półkuli mózgowej. Proszę nie pić alkoholu, tłustego nie jeść, bo inaczej z panem Kondratem przyjdzie się zapoznać”. Adwokat jest na Araracie nie po raz pierwszy, przyjeżdża podjeść sobie świeżo uwędzonej siei i monasterskich żurawin, popić świętej żołądkowej woduchny i pooddychać powietrzem. Hotel „Arka Noego” to jego rekomendacja. Do dziwnego proroctwa fioletowego Fracassea mój cicerone odniósł się całkiem obojętnie, opowiedział mi o lecznicy psychiatrycznej i dodał: „Monsieur Lentoczkina, proszę się nie obawiać, niebezpiecznych dla otoczenia Donat Sawwicz u siebie nie trzyma”.

Tegoż dnia, jedząc obiad w grill-jadłodajni „Całopalenie”, wdałem się w rozmowę z pewnym interesującym osobnikiem, także mającym coś wspólnego z kliniką Korowina. Znasz, Ojczy, moją teorię, że pokrępać organizm kaloriami, kiedy jednocześnie oczy i mózg niczym nie są zajęte, to próżna strata czasu, dlatego jadłem pieczonego sandacza, nie odrywając oczu od otrzymanej od Ojca powieści. Nagle podchodzi do mojego stolika jakiś człowiek o jak najbardziej przyzwoitej powierzchowności i mówi: „Proszę mi wybaczyć, łaskawie panie, że odrywam pana od podwójnej przyjemności pochłaniania strawy cielesnej i duchowej, ale zauważyłem na okładce nazwisko pisarza. Czyta pan przecież utwór pana Dostojewskiego?” Obcesowość,

z jaką zwrócił się do mnie nieznajomy, okupiona była takim przyjemnym, rozbrajającym uśmiechem, że złościć się na niego po prostu nie było możliwości. „Tak – odpowiadam – to powieść Biesy. Nie czytał pan?” Na to on po prostu cały zadygotał, przepociennie zadrgał mu policzek. „Nie – powiada – nie czytałem, ale wiele o niej słyszałem. Tu, na wyspie, jest biblioteka i księgarnia, ale archimandryta na sprzedawanie świeckich książek błogostawieństwa nie daje. On, oczywiście, ma ze swego punktu widzenia zupełną rację, ale tak bardzo brakuje dobrych powieści i nowych sztuk”.

Od słowa do słowa – rozmówiliśmy się. On przysiadł się do mojego stolika i wkrótce już opowiedział mi historię swego życia, dość niezwykłą. Nazywa się Lew Nikołajewicz i ze wszystkiego widać, że to wspaniały człowiek, muchy nie skrzywdzi i o nikim złego słowa nie powie. Ja sam, jak wiadomo, taki nie jestem i niewiniątek nie lubię, ale ów Lew Nikołajewicz czymś mnie ujął.

Od razu przyznał uczciwie, że przedtem mieszkał w Korowińskim szpitalu, dokąd przywieziono go z Sankt Petersburga w niezwykle ciężkim stanie niemal całkowitej niepoczytalności po jakichś straszliwych wstrząsach, które jednak zupełnie zatarły się w jego pamięci. Doktor mówi, że to lepiej, że nie ma po co grzebać w przeszłości, trzeba budować życie od nowa. Obecnie Lew Nikołajewicz jest zupełnie zdrowy, ale wyjeżdżać z Kanaanu nie chce. I do Korowina się przywiązał, i świata się boi. Tak właśnie powiedział: „Świata się boję – żeby mnie znów nie złamał. A tu jest cicho, spokojnie, Boże piękno i wszyscy ludzie tu bardzo dobrzy. Żeby żyć na «wielkiej ziemi», trzeba mieć siłę, taką siłę, z którą można cały ciężar świata wziąć na siebie i nie ugiąć się. Wielki jest ten, kto może powtórzyć za Jezusem: «Jarzmo moim błogostawieństwem, a brzemię moje lekkie jest». Ale przecież powiedziano i tak: «Nie należy na słabego nakładać brzemion nad siły». Ja jestem słaby, mnie lepiej żyć

na wyspie”. To w ogóle oryginalny typ, ten były petersburżanin. Dobrze by było, Ojczy, gdybyś z nim porozmawiał, spodobałoby się sobie. A opowiadam o Lwie Nikołajewiczu dlatego, że Biesy są teraz u niego. Nie będę więc wiedział, jak się skończył spisek Wierchowieńskiego. Żal, oczywiście, ale już strasznie pożądlawie mój nowy znajomy patrzył na książkę – widać było, że chce poprosić, ale nie śmie. No to mu ją dałem. Tak czy inaczej – na czytanie powieści czasu nie mam, jestem tu przecież przysłany w charakterze egzorcysty przez Świętą Inkwizycję.

Ty zaś, szejku ul-Islamie, nie myśl sobie, że ja tu tylko po restauracjach i kawiarniach przesiaduję i na Księżniczkę Marzeń się gapię (o Cudowna, gdzieś ty?). Ja już cały Kanaan złaziłem, a Wyspę Rubieżną ze wszystkich stron przez lornetę obejrzałem, omal z łódki w wodę nie chlupnąłem. Widziałem wszystkich trzech pustelników, jak z nory swojej wyłazą i zażywają przechadzki. Skurczeni we dwoje, ledwie kuśtykają, nie ludzie, tylko krety jakies. Mogę się pochwalić: przełożony tych świętych starców (nosi kaptur oblamowany białym szlaczkiem) zaszczycił mnie swą przenajświętszą uwagą – kosturem mi pogroził, żebym za blisko nie podpływał.

Jak się dowiedziałem, głównego kreta zważ ojcem Izraelem i biografia jego jest nadzwyczaj intrygująca. Przed postrzyżynami zakonnymi był bogatym, gnuśnym paniskiem, z tych, co to z beczynności i zblazowania wymyślają sobie jakies hobby, oddają się swej zachciance z całą namiętnością i tracą na nią życie i majątek. Ten wybrał sobie pasję niezbyt rzadką, ale ze wszystkich możliwych najbardziej wciągającą – kolekcjonowanie kobiet, i był w tej dziedzinie taki zwawny, że pewien emerytowany prorektor, dawny mój znajomy, okazałby się przy nim prawdziwym serafinem. Ciekawość tego nowego wcielenia Don Juana była tak nienasycona, że podobno sporządził nawet geograficzny atlas żeńskiej anatomii porównawczej i odbywał

specjalne lubieżnicze wojaże do różnych krajów, w tym do tak egzotycznych, jak Annam, Królestwo Hawajskie czy Czarna Afryka. A ile uwiódł najprzyzwoitszych matron i napsuł najbardziej niedostępnych panien w granicach naszej prawosławnej ojczyzny, to nawet obliczyć nie sposób, ponieważ posiadał on pewien szczególny talent do oczarowywania kobiecych serc. W tej dziedzinie przecież i reputacja wiele znaczy. Na niejednego nieboraka żadna dama nawet by nie spojrziała, ale wystarczy rozpuścić pogłoskę, że to niebezpieczny uwodziciel, i od razu wszystkie znajdą w nim coś pociągającego, a nawet nieodpartego: oczy albo ręce, a jeśli już zupełnie nic osobliwego w nim nie ma, to wymyślą jakąś magnetyczną aurę.

Ech, ja tak z zawiści zrzędzę. Nieźle by było sobie pożyć jak starzec Izrael: poszaleć przez wszystkie soczyste lata, a jak się przeje i zdróweczko troszkę się nadweręży – rzucić się na ratunek duszy nieśmiertelnej, i to z takim samym zapałem, jak się przedtem grzeszyło. Tylko że u schiigumena uzbierał się wyjątkowo duży dług wobec Niebiańskiego Wierzyciela: już dwa lata siedzi Izrael w tej rajskiej poczekalni, sześciu współmieszkańców pochował, a wciąż wypłacić się nie może. Mówią, że przez osiemset lat nikt tak długo na Wyspie Rubieżnej się nie zasiedziało – taki to wielki grzesznik.

Na tym kończę zaleconą wypowiedź i wzywam na Twe światłość niosące oblicze, o władco mój, błogostawieństwa Allaha.

*Niewolnik Lampy,
Aleksy Lentoczkin*

PS. No, a teraz, kiedy już ostatecznie uznałeś, Wasza Wielmożność, że w tym liście będę wyłącznie bawić go paplaniną o tutejszych ciekawostkach, przejdę do właściwej sprawy.

Proszę przyjąć do wiadomości, najmędrszy z mądrych, że rozwiązanie rebusu o twym Czarnym Mnichu mam niemalże

w kieszeni. Tak, tak. I zdaje się, że to rozwiązanie okaże się przekomiczne. To znaczy rozumiem już, na czym polega sama sztuczka, niejasne jest tylko, kto zabawia się odgrywaniem Wasiliska i w jakim celu, ale odpowiedź na te pytania zdobędę dziś jeszcze, ponieważ wszystko wskazuje na to, że noc będzie księżycowa.

Rozkład tych moich trzech dni był następujący: rankami długo spałem, potem ruszałem na lądowe i żeglarskie wyprawy, a po nastaniu ciemności zapadałem w zasadzce na Mierzei Postnej, która ciągnie się w kierunku Wyspy Rubieżnej. Żadnych nadnaturalnych zjawisk się nie dopatrzyłem, prawdopodobnie dlatego, że noce były całkiem bezksiężycowe, czarne, a święty, jak wiadomo, woli iluminacje niebieską. Nie mając nic lepszego do roboty, przeskakiwałem sobie z kamienia na kamień, pływałem tam i z powrotem na chybotce (to taka łódeczka miejscowej konstrukcji, którą arendowałem u pewnego tubylca), chciałem bowiem zrozumieć, czy nie można tak się usadowić na jakimś głazie, żeby wyglądało, że stoi się na wodzie. Usadowić się można nawet bez wielkiego trudu, ale przemieszczać się, nawet o dwa, trzy kroki, w żaden sposób się nie da – w tym się absolutnie upewniłem i zacząłem skłaniać ku myśli, że wystraszeni mnisi wyfantazjowali sobie to chodzenie po wodzie. Trzeciej jednak nocy, czyli wczoraj, wyszła na jaw pewna niezwykle pikantna okoliczność, która wszystko wyjaśniła. Ale milczeć, milczeć. Więcej ani słowa.

Lepszy będzie efekt, kiedy opiszę całą podszewkę sprawy w zupełności, a stanie się to nie później niż jutro. Za dwie godziny, kiedy się ściemni i wzejdzie księżyc, udam się na pojedynek z widmem. A ponieważ bitwa z tamtym światem brzemienista jest w zagładę albo, w najlepszym razie, pomieszanie umysłu, zapobiegawczo wysyłam niniejsze pismo wieczornym pakkeboot. Wypatruj zatem, czcigodny arcybiskupie Reims, jutrzejszej poczty,

dręcz się z ciekawości i niecierpliwości.

Miecz przypasawszy damasceński
I w niezawodną obleczon kolczugę,
Na bój z olbrzymem wciąż zwycięskim
Zuchwały zbiera się wojownik.
A jeśli mu sądzone w bitwie
Swą zawadiacką złożyć głowę,
W modlitwie wspomnij go, władcyko,
A ty, Księżniczko jego Marzeń,
W kawiarni cichej napotkana,
Ciało herosa łzami zroś.
Ahoj!



Taki to był list. Z początku Berdyczowski i Pelagia słuchali tego wszystkiego z uśmiechem, bawiło ich porównanie przewielebnego do arcybiskupa Reims Turpina, niezmordowanego prześladowcy Maurów i towarzysza broni Rolanda z Roncevaux. Pod koniec tej obszernej epistoły na obliczach mniszki i podprokuratora odmalowała się jednak niepewność, a Berdyczowski nazwał nawet popisującego się Aleksego Stiepanowicza draniem. Postanowili nie ulegać prowokacji Aloszki i w żadne przypuszczenia co do zawartych w postscriptum zagadkowych aluzji się nie wdawać, poczekać natomiast na jutrzejszą korespondencję z Nowego Araratu i wtedy już wszystko szczegółowo omówić.

Ale w poczcie, która nadeszła nazajutrz, listu od Lentoczki nie było. Nie przyszedł on też ani na drugi, ani na trzeci, ani na czwarty dzień. Przewielebny nadzwyczaj się zaniepokoił i zaczął przemyśliwać, czy nie napisać do ojca Witalisa o zaginionym

emisariuszu, a jeśli tego nie zrobił, to tylko dlatego, że sytuacja była niezręczna: wypadłoby przyznać, że Aloszę wysłano do Araratu w tajemnicy przed archimandrytą.

Na siódmy dzień, kiedy zgnębiony, znużony bezsennością Mitrofaniusz już się szykował, by wyruszyć nad Modre Jezioro osobiście (z lęku o Aloszę władcyka przestał się przejmować komplikacjami dyplomatycznymi), list wreszcie nadszedł, ale był zupełnie inny od pierwszego. Biskup znów przywołał do siebie swoich doradców i przeczytał im otrzymane orędzie, ale minę miał już nie zadowoloną, jak poprzednim razem, tylko zakłopotaną. Tym razem nie było żadnych wstępów ani tytułów, Alosza od razu przeszedł do rzeczy.



Drugi list Aleksego Stiepanowicza

Wiem, że spóźniłem się z dalszym ciągiem nad wszelką miarę, ale są po temu całkiem poważne powody. Otóż to: całkiem po-waż-ne. Czarny Mnich to nie sztuczki jakiegoś zręcznego oszusta, jak przypuszczałem z początku, tu idzie o coś innego. O co właściwie – na razie sam nie rozumiem.

Lepiej opowiem o wszystkim zgodnie z kolejnością wydarzeń. Po pierwsze – żeby się nie zaplątać, a po drugie – mam ochotę samemu sobie przepowiedzieć, co tu się właściwie działo, co było najpierw, a co potem. Bo bez tego w głowie mi się kołuje.

Wysławszy do Waszej Przewielebności poprzedni list i spożywszy solidną kolację (czyżby minął zaledwie tydzień? wydaje się, że miesiące, a nawet lata), poszedłem na Mierzeję Postną niczym na wesoły piknik, zawczasu smakując kawał, jaki wytnę przypuszczalnemu mistyfikatorowi, który postanowił postraszyć spokojnych mnichów.

Rozlokowałem się między dwoma wielkimi głazami, w wybranym z góry miejscu, z wszelkimi wygodami. Podścieliłem sobie zabraną z hotelu kołdrę, w moim termosie chlupotała herbata z rumem, w zawiniątku miałem przygotowane słodkie pierożki ze znakomitej tutejszej cukierni „Kuszenie Świętego Antoniego”. Siedzę sobie, przekąszam i podśmiewam się w oczekiwaniu na wzejście księżyca. Na jeziorze ciemno choć oko wykol, ni licha leśnego (ściślej – wodnego) nie uświadczysz, i tylko mętnie prześwituje plama Rubieżnej.

Ale oto na gładzi zarysowała się żółta ścieżka i barwa nocy, dotąd monotennie czarna, zaczęła się mienić, ciemność pobladła i odpęzła na skraj nieba, a pośrodku zajaśniał księżyc. I w tej samej chwili prosto przede mną, częściowo przysłoniwszy blady dysk nocnego świecidła, pojawiła się wąska, czarna sylwetka. Gotów jestem przysiąc na wszystko: dopiero co, sekundę przedtem, jej tam nie było i nagle jest: spiczasta – wyciągnięta w górę, lekko się kołysze. I niezupełnie tam, gdzie się jej spodziewałem (i gdzie z wody wystawał z lekka płaski kamień), tylko trochę z boku (gdzie żadnych kamieni nie ma).

W pierwszej chwili zdumiało mnie tylko to: skąd widmo mogło się wziąć? Chociaż do wzejścia księżyca było ciemno, ale przecież nie aż tak, żebym o tuzin kroków człowieka nie zobaczył!

Miałem taki plan, że kiedy tylko pojawi się „Wasilisk”, ja wyjdę ze swego ukrycia, w długim płaszczu z kapturem, bardzo podobnym do odzienia pustelnika, i zagrobowym głosem zawyję: „Jam jest prześwięty Wasilisk! Tfu, ty samozwańcu!” W taki to sposób, myślałem sobie, nastraszę straszącego i ten chlupnie ze swojego kamienia w wodę.

Ale na widok dziwnej, czarnej postaci, jakby wiszącej nad jeziorem, coś się ze mną stało – i to w zupełnie doczesnym, fizjologicznym sensie. Poczułem niezrozumiale zimno, rozlewające się po całej skórze, a ręce i nogi nie tyle utraciły zdolność ruchu (doskonale pamiętam, że postawiłem termos na ziemi i dotknąłem ręką zupełnie lodowatego

czoła), ile poruszały się powoli i z trudem, jak pod wodą. Nigdy w życiu nic podobnego mi się nie przytrafiło.

Zza pleców milczącej sylwetki zajaśniało światło, o wiele jaśniejsze od księżycowego. Nie, nie potrafię tego dobrze opisać, bo „zajaśniało” nie jest precyzyjnym określeniem, ale jak to określić lepiej – sam nie wiem. Dopiero co nie było nic, tylko blask księżyca, i nagle jakby rozbłysnął cały świat, tak że zmrużyłem oczy i zastoniłem je ręką.

Prawie ogłuchłem od łomotu krwi, pulsującej w uszach, lecz mimo to wyraźnie usłyszałem cztery słowa, chociaż wypowiedziane zostały bardzo cicho: „Nie zbawienie, lecz rozkład” – i czarna postać wskazała ręką na Wyspę Rubieżną. Kiedy zaś ruszyła wprost po wodzie w moją stronę, odrętwienie mi przeszło, a ja w najbardziej haniebnym sposób, z krzykiem i bodajże nawet pochlipywaniem, wziąłem nogi za pas. Oto jakiego dzielnego paladyna wybrałeś sobie, nie dość dalekowzroczny książę Kościoła.

Potem, kiedy dobiegłem do kaplicy, zrobiło mi się wstyd. Jeśli jest to mimo wszystko jakiś wyjątkowo chytry kawał, to nie mogę dopuścić, by zrobiono ze mnie durnia, powiedziałem sobie. A jeśli nie kawał... To znaczy, że Bozia istnieje, kosmos stworzony został w siedem dni, po niebie latają aniołowie, a ciała niebieskie obracają się wokół Ziemi. Ponieważ wszystko to jest zupełnie niemożliwe, to i Wasiliska żadnego nie ma. Doszedłszy do takiego wniosku, ruszyłem bardzo zdecydowanym krokiem w przeciwnym kierunku i wróciłem na mierzęję, ale ani zagadkowego blasku, ani czarnej sylwetki tam nie zobaczyłem. Głośno tupiąc dla dodania sobie odwagi i poświstując piosenkę o popie, co miał psa, przeszedłem się po brzegu tam i z powrotem. Przekonałem się ostatecznie o niezachwianej materialności świata, zabrałem termos i własność hotelu, po czym wróciłem do „Arki”.

Raportu postanowiłem jednak nie pisać, dopóki nie zobaczę

Wasiliska jeszcze raz i nie upewnię się, że albo jest to Kunststuck, albo sfiksowałem i moje miejsce jest w lecznicy doktora Korowina.

Jak na złość dwie następne noce trafiły się pochmurne. Spacerowałem po śmiertelnie już obrzydłych ulicach Araratu, piłem gazowaną święconą oraz jamajską kawę, z nudów czytałem wszelakie bzdury w czytelnicy klasztornej. Ale trzecia noc nareszcie zapowiadała się księżycowa i z zamierającym sercem przygotowałem się, by znów pójść na mierzeję. W okresie przymusowej beczynności tak rozdygotałem sobie nerwy oczekiwaniem i wewnętrznymi rozterkami, że w przeddzień wyprawy odwaga mnie niemal zupełnie opuściła. Ale zlekceważyć takiej okazji nie mogłem, podjąłem więc decyzję, która wydała mi się salomonową.

W poprzednim liście pisałem już o moskiewskim adwokacie, wielbicielu wędzonej siei i świeżego powietrza. Nazywa się on Kubowski, na Kanaan przyjeżdża każdej jesieni już od kilku lat. Mówi, że listopad jest tu szczególnie piękny. Stanęliśmy w tym samym hotelu i kilka razy zjedliśmy razem obiad, przy czym on jadł i wypijał pięć razy więcej ode mnie (a przecież apetyt mam niezły, o czym może zaświadczyć kucharz Waszej Przewielebności, mój dobroczyńca, Kuźma Sawieljewicz). Kubowski to człowiek o umysłowości trzeźwej i nawet cynicznej, niewykazujący żadnego zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi. Jest na przykład skłonny interpretować wszystkie przejawy ludzkiej psychologii wyłącznie z punktu widzenia przyjmowania, przetrawiania i wydalania pożywienia. Widzi mnie, dajmy na to, zadumanego nad tajemnicą Czarnego Mnicha i mówi: „Ee-ech, gołąbeczku, powinien pan zjeść coś ostrzejszego, od razu cała melancholia przejdzie”. Albo pokazuję mu z daleka romantyczną damę, która omal nie odciągnęła mnie od zleconego zadania (ach, Księżniczko Marzeń, czy to ja mam teraz głowę do ciebie?), a Kubowski kiwa głową: „Patrz pan, jaka, biedactwo, bledziutka. Nic,

tylko jada źle, mało pożywnie, stąd ociężałość żołądka i zaparcia. Tu by się jesiotr przydał z syropem żurawinowym, a potem do tego koniecznie kieliszeczek włoskiej grappy albo francuskiego calvadosu. Od razu przewód pokarmowy się rozrusza”. No, w ogóle, rozumiesz, Ojczy, co to za osobnik. Wobec tego umyśliłem sobie ot co: wezmę go ze sobą pod pretekstem nocnej przechadzki, sprzyjającej trawieniu. Po pierwsze – w towarzystwie będzie mniej straszno, po drugie – jeśli Wasilisk mi się przywidział, to adwokat go nie zobaczy, a po trzecie – jeśli kryje się w tym jakiś cyrkowy trik, to takiego prozaicznego faceta na plewy nikt nie weźmie. Specjalnie nie uprzedziłem o niczym towarzysza wyprawy – dla czystości doświadczenia.

Na tym widać polegał mój błąd i moja wina.

Wszystko przebiegało dokładnie tak jak poprzednim razem. Specjalnie posadziłem Kubowskiego twarzą do Rubieżnej, a sam nie odrywałem wzroku od fatalnego miejsca. Nikogo tam nie było, nikogo ani niczego, to nie ulega wątpliwości. Ale ledwie księżyc przebił się przez lekkie chmurki, kiedy na wodzie pojawiło się znane mi widmo, które niemal natychmiast otoczył oślepiający blask.

Głosu tym razem nie usłyszałem, dlatego że mój cynik – właśnie miał zamiar włożyć do ust czekoladowy bonbonik – ryknął dzikim głosem iż nieoczekiwaną szybkością rzucił się do ucieczki. Nie mogłem za nim nadążyć (tak, tak, ledwie rozlał mi się po skórze ten sam co przedtem obmierzły, mogilny chłód, a już utraciłem całe swoje zdecydowanie) i pewnie nie dogoniłbym go aż do granicy miasta, gdyby w pół drogi Kubowski nagle nie zwałił się na wznak. Przysiadłem nad nim i zobaczyłem, że chrypi, przewraca oczami, zerwać się i uciekać dalej wcale nie zamierza...

Kubowski umarł. Nie tam, na drodze, tylko dopiero rankiem, w klasztornej lazarecie. Wylew krwi do mózgu. Innymi słowy, przed adwokatem pojawił się ten sam pan Kondrat, o którym uprzedzał

fioletowy Faust.

I powiedz, władyno, kto, twoim zdaniem, zabił obżartucha – ja czy Czarny Mnich? Nawet jeśli on, to ja i tak wychodzę na współuczestnika.

Prosto z lazaretu, kiedy już miłosierni bracia (brodaci, w białych kitlach narzuconych na czarne habity) zabrali nieboszczyka do chłodni, udałem się do lecznicy doktora Korowina i choć pora była wczesna, zażądałem natychmiastowego widzenia z gwiazdą chorób nerwowo-psychicznych. Z początku za żadną cenę nie chcieli mnie wpuścić bez rekomendacji, ale znasz mnie, Przewielebny: kiedy trzeba, to ja się i przez ucho igielne przecisnę. Miałem do gwiazdy dwa pytania. Pierwsze: czy jest możliwa zbiorowa halucynacja wzrokowo-słuchowa? Drugie: czy nie zwariowałem?

Korowin najpierw zajął się tym drugim pytaniem i odpowiedział na nie dopiero po godzinie. Pytał mnie o tatusia, o mamusię i innych praszczurów aż do pradziadunia Pantelejmona Lentoczki, który zgaś na białą gorączkę. Potem świecił mi w źrenice, stukał młotkiem po stawach i kazał rysować figury geometryczne. Na koniec oznajmił: „Jest pan zupełnie zdrowy, tylko czymś mocno, aż do stanu hysterii, przestraszony. Cóż, łaskawy panie, teraz możemy porozmawiać także o halucynacjach”. Opowiedziałem. On wysłuchał mnie uważnie, potakując, a potem zaproponował mi takie wyjaśnienie, które w danej chwili w pełni mnie zadowalało.

„W jesienne noce na wyspach – powiedział – ze względu na szczególne nasycenie powietrza ozonem i efekty zwierciadła wodnego zdarzają się nierzadko wszelkiego rodzaju omamy optyczne. Czasami, zwłaszcza w świetle księżyca, można zobaczyć, jak po jeziorze porusza się czarny słup, który jakiejś poetycznej lub religijnej naturze może i przypomni mnicha w stroju pokutnika. W rzeczywistości jest to zwykła trąbeczka”.

„Co?” – nie zrozumiałem.

„Trąbeczka, maleńka trąba powietrzna. Może być lokalna: wszędzie cisza, a w jednym miejscu, wskutek figli ciśnienia atmosferycznego, nagle powstaje strumień powietrza, i to dosyć żwawy. Taki powiew podchwyci z wybrzeża opadłe liście, kurz, zakręci razem jedno i drugie, zwinie w kształt stożka i już ma pan swojego Czarnego Mnicha. Zwłaszcza jeśli spodziewa się pan go zobaczyć”.

Wyszedłem od doktora niemal uspokojony i tylko żał mi było nieszczęsnego Kubowskiego, ale im bardziej oddalałem się od lecznicy, tym głośniej rozbrzmiewał we mnie głos wątpliwości. A nieziemskie światło? A słowa, które tak wyraźnie usłyszałem? W dodatku to nie mógł być wicher – to coś poruszało się wolno, zrobiło zaledwie kilka kroków, kontury zaś były już zanadto wyraziste.

Dalsze wydarzenia potwierdziły, że trąba powietrzna i nasycenie atmosfery ozonem żadnego związku ze sprawą nie mają.

Zatraciwszy człowieka, Wasilisk jakby z łańcucha się zerwał i przestał trzymać się granic Mierzei Postnej.

Następnego nocy objawił się bratu Kleopie, przewoźnikowi, który jedyny ze wszystkich mieszkańców Araratu ma prawo odwiedzać Pustelnię Wasiliskową: raz dziennie odwozi on pustelnikom wszystko, czego im potrzeba, i zabiera gotowe różańce. Nocą, kiedy Kleopa człapał do klasztoru, wracając od przyjaciela, Wasilisk stanął przed nim tuż koło przyklasztornego cmentarza. Potężnie szturchnął przewoźnika w pierś, tak że ten gruchnął na ziemię, i piorunowym głosem zakazał mu pływać na Wyspę Rubieżną, jako że „miejsce to przeklęte jest”.

Sensacyjny charakter wydarzenia osłabiała nieco powszechnie znana niepowściągliwość brata Kleopy w spożywaniu napojów wysokich – wracał on tej nocy do celi pijaniusieńki. Nawet sam naoczny świadek nie mógł przysiąc, że święty mu się nie przywidział. Niemniej słuch rozszedł się od razu po całym Kanaanie.

A jeszcze dwie noce później nastąpiło wydarzenie tym razem już

niewątpliwe, które doprowadziło do bardzo ciężkich, tragicznych nawet skutków.

Brata Kleopy widmo nastraszyć nie zdołało, ponieważ pływa on do pustelni w biały dzień, a nocą, kiedy pojawia się Czarny Mnich, bywa już zazwyczaj nietrzeźwy i niczego się nie boi. Ale w cieśninie oddzielającej Kanaan od Wyspy Rubieżnej pojawia się też często pławowy, czyli człowiek, do którego obowiązków należy ustawianie pław, wyznaczających farwater i często zmieniających położenie wskutek działania prądów i wiatru. Ów pławowy nie jest mnichem, lecz pracownikiem najemnym. Mieszka w maleńkiej chatce na północnym, prawie niezaludnionym brzegu Kanaanu, z młodą żoną w daleko zaawansowanej ciąży. Ścisłej biorąc – mieszkał, bo teraz chata jest pusta.

Przedwczoraj o północy pławowego i jego żonę przebudziło głośne stuknięcie w szybę. W oknie, zalanym księżycowym światłem, zobaczyli czarny kaptur i od razu zrozumieli, kto do nich zawitał. Skamieniałym z przerażenia małżonkom nocny gość pogroził palcem, a potem tymże palcem, z rozdzierającym duszę zgrzytem, nakreślił coś na szybie (jak się potem okazało – krzyż – stary, ósmioramienny).

Potem widmo znikło, ale kobieta pod wpływem wstrząsu poroniła, a kiedy mąż biegał w poszukiwaniu pomocy – zmarła nieszczęsna z upływu krwi. Pławowy zaś opowiedział władzom klasztorным o nocnym widzeniu i wziął się do zbijania dwóch trumien, jednej dla żony, drugiej dla siebie, powiedział bowiem stanowczo, że żyć dalej nie chce. Wieczorem wsiadł do łódki, wypłynął na środek jeziora i uwiązawszy sobie u szyi kamień, wskoczył do wody – z brzegu wielu to widziało. Topielca szukano, ale nie znaleziono, tak że druga trumna została niewykorzystana.

Miasta teraz nie można poznać. To znaczy w dzień jest tak samo ludne jak przedtem, nikt z pielgrzymów nie spieszy się uciekać,

ponieważ ciekawość i pociąg do tajemnicy są w ludziach silniejsze od rozsądku i strachu, ale nocą ulice całkiem wymierają. O Pustelni Wasiliskowej mówi się niedobrze. Powiadają tu, że nie ma straszniejszego miejsca niż takie, gdzie dawniej była błogość, ale się wytarła: opuszczony kościół, zbezczeszczony cmentarz, a już tym bardziej – przynosząca niegdyś zbawienie pustelnia. Wśród braci i miejscowej ludności nasila się przekonanie, że Orędownika trzeba posłuchać i pustelników z Rubieżnej wywieźć, bo inaczej Czarny Mnich rozżłości się jeszcze bardziej.

Archimandryta przeszedł cały Kanaan z procesją i chatynkę pławowego pokropił wodą święconą, ale i tak w to miejsce nikt teraz nie chodzi. Ja, nawiasem mówiąc, zajrzałem tam (co prawda rankiem, przy słonecznym świetle). Widziałem sławetny krzyż wydrapany na szkłe. Nawet dotknąłem go palcem.

Proszę tylko nie myśleć, czarodzieju Merlinie, że rycerz twój na dobre się spiętrał. Jestem gotów rozpatrzyć wersję, iż wszechświat nie jest wyłącznie materialny, nie oznacza to jednak kapitulacji, lecz zmianę metodyki. Bodajże trzeba będzie zdjąć jedną zbroję i włożyć inną. Ale poddawać się nie zamierzam i o pomoc na razie Waszej Przewielebności nie proszę.

Pański Lancelot z Jeziora



Ten ze wszech miar zadziwiający list wywarł na uczestnikach narady niejednakowe wrażenie.

– Nadrabia miną, a naprawdę jest śmiertelnie przerażony – powiedział biskup. – Sam pamiętam, jakie to straszne, kiedy świat przewraca się do góry nogami. Tylko że u mnie było na odwrót: ja od dziecka wierzyłem, że światem rządzi duch, i kiedy po raz pierwszy nabrałem podejrzeń, że żadnego Boga nie ma i istnieje tylko sama

materia, dopiero zrobiło mi się smutno, dopiero nieprzytulnie. Wtedy właśnie do zakonu poszedłem, żeby z powrotem wszystko z głowy na nogi postawić.

– Jak to? – zdumiał się Berdyczowski. – To ty, ojcze... to ojciec miewał takie wątpliwości? A ja myślałem... – Zmieszał się i nie skończył.

– Że tylko ty? – dokończył za niego Mitrofaniusz z niewesołym uśmiechem. – A co to, u mnie w środku sama tylko świętość siedzi? Nie, Matwieju, sama świętość zdarza się tylko w umysłach nudnych, a człowieka myślącego niebo ciężkimi pokusami próbuje. Sprawiedliwy jest nie ten, kto nie miewa pokus, tylko ten, co je przewycięża. Kto nigdy i w nic nie wątpi, ten ma duszę martwą.

– A więc ty, ojcze, wierzysz w te cuda? – spytała siostra Pelagia, odrywając się od robótki. – W przywidzenia, w chodzenie po wodzie i tak dalej? Dawniej inaczej ojciec mówił.

– Co chłopak ma na myśli, mówiąc o zmianie zbroi? – wymamrotał z zadumą przewielebny, jakby nie dosłyszał. – Niezrozumiałe... Ach, jak interesujące i wieloznaczne są drogi Pana!

Pelagia zaś wypowiedziała uwagę o charakterze psychologicznym:

– Na podstawie poprzedniego listu wyobraziłam sobie, że wysłannik waszej przewielebności zapalił się do tej ponętnej damy, zapomniał o poleceniu, z jakim wyjechał, i stąd przerwa w korespondencji. Tu zaś jest o niej jedna wzmianka, mimochodem. Nie wiem, czy o widmie pan Aleksy pisze prawdę, ale jest zupełnie jasne, że młody człowiek rzeczywiście przeżył silny wstrząs. Inaczej za nic by nie zapomniał o tak pociągającej osobie.

– Kobietom tylko jedno w głowie. – Archijerej zmarszczył czoło z irytacją. Wiecznie przesadzacie z waszym wpływem na mężczyzn. Są na świecie zagadki bardziej tajemnicze niż romantyczne nieznajome w woalkach. Och, trzeba chłopaczka ratować. Pomoc jest

mu potrzebna, choć sam jej odmawia.

W tym miejscu Matwiej Bencjonowicz, który słuchał rozważań władzyki i jego córki duchowej, unosząc brwi ze zdziwienia, nie wytrzymał:

– To wy to poważnie mówicie? Naprawdę, ojcze, dziwię ci się! Czyżbyś brał te wszystkie bajdy za dobrą monetę? Przecież Lentoczkina za nos waszą przewielebność wodzi, nabiera w najbardziej bezwstydnym sposobie! Rozumie się, że przez wszystkie te dni włóczył się za swoją „księżniczką”, a teraz wymyśla bajki, żeby sobie z ojca zakpić. To przecież oczywiste! Ja jednego tylko nie mogę zrozumieć – jak ojciec, ze swoją znajomością ludzi, mógł postać z odpowiedzialną misją niepowważnego żółtodzioba!

W słowach podprokuratora okręgowego była i logika, i zdrowy rozsądek, toteż Mitrofaniusz zmieszał się nawet, a Pelagia, chociaż pokiwała głową, w spór się nie wdawała.

I tak się rozeszli, nie podjąwszy żadnej decyzji. Cenny czas zmarnowano bez pożytku. Stało się to jasne dwa dni później, kiedy nadszedł trzeci list.

Z powodu jesiennych ulew drogi były rozmiękłe, dyliżans pocztowy mocno się spóźnił i biskupowi dostarczono kopertę tuż przed nocą. Nie zważając na to, władzyka natychmiast posłał po Berdyczowskiego i Pelagię.



Trzeci list Aleksego Stiepanowicza

Eureka! Metoda znaleziona!

Najtrudniej było zrezygnować z materialistycznego systemu koordynat, błędnie dwuwymiarowego. Ignoruje on trzeci wymiar,

który umownie nazwę mistycznym – pewien jestem, że z czasem znajdzie się jakiś inny, mniej emocjonalny termin. Ale na początek należy opracować system badawczy i technikę pomiarową. Współczesna nauka w ogóle tym się nie zajmuje, w zupełnej zgodzie z ubóstwianym przez Waszą Przewielebność Eklezjastą, który powiedział: „Co krzywe, tego się nie wyprostuje, a czego nie ma, tego się nie policzy”. A tymczasem twórca postępu naukowego, Galileusz, rozumiał rzecz inaczej. Główny dogmat uczonego sformułował w ten sposób: „Zmierzyć wszystko, co poddaje się mierzeniu, a co się nie poddaje – uczynić mierzalnym”.

Trzeba zatem koniecznie uczynić mierzalnym element mistyczny.

Cóż z tego, że materialistyczna nauka takiego zadania nie uznaje, przecież nim nastąpiła Epoka Rozumu, istniała również inna nauka, magiczna, która przez wieki próbowała obliczyć to, co przyjęto nazywać nadprzyrodzonym. I o ile mi wiadomo, co nieco na tym polu osiągnęła!

Właśnie ta przesłanka, do której doszedłem dopiero trzy dni temu, doprowadziła mnie do rozwiązania zagadki.

Pisałem już, zdaje się, że w monasterze jest biblioteka, w której zebrano wiele nowych i starych ksiąg treści religijnej. Bywałem tam i wcześniej, przeglądając z nudów jakiś Alfabet duchowny Jana Klimaka, Efrema Syryjczyka albo Nowoararacki paterikon, ale teraz wziąłem się do szukania systematycznie i z określonym celem.

I co? Na drugi dzień, czyli wczoraj, znalazłem księgę wydaną w roku 1747, przekład z łaciny: O zjednywaniu duchów dobrych i zwyciężaniu duchów złych. Zacząłem czytać i zadrżałem! Właśnie to, czego mi potrzeba! Dokładnie! (Ten zbieg okoliczności, nawiasem mówiąc, jest jeszcze jednym dowodem realności wymiaru mistycznego).

W starej księdze napisane było czarno na białym: „A jeśli duch bezcielesny tam gdzie cielesne [czyli, mówiąc współczesnym językiem,

materialnej] ślad po sobie zostawi, to znak ów podobny jest ogonowi, za który chwyciwszy, ducha złowić można i z bezcielesności na świat wydobyć”. Obszernych i naiwnych rozważań o grzeszności Szatana, który w przeciwieństwie do wszechobecnego Boga czasem popełnia błędy i dlatego może i powinien być zwyciężany, relacjonować nie będę i przejdę do istoty sprawy.

Kiedy zatem jakaś substancja, przynależna do wymiaru mistycznego, wskutek nieuwagi pozostawiła w naszym materialnym świecie jakiś dotykalny znak swej obecności, to ów fizyczny ślad może być wykorzystany przez człowieka po to, by wciągnąć fantom w świat przedmiotowy, możliwy do ogarnięcia naszymi organami zmysłów. To jest najważniejsze!

Dalej na kilku stronicach opisuje się obszernie, co w tym celu należy zrobić.

Równy o północy, kiedy trzeci wymiar zlewa się z dwoma pierwszymi, w wyniku czego następuje oczywiście transformacja czasu (czyli w ziemskim znaczeniu on jakby się zatrzymuje), trzeba stanąć przed znakiem, przeżegnać się i wymówić słowa magicznej formuły: „Przyjdź, duchu nieczysty (albo «duchu święty», to zależy od potrzeby), na ślad, któryś zostawił, na to Gabriel ze Złym ma umowę”. Przy tym poszukujący powinien być zupełnie nagi i nie mieć na sobie ani pierścionków, ani krzyżyka na szyi, ani żadnych innych postronnych przedmiotów, ponieważ każdy z nich, nawet najmniejszy, w chwili transformacji wielokrotnie zwiększa swą wagę i krępuje ruchy.

Formuła ta nie tylko zmusi nieopatrzego ducha, żeby natychmiast stawił się przed szukającym kontaktu, ale i tego ostatniego ustrzeże od niebezpieczeństwa. Jeśli zaś duch mimo wszystko zechce się mścić (co prawda zdarza się to tylko ze złymi duchami, a Wasilisk, jak wszystko wskazuje, należy do kategorii duchów dobrych), to obronić się przed napaścią można prostym okrzykiem: Credo, Domine, credo! (Sądzę, że

nada się i zwykle: „Wierzę, wierzę, Panie!” – przecież tu nie o dźwięki chodzi, tylko o sens).

Materialny znak istnieje: krzyż, nakreślony na oknie chaty pławowego. Nocą nie ma tam w pobliżu żywego ducha, nagością więc nikogo nie zgorszę (a zresztą można przecież najpierw wejść do środka, a rozebrać się dopiero później). Magicznej formuły nauczyłem się, modlitwę zapamiętać też nietrudno.

Spróbujemy, kupić nie kupić – potargować można. W najgorszym razie wyjdę na bałwana, ale to nic, tego się nie boję.

Jak się nie uda – będę dalej szukać, jak uczynić niemierzalne mierzalnym.

Tej nocy pójdę. Nie myśl o mnie źle, Ojczy. A gdyby co, to niech w Twoich modlitwach choć z rzadka wspomina się o niegdyś Cię, Ojczy, kochającym i szanującym

Aloszy Lentoczkinie



Jechać do Nowego Araratu, i to natychmiast – władcyka oświadczył to zaraz po przeczytaniu listu jako już podjętą i przemyślaną decyzję, nawet nie proponując swoim gościom, by się wypowiedzieli. Zresztą Berdyczowski i Pelagia, zdaje się, z zakłopotania nie bardzo nawet wiedzieli, co powiedzieć.

Za to Mitrofaniusz, czekając na ich przybycie, wszystko już obmyślił.

– Chłopaczek zupełnie zagubił się we mgle – oznajmił. – Kajam się, moja wina. Chciałem, by duchowo na oczy przejrzał, ale wybuch okazał się zbyt jaskrawy, on zupełnie od niego oślepl. Trzeba Aloszę stamtąd zabrać, choćby siłą – to najpierwsza rzecz. A dopiero potem starać się rozwikłać sprawę nowoararackich cudów. Tu potrzebny jest człowiek wojskowego usposobienia: stanowczy, bez fanaberii i za

dużej wyobraźni. Ty, Matwieju, nie nadajesz się.

Matwiej Bencjonowicz, co prawda, nie uważał się za człowieka o usposobieniu wojskowym, ale mimo to troszeczkę się obraził.

– To niby kto, zdaniem władzyki, jest człowiekiem bez wyobraźni? – zainteresował się z leciutkim odcieniem złośliwości, przekonany, że archijerej ma na myśli samego siebie.

Odpowiedź była nieoczekiwana.

– Nie wyobrażaj sobie, nie ja. Ja jestem osobą duchowną i mogę się okazać nieodporny na mistyczne wrażenia. Jeśli już Lentoczkin nie wytrwał... – Mitrofaniusz pokiwał głową, jakby znów dziwiąc się nietrwałości nihilizmu Aloszki. – Lagrange pojedzie.

Wybór ten był na pierwszy rzut oka nie mniej nieoczekiwany niż poprzedni, kiedy to biskup umyślił sobie wysłać w wewnątrzkościelnych sprawach chłopaczka bezbożnika.

To znaczy – z jednej strony zawołzski policmajster Feliks Stanisławowicz Lagrange z tytułu samej swej funkcji mógłby się wydać całkiem odpowiednią kandydaturą do przeprowadzenia szybkiej i zdecydowanej operacji, ale tylko jeśli się nie znało podszewki sprawy. A podszewka była taka, że pan pułkownik zaliczał się u przewielebnego do osób zasługujących na karę i jeszcze całkiem niedawno omal nie trafił na wniosek władzyki pod sąd za pewne niezbyt chlubne sprawki. W ostatnim jednak czasie Lagrange'owi niemal zupełnie wybaczone, a on sam nawet zaczął chodzić do przewielebnego do spowiedzi. Tutaj, należy sądzić, znów zagrała wspomniana już ambicja Mitrofaniusza, który mniej był zainteresowany pasterską opieką nad duszami rozświetlonymi wiarą, za to chciał koniecznie dopukać się do dusz nieczułych i głuchych.

Matwiej Bencjonowicz już otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale natychmiast je zamknął. Przyszło mu do głowy, że jeśli się chwilę zastanowić, to wybraniec nie jest znów taki zły, ponieważ... Ale o tym

właśnie zaczął mówić władyka:

– Feliks Stanisławowicz chodzi nawet do mnie do spowiedzi, ale robi to tak, jakby stawał na warcie albo straż rozprowadzał, słowem – jakby się stosował do nakazów regulaminu. Raportuje mi ze wszystkimi szczegółami, ile razy klął najgorszymi słowami i u jakich dam lekkiego prowadzenia gości, otrzymuje odpuszczenie grzechów, szczęka ostrogami i zaraz potem w tył zwrot i krokiem marsz. Należy on do tej rzadko spotykanej rasy ludzi, którym wiara zupełnie do niczego nie jest potrzebna. Zresztą – uśmiechnął się Mitrofaniusz – pułkownik zapewne bardzo by się obraził, gdyby ktoś nazwał go materialistą, chyba nawet w mordę by dał. Ale pracownikiem jest sprawnym, swoją policyjną robotę zna, a do tego śmiałek z niego, jakich mało. Jutro go wezwę, poproszę, żeby pojechał, a on nie odmówi.

Tak właśnie postąpił władyka: wezwał, poinstruował, a policmajstrowi oczywiście nawet do głowy nie przyszło się wymawiać – przyjął życzenie przewielebnego bez żadnych zastrzeżeń, tak samo jak przyjąłby rozkaz gubernatora czy dyrektora departamentu policji. Obiecał przekazać sprawy swemu zastępcy i zaraz z rana wyruszyć w drogę.

Ale przedtem, wieczorem, umyślny posłaniec dostarczył z Nowego Araratu nowy list, który głęboko wstrząsnął władyką, Berdyczowskim i Pelagią, chociaż jednocześnie wiele także wyjaśnił.

Zresztą streszczać ten list własnymi słowami znaczyłoby tylko mącić. Oto zatem ów dokument. Jak to się mówi – komentarze zbyteczne.

Wasza Przewielebność!

Nie jestem pewien, czy zwracam się do tej właśnie osoby, do której powinienem zaadresować niniejszy list, ale ani miejsce zamieszkania, ani stosunki rodzinne młodego człowieka, który zatrzymał się

w nowoararackim hotelu „Arka Noego” pod nazwiskiem Aleksy Stiepanowicz Lentoczkin, nie są tu nikomu znane. W zajmowanym przez niego numerze znaleziono na stole kopertę z adresem: „Przewielebny o. Mitrofaniusz, pałac archijerejski, Zawołżsk”, a obok niego czysty arkusik papieru, tak jakby Lentoczkin miał zamiar napisać do Waszej Ekscelencji list, ale nie zdążył. Dlatego zwracam się do Waszej Przewielebności w nadziei, że zna tego młodzieńca i zdoła zawiadomić krewnych o nieszczęściu, jakie mu się przytrafiło, oraz poinformuje mnie o wszelkich szczegółach jego poprzedniego życia, co jest rzeczą bardzo ważną dla obrania właściwej metody leczenia.

Pan Lentoczkin (jeśli jest to jego prawdziwe nazwisko) cierpi na wyjątkowo ostrą postać pomieszanego umysłowego, wykluczającą możliwość wywiezienia go z wyspy. Dziś o świcie przybiegł on do należącej do mnie lecznicy psychiatrycznej w tak rozpaczliwym stanie, że byłem zmuszony zatrzymać go u siebie. Na pytania nie odpowiada, tylko mamrocze cały czas: Credo, Domine, credo!, i od czasu do czasu wypowiada gorączkowe i mętne monologi o charakterze majaczeń. Oprócz oczywistej niecelowości przewożenia chorego z miejsca na miejsce, charakter jego manii interesuje mnie jako lekarza. Przypuszczam, że zdarzyło się Waszej Ekscelencji słyszeć o mojej klinice, być może jednak nie o tym, że podejmuję się leczyć nie wszelkie rozstroje umysłowe, lecz tylko te, które są słabo zbadane przez naukę psychiatryczną. Przypadek Lentoczkin jest właśnie taki.

Nie będę obciążać Waszej Przewielebności smutnymi szczegółami, ponieważ nie jestem pewien, czy mój nowy pacjent jest Mu znajomy. Biorąc pod uwagę religijną tematykę jego majaczeń (niezrozumiałych i prawie niezbornych), łatwo sobie wyobrazić, że Lentoczkin postanowił napisać do archijereja guberni tak samo, jak inni moi podopieczni piszą do Najjaśniejszego Pana Imperatora, rzymskiego papieża czy chińskiego bogdychana.

Jeśli jednak Wasza Przewielebność wie, jak skontaktować się z krewnymi Lentoczki, to proszę się pospieszyć. Wiem z doświadczenia, że stan takich chorych, z nader rzadkimi wyjątkami, pogarsza się bardzo szybko i w niedługim czasie kończy się zejściem śmiertelnym.

Pozostaję pełnym uszanowania sługą Jego Ekscelencji

*Donat Sawwicz Korowin,
doktor medycyny*

Wyprawa druga

Przygody śmiałka

W związku z nowym, smutnym obrotem wydarzeń (dziwne nawet, że tacy mądrzy ludzie nie przewidzieli go z góry) znów powstał spór, kto ma jechać. Koniec końców władyka przeforsował poprzednią swoją decyzję i na Nowy Ararat odkomenderowano policmajstra, ale taki wynik debaty poprzedziła zażarta dyskusja między ojcem Mitrofaniuszem a siostrą Pelagią. (Matwiej Bencjonowicz w sprawie Lagrange'a zachowywał neutralność i dlatego raczej milczał).

Tematem dyskusji był węzeł gordyjski. Zaczęło się od tego, że archijerej porównał pułkownika Lagrange'a do energicznego Aleksandra, który nie umiejąc rozplatać przemyślnie zaciągniętego węzła, rozciął go mieczem i w ten sposób znakomicie wybrnął z kłopotliwej sytuacji. Zdaniem przewielebnego właśnie tak w razie kłopotów postąpi Lagrange, który jako człowiek wojskowy nie spasuje przed żadną łamigłówką, tylko pójdzie przebojem, co w takiej wyjątkowej sprawie może się okazać jedynym skutecznym chwytem.

– W ogóle wydaje mi się – powiedział władyka – że im sytuacja bardziej skomplikowana i mętna, tym prostsze z niej wyjście.

– Och, ojczy, jak bardzo się mylisz! – zawołała z wielkim podnieceniem Pelagia. – Jakie niebezpieczne mówisz słowa! Jeśli tak myślisz ty, najmądrzejszy i najlepszy ze wszystkich znanych mi ludzi, to czego oczekiwać od doczesnych władców? Oni i tak przy najmniejszej trudności są gotowi chwycić za miecz. Rozciąć węzeł gordyjski to niewielka zasługa, każdy dureń by to potrafił. A przecież po tym wyczynie Aleksandra ubył światu jeden cud!

Mitrofaniusz chciał oponować, ale mniszka zamachała na niego rękoma i pasterz ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na swoją duchową córę, bo jeszcze nigdy dotąd nie potraktowała go tak obcesowo.

– Nie ma prostych wyjść ze skomplikowanych sytuacji! Proszę to sobie zapamiętać! – zapalczywie wołała zakonnica. – A ojca wojskowi tylko wszystko niszczą i psują! Tam gdzie trzeba taktu, ostrożności, cierpliwości, oni włożą z butami, szablami, armatami i wyrabiają takie rzeczy, że trzeba potem długo leczyć, łątać i naprawiać.

Biskup zdziwił się:

– To co, twoim zdaniem wojskowi są zupełnie niepotrzebni?

– Dlaczego? Potrzebni! Kiedy jakiś łajdak napadł i trzeba bronić ojczyzny. Ale niczego innego im powierzać nie należy! Żadnej cywilnej ani tym bardziej duchowej sprawy! A przecież u nas, w Rosji, do czegoś to się wojskowych nie używa! Do naprawienia czegoś, co się zacięło w subtelnym mechanizmie, szabla się nie nadaje. A posyłać tego całego pułkownika do Araratu to całkiem jak wpuszczać słonia do sklepu z porcelaną!

– Nie bój się – odparł Mitrofaniusz, który obraził się za cały stan wojskowy. – Hannibal na słońiach Alpy przekroczył. Tak, Feliks Stanisławowicz migdalić się nie będzie. Wszystkie wyspy przewróci do góry nogami, ale znajdzie mi drania, który Aloszę do żółtego domu doprowadził! Widmo nie widmo – dla Lagrange’a to wszystko jedno. I koniec. Idź sobie, Pelagio, ja swojej decyzji nie zmienię.

Odwrócił się i nawet nie pobłogosławił mniszki na pożegnanie, tak się rozżłościł.



Na górnym pokładzie kołowca „Święty Wasilisk”, metodycznie trzepiącego łopatami ciemne wody Jeziora Modrego, stał postawny, mocnej budowy pan w wełnianym trzyczęściowym garniturze

w kratkę, w białych getrach, w angielskim kaszkiecie z nausznikami i z zainteresowaniem przyglądał się swemu odbiciu w szybie jednej z kajut. Panorama zasnutej wieczorną mgłą zatoki i migoczących ogni Modroozierska nie pociągała pasażera, odwrócił się do tego lirycznego pejzażu plecami. Poruszał się i tak, i owak, sprawdzając, czy dobrze leży na nim marynarka, dotknął chwacko podkreślonych wąsów i najwyraźniej był zadowolony z tego, co zobaczył. Oczywiście granatowy, złotem wyszywany mundur byłby stokroć lepszy, pomyślał, ale prawdziwy mężczyzna nieźle wygląda również po cywilnemu.

Dłużej rozkoszować się swym widokiem już nie mógł, bo w kajucie zapaliło się światło. To znaczy najpierw w ciemności pojawiła się wąska szczelina, która szybko przeszła w oświetlony prostokąt, i za szybą zarysowała się jakaś sylwetka. Potem prostokąt znikł (zasłoniły go drzwi prowadzące na korytarz), lecz w następnej sekundzie rozbłysnęła lampka gazowa. Pociągająca młoda dama puściła dzwignienkę, zdjęła kapelusik i z roztargnieniem spojrzała w lustro.

Wąsaty pasażer ani myślał odejść – przeciwnie, podszedł jeszcze bliżej do szyby i obrzucił zgrabną figurę damy uważnym spojrzeniem znawcy.

W tym momencie mieszkanka kajuty odwróciła się wreszcie do okna, zauważyła podglądającego pana, jej brewki uniosły się, a wargi poruszyły – należy sądzić, że zawołała „ach!” lub coś innego w tym stylu.

Przystojny mężczyzna wcale się nie zmieszał, tylko z galanterią podniósł czapkę i ukłonił się. Dama znów bezgłośnie poruszyła wargami, teraz już nieco dłużej, ale znaczenie niesłyszanych z zewnątrz słów i tym razem dawało się odgadnąć bez trudu: „Czego pan sobie życzy?”

Zamiast odpowiedzieć, czy jeszcze lepiej – oddalić się, pasażer

stanowczo postukał kostkami palców po szkłe. Kiedy zaś zaintrygowana podróżniczka opuściła nieco ramę, powiedział jasnym i dźwięcznym głosem:

– Feliks Stanisławowicz Lagrange. Proszę wybaczyć bezpośredniość, madame, jestem przecież żołnierzem, a kiedy panią ujrzałem, wytworzyło się we mnie wrażenie, że oprócz nas na tym statku nie ma nikogo. Tylko pani i ja, a więcej – żywego ducha. Czy to nie dziwne?

Dama zarumieniła się i chciała bez słowa zamknąć okno, ale spojrzawszy uważniej na miłą twarz żołnierza, a zwłaszcza na jego okrągłe, niezwykle skupione oczy, nagle jakby zastanowiła się i – już chwila sposobna do okazania nieprzystępności minęła.

Wkrótce pułkownik i jego nowa znajoma siedzieli w salonie wśród pielgrzymów (wszyscy co do jednego – zupełnie przyzwoite towarzystwo), pili kruszon i rozmawiali.

Prawdę rzekłszy, mówiła głównie Natalia Gienrichowna (tak nazywała się dama), policmajster zaś prawie ust nie otwierał, jako że w początkowym stadium znajomości to niepotrzebne – uśmiechał się tylko zagadkowo pod pachnącym wąsem i patrzył na rozmówczynię z uwielbieniem.

Zarumieniona dama, żona petersburskiego wydawcy gazet, opowiadała, że znużona czczym stołecznym życiem postanowiła obmyć duszę i w tym właśnie celu udaje się na świętą wyspę.

– Wie pan, panie Feliksie, w życiu nagle przychodzi chwila, kiedy człowiek czuje, że tak dłużej być nie może – zwierzała się pani Natalia.
– Trzeba się zatrzymać, rozejrzeć wokoło, wsłuchać w ciszę i zrozumieć, co się ma w sobie najważniejszego. Dlatego właśnie wybrałam się sama – żeby milczeć i słuchać. I jeszcze wymodlić u Pana Naszego przebaczenie za wszystkie mimowolne i niemimowolne grzeszki. Pan mnie rozumie?

Pułkownik wyraziście podniósł brwi: o tak!

Godzinę później spacerowali po pokładzie i Lagrange, osłaniając towarzyszkę podróży przed chłodnym wiatrem, skrócił dystans między swoim mężnym ramieniem a kruchym ramionkiem pani Natalii do całkiem nieznacznego.

A kiedy „Święty Wasilisk” wyszedł z gardzieli zatoki na czarną przestrzeń jeziora, wiatr nagle się nasilił, o burtę zaczęły bić wściekle białozębe fale i pułkownik musiał co chwila chwytać damę za talię, przy czym za każdym razem jego ręka zatrzymywała się na sprężystym boku odrobinę dłużej.

Mnisi-marynarze w podkasanych habitach biegali po pokładzie, umacniając roztańczone szalupy ratunkowe, i z nawyku szybciotko mamrotali modlitwy. Na mostku widać było masywną postać kapitana, też w habicie, ale w skórzanej czapce i z szerokim skórzanym pasem wokół bioder. Kapitan krzyczał przez tubę ochrypłym basem:

– Porfiry, olej ci w gardło! Dwa obroty!

Spacerowicze zatrzymali się na rufie, gdzie wiatr szalał nieco mniej gwałtownie. Obrzuciwszy wzrokiem bezkresne burzliwe wody i niskie ciemnoszare niebo, pani Natalia zadrżała.

– Boże, jakie to straszne! Jakbyśmy wpadli w dziurę między czasem a przestrzenią!

Lagrange zrozumiał, że czas zaczynać natarcie na całym froncie. Załęczniona kobieta to jak nieprzyjaciel, który zachwiał się pod ogniem kartaczy.

Natarcie poprowadził błyskotliwie. Przechodząc na niski, falujący baryton, powiedział:

– W gruncie rzeczy to jestem potwornie samotny. A przecież, wie pani, tak by się pragnęło zrozumienia, ciepła i... pieśczoły, tak, tak, najzwyczajniejszej, ludzkiej pieśczoły.

Oparłszy czoło o ramię damy, w którym to celu musiał z lekka

ugiąć kolana, pułkownik ciężko westchnął.

– Ja... Ja nie po to wybrałam się na Ararat – wyszeptała zmieszana pani Natalia, niby odpychając głowę Feliksa Stanisławowicza, ale jednocześnie przebierając palcami w jego gęstych włosach. – Nie po to, by dopuszczać się nowych grzechów, tylko żeby modlić się o odpuszczenie dawnych...

– To już pomodli się pani o odpuszczenie wszystkich razem – wysunął pułkownik nieodparty w swej logice argument.

Po następnych pięciu minutach całowali się w ciemnej kajucie, na razie tylko romantycznie, ale palce policmajstra już określiły dyslokację guziczków na sukni pani Natalii i nawet delikatnie odpięły górny.



Nocą pan Feliks obudził się od silnego wstrząsu, oparł na łokciu i zobaczył tuż przy sobie przerażone kobiece oczy. Chociaż wąskie łóżko nie było przystosowane dla dwojga, pułkownik, jak zawsze zresztą, spał znakomicie i skoro już się ocknął, to wstrząs musiał naprawdę być nie byle jaki.

– Co to? – Lagrange, nie całkiem rozbudzony, nie umiał sobie przypomnieć, gdzie jest, ale od razu popatrzył na drzwi. – Mąż?

Dama (jak też ona się nazywa?) wyszeptała cichutko:

– Toniemy...

Pułkownik potrząsnął głową, przebudził się na dobre, usłyszał ryk sztormu, poczuł wstrząsy kadłuba statku – nawet dziwne było, że kochanków dotąd nie wyrzuciło z łóżka.

– Kaleki niedomyte! – słychać było skądś z góry ryk kapitana. – Saduceusze sodomskie! Żeby was, psiawary, Moloch zgarnął!

Zewsząd – i z zewnątrz, i z dolnego pokładu – dochodziły przeraźliwe krzyki i szlochy, to bali się pasażerowie.

Natalia Gienrichowna (o, tak się nazywała!) powiedziała z głębokim przekonaniem:

– To przeze mnie, za świętokradstwo. Za grzeszne zachowanie w drodze do świętego klasztoru.

I żałośnie, beznadziejnie rozplakała się. Lagrange poklepał ją uspokajająco po mokrym policzku i szybko, po wojskowemu się ubrał.

– Gdzież to pan? – z przerażeniem spytała pątniczka, ale drzwi się zatrzęsnęły.

Pół minuty później policmajster stał już na pokładzie szalupowym.

Przytrzymując ręką rwącą się do lotu czapkę, w mgnieniu oka ocenił położenie. Sytuacja zaś była iście waterklozetowa.

Kapitan miotał się wokół sterówki i na próżno próbował zmusić do powstania jakieś pół tuzina modlących się na klęczkach majtków. Feliks Stanisławowicz dosłyszał: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...” Koło sterowe kręciło się tam i z powrotem jak pijane, a parowiec bobrował dziobem pośród ogromnych fal i gnał nie wiedzieć dokąd.

– A czemuś pan ster puścił, admirale Nachimow?! – rzucił się Lagrange na kapitana.

Ten przeciął powietrze ogromną pięścią.

– Sam się nie wyłabudam! Łajba do niczego, na dużej fali kursu nie trzyma! Mówiłem archimandrycie! Ten nocnik zbudowano, żeby damulki po Newie wozić, a tu jest Jezioro Modre! Na Czarcu Kamieniu nas znosi, a tam mielizny!

W tym momencie statkiem nagle szarpnęło. Obu – i policmajstra, i kapitana – rzuciło na ścianę sterówki i omal nie przewróciło. Parowiec stanął jak wryty, pokiwał się trochę i zaczął powoli obracać się wokół własnej osi.

– Po wszystkim, usiedliśmy! – krzyknął rozpaczliwie kapitan. – Jak teraz nie obrócimy dziobu na falę, to za kwadrans położymy się na

boku i krzyżyk na drogę! Ech, capy śmierdzące! – Zamachnął się pięścią na swoją pogrążoną w modlitwie załogę. – Mordy by im wszystkim przefasonować! Ale nie mogę! Ślub złożyłem przeciwko przemocy!

Pan Feliks w skupieniu zmarszczył czoło.

– A gdyby przefasonować, to co wtedy?

– Jakbyśmy tak wszyscy razem na linę naparli, tobyśmy obrócili.

Ale co tam teraz!

Kapitan klasnął w ręce, rąbnął, jak inni, na kolana i zaśpiewał nosowym głosem:

– Przyjmij, Panie, duszę sługi Twojego, jako żem w Tobie, Twórcy i Stworzycielu, i Bogu Naszym, złożył nadzieję...

– Jakbyśmy naparli? – rzeczowo upewnił się pułkownik. – No to my tu zaraz...

Podszedł do najbliższego mnicha, nachylił się nad nim i powiedział czule:

– Ano wstawaj, ojczulku, bo ci całą eucharystię z prawa na lewo przeweksluję.

Modlący się zignorował ostrzeżenie. Wtedy pan Feliks gwałtownym szarpnięciem postawił go na nogi i raz-dwa wprowadził w czyn surowy zamiar. Dopiero kiedy święty człowiek w osłupieniu zaczął pluć czerwoną juszka, pułkownik go puścił, po czym zaraz wziął się do drugiego. Nie minęła minuta i cała załoga została doprowadzona do pełnej subordynacji.

– To za co mamy ciągnąć? – spytał Lagrange osłupiałego na widok takiej zaradności kapitana.

No i nic, Bóg miłościw: naparli wszyscy razem i obrócili dziób statku tak, jak należało. Nikt nie utonął.



Przed rozstaniem, kiedy statek już stał na przystani w Nowym Araracie, brat Jonasz (tak się nazywał kapitan) długo nie wypuszczał dłoni Feliksa Stanisławowicza ze swego żelaznego łąpska.

– Rzuć pan swoją pracę – huczał, patrząc pułkownikowi w twarz jasnymi, błękitnymi oczkami, osobliwie wyglądającymi na jego szerokiej, z gruba ciosanej fizjonomii. – Chodź pan do mnie na pierwszego oficera. Słowo daję, świetnie byśmy sobie popływali. Tu, na Modrym, bywa ciekawie, sameś pan widział. I duszę byś za jednym zamachem zbawił.

– Chyba ze względu na pasażerki. – Policmajster musnął wąsy, dlatego że akurat do trapu podeszła pani Natalia. Wyglądała poważniej, a lekkomyślny kapelusik zastąpiła postną czarną chustą. Tragarz niósł za nią piramidę walizek, walizeczek i pudeł, zręcznie utrzymując całą tę cheopsową konstrukcję na głowie. Pątniczka przystanęła, przeżegnała się zamasyście i pokłoniła w pas majestatycznemu miastu, a ściślej – jego oświetlonemu nadbrzeżu, jako że sam Nowy Ararat w wieczornym czasie nie był widoczny: „Wasilisk” pół dnia stał na mieliźnie w oczekiwaniu na holownik i dotarł na wyspę z wielkim opóźnieniem, już po zmroku.

Lagrange ukłonił się z galanterią współuczestniczce romantycznej przygody, ale ona widać już przygotowała się do uspokojenia i oczyszczenia duszy, toteż nawet nie odwróciła głowy i dumnie przemaszerowała obok pułkownika.

Ech, kobiety, uśmiechnął się Lagrange, który doskonale rozumiał i szanował zbawienną organizację kobiecej psychiki.

– No dobrze, ojcze, zobaczymy się, kiedy popłynę z powrotem. Myślę, że za jakieś dwa-trzy dzionki, raczej nie później. Jak sądzisz, ojcze, pogoda do tego czasu się pole... – Policmajster znów odwrócił się do kapitana, ale nie dokończył zdania, bo brat Jonasz patrzył gdzieś w bok, a jego twarz uderzająco się odmieniła: malował się na niej

zachwył i zarazem jakaś rozterka, jakby dzielny kapitan usłyszał zgubną pieśń syreny albo zobaczył biegnącą po falach dziewczęcę, co zapowiada marynarzom zapomnienie o smutkach i powodzenie.

Lagrange podążył wzrokiem za spojrzeniem dziwnie oniemiałego kapitana i w samej rzeczy zobaczył smukłą dziewczęcę sylwetkę, ale nie sunącą pośród pienistych grzbietów, tylko zastygłą nieruchomo pod latarnią na przystani. Panna władczo skinęła palcem na Jonasza i ten somnambulicznym krokiem skierował się do trapu, nawet nie obejrzawszy się na swego niedoszłego pierwszego oficera.

Jako człowiek ciekawski zarówno z usposobienia, jak i z tytułu funkcji, a także jako gorąca natura, nieobojętna na żeńską urodę, pułkownik porwał swój żółty sakwojaż z patentowanej świńskiej skóry i po cichutku ustawił się kapitanowi na ogonie czy też, jak mówią marynarze, w kilwatrze. Instykt i doświadczenie podpowiadały mu, że przy tak cudownej figurze i pewnej postawie twarz oczekującej nie może okazać się nieładna. Czy można było nie upewnić się co do tego?

– Dzień dobry, Lidio Jewgieniewna – nieśmiało odezwał się potężnym basem Jonasz, podchodząc do nieznajomej.

Ta królewskim ruchem wyciągnęła do niego dłoń w długiej rękawiczce, ale – jak się okazało – nie do pocałunku ani nie do powitania.

– Przywiozłeś?

Kapitan wyciągnął zza pazuchy zakonnego stroju coś całkiem maleńkiego i położył na wąskiej dłoni, ale co to mianowicie było – pułkownik podejrzeć nie zdołał, bo w tej samej chwili panna zwróciła ku niemu głowę i lekkim ruchem podniosła woalkę, najwidoczniej żeby lepiej przyjrzeć się nieznajomemu. Wystarczyły jej na to dwie, najwyżej trzy sekundy, ale to mgnienie wystarczyło też Lagrange'owi – żeby osłupiał.

O!

Policmajster chwycił się ręką za gumowany kołnierzyk. Jakie ogromne, bezdenne, dziwnie mieniące się oczy! Jakie dołeczki w policzkach! A rysunek rzęs! A chmurny cień pod bezbronnymi wargami! Niech to wszyscy diabli!

Odepchnąwszy barkiem żubrokształtnego brata Jonasza, Lagrange uniósł kaszkiet.

– Łaskawa pani, jestem tu po raz pierwszy, nikogo i niczego nie znam. Przyjechałem pokłonić się świętym miejscom. Proszę pomóc człowiekowi, który wiele i ciężko cierpiał. Proszę poradzić, dokąd najpierw ma skierować kroki najgorszy z grzeszników? Do monasteru? Do Pustelni Wasiliskowej? A może do jakiejś świątyni? Przy okazji proszę pozwolić, że się przedstawię: Feliks Stanisławowicz Lagrange, pułkownik, niegdyś kawalerzysta.

Twarz pięknotki była już zasłonięta lekkim jak puch azurem, ale spod skraju woalki widać było, jak zachwycające usteczka skrzywiły się w pogardliwym grymasie.

Całkowicie ignorując przemyślny, psychologicznie bezbłędny manewr zaczepny policmajstra, panienska, którą kapitan nazwał Lidią Jewgieniewną, schowała zawiniątko do torebki, odwróciła się z gracją i odeszła.

Brat Jonasz westchnął ciężko, a Lagrange zamrugnął oczami. To było coś niesłychanego! Najpierw petersburska koza nie raczyła się pożegnać, teraz nowe upokorzenie!

Zaniepokojony pułkownik wyciągnął z kieszonki kamizelki poręczne lustreczko i sprawdził, czy nie stało się coś nieprzyjemnego z jego twarzą: nagła egzema nerwowa, pryszcz czy – uchowaj Boże – zwisający z nosa sopol. Ale nie, powierzchowność pana Feliksa była tak samo piękna i przyjemna jak zawsze: i męzny podbródek, i stanowcze usta, i świetne wąsy, i umiarkowanych rozmiarów,

zupełnie czysty nos.

Ostatecznie zepsuł pułkownikowi nastrój jakiś idiota w berecie, wzrostu niewielkiego, za to w gigantycznych ciemnych okularach. Zagroził on Lagrange'owi drogę, nie wiadomo czemu pokręcił przy sprawie swoich kłownowskich szkielec i wymamrotał:

– Może ten? Czerwony, to dobrze, to możliwe. Ale głowa! Malinowa! Nie, nie nadaje się! – I całkiem już wychodząc poza granice przyzwoitego zachowania, wściekle zamachał na pułkownika rękami.
– Idź sobie! Czego sterczysz! Dąb! Zakuty łeb!

A to ci miasteczko!



Hotel „Arka Noego”, o którym pułkownik wiedział od władzyki, był odpowiedni pod każdym względem z wyjątkiem cen. Sześć rubli za numer? Co to ma znaczyć? Pułkownikowi oczywiście wręczono pewną sumę z osobistego funduszu archijereja, zupełnie wystarczającą do opłacenia nawet tak kosztownego postoj, ale policmajster przejawiał rozumną pomysłowość, która w ogóle była mu w najwyższym stopniu właściwa: wpisał się do księgi gości i oznajmił o stanowczej decyzji wynajęcia tu pokoju na co najmniej trzy dni, a potem, przyczepiwszy się do widoku z okien, wcale się w „Arce” nie zatrzymał, tylko znalazł sobie oszczędniejsze przytulisko.

Hotelik „Przytułek Pokornych” brał od gości tylko po rublu, co dawało okrągłutkie pięć rubelków dziennie czystego dochodu. Z ojca Mitrofaniusza nie taki człowiek, żeby grzebać się w drobiazgach, a jeśli kiedyś konsystorski rewident przy kontroli księgowości wsadzi nos, gdzie nie trzeba, to proszę, oto notatka w księdze: F.S. Lagrange był w „Arce Noego”, wpisał się, a reszta to bzdury i domysły.

Policmajster przespał się w maleńkim pokoiku z widokiem na głuchą, ceglana ścianę klasztornej wędzarni ryb, z samego rana napił

się herbaty i natychmiast przystąpił do rozpoznania terenu. Wiadomości, które ekscelencja uzyskał od Aleksego Stiepanowicza Lentoczki, wymagały wszechstronnego i skrupulatnego sprawdzenia, ponieważ wszystko absolutnie budziło w nich wątpliwości, szczególnie zaś osobowość samego emisariusza, którego pułkownik trochę znał i w duchu nazywał nie inaczej, tylko „podskakiewiczem”. Osobnik, zasługujący – po bezceństwach, jakich dopuścił się w K. – na nadzór policyjny, nie dość, że był niepoważny i nieodpowiedzialny, to jeszcze miał pomieszane w głowie. Kto go tam wie, kiedy mu się w mózgu pomąciło, może już do Araratu przybył całkiem szurnięty, a w takim razie wszystko to, co pisał, to ambaje.

Doświadczony policmajster uzbroił się w plan Nowego Araratu, podzielił miasto na kwadraty i w dwie godziny przeczesał je wszystkie, przysłuchując się i przyglądając. Rzeczy godne uwagi zapisywał w specjalnym zeszyciku.

Przy małym zdroju z wodą leczniczą kilku godnie wyglądających pielgrzymów w sile wieku omawiało półgłosem ubiegłą noc, która zdarzyła się jasna, choć księżyc był już pod sam koniec ostatniej kwadry.

– Znowu go widziano – opowiadał, tajemniczo ściszywszy głos, pan w szarym cylindrze z żałobną krepą. – Psoj Timofiejewicz przez lunetę patrzył z dzwonnicy Zaczatjewskiej. Bliżej nie zaryzykował.

– I co? – przysunęli się słuchacze.

– Wiadomo co. On. Po wodzie przeszedł. Potem księżyc schował się za chmurę, a gdy znów wyjrzał, jego już nie było...

Opowiadający przeżegnał się, pozostali poszli za jego przykładem.

„Psoj Tim.” – zanotował Lagrange, żeby potem odszukać i przesłuchać świadka. Ale w trakcie rekonesansu usłyszał plotki o wczorajszym chodzeniu po wodzie nie raz i nie dwa. Okazało się, że oprócz nieznanego Psoja Timofiejewicza Mierzeję Postną

z bezpiecznej odległości obserwowało jeszcze kilku śmiazków i wszyscy coś tam widzieli, przy czym jeden twierdził, że Czarny Mnich nie po prostu chodził po wodzie, lecz unosił się nad nią. Inny zaś nawet wypatrzył za plecami Wasiliska błoniaste, jak u nietoperza, skrzydła (wiadomo, kto takie ma).

W jadłodajni „Tuczny Cielec” policmajster podsłuchiwał spór dwóch wiekowych dam na temat tego, czy należało chować żonę pławowego i niemowlę, które poroniła, w poświęconej ziemi i czy nie wyniknie z tego jakieś zbezczeszczenie klasztornego cmentarza. Nie przypadkiem trzy dni temu przy ogrodzeniu natknęła się na tamtego jedna baba, prosfornica, i tak się przestraszyła, że dotąd się jąka. Zgodziły się, że żonę pławowego to jeszcze jeszcze, ale płód nieochrzczony najroztropniej byłoby spalić, a prochy rozsypać na wietrze.

Na skwerze nad jeziorem siedzieli na ławeczce siwobrodzi mnisi, należący do klasztornej starszyny. Statecznie, półgłosem rozprawiali o tym, że każda wątpliwość w sprawach wiary prowadzi do chwiejności i pokus, a jeden starzec, którego pozostali słuchali ze szczególną uwagą, zalecał zamknąć Pustelnię Wasiliskową na pewien czas, żeby się przekonać, czy Orędownik się nie uspokoi, a jeśli rzeczywiście rozrabiać przestanie, to znaczy, że trzeba Wyspę Rubieżną pozostawić niezamieszkaną, jako miejsce niedobre, może nawet potępione.

Pułkownik postął za ławeczką, udając, że rozkoszuje się widokiem gwiaździstego nieba (księżyc tej nocy z przyczyn astronomicznych świecił nieobecnością), po czym poszedł dalej.

Nasłuchiwał się jeszcze różności. Okazuje się, że Wasiliska nocami widziano nie tylko na wodzie i koło cmentarza, ale nawet w samym Araracie: niedaleko spalonej cerkiewki pod wezwaniem Kosmy i Damiana, na murze klasztornym, w Grocie Getsemańskiej.

I każdemu, komu się objawiał, wskazywał ostrzegawczo w stronę Wyspy Rubieżnej.

Wychodziło więc na to, że relacjonując fakty, „podskakiewicz” nie łągał. Niektóre zjawiska, na razie nieustalonego celu i znaczenia, rzeczywiście miały miejsce. Pierwsze zadanie śledztwa można było uważać za wykonane.

Kolejność dalszych czynności śledczych nasuwała się następująca: przyjąć zeznania doktora Korowina i przesłuchać szalonego Lentoczki, oczywiście jeśli nie stracił do końca zdolności do artykułowanej wypowiedzi. Dopiero potem, zebrawszy wszystkie wstępne informacje, zastawić zasadzkę na Mierzei Postnej, a wreszcie koniecznie aresztować widmo i ustalić jego prawdziwą tożsamość.

Krótko mówiąc – zadanie niezbyt skomplikowane. Zdarzało się panu policmajstrowi rozplątywać bardziej przemyślnie kłębki.

Pora była już późna, nie nadawała się na wizytę w lecznicy, toteż pułkownik zawrócił w stronę „Przytułku Pokornych”, teraz już nie tyle przysłuchując się rozmowom przechodniów, ile po prostu przyglądając się panującym w Nowym Araracie porządkom.

Miasto panu pułkownikowi zdecydowanie się podobało. Czystość, przyzwoitość, trzeźwość. Ani włóczęgów, ani żebraków (kto by ich wpuścił na statek, żeby się dostali na wyspę?), ani przykrych dla oczu obszarpańców. Prości ludzie nieduchownego stanu – rybacy, rzemieślnicy – ubrani czysto, porządnie; baby w białych chustkach, na buzi okrągłe, a tak w ogóle przy kości. Wszystkie latarnie sprawnie się świecą, chodniki z gładko heblowanych desek, jezdnie solidne, z dębowej kostki, bez jednej szczyrby. W całej Rosji drugiego takiego wzorowego miasta bodajby się nie znalazło.

Nowy Ararat interesował pana policmajstra z jeszcze jednego, czysto profesjonalnego powodu. Miasteczko powstałe z podklasztornego przedmieścia, położone na terytorium kościelnym,

nie trafiło na etat powiatowy i jako znajdujące się pod bezpośrednim zarządem archimandryty nie miało zwykłych organów administracyjnych. Lagrange wiedział z gubernialnej statystyki, że na wyspach nigdy nie zdarzają się przestępstwa ani żadnego rodzaju nieszczęśliwe wypadki. Ciekawiło go, jak tu obywają się bez policji, bez urzędników, bez strażaków.

Na to ostatnie pytanie odpowiedź otrzymał szybko – jakby ktoś specjalnie umyślił urządzić dla zawołzkiego policmajstra naoczną prezentację.

Przechodząc przez centralny plac miasteczka, Lagrange usłyszał hałas, krzyki, alarmujący dźwięk dzwonu. Zobaczył małych chłopców, biegnących gdzieś z nadzwyczaj rzeczowymi i skupionymi minami. Wciągnął powietrze swym wrażliwym na niezwykle wydarzenia nosem, poczuł zapach dymu i zrozumiał: pali się.

Przyspieszył kroku i ruszył w ślad za chłopaczkami. Skręcił za róg, potem jeszcze raz, i proszę: niczym rozkwitły w ciemnościach purpurowy krzak płonęła „Kryniczna”, drewniany pawilon w pseudoklasycznym stylu. Płonął zaciekle, niepowstrzymanie, widocznie iskry z wiaderka z żarem trafiły, gdzie nie trzeba, a kucharz się zagapił. O, jest, w białym czepcu i skórzanym fartuchu, a z nim dwóch kuchcików. Biegają wokół gorejącego krzewu, rękoma machają. Ale co tu machać, przepadł zakład, ugasić nie da rady – ocenił pułkownik doświadczonego okiem. Byle się na sąsiedni dom nie przerzuciło. Ech, przydałby się brandmajster.

I od razu, dokładnie w tej samej chwili, zza zakrętu rozległ się dźwięk dzwoneczków, stukot kopyt, różne brzęczenie i na oświetloną pożarem ulicę wpadły jeden po drugim dwa zaprzęgi.

Pierwszym była rażna wrona trojka, w której stał wyprostowany bardzo wysoki, chudy mnich w fioletowej skufii, z drogocennym krucyfiksem na piersi (sam archimandryta, od razu domyślił się Feliks

Stanisławowicz na widok krzyża). A w ślad za nim pędziła szóstka bułanych, ciągnąc za sobą najnowocześniejszy wóz strażacki, jakiego w Zawołzsku jeszcze nawet nie widziano. Na błyskającym mosiężnymi bokami cacku siedziało siedmiu mnichów w wypolerowanych do blasku hełmach, z bosakami, kilofami i toporami w rękach.

Czcigodny ojciec jeszcze w biegu zeskoczył na ziemię i gderliwym głosem zaczął wydawać komendy, które strażacy wykonywali z zachwycającą precyzją.

W mgnieniu oka rozwinęli brezentową kioskę, włączyli pompę na becze z wodą i na początek porządnie zlał sąsiednią budowlę, która się jeszcze nie zajęła, a dopiero potem wzięli się do płonącego pawilonu.

Nie minęło pół godziny, a nieliczne przecież niebezpieczeństwo było całkowicie zażegnane. Mnisi bosakami rozrzucaли opalone bierwiona; dymiały mokre, ugaszone węgle; ojciec Witalis, podobny do zwycięskiego wodza pośród zaśląnego trupami pobojuwiska, surowo przestuchiwał zgnębionego kucharza.

To ci pop – pomyślał z uznaniem Lagrange. Szkoda, że nie poszedł po linii wojskowej, wyszedłby z niego doskonały dowódca pułku. A może i wyżej: generał dywizji.

Wyjaśniła się też sprawa policji. Ni stąd, ni zowąd – pożar jeszcze buzował na całego – pojawiło się pół plutonu roślących czerńców w skróconych habitach, wysokich butach, z opaskami na rękawach. Dowodził nimi potężny, czerwonomordy jeromonach, na oko – typowy rewirowy. Każdy miał przytroczoną u pasa imponującą gumową pałę – najbardziej pod każdym względem humanitarny wynalazek Nowego Świata: jeśli jakiegoś rozrabiakę stuknąć taką sztuczką po czaszce, mózgu mu nie rozbryzga, ale do zastanowienia przywiedzie.

Mnisi raz-dwa otoczyli łańcuchami pogorzelnisko i odsunęli tłum, do czego nie musieli używać pałek – gapie bez protestu podporządkowali się zaleceniom stróżów porządku.

I pan policmajster zrozumiał, dlaczego na wyspach jest porządek, nie ma natomiast przestępstw. Mnie by się takie zuchy przydały – pomyślał zawistnie.

Wracając na nocleg cichymi, szybko pustoszejącymi ulicami, miał przyptyw natchnienia. Pod wrażeniem tego, co widział, przyszła pułkownikowi do głowy porywająca idea powszechnej przebudowy żandarmerii i policji.

Gdyby tak założyć jakiś rycersko-mnisi zakon w rodzaju krzyżackiego, żeby ustanowić solidny fundament pod cały gmach rosyjskiej państwowości – marzył Feliks Stanisławowicz. Przyjmować tam spośród chętnych do służby najlepszych i najbardziej oddanych tronowi, którzy składaliby śluby trzeźwości, absolutnego posłuszeństwa dowództwu, nieprzekupności i celibatu. Ślub czystości raczej nie jest potrzebny, ale celibat – owszem, przydałby się. Wybawiłoby to od wielu problemów. To znaczy: szeregowi policjanci, a nawet oficerowie niższych szarż, mogliby nie być członkami zakonu, ale wysoką pozycję w hierarchii osiągaliby tylko ci, co złożyli śluby. Jednym słowem – byłoby jak w stanie duchownym, gdzie jest duchowieństwo zakonne i świeckie. Wtedy dopiero nastaloby prawdziwe królestwo porządku i dyktatura absolutnej praworządności!

Pułkownik tak się zapalił do tych wielkich planów, tak dobrze stuknęło mu się obcasami po dębowym trotuarze, że omal nie przemaszerował obok „Przytułku Pokornych” (o co w ciemności nie było trudno, ponieważ szylid przybytku oświecał tylko blask gwiazd).

Służka dobroczynnego zakładu oderwał się od obszarpanej książki, niewątpliwie nabożnej treści, spojrzął z niechęcią na gościa sponad

swoich metalowych okularów, chwilę poruszał bezgłośnie wargami i wreszcie powiedział:

– Osoba do pana była.

– Jaka osoba? – zdziwił się Lagrange.

– Płci żeńskiej – jeszcze chłodniej odrzekł portier. – W wielkim kapeluszu, z siatką na twarzy. Wyglądu niemodlitewnego.

Ona! – zrozumiał Feliks Stanisławowicz, kiedy usłyszał o „siatce”. Jego mężne serce załomotało szybko i mocno.

Skąd wiedziała, gdzie się zatrzymał?

Ach – natychmiast odpowiedział sam sobie policmajster – miasto niewielkie, hoteli niedużo, a on jest mężczyzną rzucającym się w oczy. Znaleźć go nie było trudno.

– Wiesz, kim jest ta dama? – spytał, pochylając się do portiera. – Jak się nazywa?

Chciał nawet położyć na kontuarze dziesiątkę albo piętnaście kopiejek, ale zamiast tego walnął pięścią.

– No!

Służący popatrzył na wyjątkowo potężną pięść z uszanowaniem, niechęć we wzroku przygasił i przyozdobił swą mowę unizonymi słówkami.

– Nie wiadomo jest nam. W mieście za pozwoleniem waszej wielmożności ją widywaliśmy, ale do nas tu po raz pierwszy zawitać raczyła.

Uwierzyć w to było łatwo – przepiękna i wytworna dama nie miała czego szukać w takiej norze.

– A i zapiskę do łaskawego pana zostawiła, proszę uniżenie.

Pułkownik chwycił zaklejoną wąską kopertę, powąchał. Pachniało korzennym, ostrym aromatem, od którego nozdrza pana Feliksa omdlewająco zadrżały.

Wszystkiego dwa słowa: „Północ. Synaj”.

O co chodzi?

Miodem spływające serce natychmiast podpowiedziało policmajstrowi: to czas i miejsce spotkania. No, co do czasu, to wszystko zrozumiałe – godzina dwunasta minut zero zero. Ale co to takiego „Synaj”? Oczywiście jakaś przenośnia.

Myśl, nakazał sobie Lagrange, nie przypadkiem jego ekscelencja pan gubernator powiedział wtedy: „Zadziwia mnie, pułkowniku, chyżość pańskiego umysłu”. Najważniejsze, że do północy pozostało tylko trzy kwadransy!

– Synaj, Synaj, bądź tu mądry... – z zadumą zanucił pan Feliks na melodię szansonetki Bukiet miłości.

Portier, wciąż jeszcze pod wrażeniem policmajstrowego kułaka, spytał usłużnie:

– Synajem interesuje się wasza wielmożność? Niepotrzebnie, pozwalam sobie zauważyć. O tej godzinie nikogo tam nie ma. Kaplica Świętego Mikołaja zamknięta, wcześniej niż jutro nie dostanie się tam łaskawy pan.

I wyjaśniło się, że Synaj to wcale nie święta góra, na której Mojżesz rozmawiał z Panem, a ściślej – nie tylko ona, ale i znana nowoararacka ciekawostka, skała nad jeziorem, na której odprawia się modlitwy do świętego Mikołaja.

Królewska lakoniczność bileciku robiła wrażenie. Ani „czekam”, ani „przybądź”, ani co to takiego „Synaj”. Niezachwiana pewność, że on wszystko zrozumie i natychmiast przyleci na zew. A przecież widziała go tylko przez chwilę. O bogini!

Dopytawszy się, jak dojść do Synaju (wiorsta z kawałkiem na zachód od klasztoru), policmajster udał się na nocną schadzkę.

Dusza zamierała mu od czarownych przeczuć, a jeśli coś rzuciło cień na jego zachwyty, to tylko wstyd za ubóstwo „Przytułku”. Powiedzieć, że przybył incognito, z tajną misją, w szczególności się nie

wdawać – umyślił sobie na poczekaniu pułkownik. Bez szczegółów nawet lepiej wyjdzie, bardziej tajemniczo.

Ulice Nowego Araratu przed nocą jakby wymarły. Na całej drodze do klasztoru Lagrange napotkał tylko jedno żywe stworzenie – kota, w dodatku czarnego.

Idąc wzdłuż białych ścian klasztoru, potem koło cerkiewki przy furcie, pułkownik dotarł do skraju lasu. Szedł jeszcze przez jakiś kwadrans szeroką, dobrze udeptaną, z lekka wznoszącą się ścieżką, aż zza drzew wyłoniło się wzgórze ze spiczastą wieżyczką; za nim nie było już nic oprócz czarnego, usianego gwiazdami nieba.

Feliks Stanisławowicz żwawym krokiem wbiegł na górę i zatrzymał się: zaraz za kaplicą wzgórze się urywało. Daleko w dole, pod urwiskiem, pluskała woda, lśniły okrągłe głazy, a dalej rozlewało się bezbrzeżne Jezioro Modre, miarowo kołysząc swoją płynną masę.

Niezły krajobraz – pomyślał Lagrange i zdjął czapkę, nie z podziwu dla majestatu przyrody, tylko żeby mu angielskiego nakrycia głowy wiatr nie zdmuchnął.

Ale gdzie ona? Czy nie zażartowała sobie z niego?

Nie! Od drewnianej ściany oderwała się szczupła postać i zbliżyła powoli. Strusie pióra trzepotały nad kapeluszem, woalka jak leciutka pajęczynka furkotała przed twarzą. Ręka w długiej rękawiczce (już nie szarej jak przedtem, lecz białej) podniosła się, przytrzymując brzeg kapelusza. Właściwie widać było tylko te białe ręce, poruszające się ptasimi ruchami, bo czarna suknia tajemniczej osoby zlewała się z ciemnością.

– Pan jest silny, od razu wyczytałam to w pańskiej twarzy – powiedziała panna bez żadnych wstępów niskim, piersiowym głosem, od którego pan Feliks czemuś zaczął dygotać. – Teraz spotyka się tylu słabych mężczyzn, wasza płęć się wyradza. Wkrótce, za jakieś sto lub dwieście lat, mężczyzn nie będzie można odróżnić od kobiet. Ale pan

jest inny. A może się mylę?

– Nie! – zawołał policmajster. – Wcale się pani nie myli. Jednakże...

– Powiedział pan „jednakże”? – przerwała mu tajemnicza nieznajoma. – Nie przesłyszałam się? Tego słowa używają tylko słabi mężczyźni.

Feliks Stanisławowicz przestraszył się bardzo, że panna zaraz się odwróci i zniknie w ciemności.

– Chciałem powiedzieć „jedna”, ale z przejęcia pomyliłem się – wybrnął policmajster. – Jedna gwiazda, odwieczna moja opiekunka, przyprowadziła mnie na tę wyspę, podpowiedziała sercu, że tu, właśnie tu, spotka ono nareszcie tę, o której marzyło przez długie...

– Nie mam teraz głowy do kwiecistych głupot – znów przerwała mu pięknotka, a słabe światło gwiazd odbiło się w jej oczach i wielokrotnie pojaśniało, zaiskrzyło. – Jestem w rozpacz i tylko dlatego zwracam się o pomoc do pierwszego napotkanego. Po prostu tam, na przystani, wydało mi się, że... że...

Jej czarodziejski głos zadrżał i z głowy Lagrange’a wyleciały naraz wszystkie z góry przygotowane uwodzicielskie tyrady.

– Co? – wyszeptał. – Proszę powiedzieć, co się pani wydało. Na Boga!

– ...że pan może mnie uratować – ledwie dosłyszalnie dokończyła nieznajoma i zwiewnie machnęła ręką.

Jakby ranny ptak zatrzepotał skrzydłem – pomyślał namiętny pułkownik, widząc, jak biała dłoń zakreśla koło pośród nocnej czerni.

Głęboko wstrząśnięty zawołał:

– Nie wiem, jakie nieszczęście panią spotkało, ale daję oficcerskie słowo, że zrobię wszystko! Wszystko! Proszę mi opowiedzieć!

– I nie przestraszy się pan? – zajrzała mu pytająco w twarz. – Widzę. Pan jest dzielny.

Potem nagle odwróciła się i wprost przed oczami pułkownika

znalazła się jej biała, smukła szyja. Lagrange chciał przyłgnąć do niej wargami, ale nie ośmielił się. No, to ci dzielny...

– Jest pewien człowiek... Straszny człowiek, prawdziwy potwór. Przekleństwo mojego życia. – Dziewczyna mówiła powoli, jakby każde słowo przychodziło jej z trudem. – Nie podam panu teraz jego nazwiska, jeszcze za mało pana znam... Proszę tylko powiedzieć, czy mogę panu ufać.

– Bez żadnej wątpliwości – odpowiedział pułkownik, który natychmiast się uspokoił. Łajdak dręczący nieszczęśliwą pannę – też mi rzadkość! Zawrze znajomość z pułkownikiem Lagrange'em i będzie jak z jedwabiu. – Czy on jest tutaj, ten pani człowiek? Na wyspie?

Panna obejrzała się na policmajstra, co pozwoliło mu przez chwilę rozkoszować się jej nieskazitelnym profilem. Kiwnęła głową.

– Doskonale. Jutro muszę się spotkać z pewnym miejscowym doktorem, niejakim Korowinem, i z jednym jego pacjentem. A pojutrze będę już całkowicie do pani dyspozycji.

W tym momencie dziewczyna odwróciła się do Lagrange'a i pokiwała głową, jakby czemuś nie wierzyła lub w coś powątpiewała. Po długiej pauzie (jak długiej, powiedzieć trudno, ponieważ od lśnienia oczu nieznanemu pan Feliks osłupiał i utracił rachubę czasu) delikatne wargi poruszyły się i wyszeptały:

– No cóż, tym lepiej.

Panna porywczo zdjęła rękawiczkę i królewskim gestem podała pułkownikowi rękę do pocałunku.

Ten przywarł ustami do wonnej, nieoczekiwanie gorącej skóry. Od dotknięcia zakręciło mu się w głowie – normalnie, jak po kilku sztofach ponczu.

– Dość – powiedziała panna i Lagrange znów nie ośmielił się upierać. Zmieszał się nawet. Tego jeszcze brakowało!

– Jak... Jak pani się nazywa? – spytał, dysząc ciężko.

– Lidia Jewgieniewna – z roztargnieniem odpowiedziała panna, zrobiła krok w kierunku pułkownika i popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem.

Feliks Stanisławowicz odwrócił się. Stali na samym skraju skały. Jeszcze krok do tyłu i zwałiby się z urwiska. Lidia Jewgieniewna jęknęła:

– Ja już tu nie mogę! Chcę tam, tam!

Zamaszystym gestem wskazała jezioro, a może niebo. A może wielki świat, skryty za ciemnymi wodami?

Rękawiczka wyslizgnęła jej się z palców, zakreśliła w pustce wyszukanego kształtu spiralę i poleciała w dół. Dotykając się ramionami, schylili się oboje i zobaczyli w dole, na kamienistym występie, białą plamkę, poruszającą się na wietrze.

Trzeba będzie zejść? – wzdrygnął się w myśli policmajster, ale palce już same rozpinały marynarkę.

– Głupstwo – powiedział chwacko Feliks Stanisławowicz w nadziei, że ona go powstrzyma. – Zaraz przyniosę.

– Tak, nie pomyliłam się co do niego. – Lidia Jewgieniewna pokiwała głową sama do siebie, po czym pułkownik był gotów już nawet nie schodzić, ale jaskółką lecieć w dół. Strach minął jak ręką odjął.

Czepiając się korzeni, ostrożnie wymacując stopami kamienie i najdrobniejsze występy, zaczął schodzić. Dwa razy omal się nie sturlał, ale Bóg strzegł. Poruszający się biały strzępek był coraz bliżej. Dobrze chociaż, że rękawiczka nie poleciała na sam dół, tylko zaczęła się w połowie urwiska.

No, jest, kochana!

Lagrange dosięgnął rękawiczki, wsunął jedwabne trofeum za pazuchę. Popatrzył w górę. Do krawędzi urwiska było dość daleko, ale mniejsza o to – łatwiej się wspinać niż schodzić.

Wydostał się na górę nieprędko, cały obłocony, zasapany, mokry od potu.

– Pani Lidio, oto rękawiczka! – obwieścił tryumfalnie, rozglądając się wkoło.

Ale na wzgórzu żadnej pani Lidii nie było. Znikła.



– Powiada pan zatem, że jest jego wujem? – upewnił się Korowin, uważnie przyglądając się panu Feliksowi i czemuś zatrzymując dłużej wzrok na szyi gościa. – I pracuje pan, jak rozumiem, w banku?

Lagrange już blisko godzinę tkwił w gabinecie doktora, a żadnego pożytku z tego na razie nie odniósł. Donat Sawwicz okazał się trudnym rozmówcą, obróbce psychologicznej na zasadach wypracowanych przez najtęższe głowy departamentu policji i korpusu żandarmerii poddawać się nie chciał.

W pełnej zgodzie z najnowszymi osiągnięciami teorii przesłuchań, policmajster spróbował od pierwszej minuty znajomości ustanowić właściwą hierarchię, wyznaczyć, kto jest „ojcem”, a kto „synem”. Mocno uścisnął dłoń chuderlawemu, gładko wygolonemu doktorowi, uważnie spojrzawszy mu prosto w oczy i z przyjemnym uśmiechem powiedział:

– Doskonały jest ten pański zakład. Słyszałem, czytałem, jestem pod wrażeniem. To po prostu szczęście, że nasz Aloszka trafił w takie niezawodne ręce.

Komplement został celowo wygłoszony cicho, cichuteńko, żeby oponent od razu zaczął się wsłuchiwać, naprężył mięśnie karku i mimo woli pochylił głowę. Oprócz tego, zgodnie z prawem zwierciadlanego odbicia, Korowin powinien był po takim wstępie zacząć mówić głośno, wytężając struny głosowe. W ten sposób pierwszy etap kształtujących się stosunków zakończyłby się

pomyślnie, wstępna przewaga psychologiczna zostałaby osiągnięta.

Doktor jednak nie gorzej od policmajstra władał metodą dyskursywnego pozycjonowania. Widocznie wyćwiczył się na swoich pacjentach. Gdyby rozmowa toczyła się nie na terytorium Donata Sawwicza, tylko w jakimś surowym gabinecie z portretem Jego Cesarskiej Mości na ścianie, przewaga byłaby po stronie pułkownika, a tak to cóż, trzeba było zmieniać krok w biegu.

Lekarz, energicznie ściskając dłoń pułkownika, nie opuścił wzroku, a na pochlebne słówka ledwie dosłyszalnie wymówił: „Daruj pan, jakie tam szczęście”. Lagrange od razu zrozumiał, że nie na byle kogo trafił. Gospodarz posadził gościa w nadzwyczaj wygodnym, ale bardzo niskim fotelu z nieco odchylnym do tyłu oparciem, sam zaś usiadł przy biurku, tak że pan Feliks musiał patrzeć na Korowina z dołu. Doktor przejął też od razu inicjatywę dialogu.

– Bardzo dobrze, że tak prędko pan przyjechał. No cóż, proszę szybko opowiadać.

– Co opowiadać? – zmieszał się Lagrange.

– Jak to co? Całe życie pańskiego siostrzeńca, od pierwszych dni. Kiedy zaczął podnosić główkę, w którym miesiącu zaczął chodzić, do jakiego wieku siusiał w łóżku. I o przodkach także, ze wszystkimi szczegółami. Młody człowiek był u mnie raz, jeszcze przed załamaniem, i przeprowadziłem wstępny wywiad, ale trzeba zweryfikować dane...

Przeklinając sam siebie za źle wybraną legendę, policmajster zaczął fantazjować i odpowiadać na milion różnych idiotycznych pytań. Przejść do rzeczy wciąż w żaden sposób mu się nie udawało.

– Tak, pracuję w banku – odpowiedział. – Wołżańsko-Kaspijskim. Jako starszy biuralista.

– Aha, biuralista. – Donat Sawwicz westchnął, wyjął papierosa ze złotej papierośnicy z brylantowym monogramem, zdmuchnął z niej

drobinę tytoniu. – A skąd u pana ten odcisk wokół szyi? O, tutaj. Takie coś powstaje u wojskowych od stałego kontaktu z kołnierzem munduru... Albo u żandarmów.

Czort, nie doktorek! Przez bitą godzinę znęcał się, zmuszał do wymyślania najrozmaitszych bzdur o wietrznej ospie, którą przeszedł w dzieciństwie ubóstwiany siostrzeniec, i o jego onanistycznych skłonnościach, a doskonale wszystko wiedział!

Pułkownik Lagrange uśmiechnął się dobrodusznie i rozłożył ręce, jakby oddając należny hołd przenikliwości rozmówcy. Znów trzeba było zmieniać taktykę.

– Nno tak, doktorze Korowin. Na plewy się pana nie weźmie. Ma pan zupełną rację. Nie jestem biuralistą Czerwiakowem. Jestem zawołzkim policmajstrem, nazywam się Lagrange. Rozumie pan przecież, że człowiek o mojej pozycji drobiazgami nie będzie się zajmował. Przybyłem tu w sprawie nadzwyczajnej wagi, choć w charakterze nieoficjalnym. Rzecz jest związana...

– Z pewnym mnichem, który jakby nigdy nic spaceruje po wodzie i straszy nocami głupich pocziwców – podchwycił przebiegły doktor, wypuszczając kółeczko dymu. – A czym to, przepraszam za pytanie, owo widmo zainteresowało pańską wszechwęszącą... to jest, chciałem powiedzieć... wszechwiedzącą instytucję? Czyżby dopatrzyła się ona w świętym Wasilisku tego sławetnego widma, którym straszą wyzyskiwaczy panowie marksiści?

Lagrange spurpurowiał, gotów przywołać rozzuchwalonego konowała do porządku, kiedy zaszła pewna dziwna okoliczność.

W tym dniu, w przeciwieństwie do poprzedniego słonecznym i niezwykle ciepłym, okna gabinetu zostawiono otwarte. Pogoda była rozkoszna. Ani obłoczka, ani wietrzyka – nic, tylko złoto listowia i łagodne drzenie powietrza. Ale odemknięte skrzydło żaluzji nagle poruszyło się – tylko odrobinę, lecz przed profesjonalnym wzrokiem

policmajstra ta anomalia się nie ukryła. Ach, tak – zakonotował sobie w pamięci pan Feliks. Zobaczymy, co będzie dalej.

Popatrując kątem oka na ciekawą żaluzję, pułkownik ściszył głos.

– Nie, drogi panie doktorze, widma komunizmu Czarny Mnich wcale nie przypomina. Obserwujemy natomiast niepewność i niepokój wśród ludności, a to już jest nasza sprawa.

– A zatem Lentoczkin to wasz tajniak? – Korowin pokiwał głową ze zdziwieniem. – Nigdy bym nie pomyślał. Widać, że chłop zdolny, daleko by zaszedł. Ale teraz to, niestety, wątpliwe. Szkoda chłopaczka, bardzo, bardzo z nim źle. A najgorsze, że nie mogę znaleźć żadnego, choćby trochę podobnego precedensu medycznego. Nie mam pojęcia, jak przystąpić do leczenia. A czas mija, drogocenny czas. Długo on tak nie pociągnie...

Rozmowa wreszcie zesłała na sprawy poważne.

– Co on panu opowiedział o wydarzeniach tej nocy? – spytał pułkownik i wyjął notes.

Doktor wzruszył ramionami.

– Nic. Po prostu nic. Był w takim stanie, że nie mógł opowiadać.

Ja mu się nie podobam – stwierdził w myśli Lagrange, i to do tego stopnia, że nie uważa za konieczne tego ukrywać. No, ale nic, kochaneczku, fakciki, tak czy inaczej, mi przedstawisz, od tego nigdzie nie uciekniesz.

Na głos nic nie powiedział, tylko wyraziście postukał ołówkiem po papierze: niby – proszę mówić dalej, ja słucham.

– W zeszły wtorek, czyli równo tydzień temu, o świcie obudził mnie odźwierny. Do domu dobijał się pański „siostrzeniec”, potargany, podrapany, z wytrzeszczonymi oczyma i kompletnie goły.

– Jak to? – nie uwierzył Feliks Stanisławowicz. – Zupełnie goły? I tak szedł przez wyspę?

– Tak goły, że bardziej nie można. Powtarzał cały czas jedno i to

samo: Credo, Domine, credo! Ponieważ był u mnie już przedtem, kiedy...

Wiem, wiem – niecierpliwie pokiwał głową pułkownik – dalej.

– Ach, nawet tak? – Doktor potarł nasadę nosa. – Czyli o swojej pierwszej wizycie zdążył panu zameldować... Krótko mówiąc, zobaczywszy, w jakim jest stanie, kazałem go wpuścić do środka. Ale co tam! Krzyczy, wyrywa się... Dwóch sanitariuszy nie potrafiło go zaciągnąć do izby przyjęć. Próbowali narzucić na niego kołdrę, zimno przecież – to samo: szarpie się, wszystko z siebie zrywa. Z rozpędu włożyli mu kaftan bezpieczeństwa, ale wtedy dostał takich konwulsji, że kazałem zdjąć. W ogóle jestem przeciwnikiem siłowych sposobów leczenia. Nie od razu, wcale nie od razu zrozumiałem...

Donat Sawwicz zdjął okulary, niespiesznie przetarł szkła i dopiero potem ciągnął dalej swoją opowieść.

– Mmm, tak... Nie od razu zrozumiałem, że mam do czynienia z niebywale ostrym przypadkiem klaustrofobii, kiedy to chory nie tylko boi się wszelkich zamkniętych pomieszczeń, ale nawet nie znosi żadnego odzienia... Powiadam panu – arcyrzadki przypadek, nie spotkałem takiego ani w podręcznikach, ani w prasie medycznej. Dlatego zostawiłem tu pańskiego „siostrzeńca” w celu zbadania. W dodatku nie wydaje się, by można było go stąd wyprawić. Przede wszystkim przeziębienie. I w ogóle, jak wieść takiego na golasa, nie ubliżając obyczajności publicznej. Pielgrzymi będą zgorszeni, a i archimandryta mnie po główce nie pogłodzi.

Lagrange zmarszczył czoło, przetrawiając w duchu zdumiewające wiadomości. O niespokojnym skrzydle żaluzji (które zresztą więcej już się nie ruszało) nawet nie pamiętał.

– Zaraz, doktorze, ale... To w końcu gdzie go pan trzyma? Gołego na ulicy czy jak?

Korowin wydał z siebie zadowolony, protekcyjny śmieszek

i wstał.

– Chodźmy, panie starszy biuralisto, sam pan zobaczy.



Lecznica doktora Korowina leżała w najpiękniejszym miejscu wyspy Kanaan, na płaskim, lesistym wzgórzu, wznoszącym się na północ od miasteczka. Lagrange'a już na początku zdziwił brak jakichkolwiek płotów i bram. Dróżka, wyłożona przyjemną dla oka żółtą cegłą, wiała się wśród łączek i zagajników, gdzie w pewnej odległości od siebie stały domki najrozmaitszej konstrukcji: murowane, z bierwion, z desek; czarne, białe i kolorowe; ze szklanymi ścianami i w ogóle pozbawione okien; z wieżyczkami i mahometańskimi płaskimi dachami – jednym słowem, diabli wiedzą co. Ta dziwaczna osada przypominała trochę obrazek z książki Miasteczko w tabakierce, którą maleńki Feluś bardzo lubił w dzieciństwie, ale od tej pory minęło prawie czterdzieści lat i gusta pułkownika Lagrange'a mocno się zmieniły.

Pierwsze wrażenie, jeszcze przed nawiązaniem znajomości z Donatem Sawwiczem, było następujące: powierzono leczenie umysłowo chorych jeszcze większemu wariatowi. Gdzie mają oczy kuratorzy gubernialni?

Teraz natomiast, idąc za doktorem w głąb terytorium lecznicy, pułkownik nie patrzył już na domki dla lalek, lecz miał na oku ciągnące się wzdłuż ścieżki gęste krzaki głogu. Ktoś tam, z drugiej strony, skradał się, i to niezbyt zręcznie – szeleścił opadłymi liśćmi, trzaskał gałązkami. Łatwo by było dwoma skokami znaleźć się po tamtej stronie żywej przegrody i chwycić tuptacza za orzydle, ale Lagrange postanowił się nie spieszyć.

Skreśli w wąską ścieżynkę, wzdłuż której ciągnęły się oszklone szklarnie z grządkami jarzyn, z kwiatami i drzewkami owocowymi.

No, to się chwali – zaaprobował pułkownik, widząc za przezroczystymi ścianami i truskawki, i pomarańcze, i nawet ananasy. Wyglądało na to, że Korowin umie żyć ze smakiem.

W centralnej oranżerii, przypominającej jakiś miraż oceaniczny – pełną bujnej zieleni tropikalną wyspę, królującą nad matowymi północnymi wodami – lekarz się zatrzymał.

– Proszę – pokazał. – Dziewięćset sążni kwadratowych palm, bananowców, magnolii i orchidei. Kosztowało mnie sto czterdzieści tysięcy. Za to wyszedł z tego prawdziwy eden.

I tu cierpliwość Lagrange’a wreszcie się wyczerpała.

– Posłuchaj mnie pan, lekarzu-lecz-się-sam! – Pułkownik groźnie wybałuszył oczy. – Czy ja, pańskim zdaniem, kwiatki tu przyjechałem wachać? Proszę mnie tu nie czarować! Gdzie Lentoczkin?!

W gniewie pan Feliks bywał straszny. Drętwieli nawet portowi policjanci, co niejedno przecież widzieli. Ale Donat Sawwicz nawet oka nie zmrużył.

– Jak to gdzie? Tam! Pod szklanym niebem, pośród rajskich krzewów. – I pokazał ręką oranżerię. – Sam się tam skrył, zaraz pierwszego dnia. Wymarzone dla niego miejsce. Ciepło, ścian ani dachu nie widać. Zgłodnieje – zje jakiś owoc. Woda też jest, wodociąg na miejscu. Chciał pan zobaczyć „siostrzeńca”? Bardzo proszę. Tylko że on stroni od ludzi. Może się schować, to prawdziwa dżungla.

– Nie szkodzi, znajdziemy – powiedział pewnym głosem policmajster, szarpnął drzwi i wkroczył w wilgotny, lepki upał, od którego od razu rozmiękł kołnierzyk, a w plecy załaskotał strumyczek potu.

Pan Feliks przebiegł kłusem po głównej alejce, obracając głową na prawo i lewo.

Donat Sawwicz od razu został w tyle.

Aha! Za bujną rośliną o nieznanym pułkownikowi nazwie –

jadowicie zieloną, z drapieżnymi, czerwonymi pąkami – mignęło coś cielistej barwy.

– Aleksy! – krzyknął policmajster. – Lentoczkin! Stój pan!

Ale gdzie tam! Zachwiały się czerwone, lśniące liście, rozległ się lekki szelest uciekających nóg.

– Doktorze, pan w lewo, ja w prawo! – zakomenderował Lagrange i rzucił się w pogoń.

Potknął się o jakąś grubą, wijącą się po ziemi łodygę i gruchnął płasko na ziemię. I to właśnie pomogło. Patrząc z dołu, pan Feliks zobaczył koniec stopy, wyzierający zza włochatego pnia palmy – o dziesięć kroków, nie więcej. Tam się kochaneczek schował.

Pułkownik podniósł się, otrzepał łokcie i kolana.

– No dobrze, doktorze! – krzyknął. – Niech będzie. Nie chce, to nie trzeba.

Powoli ruszył przez zarośla, po czym – hop w bok i chwycił za ramiona gołego człowieka.

Tak, to on. Aleksy, syn Stiepana, Lentoczkin, szlachcic, lat dwadzieścia trzy, żadnych wątpliwości. Włosy kasztanowe, wijące się, oczy błękitne (w danej chwili dziko wytrzeszczone), twarz owalna, budowa chuderlawa, wzrost – dwa arszyny osiem werszków.

– No, no, nie trzęś się – powiedział uspokajająco policmajster, bo dziwnie by mu było zwracać się do wariata z gołym tyłkiem per „pan”.
– Przyszyła mnie władyka Mitrofaniusz, przyjechałem ci pomóc.

Chłopak nie wyrywał się, stał spokojnie, tylko bardzo mocno dygotał.

– Teraz dam mu maleńki zastrzyk, żeby nie rozrabiał – rozległ się głos Korowina.

Okazało się, że doktor ma w kieszeni płaskie metalowe pudełeczko. W pół minuty Donat Sawwicz złożył strzykawkę i napełnił ją przezroczystym płynem z małej fiolki, ale Alosza nagle żałośnie

zapłakał i przypadł do piersi policmajstra. Nie wyglądało na to, by był skłonny do rozrabiania.

– Widzę, że się myliłem i pan rzeczywiście jest jego ukochanym wujkiem – zauważył chłodno Korowin, chowając przygotowaną strzykawkę do kieszeni.

– Idź pan do diabła – odciął się Lagrange i zaczął niezręcznie gładzić szaleńca po kędzierzawej potylicy. – Ajajaj, jak nas nastraszyły niedobre, brzydkie ludzie. A my im teraz damy popalić. A my im rachciach-ciach! Ja tego całego Wasiliska raz-dwa złowię, u mnie on sobie nie potańczy. Tylko nos wysunie i po nim.

Lentoczkin wciąż pochlipywał, ale już nie tak gorączkowo jak z początku.

Odsunawszy się nieco, pułkownik spytał przymilnie:

– A co to się stało, co? No, wtedy, w nocy? Mów, nie bój się.

– Tsss – zasyczał młody człowiek, przykładając palec do warg. – On usłyszy.

– Kto? Czarny Mnich? Nic on nie usłyszy. W dzień on śpi – powiedział Feliks Stanisławowicz, uradowany na dźwięk artykułowanych słów. – Ty mów po cichutku, to on się nie obudzi.

Zerknawszy bojaźliwie na Korowina, szaleniec przysunął się bliźiutko do Lagrange'a i wyszeptał mu do ucha:

– Krzyż to nie krzyż, tylko całkiem przeciwnie. Krrr po szkle, ściany trrr, sufit szszsz i nie uciekniesz. Drzwi maleńkie, nie da się przeleźć. A okienka to w ogóle o, takusieńkie. – Pokazał palcami. – Domek hop, skok, chatynka na kurzych nóżkach.

Aleksy Stiepanowicz zaśmiał się piskliwie, ale zaraz potem twarz wykrzywiło mu przerażenie.

– Powietrza nie ma! Ciasno! Aaa!

Zadygotał cały i zaczął mamrotać:

– Credo, Domine, credo, credo, credo, credo, credo, credo, credo,

credo, credo, credo, credo, credo...

Powtórzył łaciński wyraz sto, a może i dwieście razy i widać było, że prędko nie przerwie.

Lagrange chwycił chłopaka za ramiona i porządnie nim potrząsnął.

– Starczy! Mów, co dalej!

– A co tu mówić – powiedział nagle Lentoczkin spokojnym, rozsądnym tonem. – Idź tam, do chatynki na kurzych nóżkach. O północy. Sam wszystko zobaczysz. Tylko uważaj, żeby nie ścisnęło, bo serce pęknie. Bams – i bryzgi na boki!

Zgiął się wpół, zaniósł chichotem i teraz z kolei zaczął powtarzać w kółko:

– Bams! Bams! Bams!

– Starczy – oznajmił zdecydowanie Donat Sawwicz. – Pan działa na niego pobudzająco, a on i tak jest słaby.

Lagrange wytarł chustką pot z szyi.

– Jaka znów chatynka? Co on wygaduje?

– Pojęcia nie mam. Zwyczajne majaczenia – odpowiedział sucho doktor i zręcznie wbił choremu igłę w pośladek.

Lentoczkin prawie od razu przestał chichotać, przykucnął, ziewnął.

– Po wszystkim, idziemy. – Korowin pociągnął pułkownika za rękaw. – On zaraz zaśnie.

Lagrange opuścił oranżerię, pogrążony w głębokiej zadumie. Było jasne, że od „podskakiewicza” nie ma co oczekiwać pomocy. Wysłannik przewielebnego jest teraz kompletnym idiotą. No, ale nic, jakoś damy sobie radę sami. Dzień mamy dziś jasny, czyli i noc będzie jasna. Narodzi się nowy księżyc, najlepsza pora dla Czarnego Mnicha. Usiąść wieczorem w zasadzce na tej, jak jej tam, Mierzei Postnej. I złapać kochaneczka na gorącym uczynku, jak tylko się pojawi. Co z tego, że to widmo? Dwa lata temu, kiedy jeszcze służył w Kraju Przywiślańskim, pan Feliks osobiście aresztował Stasia Pijawkę,

samego Lubelskiego Wampira. Ten to był dopiero zręczny i obrotny, a przecież ani pisnął.

Ale przed powrotem do Araratu musiał wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

Wydostawszy się z tropików na pokrzepiający północny chłód, policmajster wsłuchał się w ciszę, postać jakieś pół minuty zupełnie nieruchomo, po czym raptownie rzucił się w krzaki i wywlókł z nich opierającego się człowieczka – tego samego podglądacza, który dopiero co skradał się wzdłuż ścieżki, a i pod oknem, należy sądzić, też podsłuchiwał, bo nie mógł to być nikt inny.

Okazało się, że to znajomy. Kto raz takiego zobaczy, ten już nie zapomni: czarny beret, płaszcz w krateczkę, fioletowe okulary, kłaczek bródki. Ten sam głuptas z przystani.

– Coś ty za jeden?! – ryknął pułkownik. – Czego tu szpiegujesz?

– Musimy! Koniecznie! O wszystkim! – zaterkotał konus, połykając słowa i całe kawałki zdań, tak że ogólnego sensu tej gadaniny nie dawało się pojąć. – Ja słyszałem! Najwyższe władze! Święty obowiązek! Bo to czort wie czym! Tu śmierć, a oni! I nikt, ani jeden! Głusi, ślepi, malinowi!

– Panie Sergiuszu, kochany, uspokój się pan – łagodnie powiedział Korowin do wrzeszczącego. – Znów dostanie pan konwulsji. Ten pan przyjechał do młodego człowieka, który mieszka w oranżerii. Co też pan sobie wyobraził? – I półgłosem wyjaśnił pułkownikowi: – Także mój pacjent, Sergiusz Nikołajewicz Lampe. Niezwykle utalentowany fizyk, ale z wielkimi dziwactwami.

– „Z dziwactwami”, niczego sobie – burknął Feliks Stanisławowicz, ale rozluźnił swoje żelazne palce i jeńca wypuścił. – Kompletny wariat, a jeszcze spaceruje sobie na wolności. Diabli wiedzą, co tu u was za porządki.

Pomyłony fizyk złożył błagalnie ręce i zawołał:

– Straszliwa pomyłka! Ja myślałem, tylko ja! A to nie ja! To jeszcze ktoś! To nie tak! Wszystko nie tak! Ale to nieważne! Trzeba tam! – wskazał palcem gdzieś w bok. – Komisja potrzebna! Do Paryża! Żeby Marysia i Tolek! Niech tutaj! Oni zobaczą, oni zrozumieją! Powiedźcie im wszystkim! Śmierć! I jeszcze będą!

Dosyć, wystarczy. Lagrange miał po uszy obcowania z idiotami. Niedelikatnie pokręcił palcem przy skroni i poszedł precz, ale umyślowo chory wciąż nie chciał się uspokoić. Prześcignął pułkownika, stanął przed nim, wczepił się rękoma w swoje idiotyczne okulary i zajęczał rozpaczliwie:

– Malinowa, malinowa głowa! Beznadziejny!



Żeby nie tracić czasu na wędrówkę po wijącej się wśród wzgórz ceglanej dróżce, policmajster obrał kurs wprost na dzwonnice monasteru, która niczym złota główka cebuli połyskiwała nad wierzchołkami drzew. Szedł przez niezbyt gęsty zagajnik, potem polaną, potem przez żółto-czerwone krzaki, za którymi znów otworzyła się polanka, a za nią wreszcie droga schodziła ze wzniesienia na równinę, tak że widać było doskonale i miasto, i klasztor, prawie pół wyspy i na dodatek jeszcze jezioro.

Na skraju polanki, w ażurowej altance, siedział jakiś człowiek w słomianym kapeluszu i kusej marynareczce. Usłyszawszy za plecami energiczny krok, nieznajomy krzyknął lękliwie i szybkim ruchem schował coś pod leżące obok na ławeczce palto.

Lagrange doskonale znał ten gest ze swojej policyjnej służby. Tak zaskoczony zniecka złodziej chowa swój łup. Można bez wahania łapać za kołnierz i żądać wywrócenia kieszeni – jakiś dowód winy z całą pewnością się znajdzie.

Złodziejaskowaty osobnik obejrzał się na pułkownika i posłał mu

miękki, wstydlivy uśmiech.

– Przepraszam, myślałem, że to... zupełnie inny człowiek. Ach, jak by to było nie w porę!

W tym momencie nieznajomy zauważył zawodowo podejrzliwe spojrzenie policmajstra i roześmiał się cicho:

– Pan pewnie pomyślał, że ja tu narzędzie mordy schowałem czy coś innego, okropnego? Nie, szanowny panie, to książka.

Podejrzany ochoczo uniósł palto, pod którym rzeczywiście leżała książka: dość gruba, w skórzanej brązowej oprawie. Jedno z dwojga: albo jakieś paskudztwo, albo coś politycznego. Inaczej – po co chować?

Ale policmajster nie miał teraz głowy do zakazanych lektur.

– Co mi do tego – burknął z rozdrażnieniem. – Co to za maniera czepiać się o głupstwa nieznajomego człowieka...

I poszedł sobie dalej, żeby zejść ścieżką do miasta.

Rozmowny pan rzucił w ślad za nim:

– Mnie i Donat Sawwicz wymawia, że za bardzo się narzucam i dokuczam ludziom. Przepraszam.

W głosie, którym wypowiedziano te słowa, nie było nawet cienia urazy. Lagrange zatrzymał się jak wkopany, ale nie dlatego, że pożałował swego grubiaństwa, tylko na dźwięk imienia doktora.

Pułkownik wrócił do altanki i popatrzył na nieznajomego uważniej. Odnotował ufnie rozwarte błękitne oczy, miękką linię warg, dziecinne, naiwne pochylenie jasnowłosej głowy.

– Jest pan zapewne jednym z pacjentów doktora Korowina? – upewnił się najgrzeczniej w świecie.

– Nie – odpowiedział blondyn i znowu wcale się nie obraził. – Jestem teraz zupełnie zdrow. Ale wcześniej rzeczywiście leczyłem się u Donata Sawwicza. On i teraz mną się opiekuje. Pomaga, doradza, na przykład kieruje moimi lekturami. Ja przecież jestem strasznie niewykształcony, nigdzie i niczego porządnie się nie uczyłem.

Wyglądało na to, że nastęcza się dogodna możliwość zebrania dodatkowych danych o kolczastym doktorze. Od razu było widać, że ten mente captus^[4] niczego ukrywać nie będzie – wyspiewa wszystko, o co tylko go zapytać.

– A nie pozwoliby pan trochę posiedzieć przy sobie? – spytał Lagrange, wchodząc na schodek. – Wyjątkowo piękny stąd widok.

– Tak, bardzo piękny, dlatego właśnie lubię tu bywać. Mnie tu niedawno, kiedy powietrze było szczególnie przezroczyście, wie pan, co przyszło do głowy? – Jasnowłosa posunął się, robiąc pułkownikowi miejsce, i roześmiał się znowu. – Posadzić by tutaj jakiegoś najbardziej zaciekłego ateistę, z tych, co to wciąż domagają się naukowych dowodów istnienia Boga, i pokazać takiemu sceptykowi wyspę i jezioro. Proszę, oto dowód i żadnych innych nie potrzeba. Zgadza się pan ze mną?

Feliks Stanisławowicz natychmiast i z żarem się zgodził, zastanawiając się, jak by tu zahaczyć o jakiś użyteczny wątek, ale gadatliwy rozmówca miał, jak się zdaje, własne widoki na dalszy ciąg rozmowy.

– Bardzo dobrze się złożyło, że przysiadł się pan do mnie. Ja tu w pewnej powieści wiele ważnego przeczytałem i mam straszną ochotę podzielić się z kimś myślami. I pytań też wiele się nasuwa. A pan ma taką mądrą, energiczną twarz. Od razu widać, że ma pan o wszystkim wyrobione zdanie. Proszę mi powiedzieć na przykład, które z ludzkich przestępstw uważa pan za najpotworniejsze?

Policmajster pomyślał chwilę, przypomniał sobie postanowienia kodeksu karnego i odpowiedział:

– Zdradę stanu.

Czytelnik powieści klasnął w dłonie; z przejęcia zadrżał mu prawy policzek:

– Och, jak podobnie myślimy! Ja też, proszę sobie wyobrazić,

uwazam, że nic gorszego od zdrady nie ma i być nie może! To znaczy: mam na myśli nawet nie zdradę stanu (choć naruszać przysięgę też oczywiście jest nieładnie), tylko zdradę jednego człowieka wobec drugiego. Szczególnie jeśli ktoś słaby zawierzył komuś całą duszą. Zdeprawować dziecko, które cię uwielbiało i tylko tobą żyło, to przecież straszne. Albo wyśmiewać się z jakiejś biednej istoty, przez wszystkich gnębionej i ubogiej duchem, która tylko tobie jednemu na całym świecie wierzyła. Natrzęsać się z zaufania czy miłości to przecież bodaj gorsze od zabójstwa, chociaż prawo tego nie karze. Przecież to tyle, co duszę swoją nieśmiertelną zagubić! A co pan o tym myśli?

Feliks Stanisławowicz zmarszczył czoło i odpowiedział wyczerpująco:

– Cóż, za deprawowanie małoletnich prawo przewiduje katorgę, co zaś do innych rodzajów wiarołomstwa w życiu codziennym, to, pomijając oszustwa finansowe, sprawa jest bardziej skomplikowana. Wielu, zwłaszcza mężczyzn, małżeńskiej zdrady w ogóle nie uważa za grzech. Ale i wśród naszej płci są wyjątki – ożywił się pułkownik, który akurat przypomniał sobie pewną pikantną historię. – Miałem w szkole oficerskiej kolegę, niejakiego Bułkina. Niestęchanie czuł, że żonę kochał do szaleństwa. Zdarzało się, że wszyscy nasi po zajęciach idą na Ligówkę, do wesołego domku, a on – zawsze wprost do żony, taki był z niego dziwak. Po ukończeniu szkoły dostał przydział do Floty Bałtyckiej, oczywiście do tajnych służb. – Pułkownik zaciął się, przestraszony, że sam się zdradził, i z niepokojem spojrzał na rozmówcę. Niepotrzebnie się obawiał: wzroku blondyna najmniejszy cień nie zamącił, nieznajomy patrzył wciąż z takim samym zainteresowaniem i spokojem. – Nno tak, proszę bardzo. Siłą rzeczy zaczęły się rejsy, czasem długie, wielomiesięczne. W porcie oficerowie od razu do burdelu, a Bułkin siedzi w kajucie,

medalion z miniaturką żony obsypuje pocałunkami. Popływał tak z roczek, pomęczył się, aż wreszcie wynalazł znakomity kompromis.

– Tak? – ucieszył się blondyn. – A ja nawet nie przypuszczałem, że tu jest możliwy jakiś kompromis.

– Bułkin miał głowę! Z opracowań analitycznych był pierwszy w klasie! – Feliks Stanisławowicz z podziwem pokiwał głową. – I patrz pan, co wymyślił! Zamówił u dekoratora teatralnego maskę z papier mache: dokładny portret ukochanej małżonki, nawet złocistą perukę na górze umocował. Odtąd, kiedy tylko staną w porcie, Bułkin pierwszy do bajzla sunie. Weźmie sobie jakąś, pardon, łachudrę z co straszniejszą fizys i dlatego oczywiście tańszą od innych, nałoży jej maskę żony i już ma całkiem czyste sumienie. Mówił: może ciałem nie dotrzymuję całkiem wierności, ale duchem – w pełni. I przecież miał rację! Wśród towarzyszy w każdym razie był szanowany.

Historia opowiedziana przez Lagrange'a wprawiała rozmówcę w zakłopotanie. Zamrugął swymi owczymi oczyma i rozłożył ręce.

– Tak, to chyba niezupełnie zdrada... Chociaż ja o takiej miłości wiem niewiele...

Pan Feliks przez całe życie nie cierpiał mazgajów, ale ten dziwak, nie wiadomo dlaczego, ogromnie mu się podobał. Do tego stopnia, że – rzecz niewiarygodna! – pułkownikowi nagle zupełnie odechciało się podchodzić rozmówcę, co go zresztą samego zdziwiło.

Zamiast wypytać idealnego informatora o podejrzanego (a doktor Korowin mimo wszystko znalazł się u Lagrange'a na specjalnej liście), policmajster nagle zaczął mówić w zupełnie niewłaściwym sobie stylu.

– Drogi panie, niech pan posłucha, jestem tu na wyspie drugi dzień... To znaczy, ściśle mówiąc, dopiero pierwszy, bo przyjechałem wczoraj wieczorem... Dziwne to miejsce, do niczego niepodobne. Czego tylko człowiek dotknie, czemu tylko się przyjrzy – wszystko rozplywa się

jak mgła. Pan przecież jest tu już od dawna?

– Trzeci rok.

– Czyli przywykł pan. Proszę mi powiedzieć otwarcie, bez obstępów, co pan o tym wszystkim myśli?

Ostatnie słowa, nieokreślone i nawet dziwne w ustach człowieka nawykłego do jasnych sformułowań, pułkownik uzupełnił równie niejasnym gestem, obejmującym jakby klasztor, miasto, jezioro i coś jeszcze.

Rozmówca minio to doskonale go zrozumiał.

– Pan o Czarnym Mniechu?

– Tak. Pan w niego wierzy?

– W to, że wielu go rzeczywiście widziało? Wierzę, i to bez żadnych wątpliwości. Wystarczy popatrzeć w oczy ludziom, którzy o tym opowiadają. Oni nie łżą, ja łgarstwo wyczuwam natychmiast. Inna rzecz – czy widzieli oni coś istniejącego w rzeczywistości, czy tylko to, co im pokazywano...

– Kto pokazywał? – najeżył się Lagrange.

– No, nie wiem. My przecież, każdy z nas, widzimy tylko to, co nam pokazują. Nie widzimy wiele z tego, co istnieje w rzeczywistości i co widzą inni ludzie, za to niekiedy ukazują się nam coś, co jest przeznaczone tylko dla naszych oczu. To nawet nie niekiedy, lecz dość często się zdarza. Mnie przedtem widzenia nachodziły niemal codziennie. Na tym właśnie, jak teraz rozumiem, polegała moja choroba. Kiedy człowiek zbyt często widzi coś, co jest przeznaczone tylko dla niego, to pewnie podąża wprost do pomieszania umysłu.

Ech, bracie, kaszy się z tobą nie uwarzy – pomyślał skołowany pułkownik. Pora już było kończyć bezużyteczną rozmowę, i tak pół dnia stracił niemal na darmo. Żeby wyciągnąć z niepotrzebnego spotkania choćby jaki taki sens, Lagrange zapytał:

– A czy może mi pan pokazać, z której strony znajduje się Mierzeja

Postna, gdzie najczęściej pojawia się widmo?

Blondyn wstał usłużnie i podszedł do poręczy.

– Widzi pan skraj miasta? Za nim jest rozległe pole, dalej cmentarz kutrów rybackich, o, tam maszty sterczą. Na lewo bieleje nieczynna latarnia sygnalizacyjna. Bury stożek to kaplica Pożegnalna, gdzie odbywają się nabożeństwa żałobne za pustelników. A za nią w wodę wrzyna się wążutki pas łądu, jakby palec pokazujący wysepkę. Ta wysepka to właśnie pustelnia, a pasek łądu – Mierzeja Postna. To ona, między kaplicą a chatką pławowego.

– Chatką? – upewnił się pułkownik. Czy to przypadkiem nie ta, o której mówił Lentoczkin?

– Tak. Tam straszna rzecz się wydarzyła. Nawet dwie: najpierw z żoną pławowego, a potem z tym młodzieńcem, który goły przybiegł do kliniki. On tam właśnie, w chatce, stracił rozum.

Policmajster aż wpił się wzrokiem w tubylca.

– Skąd pan wie, że właśnie tam?

Ten odwrócił się i zamrugał jasnymi rzęsami.

– No jakże! W chatynce rankiem znaleziono jego ubranie, akuratnie złożone. Na ławce. I sztyblety, i kapelusz. Czyli przyszedł tam w zwykłej, przyzwoitej postaci, a wybiegł już w zupełnym zamroczeniu i widać gnał bez spoczynku wprost do domu Donata Sawwicza.

Dopiero teraz pułkownik przypomniał sobie ostatni list Aleksego Stiepanowicza, w którym mowa była właśnie o domku pławowego i zamiarze młodego człowieka, by udać się tam nocą. Zresztą ten fragment Feliks Stanisławowicz czytał nieuważnie, ponieważ wydawało mu się oczywiste, że Lentoczkin, w chwili gdy pisał swoją trzecią relację, był już całkiem nienormalny i wygadywał kompletne bzdury.

A teraz oto wyjaśniało się, że nie takie znowu bzdury. To znaczy:

co do mistyki i zaklęć, to z pewnością majaczenia, ale coś w chatynce w tę noc najwyraźniej się wydarzyło. Jak on dopiero co mówił? „Idź tam, do chatynki na kurzych nóżkach. O północy. Sam wszystko zobaczysz. Tylko uważaj, żeby nie ścisnęło, bo serce pęknie”. No, ostatnie zdanie, powiedzmy, można złożyć na karb szaleństwa, ale co do miejsca i czasu, to jest o czym pomyśleć, nawet bardzo.

W tym momencie w głowie policmajstra wykluła się pewna idea.



Do nocy plan dojrzał i przybrał kształt tak konsekwentny i prosty, że zupełnie wyparł poprzedni zamiar – iść na Mierzeję Postną i tam czatować na rozwydrzonego Wasiliska.

Ostatecznej zmianie planów Lagrange’a sprzyjała jeszcze jedna ważna okoliczność: po zachodzie słońca, kiedy ciemność zapanowała nad wyspą, stało się widoczne, że nowo narodzony księżyc jest jeszcze za mały i za cienki, nie szerszy od koniuszka paznokcia, toteż porządnie oświetlić Mierzei Postnej nie zdoła. Siedzieć tam w zasadzce nie ma żadnego sensu.

Inna sprawa – zmurszała chatynka z wydrapanym na szkle ósmioramiennym krzyżem (wróciwszy do swego pokoju, pułkownik przeczytał list nadzwyczaj uważnie i wszystko zapamiętał). Jak twierdzili aborygeni, noc, kiedy zjawił się tam „podskakiewicz”, ściągając na siebie najsmutniejsze następstwa, była bezksiężycowa, co jednak nie przeszkodziło dokonać się temu, co się dokonało. Czyli brak księżyca nie jest przeszkodą.

A więc: przybyć tam równo o północy, jak napisał szaleniec, wygłosić zaklęcie i zobaczyć, co dalej. Oto właściwie cały plan.

Ktoś inny może i bałby się wdawać w takie mętne, nieopisane w regulaminach ani instrukcjach służbowych przedsięwzięcie, ale na pewno nie pułkownik Feliks Stanisławowicz Lagrange.

Kiedy policmajster w kompletnej ciemności podchodził do nędznej chatynki (było dokładnie pięć minut przed północą), serce biło mu równo, ręce nie drżały, krok miał pewny.

Wokoło tymczasem było nieprzyjemnie. Daleko w lesie pohukiwał puchacz, od wody niosło chłodem i niepokojem; poza tym zaś panowała taka absolutna, martwa cisza, że uszy zatykał, żeby posłuchać pulsowania żywej krwi. Oczy Lagrange'a, przywykły już do mroku, rozpoznały w przodzie dość krzywy kontur domku z drewnianych bali i pułkownikowi wydało się niewiarygodne, że ledwie kilka dni temu mieszkała tu młoda i zapewne szczęśliwa rodzina – zajmowała się jakimiś zwykłymi sprawami, oczekiwała pierwszego dziecka. Nic żywego, ciepłego, radosnego w takim miejscu zdarzyć się nie mogło.

Pułkownik zjeżył się – jakoś nagle zrobiło mu się chłodno, mimo wełnianej fufajki włożonej pod marynarkę i kamizelkę. Na wszelki (diabli wiedzą jaki) wypadek wyjął spod pachy smitha-wessona i wsunął za pasek spodni.

Drzwi były zabite dwiema skrzyżowanymi deskami. Policmajster wsunął palce w szczelinę, szarpnął do siebie z całej siły i omal nie upadł – tak lekko wyskoczyły gwoździe ze zbutwiałego drewna. Ciszę rozerwał przyprawiający o duszności trzask i zgrzyt; z dachu, machając w popłochu skrzydłami, zerwał się jakiś wielki ptak.

Okno Lagrange wypatrzył od razu: szary kwadrat na czarnym tle.

Czyli trzeba podejść, przeżegnać się i powiedzieć: „Przyjdź, duchu święty, na ślad, któryś zostawił, na to Gabriel ze Złym ma umowę”. A niech to, żeby się tylko nie pomylić.

Feliks Stanisławowicz wyciągnął przed siebie ręce i ostrożnie ruszył naprzód. Palcami trącił z boku coś drewnianego, dużego. Kufer? Skrzynię?

Wyprawa trzecia

Przygody mądrali

Wiadomość o samobójstwie pułkownika Lagrange'a dotarła do Zawołzka dopiero trzy dni po tym strasznym wydarzeniu, telegrafu bowiem na wyspach nie było i wszystkie doniesienia, nawet najbardziej nadzwyczajne, dostarczano po staremu – pocztą lub przez umyślnego.

Listy przeora do świeckich i kościelnych władz gubernialnych zawierały tylko bardzo krótkie wiadomości o okolicznościach dramatu. Ciało policmajstra znaleziono w opuszczonym domku pławowego, który kilka dni wcześniej też ze sobą skończył. O ile jednak w tamtym wypadku przyczyna szalonego i z punktu widzenia religii absolutnie niewybaczalnego czynu była mimo wszystko zrozumiała, o tyle na temat powodów, które skłoniły do fatalnego kroku policmajstra, archimandryta nie podejmował się nawet wysuwać przypuszczeń. Szczególnie podkreślał fakt, że w ogóle nie wiedział o przybyciu do Nowego Araratu wysokiego funkcjonariusza policji (status przybysza wyszedł na jaw dopiero post mortem, podczas przeszukiwania numeru hotelowego i rzeczy osobistych), i wręcz domagał się od gubernatora wyjaśnień.

Co do szczegółów, to podawano tylko następujące. Pułkownik zabił się strzałem z rewolweru w pierś. Nie mogło, niestety, być żadnych wątpliwości co do tego, że popełnił samobójstwo: zmarły ścisnął w rękę rewolwer, w którego bębenu brakowało jednej kuli. Śmiercionośny ołów trafił prosto w serce, rozrywając je na kawałki, wszystko więc wskazywało, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Na tym list do gubernatora von Hagenau się kończył, natomiast epistoła wystosowana do archijereja miała jeszcze dość obszerny dalszy ciąg. Archimandryta zwracał w niej uwagę władcy na możliwe następstwa haniebnego czynu z punktu widzenia ładu, spokoju i reputacji świętego przybytku, i tak już zakłóconych różnymi niejasnymi pogłoskami (ten powściągliwy zwrot odnosił się niewątpliwie do sławetnych ukazania się Czarnego Mnicha). Z mocy miłosiernego Bożego zamiaru o nieszczęściu wie tylko kilka osób: zakrystian, który znalazł ciało, trzech braci strażników pokoju (tak nazywano w Araracie policję klasztorną) i służący w hoteliku, gdzie zatrzymał się samobójca. Od wszystkich odebrano przysięgę, że będą milczeć, można jednak wątpić, by udało się zachować gorszą wiadomość w zupełnej tajemnicy przed pańnikami i miejscowymi. List ojca Witalisa kończył się słowami: „...i nawet żywie obawę, czy nie przylgnie do tej tak niegdyś spokojnej wyspy, jak ongi do Albionu, wstrętne Panu Bogu przezwisko «Wyspy Samobójców», jako że w krótkim czasie najgorszego z grzechów śmiertelnych dopuściło się tu już dwóch”.



Władcyka winił za tragedię tylko siebie. Przygarbiony, z nagłą postarzały, powiedział swym zaufanym doradcom:

– To wszystko przez moją dumę i pewność siebie. Nikogo nie posłuchałem, zdecydowałem po swojemu, i to nie raz, ale dwa. Najpierw Aloszę zgubiłem, a teraz Lagrange’a. I co najbardziej nieznośne – skazałem na pohańbienie nawet nie śmiertelne ich ciała, lecz dusze nieśmiertelne. Dusza pierwszego jest złożona ciężką chorobą, drugi zaś swoją w ogóle zniszczył. To stokroć gorsze niż sama śmierć... Omyliłem się, okrutnie omyliłem. Myślałem, że człowiek wojskowy, prostolinijny i bez fantazji, nie może ulec duchowej

rozpaczy i mistycznemu przerażeniu. Ale nie wziąłem pod uwagę, że ludzie takiego rodzaju, zetknąwszy się ze zjawiskiem naruszającym cały ich prosty i jasny obraz świata, nie uginają się, tylko łamią. Miałaś po tysiącokroć rację, córko moja; widać nasz pułkownik natrafił na węzeł gordyjski, którego rozwiązać nie potrafił. Honor nie pozwalał mu się wycofać, więc zamachnął się i rąbnął z całej siły. A imię tego gordyjskiego węzła – świat Boży...

W tym miejscu przewielebny nie wytrzymał, zapłakał, a ponieważ dla siły swego charakteru do szlochania skłonności nie miał, a nawet w ogóle pozbawiony był daru łez, to wyszło mu coś bardzo nieprzyjemnego: najpierw głuchy jęk połączony z gardłowym chrypieniem, potem długie smarkanie w chusteczkę. Ale sama niezręczność tego płaczu po zatraconej duszy podziałała na obecnych mocniej niż jakiegokolwiek szlochy: pan Matwiej zamrugał i też wyciągnął ogromną chustkę do nosa, a siostra Pelagia z lichwą odkupiła męskie sknerstwo na łez wylewanie – z jej oczu natychmiast popłynęła cała rzeka.

Pierwszy opanował się biskup.

– Za duszę Feliksa Stanisławowicza będę się modlił. Samotnie, w kaplicy domowej. W cerkwiach za samobójcę prosić nie można. Chociaż on sam od Boga się odrzekł i wybaczenia dla niego nie będzie, mimo wszystko zasługuje na to, by go wspomnieć dobrym słowem.

– Nie ma wybaczenia? – chlipnęła Pelagia. – Dla żadnego samobójcy? Nigdy, nigdy, nawet za tysiąc lat? Ty, władnyko, jesteś tego pewien?

– Co tam ja! Tak Kościół ustanowił, od zarania dziejów.

Mniszka otarła białą, obsypaną bladymi piegami twarzyczkę i z namysłem ściagnęła brwi.

– A jeśli dla kogoś ciężar życia okazał się zupełnie ponad siły? Jeśli człowieka spotkało jakieś nieszczęście nie do wytrzymania albo

męcząca choroba, albo znęcają się nad nim oprawcy, zmuszają do zdrady? Dla takiego też nie ma wybaczenia?

– Nie – odpowiedział surowo Mitrofaniusz. – A pytania twoje małej wiary dowodzą. Pan Bóg wie, kto jakie próby jest w stanie znieść, i ponad miarę żadnej duszy nie doświadcza. Jeśli zaś ześle ciężką mękę, to znaczy, że to dusza szczególnie mocna, więc i próbę zsyła wedle mocy. Tacy byli wszyscy święci wielcy męczennicy. Żaden udręczeń się nie wystraszył, ręki na siebie nie podniósł.

– No tak, ale to święci, trafiają się jeden na milion. A poza tym – co z tymi, którzy zgubili siebie nie ze strachu czy słabości, tylko dla bliźnich? Pamiętam, ojcze, jak czytałeś o kapitanie statku, który podczas katastrofy swoje miejsce w szalupie ustąpił komu innemu i przez to razem ze statkiem poszedł na dno. Zachwycałeś się tym, ojcze, i chwaliłeś go.

Berdyczowski westchnął męczeńsko, z góry już wiedząc, czym się skończy ta nie w porę wszczęta dyskusja. Pelagia swymi pytaniami i dowodzeniami doprowadzi przewielebnego do wściekłości, nastąpią wymyślenia i pusta strata czasu. A warto by o sprawie porozmawiać.

– Zachwycałem się jako obywatel kuli ziemskiej. A jako osoba duchowna, zobowiązana troszczyć się o nieśmiertelność duszy, potępiam i boleję.

– Tak, tak. – Zakonnica błysnęła ostrym spojrzeniem i zadała archijerejowi cios, który Brytyjczycy określiliby jako niesportowy. – Iwana Susanina, który dla uratowania najjaśniejszej dynastii dobrowolnie poszedł pod polskie szable, też wasza przewielebność potępia?

Mitrofaniusz, który już zaczynał się złościć, chwycił się palcami za brodę.

– Iwan Susanin może miał nadzieję, że w ostatniej chwili uda mu się uciec przed wrogami w las. Jeśli pozostaje nadzieja, choćby

najwęższa, to już nie jest samobójstwo. Kiedy żołnierze idą do niebezpiecznego ataku i nawet, jak to się mówi, „na pewną śmierć”, to mimo wszystko każdy ma nadzieję na cud i modli się o to do Boga. Cała różnica właśnie w nadziei, w nadziei! Dopóki żyje nadzieja, żyje Bóg. I ty, zakonnica, powinnaś to wiedzieć!

Pelagia odpowiedziała na wyrzut pokornym pokłonem, ale nie dała za wygraną.

– A Chrystus, kiedy szedł na krzyż, też miał nadzieję? – spytała cicho.

W pierwszej chwili władca nie do końca zrozumiał sens bezczelnego pytania i tylko się nachmurzył. Zrozumiawszy zaś, wstał, wyprostował się, tupnął nogą i zakrzyczał:

– Ze Zbawiciela samobójcę robić?! Precz stąd, Szatanie! Won!

W tym momencie także do zakonnicy dotarło, że w swej dociekliwości przeszła wszystkie dozwolone granice. Zebrała poły habitu, wciągnęła głowę w ramiona i szmyrgnęła za drzwiami, na które wskazywał groźny biskupi palec.

Tak więc się złożyło, że dalszy plan działań opracowywali już bez upartej czernicy, w cztery oczy, przewielebny i Matwiej Bencjonowicz. Trzeba pamiętać i o tym, że smutny los, jaki spotkał obu wybrańców archijereja, pozbawił go zwykłej pewności siebie (a i kłótnia z córką duchową podziałała przygnębiająco), dlatego biskup więcej słuchał i na wszystko się zgadzał. Berdyczowski zaś, szczerze współczując pasterzowi, przeciwnie, wypowiadał się obficie i z większym żarem niż zwykle.

– Cóż my wciąż o skomplikowanych węzłach rozprawiamy? – mówił. – W rzeczy samej napłątane jest tu tak, że mózg się przewraca. Ale nie darmo ludzi mojego stanu mistrzami kruczków nazywają. My, sędownicy, jesteśmy mistrzami w zaplątywaniu kłębków i robieniu zakrętasów. Czasem taki węzełek uda się nam zadzierzgnąć, że niech

się antyczny Gordios schowa. Ale za to i w rozplątywaniu takich kłębuszków nikt nam nie dorówna. Tak czy nie tak?

– Tak – z tęskną miną potwierdził przewielebny, popatrując na drzwi, czy nie wraca Pelagia.

– A jeśli tak, to do Nowego Araratu jechać powinienem ja. Tym razem mamy bezpośrednie podstawy do podjęcia w pełni oficjalnego, choćby nawet tajnego śledztwa. Policmajster, który podniósł na siebie rękę, to sprawa niebagatelna. To już nie zabobon ani gra rozhisteryzowanej wyobraźni, tylko coś niesłychanego. Naszego Antoniego Antonowicza ministerstwo o to przycisnie, a i Najjaśniejszy Pan zażąda, od niego wyjaśnień.

– Tak, gubernatora niewątpliwie przycisną. – Mitrofaniusz bezwolnie pokiwał głową.

– A więc trzeba będzie wiedzieć, co odpowiadać. Wasza przewielebność sam w żaden sposób jechać nie może, proszę o tym nawet nie myśleć. Ani ze względu na swą godność, ani z punktu widzenia prawa archijerej nie może zajmować się dochodzeniem w sprawie kryminalnej związanej z samobójstwem.

– No to jedźmy razem. Ty zajmiesz się tajnym śledztwem w sprawie okoliczności śmierci Lagrange’a, a ja Czarnym Mnichem. – W oczach władzy znów zabłyśł poprzedni ogień, ale natychmiast przygasł. – Biednego Aloszę zobaczę... – zgnębionym głosem zakończył Mitrofaniusz.

– Nie – przeciął kategorycznie Berdyczowski. – Ładna to będzie tajność, jeśli do Araratu przyjadę z biskupem. Dopiero narobimy rwetesu! Nie dość, że biskup przyjechał spotkać się z Czarnym Mnichem, to jeszcze podprokuratora gubernialnego ze sobą zabrał. Śmiechu warte! Nie, już lepiej, ojcze, pobłogosław mnie samego na tę drogę.

Przewielebny był dziś wyraźnie nie w sosie, osłabł na duszy,

zmiękł. Na jego rzęsach znów coś podejrzenie błysnęło. Wstał, pocałował urzędnika w czoło.

– Tyś dla mnie prawdziwe złoto, Matusza. I głowę masz złotą. A najbardziej cenię to, że jesteś gotów na taką ofiarę. Myślisz, że nie rozumiem? Przecież twoja Maria lada dzień urodzi. Jedź, rozwikłaj tajemnicę. Sam widzisz, że to tajemnica straszna, ale taka, że zwykłymi sposobami jej się nie odgadnie. Na Chrystusa Pana Naszego błagam: strzeż siebie, swojego życia i rozumu.

Matwiej Bencjonowicz, żeby nie zdradzać wzruszenia, odpowiedział z brawurą:

– Nic, władyko. Bóg da – zrobię, co trzeba, i na Maszy poród zdążę. Nie darmo lud mówi: Żyd zręczny, po sznurku biega, wszędzie zdąży.

Kiedy jednak jechał bryczką do domu, brawura z niego opadła, na sercu zrobiło mu się bardzo ciężko i im bliżej domu, tym było ciężej. Jak powiedzieć żonie? Jak w oczy jej spojrzeć?

Po prostu nie spojrział. Od razu w przedpokoju pocałował ją w policzek i przytuliwszy, powiedział na ucho:

– Maszeńko, aniele mój, tak się złożyło... Arcyważny wyjazd... Tylko na tydzień i odmówić w żaden sposób nie mogę... Postaram się jak najszybciej, najuczciwsze słowo honoru...

Został natychmiast wypchnięty z objęć i zrugany surowymi, ale sprawiedliwymi słowami. Spał w gabinecie, na twardym tapczanie, a najgorsze, że wyjeżdżając nazajutrz wczesnym rankiem, nie pożegnał się w końcu porządnie z żoną. Dzieci ucałował i pobłogosławił, całą dwunastkę, lecz z nieprzejednaną Maszą jakoś nie wyszło.

W szufladzie biurka zostawił rozporządzenia dotyczące majątku – na wszelki wypadek, jako człowiek odpowiedzialny.

Ach. Masza, Masza, czy jeszcze się zobaczymy?

Skrucha – to uczucie całkowicie opanowało podprokuratora

w drodze do modrojeziornego archipelagu. W co się wplątał, idąc za chwilowym porywem? W imię czego?

Właściwie w imię czego, a ściślej – dla kogo, to było zrozumiałe: dla ukochanego nauczyciela i dobroczyńcy, a także w imię ustalenia prawdy, bo na tym właśnie polega obowiązek sługi prawa. Ale był też problem moralny, nawet filozoficzny: jaki obowiązek jest dla człowieka ważniejszy – wobec społeczeństwa czy wobec miłości? Na jednej szali obywatelskie przekonania, reputacja zawodowa, męski honor, szacunek do samego siebie; na drugiej – trzynaście dusz, jedna kobieca, tuzin dziecinnych (wkrótce, jak Bóg da, dojdzie jeszcze jedna, zupełnie niemowlęca). Kiedy się ryzykuje tylko własną duszą, to niech się dzieje, co chce, ale tamtych trzynaścioro, które beze mnie przepadną i które są mi, prawdę mówiąc, o wiele droższe niż zamieszkujące ziemię miliony innych – co one są winne? No i wynikało z tego, że jakkolwiek by się wykręcać, tak czy inaczej Matwiej Berdyczowski wychodzi na zdrajcę. Jeśli na pierwszym miejscu postawi rodzinę i od obowiązku się uchyli, to będzie zdrajcą wobec zasad i społeczeństwa. Jeśli zaś uczciwie posłuży społeczeństwu, okaże się podlecem i judaszem wobec Maszy, wobec dzieci.

Już nie pierwszy i nawet nie setny raz pożałował nieszczęsny podprokurator, że wybrał w życiu drogę stróża prawa, tak krępującą dla porządnego człowieka. Gdyby został adwokatem lub radcą prawnym, pewnie nie musiałby się zmagać z moralnymi trudnościami wyboru?

Chociaż nie – znów nie pierwszy raz odpowiedział sam sobie Berdyczowski. Każdy człowiek, nawet niepracujący na niwie społecznej i wiodący żywot osoby prywatnej, nieuchronnie musi czasem wybierać, czego ma się wyrzec. Taką próbę Pan Bóg nieuchronnie ześle każdemu żyjącemu, żeby mógł rozeznąć się

w sobie i przymierzyć krzyż do ramienia – nie ten, to inny.

Na duszy było mu paskudnie, nawet pomijając moralne rozterki z powodu dokonanego wyboru. Rzecz w tym, że panu Matwiejowi okropnie nie podobały się cechy, które odkrywał w sobie. Zamiast pędzić na śledztwo jak na skrzydłach, ogarnięty pragnieniem dotarcia do prawdy, podprokurator był we władzy zupełnie innego uczucia, delikatnie zwanego małodusznością, a mówiąc po prostu – miał okropnego pietra.

Bo jak straszliwie trzeba się przerazić, jaki niewyobrażalny koszmar przeżyć, żeby złośliwy nihilista stracił rozum, a brutalny, zuchwały policjant własne serce rozwalił na strzępy? Co to za moloch zagnieździł się na tej przeklętej wyspie? I czy zwykły człowiek, wcale niebohaterskiego usposobienia, znajdzie w sobie siły, by stanąć do samodzielnej walki z czymś tak strasznym?

Matwiej Bencjonowicz, mężczyzna wykształcony i postępowy, nie wierzył oczywiście w nieczystą siłę, widma i temu podobne rzeczy. Z drugiej jednak strony, pamiętając o Hamletowskiej maksymie: „Bo – mój Horacjo – więcej jest na niebie i ziemi dziwów, niżeli się naszym śni filozofom”^[5], nie mógł do końca wykluczyć choćby teoretycznej możliwości, że istnieją jakieś inne, dotąd jeszcze niewykryte przez naukę energie i substancje.

Na pokładzie parowca Berdyczowski siedział nastroszony, nieszczęśliwy, otulał się nie dość ciepłym palmestronem z pelerynką (śledztwo miało być tajne, więc porządnego szynelu mundurowego ze sobą nie wziął) i wzdychał, wzdychał.

Na cokolwiek padł wzrok urzędnika – stanowczo nic mu się nie podobało. Ani kwaśne fizjonomie pobożnych towarzyszy podróży, ani pochmurne przestrzenie wielkiego jeziora, ani szuranie nóg biegających po statku postnolicznych marynarzy. Kapitan zaś był wypisz, wymaluj morskim korsarzem, cóż z tego, że odzianym w habit?

Ogromny wzrost, czerwona morda, gderliwy głos. A ryczał na swoją długopołą załogę takie rzeczy, że już lepiej by kłął zwyczajnie, po matce. No bo co to za wyrażenie jakies: „Pastorał ci w zadek”? Albo: „Onany zapieczone” – co to ma znaczyć?

Koniec końców Berdyczowski poszedł do kajuty, położył się na koi, nakrył głowę poduszką. Trochę powzdychał. Zasnął. We śnie widział paskudztwa.

Oto on, jeszcze nie żaden radca kolegialny, tylko mały chłopczyk Mordka, biegnie po Skorniażnej Słobodzie, a za nim goni tłum milczących brodatych mnichów, wymachujących kadzielnicami, i są coraz bliżej, bliżej, słyszeć tupot buciorów, ochryple oddechy; już go dogonili, zwalili się na niego, on krzyczy: „Prawosławny jestem, sam władyka mnie chrzczył!” Rozrywa koszulę, a krzyżyka na piersi nie ma, zgubił.

Matwiej Bencjonowicz chlipnął, uderzył potylicą w przepierzenie. Rozespany namacał krzyżyk, który miał na piersi, napił się wody, zasnął znowu.



Rankiem pan podprokurator stał na dziobie statku, z pledem podróżnym w rękach, blady i pełen szlachetnego fatalizmu: rób swoje i niech się dzieje, co chce. Wyspa Kanaan wypływała naprzeciw z gęstej mgły.

Z początku w ogóle niczego nie było. Potem z mleka wysunął się nagle czarny, kosmaty garb – mała skała, porośnięta krzewami. Za nią jeszcze jedna, nieco mniejsza, i następne, i następne. Wyrysował się ciemny, długi pas ziemi, z którego niczym jakaś huczająca fala napływał dźwięk dzwonów – słyszalny jak przez watę.

Słońce na przekór wszystkiemu próbowało się przebić przez zgęszczony eter: gdzieniegdzie mgła mieniła się różowo czy nawet

złociście, ale to raczej w górze, bliżej nieba, w dole zaś było szaro, mętnie, ślepo.

Schodząc po trapie na ledwie widoczną we mgle przystań, Matwiej Bencjonowicz czuł się tak, jakby zstępował na jakiś bezcielesny obłok. Skądś dochodziły głosy, krzyki: „A kto do najlepszego hotelu «Arka Noego»?!” ... „Pokoje gościnne «Przytułek Pokornych», taniej już tylko za darmo!”, i inne podobne.

Berdyczowski trochę posłuchał, wreszcie ruszył w kierunku, skąd dochodził cienki chłopięcy głosik, zachwalający pensjonat „Ziemia Obiecana”. A gdzie indziej ma się Żyd wybrać? – sam z siebie pokpiwał podprokurator.

Na matowym tle pojawiła się i natychmiast znikła smukła postać w kapeluszu o szerokich skrzydłach ze strusimi piórami. Zaszleściła suknia, zastukały obcasiki, rozszedł się zapach perfum, nie „Konwalii”, których zawsze używała Maszeńka, ale jakichś szczególnych, niepokojących i podniecających. Prosto w oczy pana Matwieja uderzył nagle wąski, jakby specjalnie w niego wycelowany promień słońca i mgła jakoś bardzo szybko się rozwiąta. Właściwie nie tyle się rozwiąta, ile – rzekłbyś – zwinęła ze wszystkich czterech stron ku środkowi, jakby ktoś zdejmował ze stołu brudny obrus, żeby go wytrzepać.

I Berdyczowski, speszony tak szybką odmianą, zobaczył, że stoi na porządnej ulicy z ładnymi, murowanymi domami, z drewnianą jezdnią, ze starannie posadzonymi drzewami, że po chodnikach spacerują ludzie, a z lewej, nad miastem, bieleją ściany monasteru – bez wież ni dzwonnicy, bo obrus mgły podniósł się jeszcze niezbyt wysoko nad ziemię.

Urzędnik obejrzał się, żeby popatrzeć na damę, co samym swym pojawieniem się rozpędziła mgłę, ale zdążył tylko zobaczyć na rogu ulicy ostry obcasik, który mignął spod trenu żałobnej sukni, oraz

kiwające się na kapeluszu strusie pióro.

Ileż takich przelotnych spotkań przydarza się w życiu – myślał pan podprokurator, idąc za boyem hotelowym. To, co mogłoby się stać, ale nigdy się nie stanie, muśnie człowieka szeleszczącym skrzydłem po policzku, owieje, oszołomi, polecą dalej. I każdy dzień życia to miliardy przepuszczonych możliwości, niedoszłych zwrotów losu. Wzdychać z tego powodu nie ma co, trzeba cenić tę drogę, którą się idzie.

I myśli Berdyczowskiego obrały rzeczowy kierunek.

Trzeba zacząć od obejrzenia rzeczy policmajstra i (urzędnik zjeżył się w duchu) samych zwłok. Jeszcze przedtem trzeba wysłać z pensjonatu liściki do archimandryty i doktora Korowina z wiadomością o przyjeździe śledczego i żądaniem natychmiastowego spotkania. Pierwszemu wyznaczyć je, dajmy na to, na drugą po południu, drugiemu na piątą.

„Otwór wlotowy wielkości kopiejki mieści się między szóstym a siódmym zębem, trzy cale poniżej i pół cala na lewo od lewego sutka. Otwór wylotowy na wystającym (bodaj siódmym) kręgu, roztrzaskanym kulą; wielkości mniej więcej pięciokopiejkówki. Inne widoczne uszkodzenia to guz o cal na prawo od czubka głowy, najwidoczniej powstały wskutek konwulsyjnych uderzeń głową o podłogę już po upadku ciała...”

Matwiej Bencjonowicz nigdy jeszcze nie miał okazji sporządzać protokołu obdukcji pośmiertnej. W stolicy guberni zajmowali się tym i ekspert medyczny, i śledczy policjant, i niżsi rangą urzędnicy prokuratury. Ale tu, w Nowym Araracie, gdzie nie uświadczysz ani przestępczości, ani samej policji, nie było komu przekazać nieprzyjemnego zadania. Specjalistyczną terminologię Berdyczowski znał, ale niezbyt dokładnie, dlatego starał się opisać wszystko choćby i własnymi słowami, ale jak najbardziej szczegółowo. Co chwila

odrywał się od pracy, żeby napić się wody.

Miał Matwiej Bencjonowicz pewną wstydlivą, a w jego zawodzie również szkodliwą słabość – panicznie bał się trupów, zwłaszcza jeśli trafił się jakiś na wpół zbutwiały albo okaleczony. Trup pułkownika Lagrange'a, trzeba oddać mu sprawiedliwość, wyglądał jeszcze stosunkowo przyzwoicie. W białych, znieruchomiłych rysach twarzy widać było bodaj nawet jakąś powagę, by nie powiedzieć majestat – cechy, których fizjonomia policmajstra za życia wcale nie wykazywała. O wiele bardziej udręczał wrażliwe serce Berdyczowskiego trup starego mnicha, leżący na sąsiednim cynkowym stole. Przede wszystkim – staruszek był całkiem goły, a w przypadku osoby duchownej ten naturalny ludzki stan wydawał się nie na miejscu. Ale jeszcze gorsze było to, że zakonnik zmarł podczas chirurgicznej operacji przewodu pokarmowego, wobec tego rozkroić to go rozkroili, nawet zdążyli częściowo wyjąć wnętrzności, ale zaszywać go na powrót już im się nie chciało. Pan podprokurator specjalnie usiadł do koszmarnego nieboszczyka plecami, ale i tak go troszeczkę mdliło. O tym, co mu się przyśni najbliższej nocy, wolał nawet nie myśleć.

Pan Matwiej skrzypiał piórem i często wycierał pot na łysince, chociaż w kostnicy gorąco nie było na pewno – z uchylonych drzwi chłodni, skąd wysunięto wózek z ciałem policmajstra, ciągnęło mrozem. Wreszcie najnieprzyjemniejsza część pracy była zakończona. Podprokurator kazał odstawić wózek z ciałem na powrót do chłodni i z ulgą przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie przechowywano rzeczy samobójcy.

– Co z nieboszczykiem? – spytał służka zakonny, który wszedł w ślad za nim, wycierając ręce o zasmolony habit. – Na Ziemię zawieziecie, czy tu go pochowają?

Sens pytania nie od razu dotarł do Berdyczowskiego. Kiedy zaś

urzędnik zrozumiał, że Ziemią nazywa się tu stały ląd, mimo woli zachwyił się obrazowością klasztornej terminologii. Jakby żyli tu nie na wyspach, tylko w niebiesiech.

– Zawieziemy. Wracając, zabiorę. Gdzie rzeczy? Gdzie ubranie?

W sakwojażu niczego istotnego nie znaleziono. Uwagę śledczego zwrócił tylko imponujący zapas fiksatuaru do podkreśniania wąsów i paryski albumik z nieprzyzwoitymi zdjęciami – widać pan Feliks zabrał go ze sobą w drogę, żeby się porozkoszować. O innym czasie i w innym miejscu, na dodatek bez świadków, pan Matwiej sam również przejrzałby rozrywkową książeczkę, ale teraz nie był w nastroju.

Szczególną uwagę śledczego zwróciło narzędzie samobójstwa – rewolwer „Smith-Wesson” kalibru 45. Berdyczowski powąchał i poskrobał wewnątrz lufę, sprawdzając, czy jest opalona (była), sprawdził bębenek (pięć kul było na miejscu, jednej brakowało). Odłożył.

Zajął się ubraniami, które starannie złożono w kupkę i ponumerowano sztuka po sztuce. Na sztuce nr 3 (marynarka) poniżej lewej górnej kieszeni widoczna była dziurka z opalonymi brzegami, tak jak być powinno przy strzale z najbliższej odległości. Matwiej Bencjonowicz złożył ze sobą otwory na sztukach nr 5 (kamizelka), nr 6 (fufajka), nr 8 (koszula) i nr 9 (podkoszulek). Wszystko pasowało do siebie dokładnie. Na koszuli, podkoszulku i częściowo na fufajce dało się dostrzec ślady krwi.

Jednym słowem, obraz był oczywisty. Samobójca trzymał broń w lewej ręce, mocno wygiąwszy nadgarstek. Właśnie dlatego kanał wlotowy kuli zmierzał w prawo i ku górze. Wydawało się to dość dziwne: o ile prościej byłoby wziąć rewolwer obiema dłońmi za rękojeść i skierować długą lufę prosto w serce. Zresztą i sam postępek był, najdelikatniej mówiąc, dziwny – nikt przy zdrowych zmysłach

sam się przecież dziurawić nie będzie. Pewnie nacisnął spust jak popadło i palnął...

– A to co? – spytał Berdyczowski, podnosząc dwoma palcami białą damską rękawiczkę, opatrzoną metryczką z numerem 13.

– Rękawiczka – obojętnie odpowiedział służka klasztorny.

Podprokurator westchnął i sformułował pytanie ściślej:

– Skąd się tu wzięła? I dlaczego zakrwawiona?

– A bo ona u niego na piersi pod koszulą leżała. – Mnich wzruszył ramionami. – Światowe głupstwa.

Cienki jedwab przy bliższej obserwacji też okazał się przedziurawiony.

Hmm. Od wniosków na temat rękawiczki pan Matwiej postanowił na razie się powstrzymać, ale odłożył intrygującą rzecz na bok, tam gdzie leżały listy i rewolwer. Spakował potrzebne do śledztwa przedmioty do sakwojażu Lagrange’a (trzeba było przecież jakoś je nieść) i zostawił w protokole odpowiednie pokwitowanie.

Mnich cichutko podśpiewywał coś w sąsiednim pomieszczeniu i szerokimi ściegami cerował brzuch starca. Berdyczowski wsłuchał się i zrozumiał:

– „Płaczę i szlocham, kiedy tylko o śmierci pomyślę i w trumnie widzę leżącą, na obraz Boży stworzoną, naszą urodę nieskładną, niesławną, wyglądu niemającą...”

W kieszeni zadźwięczał breguet: raz głośniej, dwa razy cichutko. Doskonała maszynka, prawdziwe cudo szwajcarskiego geniuszu mechanicznego, otrzymane w darze od ojca Mitrofaniusza na dziesięciolecie ślubu. Dźwięki oznaczały, że teraz jest wpół do drugiej po południu. Czas było iść do przełożonego Nowego Araratu.



Rozmowa z ojcem Witalisem okazała się krótka i nieprzyjemna.

Archimandryta, spotykając się z urzędnikiem gubernialnym, już był w stanie silnego rozdrażnienia. Właściwie tak to sobie obmyślił Matwiej Bencjonowicz: bezapelacyjnym tonem listu i dokładnym wskazaniem godziny spotkania wyprowadzić nowoararskiego władcę z równowagi – z jednej strony przypomnieć mu, że jest inna władza, wyższa od przeorskiej, z drugiej zaś sprowokować ojca Witalisa do gwałtownych i niepowściągliwych wypowiedzi. A nuż się uda i dzięki temu szybciej będzie można się dobrać do istoty sprawy niż za pomocą reweransów i owijania w bawełnę.

No cóż, gwałtowność Berdyczowski wywołał, i to nawet w nadmiarze.

Czcigodny ojciec spacerował niecierpliwie pod gankiem komnat przeorskich, ubrany w stary, prastary nawet habit, nie wiadomo dlaczego podwinięty prawie do pasa, tak że widać było wysokie, brudne buty, i wymachiwał zegarkiem – ogromną cebulą.

– A, prokurator! – zawołał, zobaczywszy Berdyczowskiego. – Trzy minuty po drugiej. Czekać na siebie pan daje? Nie za wiele zuchwałości?

Zamiast odpowiedzi i także bez powitania Matwiej Bencjonowicz pokazał palcem wielki zegar zdobiący wspaniałą dzwonnice i – jak wszystko wskazywało – niedawno zainstalowany. Jego duża wskazówka dopiero zamierzała dotrzeć do dwunastki. W tej samej chwili, jak na zamówienie, zabrzmiały kuranty – jednym słowem, wyszło efektownie.

– Nie mam czasu na gadaninę, kłopotów mi nie brakuje! – z jeszcze większą złością ryknął Witalis. – Po drodze porozmawiamy. O, tam. – Pokazał na szopę z drewnianych bali, stojącą nieopodal, za murem klasztorным. – Stary chlew rozbieramy, nowy będziemy stawiać.

W ten sposób wyjaśniły się i podwinięty habit, i botforty. Audiencja odbywała się na podwórku bydłecym, gdzie błota i brudu

było po kostki – Matwiej Bencjonowicz natychmiast zabrudził sobie sztyblety i spodnie.

Mnisi zdzierali bosakami dranice z dachu szopy, przeor zaś kierował pracą, tak że podprokurator przedstawiał istotę sprawy przy akompaniamencie trzasku, łoskotu i krzyków, a Witalis, jak się zdaje, w ogóle niezbyt go słuchał.

Już tego było dość, by archimandryta nie spodobał się Berdyczowskiemu, ale wkrótce ujawniła się jeszcze jedna okoliczność, która początkową antypatię doprowadziła do najwyższego stopnia. Uważnym wzrokiem, który pan Matwiej aż nazbyt dobrze znał i rozumiał, przeor przyjrzał się haczykowatemu nosowi wysłannika z Zawołzka, chrząstkowatym uszom, niesłowiańskiej czerni rzednących włosów – i twarz obserwatora przybrała szczególny wyraz, pełen obrzydzenia.

Wysłuchawszy wiadomości o dochodzeniu w sprawie samobójstwa i o zaniepokojeniu władz gubernialnych nowoararackimi cudami, archimandryta powiedział pochmurnie:

– Człowiek ze mnie bezpośredni. Pisz pan potem donosy, jakie tylko chcesz, mnie to nie nowina. Ale swojego długiego nosa w nasze kościelne sprawy proszę mi nie wsuwać. Samobójstwo – niech tam. Grzeb pan w tym paskudztwie, ile chcesz. Reszta to sprawy nie na pańską głowę.

– To znaczy... jak to? – Podprokuratora aż zatkało z oburzenia. – Z jakiej racji ojciec mi nakazuje, czym mam...

– Z takiej – przerwał mu ojciec Witalis – że tu, na wyspach, ja wszystkim rządę i odpowiadam za wszystko także ja. Tym bardziej w sprawach tyjących się ducha. Do takich materii narodowość pańska nie pasuje. I uważam za afront ze strony zwierzchności, że takiego śledczego przysłała do Araratu. Tu potrzebne jest serce wrażliwe, swoje, wiary pełne, a nie...

Przeor nie dokończył i splunął. To było najbardziej obraźliwe.

Berdyczowski zobaczył, że zanosi się na regularny skandal, i powstrzymał się, by na grubiaństwo nie odpowiedzieć grubiaństwem.

– Po pierwsze, święty ojcie, proszę mi pozwolić przypomnieć słowa świętego Pawła, że nie ma ani Żyda, ani Greka i wszyscy jesteśmy jednym w Chrystusie – powiedział cicho. – A po drugie, jestem tak samo prawosławny jak ojciec.

I tak mu się to powiedziało godnie, spokojnie (choć w środku, oczywiście, wszystko w nim dygotało i klekotało), że Matwiej Bencjonowicz sam się sobą zachwyił.

Ale czy godnością można się przebić do głowy zezwierzęconego judofoba?

– Naszą rosyjską wiarę tylko Rosjanin do samego rdzenia zrozumieć i przyjąć zdoła – wycedził, krzywiąc wargi, ojciec Witalis. – A już prawosławie to na pewno nie na umysł ani serce judejskiej zarozumiałości i pewności siebie. Precz, precz z waszymi pazurami od rosyjskich świętości! Co zaś do ochrzczenia pańskiego, to lud nasz tak o tym mówi: Żyda ochrzcić to jak złodziejowi odpuścić.

Z tymi słowy archimandryta odwrócił się od urzędnika plecami i chlupocząc błoćką, ukrył się w burzonym chlewie – wysoki, czarny, prosty jak żerdź. Berdyczowski zaś, kipiąc z wściekłości, poszedł precz z klasztoru.

Ponieważ ta krótka rozmowa nie trwała nawet dziesięciu minut, do następnego spotkania – z doktorem Korowinem – zostawało mu jeszcze sporo czasu. Żeby nie tracić go na darmo, a jednocześnie poruszać się trochę dla uspokojenia, podprokurator postanowił przejść się po mieście, poznać jego osobliwości topograficzne, obyczajowe i inne.

Dziwna rzecz, że te same ulice, które przy pierwszym spotkaniu wywarły na panu Matwieju takie korzystne wrażenie swoją

czystością, gładkością i porządkiem, teraz wydały mu się nieprzyjemne, złowieszcze nawet. Spojrzenie przybysza zatrzymywało się coraz częściej na postnie zaciśniętych ustach pątniczek, na przesadnej obfitości wszelkiego rodzaju cerkwi, cerkiewek i kapliczek, na etnicznej monotonii spotykanych twarzy: ani jednej smągłej, czarnookiej, orlonosej czy choćby skońnockiej, wszystkie po wielkorusku jasnowłose, szarookie i zadartonose.

Jeszcze nigdy w życiu Berdyczowski nie odczuwał takiej ostrej, beznadziejnej samotności jak w tym prawosławnym raju. I czy naprawdę raju? Koło niego przemaszerowało dziesięciu roślących mnichów z pałami u pasa – ładny eden! Pożyj tu sobie, człowieku, pod rządami ojca Witalisa, zaciekłego wstecznika i pogromcy wszystkiego, co odmienne. W księgarniach widziało się tylko lektury religijne, z gazet jedynie „Gońca Cerkiewnego”, „Gwiazdę Prawosławia” i „Obywatela”, pismo księcia Mieszczerskiego. Ani teatru, ani orkiestry dętej w parku, ani, uchowaj Bóg, jakiejś tancredy. Za to jadłodajni bez liku. Pojeść i pomodlić się, ot i cały wasz raj – złościł się w duchu pan podprokurator.

Kiedy zaś uraza i złość na archimandrytę uśmierzyły się nieco, Berdyczowski, zgodnie ze zwykłym inteligenckim nawykiem *audiatur et altera pars*^[6], zaczął myśleć, że co do niego to Witalis w istocie nie myli się aż tak bardzo. Tak, jest pewien swego rozumu. Tak, jest sceptykiem, do prostodusznej wiary żadną miarą nieprzystosowanym. A jeśli już mówić zupełnie szczerze, być zupełnie otwartym wobec samego siebie, to cała jego religijność opiera się na miłości nie do Jezusa, którego Matwiej Bencjonowicz nigdy w życiu na oczy nie widział, tylko do przewielebnego Mitrofaniusza. Czyli gdyby wyobrazić sobie, że duchowym ojcem Mordki Berdyczowskiego zostałby nie prawosławny archijerej, tylko jakiś przemądry szejk czy bonza buddyjski, to radca kolegiálny chodziłby teraz w turbanie albo

w słomianym stożkowatym kapeluszu. Tylko że w takim razie, panie szanowny, nie zrobiłby pan w cesarstwie rosyjskim żadnej kariery – jeszcze bardziej dopieklł sobie pan Matwiej, pogrążywszy się w zupełnym samoponiżeniu.

A zrobiło mu się całkiem źle, bo do samotności doczesnej – przejściowej i rozciągającej się tylko na wyspę Kanaan – doszła jeszcze samotność metafizyczna. Wybacz, Boże, małą wiarę i wątpliwości – modlił się przestraszony podprokurator i kręcąc głową, rozglądał się, czy nie ma gdzieś w pobliżu świątyni, by czym prędzej pokajać się przed obrazem Zbawiciela.

Jak mogło nie być – Nowy Ararat to przecież nie jakiś tam Petersburg. Tuż obok, o dwadzieścia kroków, wznosiła się cerkiewka, a jeszcze bliżej, właściwie wprost przed nosem Berdyczowskiego, na ścianie szkoły klasztornej wisiała pod blaszanym okapem wielka ikona, i to nie byle jaka, tylko akurat Zbawiciela Nie Ręką Ludzką Uczynionego. W tym zbiegu okoliczności Matwiej Bencjonowicz dopatrzył się znaku z góry i do cerkwi już nie szedł. Buchnął na kolana przed Zbawicielem (po wizycie na bydłącym dziedzińcu spodnie były i tak nie do użytku, trzeba będzie się przebrać) i zaczął się modlić – gorąco, żarliwie, jak nigdy przedtem.

Boże – błagał Berdyczowski – ześlij mi wiarę prostą, dziecięcą, nierezonującą, żeby zawsze mnie wspierała i w żadnych próbach nie zostawiała samego. Żebym uwierzył w nieśmiertelność duszy i w życie po śmierci, żeby w miejsce czczej przemądrzałości zesłała na mnie mądrość, żebym nie drżał wciąż o moich najbliższych, lecz pamiętał o wieczności, daj mi twardość, żebym mógł oprzeć się pokusom, żebym... Jednym słowem, modlitwa była długa, ponieważ próśb do Najwyższego miał Matwiej Bencjonowicz mnóstwo i nudno byłoby wszystkie wyliczać.

Nikt modlącemu się nie przeszkadzał, nikt nie gapił się na

przyzwocie wyglądającego pana, wycierającego sobie kolana pośrodku chodnika – przechodnie obchodzili go z szacunkiem, tym bardziej że sceny tego rodzaju były w Nowym Araracie na porządku dziennym.

Jedyną rzeczą, która odrywała urzędnika od oczyszczającego duszę zajęcia, był dochodzący z ganku szkoły dźwięczny dziecięcy śmiech. Tam, w otoczeniu stadka małych chłopców, siedział jakiś mężczyzna w miękkim kapeluszu i widać było, że mu z urwisami wesoło, im zaś wesoło z nim. Berdyczowski kilka razy oglądał się z rozdrażnieniem w stronę, skąd dolatywał zgiełk, miał więc możliwość zauważyć niektóre cechy fizjonomii miłośnika dzieci – bardzo miłej, otwartej, nieco nawet prostackiej.

A kiedy podprokurator, ocierając łzy, wstał wreszcie z kolan, nieznajomy podszedł do niego, grzecznie uchylił kapelusza i zaczął przeproszać:

– Proszę wybaczyć, że naszą paplaniną przeszkadzaliśmy panu w modlitwie. Dzieci ciągle dręczą mnie wypytywaniem o najróżniejsze sprawy. Zadziwiające, jak mało im objaśniają nauczyciele, nawet w tym, co dotyczy rzeczy najważniejszych. One zresztą boją się zadawać niepotrzebne pytania nauczycielom, przecież wykładają tu sami mnisi, w dodatku bardzo srodzy. A mnie się nie boją. – Mężczyzna się uśmiechnął i po tym uśmiechu można było poznać, że bać się rzeczywiście nie ma czego. – Wybaczy pan, że tak sobie bez ceremonii do niego podszedłem. Ja, widzi pan, jestem nadzwyczaj towarzyski, a zwróciłem uwagę na szczerść pańskiej modlitwy. Nieczęsto się widzi, żeby wykształcony człowiek z takim przejęciem, ze łzami w oczach klęczał przed ikoną. W domu, sam na sam ze sobą to jeszcze, ale wprost na ulicy! Pan mi się bardzo spodobał.

Berdyczowski ukłonił się z lekka i chciał odejść, ale przyjrzał się

nieznajomemu uważniej, zmrużył oczy i z wielką ostrożnością powiedział:

– Eee, za pozwoleniem łaskawego pana, czy mogę spytać, z kim mam przyjemność? Czy przypadkiem nie z Lwem Nikołajewiczem?

Bo z manier i wyglądu zewnętrznego przyjemny pan zadziwiająco przypominał miłośnika lektur z listu Aloszy Lentoczki. Berdyczowski, zapalony szachista, pamięć miał znakomitą, a i trudno było zapomnieć takie imię – jak u hrabiego Tołstoja.

Mężczyzna zdziwił się, ale nie za bardzo – i bez tego wyglądał, jakby stale oczekiwał od rzeczywistości niespodzianek, i to głównie radosnych.

– Owszem, właśnie tak się nazywam. A skąd pan wie?

Również w tym przypadkowym spotkaniu oczyszczony modlitwą Berdyczowski dopatrzył się zamysłu Bożego.

– Mamy wspólnego znajomego, Aleksego Stiepanowicza Lentoczki. No, tego, co podarował panu pewną książkę, powieść Fiodora Dostojewskiego.

Taka nadnaturalna orientacja znowu zadziwiła Lwa Nikołajewicza, ale i tym razem nie zanadto.

– Tak, doskonale pamiętam tego biednego młodzieńca. Wie pan, że spotkało go nieszczęście? Rozum mu się pomieszał.

Matwiej Bencjonowicz nie odezwał się, ale uniesieniem brwi wyraził zdziwienie, jakby chciał rzec: co pan powie?

– Z powodu Czarnego Mnicha – zniżył głos jego rozmówca. – Poszedł nocą do pewnej chatki, gdzie na oknie był wydrapany krzyż, i rozum stracił. Coś tam zobaczył. A potem, w tym samym miejscu, inny człowiek, którego też trochę znałem, zastrzelił się z pistoletu. Oj, ależ się rozgadałem! To przecież tajemnica – przestraszył się Lew Nikołajewicz. – Powiedziano mi to w największym sekrecie, dałem słowo. Niech pan nikomu więcej o tym nie mówi, dobrze?

Tak, tak – powiedział do siebie śledczy i mocno potarł nasadę nosa, żeby złagodzić wściekłe pulsowanie krwi. Tak, tak.

– Nikomu nie powiem – obiecał, udając, że ziewa ze znużeniem. – Ale wie pan co, pan mnie też wydaje się bardzo sympatyczny. I do tego okazuje się, że mamy wspólnego znajomego. Czy nie zechciałby pan posiedzieć ze mną przy filiżance herbaty lub kawy? Pogadalibyśmy o tym i owym. Chociażby o Dostojewskim.

– Będę uszczęśliwiony! – ucieszył się Lew Nikołajewicz. – Wie pan, tak rzadko udaje się spotkać tutaj oczytanego, prawdziwie kulturalnego człowieka. A poza tym – rozmowa ze mną nie każdego interesuje. Niewiele umiem, jestem niewykształcony, czasem mówię niedorzeczności. No, możemy posiedzieć choćby w „Dobrym Samarytaninie”. Podają tam oryginalną herbatę, przydymioną. Do tego niedrogo.

Już był gotów natychmiast iść i porozmawiać z nowym znajomym, ale breguet w kieszeni Berdyczowskiego zabrzączał cztery razy głośno i jeden raz cicho. Było już piętnaście po czwartej – okazuje się, że aż tak długo się modlił.

– Drogi panie, mam teraz bardzo pilną sprawę, to może potrwać dwie albo trzy godziny... Gdybyśmy mogli spotkać się potem... – Podprokurator nie dokończył propozycji, tylko pytająco zawiesił głos, a doczekawszy się kiwnięcia głową, ciągnął dalej: – Nazywam się Matwiej Bencjonowicz, a dokładniej przedstawię się podczas naszego wieczornego spotkania. Gdzie pana znajdę?

– Do siódmej na ogół przechadzam się po mieście, przyglądam się ludziom i myślę o tym, co mi przyjdzie do głowy – zaczął wyjaśniać cenny świadek. – O siódmej jem kolację w jadłodajni „Pięć Chlebów”, a potem, jeśli nie ma deszczu ani silnego wiatru – a dziś, jak pan widzi, jest jasno – przesiaduję sobie na ławeczce gdzieś nad jeziorem. Długo. Czasem nawet do dziesiątej...

– Doskonale – przerwał Berdyczowski. – Tam właśnie się spotkamy. Proszę podać jakieś określone miejsce.

Lew Nikołajewicz zastanawiał się chwilę.

– Niech będzie na nabrzeżu, koło Rotundy. Żeby łatwiej było panu trafić. Na pewno pan przyjdzie?

– Może pan być zupełnie pewien – uśmiechnął się podprokurator.



Matwiej Bencjonowicz otarł wilgotne czoło i chwycił się za serce. Po tysiącokroć rację ma Maszeńka – trzeba robić gimnastykę i jeździć na rowerze, jak wszyscy światli ludzie troszczący się o swe zdrowie cielesne. No, co to ma znaczyć – trzydzieści osiem lat, a już i brzuszek, i zadyszka, i żadnej zręczności.

– Aleksy, naprawdę, pobawił się pan i starczy! – zwrócił się podprokurator do tropikalnych krzewów, zza których dopiero co doleciał szelest szybkich bosych nóg. – Przecież to ja, Berdyczowski, pan mnie doskonale zna! Przybywam tu do pana z polecenia władzyki Mitrofaniusza!

Zabawa ni to w chowanego, ni to w berka – a ściślej mówiąc, w jedno i drugie naraz – dosyć mu się już dłużyła i podprokurator był potwornie zmęczony.

Donat Sawwicz Korowin pozostał u wejścia do oranżerii. Pociągając cygarko, przyglądał się z zainteresowaniem manewrom obu stron. Samego Lentoczkiną wysłannik władzyki jeszcze nie widział, ale chłopczyna z pewnością tu był – raz i drugi zza szerokich, lśniących liści mignęło gołe ramię.

– Nie martw się pan, on się zaraz zmęczy – powiedział doktor. – Słabnie z każdym dniem. Tydzień temu, ilekroć musieliśmy go zbadać, sanitariusze po pół godziny za nim ganiali, nawet zdejmowali go z palm. Dwa dni temu wystarczył kwadrans. Wczoraj – dziesięć minut.

Kiepsko.

Mógłby i mnie sanitariuszy użyzyć – pomyślał z rozdrażnieniem urzędnik. Demonstruje, że dla światowej znakomitości władze gubernialne to żadne władze. Też, tak jak przeor, obraził się za ton listu.

W przeciwieństwie jednak do archimandryty doktor raczej podobał się Berdyczowskiemu. Spokojny, rzeczowy, lekko, niewyzywająco ironiczny. Wysłuchawszy śledczego, rozsądnie zaproponował: „Najpierw niech pan obejrzy swojego Lentoczki, a potem wrócimy tutaj i porozmawiamy”.

Ale, jak już mówiliśmy, popatrzeć na Aloszę okazało się wcale nie tak łatwo.

Po dalszych kilku minutach udało się zagnać dzikiego mieszkańca dżungli w kąć i wtedy, nareszcie, bieganina się skończyła. Zza wspaniałego krzewu, obsypanego nienaturalnie granatowymi kwiatami (za nim była już tylko szklana ściana), wychylała się kędzierzawa głowa z wytrzeszczonymi w przerażeniu błękitnymi oczyma. Pan Matwiej zauważył, że chłopczyzna bardzo skapcaniał i całkiem stracił rumieniec, a włosy ma splątane i obwisłe.

– Nie trzeba – powiedział płaczącym głosem Alosza. – Ja niedługo do nieba polecę. On po mnie przyjdzie i zabierze. Zaczekajcie.

Za radą doktora podprokurator nie starał się podkraść bliżej do chorego, żeby nie doprowadzić do ataku. Zatrzymał się, rozłożył ręce i zaczął najłagodniej, jak umiał:

– Drogi panie Aleksy, przeczytałem pański ostatni list, ten, w którym pisał pan o magicznym zaklęciu i o domku pławowego. Pamięta pan, co tam zaszło, w tym domku?

Z tyłu chrząknął Korowin.

– Aleś pan szybki. Akurat on panu tak od razu opowie...

– Nie chodź tam – cienkim głosikiem ostrzegł nagle Alosza

Berdyczowskiego. – Przepadniesz.

Doktor podszedł i stanął koło podprokuratora.

– Pardon – szepnął. – Nie miałem racji. Pan na niego działa w jakiś szczególny sposób.

Zachęcony powodzeniem Matwiej Bencjonowicz zrobił pół kroku do przodu.

– Miły panie Aleksy, władyka przez pana stracił sen i spokój. Nie może sobie darować, że pana tu przysłał. Zabierzmy się razem do niego, co? Powiedział mi, żebym bez pana nie wracał. Pojedziemy?

– Pojedziemy – wymamrotał Alosza.

– I o tamtej nocy pomówimy?

– Pomówimy.

Berdyczowski tryumfalnie obejrzał się na lekarza: no i co? Tamten milczał, pochmurny i zaniepokojony.

– Z panem pewnie się coś niewiarygodnego zdarzyło? – ostrożniutko, jak rybak żyłkę, ciągnął swoje Berdyczowski.

– Zdarzyło.

– Objawił się panu Wasilisk?

– Wasilisk.

– I czymś pana przestraszył?

– Przestraszył.

Doktor odsunął śledczego na bok.

– Czekaj pan. Nie widzi pan, że on po prostu powtarza za panem ostatnie słowo? To się u niego nasiliło w ostatnich trzech dniach. Eholalia. Nie może skupić uwagi dłużej niż przez minutę. On pana nie słyszy.

– Aleksy, czy pan mnie słyszy? – spytał podprokurator.

– Słyszy – powtórzył Lentoczkin i już było jasne, że dyrektor kliniki, niestety, ma rację.

Berdyczowski westchnął z rozczarowaniem.

– Co z nim będzie?

– Tydzień, najwyżej dwa i... – Doktor wymownie pokiwał głową. – Oczywiście, jeśli nie zdarzy się cud.

– Jaki cud?

– Jeśli nie znajdę sposobu, żeby zatrzymać proces chorobowy i obrócić go wstecz. No dobrze, chodźmy. Nic pan z niego nie wyciągnie, tak samo jak pański poprzednik.

Wróciwszy do gabinetu Korowina, zaczęli rozmawiać już nie o nieszczęsnym Aleksym Stiepanowiczu, lecz właśnie o „poprzedniku”, czyli o świętej pamięci Lagrange’u.

– Wydaje mi się, że z racji swego zawodu powinienem być niezłym fizjonomistą – mówił Donat Sawwicz, popatrując to na Berdyczowskiego, to za okno. – I myślę się co do ludzi bardzo, bardzo rzadko. Ale pański policmajster swoim numerem, muszę przyznać, zabił mi klina. Przysięgnąłbym z całym przekonaniem, że to osobnik zrównoważony, o wysokiej samoocenie i prymitywnie przedmiotowym stosunku do świata. Tacy ludzie nie miewają skłonności ani do samobójstwa, ani do szoku pourazowego. Jeśli kończą ze sobą, to bodaj tylko wtedy, kiedy mają poczucie, że znaleźli się w sytuacji zupełnie bez wyjścia – grozi im haniebny proces albo wskutek nieleczzonego syfilisu nos odpada i ślepną. Jeżeli tracą rozum, to z jakiegoś prozaicznego powodu: szefostwo pominęło ich przy awansie albo pierwsza wygrana na loterii padła na sąsiedni numer – zdarzyło się to z pewnym kapitanem dragonów. Ja bym do siebie takiego pacjenta jak pański Lagrange za nic nie wziął. Nieciekawe.

Jakoś tak samo z siebie wyszło, bez szczególnego wysiłku ze strony obu rozmówców, że początkowa obopólna nieufność, a nawet niechęć, zupełnie znikła i teraz rozmowę prowadziło dwóch rozumnych, szanujących się wzajemnie ludzi.

Matwiej Bencjonowicz też podszedł do okna, popatrzył na zgrabne

domki, w których mieszkali podopieczni Korowina.

– Utrzymanie chorych kosztuje pana zapewne ładną sumkę?

– Blisko ćwierć miliona rocznie. Jeśli podzielić to na dwadzieścia osiem osób (a tyłu mam właśnie teraz pacjentów), to średnio wypadnie około ośmiu tysięcy, chociaż oczywiście różnice w wydatkach są duże. Lentoczkin mnie nie kosztuje prawie nic. Żyje jak ptak Boży. I boję się, że szybko odfrunie, „uleci do nieba”. – Doktor uśmiechnął się ze smutkiem.

Wstrząśnięty niewiarygodną liczbą, Berdyczowski zawołał:

– Osiem tysięcy! Toż to...

– „Szaleństwo”, chce pan powiedzieć? – uśmiechnął się lekarz. – Raczej zachcianka milionera. Inni bogacze tracą pieniądze na zbytkowne przedmioty lub na kokotki, a ja mam swoją pasję. To nie jest filantropia, bo robię to nie dla ludzkości, tylko dla własnego zadowolenia. Ale i na dobroczynność wydaję niemało, bo ze wszystkich dóbr ziemskich nade wszystko cenię własne sumienie i na wszelkie sposoby strzegę je od udręka.

– Nie wydaje się panu jednak, że pańskie ćwierć miliona można by wydać z pożytkiem dla znacznie większej liczby ludzi? – Podprokurator nie powstrzymał się od szpileczki.

Doktor Korowin uśmiechnął się jeszcze bardziej dobrodusznie.

– Ma pan na myśli głodnych i bezdomnych? No cóż, rozumie się, że i o nich nie zapominam. Dochód z kapitału, który otrzymałem w spadku, wynosi pół miliona rocznie. Równo połowę oddaję instytucjom dobroczynnym jako dobrowolny podatek od bogactwa albo, jeśli pan woli, jako opłatę za czyste sumienie, za to z pozostałą sumą postępuję wyłącznie wedle własnego uznania. Jem foie gras bez żadnego poczucia winy, a jeśli chce mi się bawić w doktora, to się bawię. Z absolutnym spokojem ducha. A czy pan by pożałował połowy swoich dochodów w zamian za mocny sen, zdrowy apetyt i harmonię

z własną duszą?

Pan Matwiej tylko ręce rozłożył, bo krępował się odpowiadać na to pytanie. Nie będzie przecież plótł milionerowi o dwanaściorgu dzieci i o spłacaniu pożyczki na domek z ogródkiem.

– Na siebie samego tracę po prostu drobnostkę, dwadzieścia do trzydziestu tysięcy – mówił dalej Korowin. – Cała reszta idzie na moją pasję. Każdy z pacjentów to dla mnie prawdziwy skarb. Wszyscy są niezwykli, wszyscy utalentowani, o każdym można dysertację napisać albo nawet i książkę. Mówiłem już panu, że przyjmuję nie każdego. Wybieram tylko tych, którzy w jakimś stopniu wydają mi się sympatyczni. Inaczej nie wzbudziłbym w nich zaufania.

Popatrzył na podprokuratora, uśmiechnął się jak najprzyjaźniej i dodał:

– Takiego człowieka jak pan chyba bym wziął. Gdyby, oczywiście, wykryto u pana duchowe niedomaganie.

– Doprawdy? – roześmiał się Berdyczowski, któremu te słowa pochlebiły. – A co ze mnie za człowiek, pańskim zdaniem?

Donat Sawwicz miał już zamiar odpowiedzieć, ale w tym momencie jego wzrok znów zwrócił się ku oknu i doktor z miną spiskowca oznajmił:

– A zaraz się dowiemy.

Otworzył jedno skrzydło i krzyknął do kogoś:

– Panie Sergiuszu! Znowu pan podsłuchuje? Ajajaj! Powiedz pan lepiej, czy ma pan przy sobie swoje znakomite okulary? Doskonale! Czy byłby pan uprzejmy zajrzeć do mnie na chwilkę?

Po chwili do gabinetu wszedł szczupły człowieczek ubrany w coś podobnego do średniowiecznej opończy, w wielkim berecie i z płócienną torbą, w której coś postukiwało.

– Co pan tam ma? – spytał z ciekawością doktor, wskazując na torbę.

– Okazy – odpowiedział dziwny osobnik, przyglądając się Berdyczowskiemu. – Minerality. Z wybrzeża. Analiza emanacyjna. Tłumaczyłem. Ale pan głuchy. Kto to? Dlaczego o tamtym?

– A proszę, może przedstawię... Pan Berdyczowski, stróż prawa. Przybył, żeby zbadać nasze tajemnicze przygody. Pan Lampe, genialny fizyk, a zarazem mój stały gość.

– Rozumiem. – Podprokurator zerknął spod oka na Korowina, a do „fizyka” powiedział ostrożnie: – Mmm, tak, bardzo mi miło. Życzę zdrowia.

– Stróż?! Zbadać?! – zawołał wariat, nie odpowiadając na powitanie.
– Ale to... Tak, tak! Dawno! Dawno! Nawet na oko nie taki jak tamten! Ja zaraz, zaraz... Ach, gdzie one? Gdzie?

Tak się zdenerwował, że Berdyczowskiemu zrobiło się nieswojo – czy ten się na niego nie rzuci? Ale doktor mrugnął do niego uspokajająco.

– Szuka pan swoich niezwykłych okularów? O, są tutaj, w kieszeni na piersi. Właśnie chciałem poprosić pana o przeprowadzenie chromospektrografii naszego gościa.

– Co, co? – jeszcze bardziej zaniepokoił się podprokurator. – Chromo...

– Chromospektrografia. To jeden z wynalazków pana Sergiusza. Odkrył, że każdego człowieka otacza pewna niewidoczna dla oka emanacja. O barwie tego promieniowania decyduje stan organów wewnętrznych, rozwój umysłowy, a nawet cechy moralne danego osobnika – z jak najpoważniejszą miną zaczął objaśniać Korowin. – Okulary pana Lampego zdolne są uczynić tę przezroczystą aureolę widzialną. I trzeba przyznać, że emanacyjna diagnoza Sergiusza Nikołajewicza w tym, co się tyczy zdrowia fizycznego, nierzadko okazuje się trafna.

Tymczasem człowieczek już włożył ogromne okulary

z fioletowymi szklami i nastawił je na Berdyczowskiego.

– Dobrze – wymamrotał dziwny człowieczek. – Doskonale... Nie to co tamten... Malinowego w ogóle nie ma... Żółtozielone podświetlenie – ajajaj... Ale nic, za to pomarańczowe jest... Głowa... Tak... Serce... A wie pan, że ma niezdrową wątrobę? – spytał nagle zupełnie normalnym głosem i Matwiej Bencjonowicz wzdrygnął się, jako że ostatnimi czasy rzeczywiście kłuło go z lekka w prawym boku, zwłaszcza po kolacji.

Ściągnawszy z nosa swoje idiotyczne okulary, szalenic chwycił śledczego za rękę i zaterkotał:

– Porozmawiać! Koniecznie! W cztery oczy! Dawno czekam, dawno! Błękitnego dużo! Znaczy, potrafi zrozumieć! Zaraz! Do mnie, do mnie! O, nareszcie!

Pociągnął Berdyczowskiego za sobą, i to tak zdecydowanie, że przestraszony urzędnik ledwie mu się wydarł.

– Spokojnie, panie Sergiuszu, spokojnie – przyszedł z pomocą doktor. – Teraz my z panem Matwiejem porozmawiamy, a potem ja go wyślę do pańskiej pracowni. Proszę tam iść i poczekać.

Kiedy mamroczący i wymachujący rękoma pacjent zniknął za drzwiami, Donat Sawwicz zrobił straszne oczy i wyszeptał:

– Ma pan nie więcej niż pięć minut, żeby opuścić teren lecznicy. Inaczej Lampe wróci i już tak łatwo się pan od niego nie odczepi.

Rada była dobra i Berdyczowski uznał za roztropne skorzystać z niej, tym bardziej że dalsze przebywanie w klinice wydawało się zbędne.



Matwiej Bencjonowicz kroczył po żółtej ceglanej drodze, wijącej się między płaskimi zalesionymi wzgórzami – zapewne tej samej, którą tydzień wcześniej szedł od doktora nieszczęsny Lagrange. Co się

działo w duszy skazanego już policmajstra? Czy wiedział, że dożywa ostatniego dnia na tym Bożym świecie? O czym myślał, patrząc w dół na miasto, monaster, jezioro?

W gruncie rzeczy bieg myśli nieboszczyka dawał się odtworzyć bez wielkiego trudu. Należy sądzić, że wieczorem był już stanowczo zdecydowany dokonać nocnej wyprawy do interesującej chatynki i sprawdzić, co to za nieczysta siła przebiła tam sobie dojście do świata ludzi. Jakże to podobne do dzielnego pułkownika! Ruszyć przebojem i niech się dzieje, co chce.

No, a my będziemy działać inaczej – rozmyślał pan podprokurator, chociaż oczywiście też zwrócimy uwagę na ten osobliwy domek. Przede wszystkim obejrzymy go przy świetle dziennym, czyli nie dzisiaj, lecz jutro, jako że już się zmierzcha, a i zaprzysiężeni świadkowie będą potrzebni.

Co dalej? Wyjąć z ramy szkło z krzyżem i wysłać do Zawoźska na ekspertyzę.

Nie, to by za długo trwało. Lepiej wezwać Siemiona Iwanowicza, a z nim trzech-czterech co bardziej rozgarniętych policjantów, żeby nie być zależnym od podłego Witalisa i jego strażników pokoju. Rozstawić w chatce i wokół niej całodobowe posterunki. I wtedy zobaczymy, jak się moc czartowska zachowa.

Hmm – powiedział nagle sam do siebie Berdyczowski – i zatrzymał się. Przecież ja sam rozumiem jak regularny dzierżymorda. Jakbym nie rozumiał, że jeśli tu naprawdę kryje się jakaś mistyczna materia, to bardzo łatwo zniszczyć cienką nić między nią a ziemską rzeczywistością. Wyjdzie z tego właśnie taki węzeł gordyjski, przeciw któremu występowałem.

Nawet taka zakuta pała jak Lagrange, świeć Panie nad jego duszą, zrozumiał, że zjawiska nadprzyrodzone obserwować można tylko sam na sam, bez osób postronnych, świadków, strażników. Dla czystości

eksperymentu trzeba postępować tak, jak pisał Lentoczkin: przyjść samemu, nago i z zaklęciem. I jeśli nic szczególnego się nie zdarzy, to dopiero wtedy, z twardym materialistycznym przekonaniem, można prowadzić śledztwo zwykłym sposobem.

Zawoźski podprokurator rozumiał, że te rozmyślania należą raczej do sfery gry umysłu, bo przecież nigdzie nocą nie pójdzie, a już na pewno nie w miejsce, gdzie jeden człowiek stracił rozum, drugi zaś wpakował sobie kulę w serce.

Pchać się w taką awanturę byłoby głupio, nawet śmiesznie, a co najważniejsze – nieodpowiedzialnie wobec Maszy i dzieci.

Stąd myśli Berdyczowskiego w naturalny sposób zwróciły się ku rodzinie.

Najpierw ku żonie, dzięki której jego życie nabrało pełni, sensu i szczęścia. Jakże ta Masza jest miła, jaka ładna, zwłaszcza w okresie ciąży, mimo że oczy jej wówczas robią się czerwone, na powiekach pojawiają się drobne żyłki, a nos spłaszcza się tak, że wypisz, wymaluj kaczką. Podprokurator uśmiechnął się, przypomniawszy sobie zamiłowanie Maszy do śpiewu przy całkowitym braku słuchu muzycznego, jej zabobonny strach przed szczerbatym księżycem i rudym karaluchem, nieposłuszny kosmyk na potylicy i jeszcze mnóstwo drobiazgów, które mają znaczenie tylko dla tych, co kochają.

Starsza córka, Kasieńka, wdała się, chwala Bogu, w matkę. Tak samo zdecydowana, stanowcza, wiedząca, czego chce i jak to osiągnąć.

Druga córka, Ludmiłka, wdała się raczej w ojca – lubi popłakać, pożalić się, wrażliwa na przyrodę. Trudno jej w życiu będzie. Dałby Bóg, żeby narzeczony trafił jej się czuły, ludzki.

A trzecia córka, Nasteczka, zapowiada się na prawdziwy talent muzyczny. Jak leciutko suną po klawiszach jej różowe paluszki! Podrośnie i trzeba będzie koniecznie zawieźć ją do Petersburga, pokazać Józefowi Solomonowiczowi.

Myślowa inwentaryzacja wszystkich licznych członków rodziny była dla Berdyczowskiego ulubionym sposobem spędzania czasu, ale tym razem do czwartej córki, Lizeczki, dojść nie zdążył. Zza zakrętu wyjechała mu naprzeciw amazonka na wronym koniu i było to zjawisko tak nieoczekiwane, tak niezharmonizowane z leniwą rozmową dzwonów klasztornych i całym mętnym kananejskim pejzażem, że Matwiej Bencjonowicz osłupiał.

Cienkonogi ogier kłusował po drodze troszeczkę bokiem, jak to zdarza się czasami u szczególnie rasowych i płochliwych koni angielskich, tak że siedzącą po damsku amazonkę widział podprokurator całą – od czapeczki z woalką po czubki lakierowanych bucików.

Zrównawszy się z pieszym, dama obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów i pod ostrym jak strzała spojrzeniem czarnych oczu rozważny urzędnik cały zadrżał.

To była ona, żadnych wątpliwości! Nieznajoma, która samym swym pojawieniem się jakby uniosła z wyspy obrus mgły. Kapelusz z piórami zastąpił szkarłatny atłasowy kardynałek, ale suknia pozostała żałobnego koloru, a do tego wrażliwy nos Berdyczowskiego uchwycił znajomy zapach perfum, niepokojący i niebezpieczny.

Matwiej Bencjonowicz zatrzymał się i odprowadził wdzięczną amazonkę wzrokiem. Ona nie tyle uderzała, ile leciutko muskała błyszczący zad anglika szpicrutą, a w lewej ręce trzymała koronkową chusteczkę.

Nagle ten lekki strzęp tkaniny wyrwał się na wolność, niczym rozbawiony motyl krążył chwilę w powietrzu i wreszcie opadł na pobocze drogi. Nie zauważywszy straty, amazonka galopowała dalej, nie oglądając się na znieruchomiłego mężczyznę.

Niech leży, gdzie spadła – ostrzegł Berdyczowskiego rozsądek; nawet nie rozsądek, tylko chyba instynkt samozachowawczy.

Zdarzenie niedoszło dlatego tak się właśnie nazywa, że do niego nie doszło.

Ale nogi już same niosły pana Matwieja ku zgubionej chusteczce.

– Proszę pani, proszę się zatrzymać! – zawołał śledczy, nadrywając głos. – Chusteczka! Zgubiła pani chusteczkę!

Zawołał trzy razy, zanim amazonka się odwróciła. Zrozumiała, o co chodzi, kiwnęła głową i zawróciła. Podjeżdżała powoli, przyglądając się panu w palmestronie i zabłoconych sztybletach z dziwnym, ni to pytającym, ni to drwiącym uśmiechem.

– Dziękuję – powiedziała, ściągając wodze, ale nie sięgnęła po chusteczkę. – Pan jest bardzo uprzejmy.

Berdyczowski podał jej chusteczkę, wpatrując się żarliwie w oślepiającą twarz damy, a może nawet panny. Co za głębokie oczy o z lekka migdałowym kształcie! A śmiała linia ust, uparty podbródek i gorzki, ledwie widoczny cień pod kośćmi policzkowymi...

Warto by jednak coś powiedzieć. Nie można tak po prostu się gapić.

– Batystowa chusteczka... Szkoda by było zgubić – wymamrotał pan podprokurator, czując, że rumieni się jak mały chłopiec.

– Pan ma rozumne oczy. Nerwowe usta. Dotąd nigdy pana tutaj nie widziałam. – Amazonka pogładziła wronego po atlasowej szyi. – Kim pan jest?

– Berdyczowski – przedstawił się prawnik i ledwie się powstrzymał, żeby nie podać swego stanowiska. Może to przynajmniej skłoniłoby piękną damę, by nie patrzyła na niego kpiąco?

Zamiast stanowiska wymienił rangę:

– Radca kolegiálny.

Jej się to czemuś wydało śmieszne.

– Radca? – Nieznajoma roześmiała się, pokazując białe, równe zęby.

– A może doradca? Ach, wszystko jedno. Proszę mi poradzić,

szanowny doradco kolegiálny, co zrobić ze straconym życiem?

– Czyim? – spytał ochryple pan Matwiej.

– Moim. A może i pańskim. No, niech mi pan powie, doradco, czy mógłby pan nagle całe swoje życie przekreślić, stracić dla jednego tylko mgnienia? Nawet nie dla mgnienia, zaledwie dla nadziei na mgnienie, która w dodatku być może się nie ziści?

Berdyczowski wybełkotał:

– Nie rozumiem pani... Pani mówi dziwne rzeczy.

Ale zrozumiał, doskonale wszystko zrozumiał. To, co w żadnym razie z nim zdarzyć się nie mogło, bo całe jego życie płynęło zupełnie innym torem, było blisko, bardzo blisko. Mgnienie? Nadzieja? A co z Maszą?

– Wierzy pan w przeznaczenie? – Amazonka już się nie uśmiechała, jej czyste czoło spochmurniało. Szpicruta władczo uderzała po końskim zadzie i wrony nerwowo przebierał nogami. – W to, że wszystko jest z góry przewidziane i że przypadkowych spotkań nie ma?

– Nie wiem...

Wiedział za to, że ginie, i już gotów był zginąć, pragnął tego nawet. Pomarańczowa połać zachodu słońca rozwinęła się po obu stronach karego konia, jakby wyrosły mu nagle ogniste skrzydła.

– A ja wierzę. Ja upuściłam chusteczkę, pan ją podniósł. A może to w ogóle nie chusteczka?

Podprokurator w rozterce popatrzył na skrawek batystu, który wciąż ścisnął w palcach, i pomyślał: przypominam zebra, stojącego z wyciągniętą ręką.

Głos amazonki zabrzmiał groźnie.

– Chce pan? Zaraz obróć koniem i odjadę precz? I nigdy już pan mnie nie zobaczy! I nigdy się pan nie dowie, kto kogo oszukał – pan przeznaczenie czy przeznaczenie pana?

Ściągnęła uzdeczkę, odwróciła się i podniosła szpicrutę.

– Nie! – zawołał podprokurator, zapominając naraz i o Maszy, i o dwanaściorgu potomków, i o przyszłym trzynastym, tak nieżnośna wydała mu się myśl, że straszna amazonka ruszy i na zawsze skryje się w gęstniejącej ciemności.

– To chwytaj pan za strzemień, ale mocniej, mocniej, bo odpadnie pan! – rozkazała tajemnicza dama.

Berdyczowski jak zaczarowany wczepił się w srebrną klamrę. Amazonka krzyknęła gardłowo, uderzyła konia szpicrutą i wrony z miejsca żwawo ruszył rysią.

Matwiej Bencjonowicz biegł co sił w nogach, sam nie rozumiejąc, co się z nim dzieje. Po pięćdziesięciu, a może stu krokach potknął się, upadł twarzą do ziemi, a do tego jeszcze kilkakrotnie się przeturlał.

Z ciemności doszedł go szybko oddalający się śmiech.

– Wyspa, co za wyspa! – bezmyślnie powtarzał śledczy, siedząc na drodze i masując stłuczony łokieć. Kostki palców też miał rozbite do krwi, ale batystowej chusteczki z ręki nie wypuścił.



Po niewyobrażalnej, do niczego niepodobnej przygodzie wysłannik władzy był wyraźnie nieswój. Tylko tym można objaśnić okoliczność, że całkiem stracił rachubę czasu i nie pamiętał, jak dotarł do hotelu. A kiedy wreszcie ocknął się ze wstrząsu, stwierdził, że siedzi u siebie w pokoju na łóżku i tępo patrzy w okno, na wiszącą na niebie ćwiartkę pomarańczy – młody księżyc.

Machinalnym ruchem wyjął z kieszonki kamizelki zegarek. Była minuta po dziesiątej, z czego wyciągnął wniosek, że do rzeczywistości przywołał go zapewne dźwięk bregueta, chociaż samego dźwięku w pamięci nie zachował.

Lew Nikołajewicz! Obiecał, że będzie czekał na ławeczce nie dłużej

niż do dziesiątej!

Urządник zerwał się i wypadł z pokoju. A potem, po ulicy i po nabrzeżu, też nie szedł, tylko biegł. Przechodnie oglądali się – w statecznym Nowym Araracie biegnący człowiek, w dodatku późnym wieczorem, był najwidoczniej rzadkością.

Z powodu samej tylko rozmowy ze świadkiem, choćby nawet ważnym, Berdyczowski nie pędziłby na złamanie karku, ale nagle zapragnął koniecznie zobaczyć jasne, dobre oblicze Lwa Nikołajewicza i pomówić z nim, po prostu pomówić, o czymś prostym i ważnym, o wiele ważniejszym od wszystkich śledztw.

Biała kopuła Rotundy, jednej z miejscowych osobliwości, widoczna była z daleka. Podprokurator dobiegł tam kompletnie wyczerpany, utraciwszy już nadzieję, że zastanie Lwa Nikołajewicza. Ale oto z ławeczki podniosła się szczuplutka figurka i w powitalnym geście pomachała ręką.

Obaj ucieszyli się nadzwyczajnie. Przy czym radość pana Matwieja łatwo było zrozumieć, ale Lew Nikołajewicz też był bardzo zadowolony.

– A ja już myślałem, że pan nie przyjdzie! – zawołał, mocno ściskając rękę urzędnika. – Siedziałem już tylko tak, na wszelki wypadek. A pan przyszedł! Jak dobrze, jak wspaniale!

Noc była jasna albo – jak mawiają natury poetyckie – czarowna. Oczy Lwa Nikołajewicza i jego uroczy uśmiech przepęłniała taka życzliwość, a dusza Berdyczowskiego tak męczyła się w rozterce, że ledwie się wysapawszy, bez uprzedzenia i przedmów, opowiedział nowo poznanemu człowiekowi o tym, co się stało. Ze względu na swój charakter i głęboko zakorzenioną wstydlivość pan Matwiej wcale nie był skłonny się wywnętrzać, tym bardziej przed obcymi ludźmi. Ale, po pierwsze, Lew Nikołajewicz jakoś wcale nie wydawał mu się obcy, a po drugie – nazbyt już nagląca była potrzeba wygadania się i ulżenia

duszy.

Berdyczowski opowiadał o tajemniczej amazonce i swoim upadku (zarówno dosłownym, jak i moralnym), niczego nie tając i co chwila ocierając spływające po policzkach łzy.

Lew Nikołajewicz okazał się idealnym słuchaczem – poważnym, taktownym i współczującym do tego stopnia, że omal sam się nie rozpłakał.

– Niepotrzebnie pan tak siebie dręczy! – wykrzyknął, ledwie urzędnik przestał mówić. – Naprawdę niepotrzebnie! Ja niewiele wiem o miłości między mężczyznami i kobietami, ale nieraz słyszałem i zdarzało mi się czytać, że najbardziej przykładowy, najlepszy ojciec rodziny może ulec czemuś w rodzaju zaćmienia. Przecież każdy człowiek, najsolidniejszych nawet zasad, w głębi duszy oczekuje cudu i bardzo często takim cudem wydaje mu się jakaś niezwykła kobieta. Tak bywa także z żonami, ale szczególnie często z mężami, po prostu dlatego, że mężczyźni są bardziej skłonni do przygód. To, co pan mi opowiedział, to są głupstwa. To znaczy... nie głupstwa, oczywiście, o głupstwach palnąłem, żeby pana pocieszyć, ale przecież nic się nie stało. Pan jest zupełnie czysty wobec swojej małżonki...

– Ach, nieczysty, nieczysty! – przerwał poczciwcowi Matwiej Bencjonowicz. – O wiele bardziej nieczysty, niż gdybym po pijanemu poszedł do swawolnego domku. To byłoby po prostu świństwo, cielesny brud, a ja dopuściłem się zdrady, najprawdziwszej zdrady! I jak szybko, jak lekko, w minutę!

Lew Nikołajewicz uważnie popatrzył na rozmówcę i powiedział z zadumą:

– Nie, to jeszcze nie jest prawdziwa zdrada, nie najwyższego stopnia.

– W takim razie co, pańskim zdaniem, jest prawdziwą zdradą?

– Prawdziwa, szatańska zdrada jest wtedy, kiedy ktoś zdradza wprost, patrząc w oczy, i czerpie ze swej podłości szczególną rozkosz.

– No, już z rozkoszą to... – Berdyczowski machnął ręką. – A co do podłości, to ja właśnie jestem najzwyklejszym podlecem. Teraz wiem to o sobie i będę musiał z tą wiedzą żyć... Ech! – Wzdrygnął się. – Gdyby można było jakoś odkupić tę chwilę, zmyć ją z duszy, co? Ja bym na każdą próbę, na każdą mękę się zgodził, bylebym znów mógł poczuć się... – chciał powiedzieć „szlachetnym człowiekiem”, ale zawstydził się i rzekł po prostu – ...człowiekiem.

– Wypróbować siebie to rzecz pożyteczna i nawet konieczna – zgodził się Lew Nikołajewicz. – Ja myślę, że...

– Zaraz! – przerwał mu podprokurator, ogarnięty nagłą myślą. – Zaraz! Ja wiem, przez jaką próbę powinienem przejść! Na rany Chrystusa, proszę mi powiedzieć, gdzie znajduje się tamten dom, w którym mieszkał pławowy! Wie pan?

– Oczywiście, że wiem – zdziwił się Lew Nikołajewicz. – To tam, wzdłuż brzegu do Mierzei Postnej, a potem w lewo. Jakies dwie wiorsty. Tylko po co to panu?

– A po to, że...

I Berdyczowski – taka to widać była noc – zdradził serdecznemu przyjacielowi wszystkie tajemnice śledztwa: opowiedział i o Aloszy Lentoczkinie, i o Lagrange’u, i oczywiście o swojej misji. Słuchacz tylko wydawał okrzyki zdziwienia.

I kiwał głową.

– Przysięgam panu – powiedział na zakończenie Matwiej Bencjonowicz i podniósł rękę, jakby składał przysięgę w sądzie – że ja natychmiast, od razu teraz, udam się do tej diabelnej chatynki zupełnie sam, doczekam północy i wejdę tam tak, jak weszli Aleksy Stiepanowicz i Feliks Stanisławowicz. Gwiżdżę na to, że może niczego nie znajdę, że wszystko to zabobony i łgarstwa. Najważniejsze, że

przewycięzę swój strach i w ten sposób odzyskam dla siebie szacunek!

Lew Nikołajewicz zerwał się i wykrzyknął z zachwytem:

– Jakie to wspaniałe, to, co pan powiedział! Ja na pańskim miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo. Tylko wie pan, że... – Porywczym ruchem chwycił Berdyczowskiego za łokieć. – Nie można tam iść samemu. To jednak bardzo straszne. Niech mnie pan weźmie ze sobą. Nie, naprawdę! Chodźmy we dwóch, co?

I milcząco spojrzął prawnikowi w oczy tak, że temu ścisnęło się serce i znów pociekły łzy.

– Dziękuję panu – powiedział podprokurator z uczuciem. – Cenię sobie pański poryw, ale serce mi podpowiada, że powinienem wejść tam sam. Inaczej nic z tego nie będzie i prawdziwego odkupienia też nie osiągnę. – Zmusił się do uśmiechu i nawet spróbował zażartować. – W dodatku jest pan istotą o tak anielskim charakterze, że siła nieczysta może się pana zawstydzić.

– Dobrze, dobrze. – Lew Nikołajewicz pokiwał głową. – Nie będę przeszkadzać. Ja... wie pan co? Ja tylko tam pana odprowadzę, ale sam zostanę na stronie. O pięćdziesiąt kroków, nawet o sto. Ale odprowadzę. I pan nie będzie się czuł taki samotny, i ja będę spokojniejszy. Bo czy to wiadomo...

Berdyczowskiego strasznie ucieszył ten pomysł, który z jednej strony nie dewaluował planowanej próby, z drugiej zaś mimo wszystko budził nadzieję na jakieś, choćby nawet iluzoryczne poparcie. Ucieszył się – i od razu rozzłościł na siebie za tę radość.

Nachmurzył się i powiedział:

– Nie o sto kroków. O dwieście.



Rozstali się na mostku przerzuconym przez bystrą, wąską rzeczkę,

która nie więcej niż dwadzieścia sążni dalej wpadała do jeziora.

– To jest właśnie domek pławowego. – Lew Nikołajewicz wskazał na ciemny sześcian, którego biały, słomiany dach połyskiwał pod księżycem. – A więc w żaden sposób nie mogę iść z panem?

Berdyczowski pokiwał głową. Wolał się nie odzywać, bo zęby miał mocno zaciśnięte i obawiał się, że jeśli da im swobodę, zaczną haniebnie szczekać.

– No to w imię Boże – powiedział z przejęciem wierny sekundant. – Będę czekał na pana tu, przy kaplicy Pożegnalnej. W razie czego proszę krzyknąć, od razu przybiegnę.

Zamiast odpowiedzieć, Matwiej Bencjonowicz niezręcznie objął nowego przyjaciela, na sekundę przygarnął go do piersi, machnął ręką i ruszył w kierunku chatki.

Do północy zostały jeszcze dwie minuty, ale i przejść musiał tyle co nic, nawet nie dwieście kroków, najwyżej półtorej setki.

Głupstwa jakieś – mówił do siebie w duchu podprokurator, wpatrując się w chatynkę. I przecież wiem na pewno, że nic się nie stanie. Nic nie może się stać. Wejdę, postoję tam, a potem wyjdę, czując się jak zupełny cymbał. Dobrze chociaż, że mam takiego życzliwego świadka. Kto inny wystawiłby mnie na pośmiewisko, osławił na cały świat. Proszę, zastępca prokuratora gubernialnego maszeruje na spotkanie z siłą nieczystą i jeszcze trzęsie się ze strachu.

Pobudzana ambicją, zatliła się w duszy odwaga. Teraz trzeba było ją pieczołowicie, niczym pełgający na wietrze płomyczek, rozpalić i nie dać jej zgasnąć.

– No dalej, no dalej – zaciągnął Berdyczowski, przyspieszając kroku.

Przed krzywo zbitymi drzwiami zatrzymał się jednak i nieznacznie, tak żeby z tyłu nie było widać, przeżegnał się. Rozbierać się do naga to oczywiście nonsens – zdecydował podprokurator. Tak czy inaczej, nie

pamiętał dokładnie formuły ze średniowiecznego traktatu. Ale nic to, jakoś obejdziemy się bez formuły. Wystarczy dotknąć wydrapanego na szybie krzyża i coś tam powiedzieć o układzie archanioła Gabriela ze Złym. Przyjdź tu, duchu święty – zdaje się, że tak. A jeśli zaczną się kłopoty, trzeba szybko krzyknąć po łacinie: „Wierzę w Boga!”, i wszystko doskonale się ułoży.

Te beztrioskie rozmyślenia dodały śledczemu odwagi. Chwycił za skraj drzwi, sprężył się ile sił i pociągnął do siebie.

Okazało się, że nie było po co się wyteżać, drzwi ustąpiły lekko.

Stąpając po skrzypiącej podłodze, Matwiej Bencjonowicz spróbował zorientować się, gdzie jest okno. Zastygł niezdecydowany, ale w tej właśnie chwili księżyc, który na pewien czas schował się za chmurkę, znów oświetlił sklepienie niebieskie i po lewej stronie zajaśniał srebrzysty kwadrat.

Śledczy zwrócił tam głowę i zadławił się panicznym okrzykiem.

Tam ktoś stał!

Nieruchomy, czarny, w spiczastym kapturze!

Nie, nie, nie! – Berdyczowski potrząsnął głową, żeby odegnać przywidzenie. Głowa, jakby nie wytrzymując wstrząsów, wybuchła nagle nieznośnym bólem, przenikającym czaszkę i mózg.

Wstrząśnięta świadomość opuściła podprokuratora i już więcej niczego nie widział ani nie słyszał.

Potem, nie wiadomo po jakim czasie, nieszczęsny śledczy odzyskał zmysły, ale nie wszystkie – wzrok powracać nie chciał. Berdyczowski oczy miał otwarte, ale wciąż nic nie widział.

Wyteżył słuch. Było tak cicho, że słyszał szybki, szybki stukot własnego serca, słyszał nawet ruchy powiek. Wciągnął nosem zapach pyłu i trocin. Bolała go głowa, ciało miał odrętwiałe – a więc żył.

Ale gdzie jest? W chatce?

Nie. Tam było ciemno, ale nie tak, nie absolutnie ciemno, jak

w trumnie.

Matwiej Bencjonowicz chciał się podnieść – uderzył w coś czołem. Poruszył rękoma – nie był w stanie rozsunąć łokci. Zgiął kolana – też wbiły się w coś twardego.

Podprokurator zrozumiał, że rzeczywiście leży w zabitej trumnie, i krzyknął.

Z początku niezbyt głośno, jakby nie utracił nadziei:

– Aa! Aaa!

Potem ile tchu w piersiach:

– Aaaa!!!

Wykrzyczawszy z siebie całe powietrze, zachłysnął się szlochem. Mózg, przyuczony do logicznego myślenia, skorzystał z krótkiej przerwy i rozwiązał jedną zagadkę – niestety, za późno. To dlatego Lagrange strzelał do siebie lewą ręką i z dołu do góry! Inaczej nie mógł w trumnie wykręcić rewolweru. Jakoś zdołał wyciągnąć swego smitha-wessona z długą lufą, skierować go ku sercu i wypalić.

O, jaka sroga zawiść wobec zmarłego policmajstra ogarnęła pana Matwieja! Jaką ulgą, jakim niewiarygodnym szczęściem byłoby mieć pod ręką rewolwer! Jedno naciśnięcie spustu i koniec koszmaru, na wieki wieków.

Przełykając łzy, Berdyczowski mamrotał: „Masza, Maszeńka, wybacz... Znowu cię zdradziłem, i to jeszcze gorzej niż tam, na drodze! Porzucam cię, zostawiam samą...”

A mózg dalej robił swoje, choć teraz jego praca nikomu już nie była potrzebna.

Z Lentoczkinem też już wszystko stało się zrozumiałe. Jasne, że po pobycie w trumnie żadnych dachów ani ścian chłopak nie znosi, w ogóle żadnych ograniczeń dla ciała.

Szlochanie ustało samo – to Berdyczowski doszedł do kolejnego odkrycia.

Ale przecież Lentoczkin jakimś sposobem z trumny się wydostał! Niech będzie, że szalony, ale żywy! To znaczy – jest nadzieja!

Modlitwa! Jak można było zapomnieć o modlitwie!

Jednak łacina, twardo, jak się zdawało, wykuta w latach nauki w gimnazjum i na uniwersytecie, całkiem wyparowała z pamięci ginącego pana Matwieja. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak jest po łacinie „Boże”!

I duchowy syn władcy Mitrofaniusza zaryczał po rosyjsku:

– Wierzę, Boże, wierzę!!!

Zaczął się miotać w drewnianej skrzyni, wparł się w wieko czołem, rękoma, kolanami – i stał się cud. Górna część trumny z trzaskiem poleciała na bok, Berdyczowski usiadł, chwytając ustami powietrze, rozejrzał się na boki.

Zobaczył wciąż tę samą izdebkę, która po piekielnych ciemnościach wydała mu się niezwykle jasna, dojrzał w rogu piec i nawet uchwyt do garnków. I okno było na swoim miejscu, tylko straszna sylwetka z niego znikła.

Powtarzając: „Wierzę, Boże, wierzę”, Berdyczowski przelazł przez bok trumny i gruchnął na podłogę – okazało się, że trumna stała na stole.

Nie zwracając uwagi na ból w całym ciele, poruszył łokciami i kolanami i szybko poczołgał się ku drzwiom.

Przewalił się przez próg, zerwał i pokuśtykał w kierunku rzeczki.

– Lwie Nikołajewiczu! Na pomoc! Ratuj pan! – wrzeszczał ochryple podprokurator, bojąc się obejrzeć. A jeśli z tyłu unosi się nad ziemią czarny cień w spiczastym kołpaku? – Pomóż! Ja zaraz upadnę!

Już jest mostek, już ogrodzenie. Nowy przyjaciel obiecał tu czekać.

Berdyczowski rzucił się w prawo, w lewo – nikogo.

To po prostu niemożliwe! Lew Nikołajewicz tak zwyczajnie by sobie nie poszedł.

– Gdzie pan jest? – zajączał Matwiej Bencjonowicz. – Źle mi, boję się!

Kiedy od ściany kaplicy bezgłośnie oderwała się ciemna postać, umęczony śledczy zapiszczał, wyobraziwszy sobie, że koszmarny prześladowca przegonił go i zaczął się z przodu.

Ale nie, sądząc z sylwetki, był to Lew Nikołajewicz. Berdyczowski, pochlipując, rzucił się do niego.

– Chwała... Chwała Bogu! Wierzę, Boże, wierzę! Czemu pan się nie odzywał? Ja już myślałem...

Podszedł do swego towarzysza i wymamrotał:

– Ja... Ja nie wiem, co to było, ale to było straszne... Zdaje się, że tracę rozum! Drogi, miły, co to jest? Co się ze mną dzieje?

Tu milczący dotąd towarzysz wyprawy zwrócił twarz ku światłu księżycy i zbity z tropu Berdyczowski zamilkł.

Oblicze Lwa Nikołajewicza uległo przedziwnej metamorfozie. Ta twarz, zachowawszy wszystkie swoje rysy, w nieuchwytny sposób, ale też zupełnie wyraźnie, zmieniła się.

Spojrzenie, przedtem miękkie, łagodne, teraz było błyszczące i groźne, wargi wykrzywiły się w okrutnym, drwiącym grymasie, ramiona wyprostowały, czoło przecięła zmarszczka, ostra jak ślad po kindzale.

– A właśnie to – powiedział świszczącym głosem odmieniony Lew Nikołajewicz i pokręcił palcem przy skroni. – Tyś, bratku, kuku na muniu dostał. Ależ idiotyczną masz fizys!

Pan Matwiej odskoczył przerażony, a Lew Nikołajewicz, którego prawy policzek drgał poruszany drobnym tikiem, wyszczerzył zadziwiająco białe zęby i trzykrotnie tryumfalnie wrzasnął:

– Idiota! Idiota! Idiota!

Dopiero teraz, ostatnią iskierką szybko gasnącej świadomości, Berdyczowski pojął, że rzeczywiście stracił rozum, i to nawet nie

w chatce, ale wcześniej, dużo wcześniej. Jawa i rzeczywistość przemieszały się w jego chorej głowie tak, że teraz już nie mógł się zorientować, które z wydarzeń tego potwornego dnia zaszło w rzeczywistości, które zaś było majaczeniem obłąkanego umysłu.

Oszalały urzędnik wciągnął głowę w ramiona i powłócząc nogą, pobiegł, gdzie oczy poniosą, po zalanej księżycową poświatą drodze, powtarzając wciąż:

– Wierzę, Boże mój, wierzę!

Część druga

Pielgrzymka pani Lisicynej

Szlachcianka guberni moskiewskiej

Że też tak musiało się złożyć! Tuż przed nadejściem drugiego listu od doktora Korowina, dosłownie wieczorem poprzedniego dnia, między archijerejem a siostrą Pelagią doszło do rozmowy o mężczyznach i kobietach. Ściśle mówiąc, władyka i jego córka duchowa spierali się na ten temat bardzo często, ale tym razem, jak na złość, starli się ze sobą właśnie w przedmiocie siły i słabości. Pelagia dowodziła, że „słabą płcią” nazwano kobiety niesłusznie, że to nieprawda, chyba że tylko w sensie siły mięśni, a i to nie u wszystkich i nie zawsze. Zapaliwszy się, mniszka nawet zaproponowała biskupowi, żeby pobiegli lub popłynęli na wyścigi, i wtedy zobaczy się, kto szybszy, ale od razu się opamiętała i poprosiła o wybaczenie. Mitrofaniusz zresztą wcale się nie pogniewał, roześmiał się tylko.

– Ładnie byśmy oboje wyglądali – zaczął opisywać przewielebny. – Lecimy na złamanie karku po Wielkiej Szlacheckiej: szatki duchowne zadarte, nogami błyskamy, mnie się broda na wietrze w wieniec rozwija, tobie kudły ryże powiewają. Ludziska patrzą, żegnają się, a my nic – dobiegamy do rzeki i z urwiska – ba-bach... do wody, i po kozacku, i po kozacku.

Uśmieła się też Pelagia, ale od tematu nie dała się odwieść.

– Nie ma silnej płci i nie ma słabej. Każda połowa ludzkości jest w czymś silna, a w czymś innym słaba. W logice, oczywiście, lepsi są mężczyźni, stąd ich większe zdolności do nauk ścisłych, ale tu też kryje się pewien niedostatek. Wy, mężczyźni, staracie się wszystko uporządkować wedle gimnazjalnej geometrii, a na to, co wam

w prawidłowe figury i kąty proste się nie układa, po prostu machacie ręką i dlatego często to, co najważniejsze, przegapiacie. I jeszcze wszystko wam się miesza, wiecznie jakieś duby smalone wygadujecie, aż wreszcie sami się nimi osmalacie. Na dodatek duma wam przeszkadza, a zwłaszcza boicie się znaleźć w ośmieszającej lub upokarzającej sytuacji. A kobiety się tym nie przejmują, my dobrze wiemy, że to lęk głupi i dziecinny. Nas łatwiej zbić z tropu w sprawach nieważnych, za to w tym, co istotne, naprawdę znaczące, żadną logiką się nas nie pokona.

– A w związku z czym to wszystko mówisz? – uśmiechnął się Mitrofaniusz. – Do czego zmierza ta cała twoja filipika? Że mężczyźni są głupi i trzeba władzę nad społeczeństwem im odebrać i wam przekazać?

Zakonnica popchnęła palcem okulary, które od zapalczywości zjechały jej na koniuszek nosa.

– Nie, władzyko, wcale mnie nie słuchasz! Obie płcie są po swojemu mądre i głupie, silne i słabe. Ale w różnych rzeczach! W tym właśnie kryje się wielkość planu Bożego, w tym też sens miłości, małżeństwa, żeby każdy swoją słabość wypełniał tą siłą, co tkwi we współmałżonku.

Biskup nie był jednak tym razem w nastroju do poważnej rozmowy. Udał zdziwienie.

– Co to, za mąż się wybierasz?

– Nie mówię o sobie. Ja mam innego Oblubieńca, który mnie lepiej od każdego mężczyzny umacnia. Ja mówię, że ty, ojcie, niesłusznie w poważnych sprawach tylko na męski rozum liczysz, a o żeńskiej sile i męskiej słabości zapominasz.

Mitrofaniusz słuchał i uśmiechał się pod wąsem, a Pelagia tymczasem zapalała się jeszcze bardziej.

– Najgorszy ze wszystkiego jest ten ojca pobłażliwy uśmieszek! –

wybuchnęła na koniec. – To z męskiej zarożumiałości, która zakonnikowi wcale nie przystoi! Nie do was, mężczyzn, to powiedziano: „Nie masz płci męskiej ani żeńskiej, bośmy wszyscy jedno w Jezusie Chrystusie”?

– Wiem, czemu ty mi kazania prawisz, czemu się biesisz – odpowiedział na to przenikliwy pasterz. – Obraziłaś się, że do Nowego Araratu nie ciebie posłałem. I o Matwieja jesteś zazdrosna. No, bo jak on wszystko rozwikła bez udziału twojej ryżej głowy? A rozwikła z całą pewnością, dlatego że jest ostrożny, przenikliwy i logiczny. – Tu Mitrofaniusz przestał się uśmiechać i już bez żartów dodał: – Czy to ja ciebie nie cenię? Czy ja nie wiem, jaka jesteś bystra, jaki masz wrażliwy instynkt, jak umiesz poznać się na ludziach? Ale sama rozumiesz, że nie wolno czernicy przebywać na Araracie. Reguła klasztorna zabrania.

– Już to ojciec mówił i ja przy Berdyczowskim nie chciałam się spierać. Siostrze Pelagii oczywiście nie wolno. Ale Polinie Andriejewnie Lisicynej jak najbardziej wolno.

– Nawet o tym nie myśl! – powiedział surowszym tonem przewielebny. – Starczy! Nagrzeszylśmy, Pana Boga rozgniewaliśmy i dosyć tego dobrego. Wstyd mi, sam jestem winny, że cię na taką nieprzyzwoitość pobłogosławiłem – w imię ustalenia prawdy i tryumfu sprawiedliwości. Cały grzech na siebie wziąłem. I gdyby w Synodzie o tych figlach się dowiedzieli, przegnaliby mnie z katedry na zbity łeb, a może by i godności pozbawili. Ale nie z obawy o mój biskupi płaszcz przysiągłem sobie, że to ostatni raz, tylko ze strachu o ciebie. Zapomniałaś, jak ostatnim razem omal życia przez tę przebierankę nie straciłaś? Koniec, żadnej Lisicynej więcej nie będzie i słyszeć o tym nie chcę!

Długo jeszcze spierali się o tę jakąś tajemniczą Lisicynę, żadne jednak nie przekonało drugiego i rozstali się, pozostając każde przy

swoim zdaniu.

A nazajutrz rano poczta dostarczyła przewielebnemu list z wyspy Kanaan, od doktora psychiatrii Korowina.

Władyka otworzył kopertę, przeczytał, co w środku napisane, chwycił się za serce, upadł.

Zaczął się w komnatach biskupich niewidziany popłoch: nadbiegli lekarze, wierzchem przygalopował gubernator, z zamiejskiej posiadłości przypędził, bez kapelusza, na nieosiodłanym koniu, marszałek szlachty.

Nie obeszło się oczywiście bez siostry Pelagii. Przyszła cichuteńko, posiedziała w poczekalni, patrząc z lękiem na miotających się lekarzy, a potem, ułowiwszy chwilkę, wzięła na stronę sekretarza władyki, ojca Starownego. Ten opowiedział jej, jak doszło do nieszczęścia, i pokazał fatalny list, w którym była mowa o nowym pacjencie lecznicy doktora Korowina.

Resztę dnia i całą noc mniszka spędziła w archijerejskiej komnacie z obrazami, klęcząc nie na *prie-dieu*^[7], tylko wprost na podłodze. Gorąco modliła się o uleczenie chorego, którego śmierć byłaby nieszczęściem dla całej krainy i dla wielu tych, co go kochali. Do sypialni, gdzie kurowano biskupa, Pelagia nawet nie próbowała się wcisnąć – i bez niej pielęgnujących było dosyć, a zresztą i tak by jej nie wpuścili. Nad nieprzytomnym ciałem odprawiało obrzędy całe konsylium, a z Sankt Petersburga, wezwane telegramem, zjeżdżały już trzy najgłówniejsze rosyjskie znakomitości od chorób sercowych.

Rankiem do klęczącej zakonnicy wyszedł najmłodszy z doktorów, pochmurny i blady. Powiedział:

– Ocknął się. Siostrę wzywa. Tylko nie na długo. I na Boga, siostrzyczko, bez szlochów proszę. Jego nie wolno denerwować.

Pelagia podniosła się z trudem, roztarła siniaki na kolanach i poszła do sypialni.

Ach, jak okropnie pachniało w wypełnionym chorobą pokoju! Kamforą, wykrochmalonymi kitlami, wygotowanym we wrzątku metalem. Mitrofaniusz leżał na wysokim starodawnym łożu z granatowym baldachimem, ozdobionym rysunkiem sklepienia niebieskiego, i chrapliwie, ciężko dyszał. Twarz archijereja poraziła Pelagię trupim kolorem, zaostrzonymi rysami, a nade wszystko – jakimś ogólnym znieruchomieniem, niepasującym do czynnego usposobienia władzyki.

Mniszka chlipnęła i surowy doktor natychmiast zakaszłał za jej plecami. Wtedy uśmiechnęła się lękliwie i tak właśnie – z tym żalonym, niezbyt stosownym do sytuacji uśmiechem na ustach – podeszła do pośłania.

Leżący spojrzał na nią z ukosa. Lekko opuścił powieki – poznał. Z trudem poruszył fioletowymi wargami, ale dźwięku żadnego wydać mu się nie udało.

Wciąż jeszcze nie startszy z ust uśmiechu, Pelagia buchnęła na kolana, podczołgała się do samego łoża, żeby odgadnąć słowa z ruchu warg.

Przewielebny patrzył jej w oczy, ale nie łagodnym, błogosławiącym wzrokiem, jak by wypadało w takiej chwili, ale surowo, nawet groźnie. Zebrawszy siły, wyszeleścił tylko dwa słowa – dziwne:

– Nie próbuj...

Mniszka zaczekała, czy chory nie powie jeszcze czegoś, i nie doczekawszy się, uspokajająco kiwnęła głową, pocałowała bezwładną rękę władzyki i wstała. Doktor już ją wypychał: niby idź sobie, idź już.

Idąc powoli przez pokoje, Pelagia szeptała słowa modlitwy pokutnej:

– „Zmiłuj się nade mną, Boże, wedle wielkiego miłosierdzia Twego, a wedle mnóstwa litości Twojej zgładź nieprawości moje, albowiem znam ja nieprawość moją, a grzech mój zawsze przed sobą widzę...”

Sens modlitwy wyjaśnił się bardzo szybko. Z pokoju z obrazami czernica nie skręciła do poczekalni, tylko szmyrgnęła do pustego, tonącego w półmroku gabinetu archijereja. Bez żadnego skrępowania otworzyła kluczykiem szufladę biurka, wyciągnęła szkatułkę z brązu, w której Mitrofaniusz trzymał osobiste oszczędności, na ogół wydawane na książki, na szaty archijerejskie albo na pomoc biednym, i najspokojniej w świecie wsunęła sobie całą paczkę biletów bankowych za pazuchę, nie zostawiając ani rubla.

Przez dziedziniec, zastawiony powozami osób przybyłych okazać współczucie, Pelagia przeszła niespiesznie, godnie, ale skręciwszy do sadu, za którym wznosił się korpus szkoły diecezjalnej, ruszyła całkiem niestatecznym biegiem.

Zajrzała do celi przełożonej uczelni, powiedziała, że wykonując wolę przewielebnego, musi na pewien czas, jeszcze nie wiadomo jak długi, wyjechać i prosi o znalezienie jakiegoś zastępstwa na jej lekcje.

Dobra siostra Krystyna, nawykła do nieoczekiwanych nieobecności nauczycielki języka rosyjskiego i gimnastyki, ani o cel wyjazdu, ani o kierunek podróży nie pytała, zainteresowała się tylko, czy Pelagia ma dość ciepłych rzeczy, żeby nie zmarznąć w drodze. Mniszki przytuliły się do siebie i ucałowały, Pelagia zabrała ze swojej izdebki mały kuferek, najęła fiakra i kazała co tchu gnać na przystań, do odjazdu parowca pozostawało mniej niż pół godziny.



Nazajutrz w południe schodziła już po trapie na nowogrodzką przystań, ale ubrana nie w habit, tylko w skromną czarną sukienkę, wydobytą z kufereka. A był to dopiero pierwszy etap metamorfozy.

W hotelu rudowłosa podróżniczka zamówiła do pokoju plik najnowszych żurnali, uzbroiła się w ołówek i na arkusiku papieru zaczęła wypisywać najrozmaitsze przemysłne zwroty w rodzaju

„grodnapl. płaszcz ecossais, tripowy peplos, wełn. pelerynka” i inne podobne.

Wykonawszy tę pracę badawczą możliwie najstaranniej i straciwszy na nią co najmniej dwie godziny, Pelagia odwiedziła najlepszy nowogrodzki magazyn z konfekcją „Dubois et Fils”, gdzie wydała subiektowi zadziwiająco dokładne i szczegółowe polecenia, przyjęte z pełnym szacunku ukłonem i natychmiast wykonane.

Po upływie następnej półtorej godziny, odesławszy do hotelu całą bryczkę zawiniątek, pudeł i kartonów, przywłaszczycielka biskupiej kabzy, ubrana w ów zagadkowy „tripowy peplos” (prostą, bez gorsetu suknię z utrechtckiego aksamitu), dopuściła się postępuku dla mniszki już po prostu niewyobrażalnego: udała się do salonu fryzjerskiego i kazała zakręcić swoje krótkie włosy wedle najnowszej paryskiej mody – we fryzurę le petit cherubin, bardzo pasującą do owalnego, troszeczkę piegowatego oblicza.

Wystrojona i wypiękniała mieszkanka Zawoźska, jak to z kobietami bywa, przeobraziła się nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie. Krok nabrał lekkości, stał się jakby posuwisty, ramiona wyprostowały, szyja trzymała głowę zwróconą nie w dół, lecz w górę. Przechodzący mężczyźni oglądali się, a dwóch oficerów nawet przystanęło, przy czym jeden gwizdnął z cicha, a drugi powiedział do niego z wyrzutem: „Fe, Michel, co za maniery”.

Przy wejściu do biura turystycznego „Cook and Kantorowicz” przyczepiła się do eleganckiej damy złośliwa i brudna Cyganka. Zaczęła grozić nieuchronnym nieszczęściem, nocnymi strachami i śmiercią przez zatonięcie, a za odczynienie owych plag domagała się dziesięciu kopiejek. Pelagia prorokini wcale się nie przestraszyła, tym bardziej że w niezbyt odległej przeszłości uniknęła śmierci w nurtach Rzeki, ale i tak dała wiedźmie pieniędzy, i to nie dziesięć kopiejek, ale całego rubla – żeby na przyszłość była lepsza i nie uważała wszystkich

ludzi za wrogów.

W agencji turystycznej, w której mieścił się też sklepik z utensyliami podróżnymi, przepuściła następną półtorej setki z biskupich oszczędności – na dwie precudne szkockie walizki, przybory do manikiuru, etui do okularów wykonane z masy perłowej, dające się przytroczyć do pasa (i ładnie, i wygodnie), a także na bilet do nowoararackiego klasztoru, dokąd trzeba było jechać najpierw koleją żelazną do Wołogdy, potem kareta do Modroozierska, a dalej statkiem parowym.

– Na pielgrzymkę? – z szacunkiem upewnił się urzędnik. – W samą porę, póki mrozy nie chwyciły. Może zechce pani od razu zarezerwować hotel?

– A jaki mi pan doradzi? – spytała podróżniczka.

– Niedawno jeździła tam małżonka burmistrza z córką, zatrzymały się w „Głowie Holofernesa” i bardzo sobie raczyły chwalić.

– „Głowa Holofernesa”? – Dama zmarszczyła nos. – A jakiegoś innego nie ma, mniej krwiożerczego?

– Czemu nie, łaskawa pani. Jest. Hotel „Arka Noego”, pensjonat „Ziemia Obiecana”. A która z dam ma życzenie całkiem od płci męskiej się odgrodzić, staje w „Pannie Czystej”. Jak najprzyzwoitszy zakład, dla szlachetnych i zamożnych pańniczek. Opłata niewysoka, ale od każdej z przyjezdnych oczekuje się ofiary na skarbiec klasztorny, nie mniej niż setki rubli. Która zaś daje trzysta albo więcej, zostaje zaszczycona osobistą audiencją u archimandryty.

Ta ostatnia informacja zdaje się bardzo zainteresowała przyszłą pańniczkę, która otworzyła nowiutką torebkę, wyciągnęła plik banknotów (wciąż jeszcze całkiem pokaźny) i zaczęła liczyć. Urzędnik obserwował tę procedurę dyskretnie i nabożnie. Przy pięciuset rublach klientka przerwała liczenie i beztrząsco powiedziała:

– Dobrze, niech będzie „Panna Czysta”. – I schowała pieniądze

z powrotem do torebki, nie doliczywszy ich do końca.

– Służącą ulokuje pani w swoim pokoju czy oddzielnie?

Dama z wyrzutem pokiwała miedzianymi kędziorami:

– Jak można? Na pielgrzymkę ze służącą? To jakoś nie po chrześcijańsku. Wszystko będę robić sama: i ubierać się, i myć, i może nawet czesać się.

– Pardon. Cóż, nie wszystkie panie są tak skrupulatne... – Urzędnik zaczął szybko wypełniać blankiet, zręcznie maczając stalówkę w kałamarzu. – Na jakie nazwisko każe pani wypisać rachuneczek?

Pątniczka westchnęła i – nie wiedzieć czemu – przeżegnała się.

– Proszę pisać: „Wdowa Polina Andriejewna Lisicyna, dziedziczna szlachcianka guberni moskiewskiej”.

Notatki z podróży

Skoro już bohaterka naszej opowieści, zrzuciwszy habit, przybrała sobie nowe imię, my też będziemy odtąd tak ją nazywać z szacunku dla godności zakonnej i dla uniknięcia świętokradczej dwuznaczności. Szlachcianka to szlachcianka, Lisicyna to Lisicyna, w końcu – ona wie lepiej.

Tym bardziej że – jak wszystko wskazuje – w swoim nowym wcieleniu córa duchowa zawołzkiego arcypasterza czuła się nie gorzej niż w poprzednim. Nietrudno było zauważyć, że podróż wcale jej nie nuży, tylko przeciwnie – sprawia przyjemność i zadowolenie.

Jadąc pociągiem, młoda dama życzliwie popatrywała przez okno na opustoszałe niwy i jesienne lasy, które jeszcze nie w pełni zrzuciły pożegnalny strój. W agencji turystycznej, jako dodatek do innych zakupów, pani Polina otrzymała śliczny aksamitny woreczek do robótek. Teraz wygodnie ułożyła go na piersi i skracala sobie czas, robiąc na drutach wdzianko z merynosowej wełny, które z całą pewnością przyda się przewielebnemu Mitrofaniuszowi w zimowe chłody, zwłaszcza po ciężkiej sercowej chorobie. Robota była bardzo trudna, z ciągłym przechodzeniem od boucle do ściegu pończoszniczego, z barwnymi wstawkami, i szła jej niesporo: oczka układały się nierówno, kolorowe nitki zbyt się ściągały, przez co kosił się cały ornament, jednakże samej pani Lisicynej jej dzieło najwyraźniej się podobało. Co chwila przerywała pracę i przechylając głowę, oglądała niezgrabny twór własnych rąk z widocznym zadowoleniem.

Kiedy podróżniczce nudziła się robótka, brała się do lektury, przy

czym potrafiła oddawać się temu zajęciu nie tylko w spokojnym wagonie kolejowym, ale także w podrygującym omnibusie. Czytała dwie książki na zmianę, jedną w najwyższym stopniu odpowiednią na pielgrzymki – Zarys moralności chrześcijańskiej Teofana Rekluzę, a drugą bardzo dziwną – Podręcznik balistyki strzeleckiej. Część drugą, ale każdą z równą uwagą i zainteresowaniem.

Wsiadłszy w Modrooziersku na pokład parowca „Święty Wasilisk”, Polina Andriejewna w pełnej mierze ujawniła jedną z najważniejszych swoich cech – niepohamowaną ciekawość. Obeszła cały statek, porozmawiała z mnichami-marynarzami, popatrzyła, jak młóćką wodę ogromne koła. Zajrzała do przedziału maszynowego, posłuchała, jak mechanik opowiada zainteresowanym pasażerom o pracy kół zamachowych, wałów korbowych i kotła. Specjalnie nałożywszy okulary (które po przeobrażeniu się zawołżskiej mniszki w moskiewską damę przewędrowały z nosa pątniczki do etui z macicy perłowej), pani Lisicyna zajrzała nawet do pieca, w którym strasznie wybuchały i strzelały rozpalone węgle.

Potem wraz z innymi ciekawskimi, wszystkimi co do jednego płci męskiej, poszła zwiedzić mostek kapitański.

Wycieczkę zorganizowano tak, żeby zademonstrować nowoaracką gościnność i serdeczność, rozciągające się nie tylko na obszar archipelagu, ale i na statek, noszący imię świętego założyciela klasztoru.

O farwaterze, sterowaniu parowcem i nieprzewidywalnych obyczajach modrojeziornych wiatrów opowiadał zastępca kapitana, poczciwie wyglądający mnich w muchajerowej skufii, jednakże panią Lisicyna znacznie bardziej zainteresował kapitan, brat Jonasz – czerwonomordy, gęstobrody rozbójnik w brezentowym kapeluszu rybackim, samotnie stojący u steru i pod tym pozorem w ogóle niepatrzący na pasażerów.

Malowniczy osobnik, chociaż jak inni marynarze ubrany w habit, zupełnie nie przypominał czerńca, toteż Polina Andriejewna nie wytrzymała, podeszła do niego bliżej i zapytała:

– Powiedz mi, święty ojciec, a czy dawno odbyłeś zakonne postrzyżyny?

Potężny chłop spojrzał na nią z góry, pomilczał chwilę – a może się odczepi? Zrozumiawszy, że się nie odczepi, burknął niechętnie:

– Pięć lat.

Pasażerka natychmiast przysunęła się pod sam łokieć kapitana, żeby wygodniej było rozmawiać.

– A kim był ojciec w świecie?

Kapitan westchnął ciężko, tak że nie mogło być wątpliwości: gdyby od niego zależało, to na pytania natrętnej paniusi by nie odpowiadał, tylko raz-dwa przepędziłby ją z mostka, gdzie baby są całkiem niepotrzebne.

– Właśnie tym. Sternikiem. Na Grumancie^[8] wieloryby biłem.

– Ach, jakie to ciekawe! – zawołała Polina Andriejewna, wcale się nie przejmując mało przyjaznym tonem kapitana. – Dlatego pewnie ojca Jonaszem nazwano, z powodu wielorybów, prawda?

Zdobywając się na prawdziwy wysiłek chrześcijańskiego miłosierdzia, kapitan rozciągnął wargi w dwie strony, co najpewniej miało oznaczać uprzejmy uśmiech.

– Nie z powodu wielorybów, tylko jednego wieloryba. Wąsaty łódkę ogonem rozwalił. Wszyscy potonęli, tylko ja wypłynąłem. On mnie w samą paszczę wessał, wąsiskami podrapał, ale widać nie smakowałem mu jakoś – wypluł. Potem szkuner mnie zabrał. Ja w paszczy pewnie nie więcej jak pół minuty spędziłem, ale zdążyłem dać słowo: jak się uratuję – na mnicha pójdę.

– Jaka wspaniała historia! – zachwyciła się pasażerka. – A najbardziej zadziwia, że ojciec, uratowawszy się, rzeczywiście

poszedł do klasztoru. Bo to przecież wielu w strasznej godzinie coś tam Bogu zaprzysięga, a potem rzadko który dotrzymuje.

Jonasz przestał udawać uśmiech i zmarszczył kosmate brwi.

– Słowo to słowo.

I takie było w tym krótkim zdaniu pomieszanie nieugiętości z goryczą, że pani Lisicynej zrobiło się okropnie żal wielorybnika.

– Ach, nie trzeba było w żadnym razie iść do zakonu – zmartwiła się podróżniczka. – Pan Bóg zrozumiałby i wybaczył. Stan zakonny powinien być nagrodą, a dla ojca jest jak kara. Przecież z pewnością tęskni ojciec za dawnym, wolnym życiem. Znam marynarzy. Bez wina, bez mocnego słowa męczycie się. A i śluby czystości to też... – żałośnie zakończyła pątniczka o wrażliwym sercu, mówiąc już jakby sama do siebie, półgłosem.

Kapitan jednak usłyszał i obrzucił nietaktowną osobę takim spojrzeniem, że Polina Andriejewna przestraszyła się i szybko zrejterowała z mostka na pokład, a stamtąd do swojej kajuty.

Męski raj

Dlaczego kapitan spojrział tak wściekle, wyjaśniło się do pewnego stopnia nazajutrz, kiedy „Święty Wasilisk” przycumował do nowoararackiej przystani. Czekał na bagażowego, Polina Andriejewna zasiedziała się trochę na pokładzie i zeszła ze statku prawie ostatnia z pasażerów. Uwagę jej zwróciła zgrabna młoda dama w czerni, niecierpliwie wypatrująca kogoś na molu. Dokładnie obejrzawszy nieznajomą i zwróciwszy uwagę na niektóre cechy jej stroju (był wprawdzie wyszukany, ale trochę demode^[9] – sądząc z żurnali, w tym sezonie takich szerokich kapeluszy i bucików ze srebrnymi guziczkami już się nie nosiło), pani Lisycyna doszła do wniosku, że ta dama jest prawdopodobnie tutejsza. Była ładna, ale trochę blada, a do tego wrażenie psuło nazbyt bystre i niedobre spojrzenie. Aborygenka też badawczo obejrzała sobie moskiewską szlachciankę, zatrzymując przez chwilę wzrok na pelerynce i rudych kędziorkach, które wysuwały się spod czapeczki „paż urwisek”. Piękną twarz nieznajomej wykrzywił zły grymas, a ona sama natychmiast odwróciła się, szukając wzrokiem kogoś na pokładzie.

Ciekawska pani Polina odeszła nieco dalej, po czym odwróciła się, włożyła okulary i w nagrodę za tę przezorność stała się naocznym świadkiem interesującej sceny.

Do trapu podszedł brat Jonasz, zobaczył damę w czerni i zatrzymał się jak wryty. Ale wystarczyło, by go przywołała krótkim, władcym gestem, i kapitan niemal w podskokach rzucił się na molo. Polina Andriejewna znów przypomniła sobie o ślubach czystości zakonnej i pokiwała głową. Zdążyła zauważyć jeszcze jeden ciekawy szczegół:

zrównawszy się z miejscową obywatelką, Jonasz ledwie ledwie odwrócił ku niej głowę (szeroka, z gruba ciosana fizjonomia kapitana była jeszcze czerwiejsza niż zwykle), ale nie zatrzymał się, tylko z lekka dotknął jej ręki. Uzbrojone w szkła oczy pani Lisicynej dostrzegły jednak, że z łapska byłego wielorybnika do wąskiej, obciągniętej szarym zamszem dłoni przemieściło się coś maleńkiego, papierowego, kwadratowego – ni to kopertka, ni to złożona karteczka.

Ach, biedaczysko – westchnęła Polina Andriejewna i poszła dalej, z zainteresowaniem oglądając święte miasto.

Na szczęście pątniczce wyjątkowo poszczęściło się z pogodą. Niezbyt jaskrawe słońce z melancholijną życzliwością oświetlało złote głowy cerkwi i dzwonnicy, białe ściany monasteru i różnobarwne dachy mieszczańskich domów. Najbardziej spodobało się nowo przybyłej to, że wyraziste barwy jesieni w Nowym Araratcie wcale nie przygasły: drzewa stały żółte, bure i czerwone, a i niebo błękitniało wcale nielistopadowo. Tymczasem w Zawołżsku, położonym bardziej na południe, liście już dawno opadły, kałuże zaś rankami pokrywały się skorupką brudnego lodu.

Polina Andriejewna przypomniała sobie, jak pomocnik kapitana opowiadał na mostku o jakimś szczególnym wyspiarskim „mikroklimacie”, spowodowanym kaprysmi ciepłych prądów i – rozumie się – szczególną łaskawością Pana dla tych stron, pozostających pod Jego opieką.

Podróżniczka jeszcze nie zdążyła dotrzeć do hotelu, a już wypatrzyła wszystkie nowoaratrackie niezwykłości i wyrobiła sobie wstępne pojęcie o dziwnym mieście.

Nowy Ararat wydał się pani Polinie miastem miłym, roztropnie urządzonym, ale jednocześnie jakby nieszczęśliwym albo – jak je w myśli określiła – „biedniutkim”. Nie w sensie wyglądu ulic czy ubóstwa zabudowy – tu akurat wszystko było w idealnym porządku:

domy solidne, w większości murowane, świątynie liczne i wspaniałe, może tylko zanadto przysadziste, pozbawione uwznioślającego duszę pędu ku niebu, no a na ulice to wręcz można się było zapatrzeć: ani paprocha, ani najmniejszej kałuży. „Biedniutkim” nazwała Polina Andriejewna miasto dlatego, że wydało jej się zupełnie pozbawione radości; nie tego spodziewała się po bliskim Bogu klasztorze.

Wkrótce pątniczka dociekła również przyczyny tej ułomności. Ale najpierw rozlokowała się w hotelu. Oznajmiła tam przede wszystkim, że pragnie wręczyć osobiście ojcu przeorowi ofiarę w wysokości pięciuset rubli, i natychmiast, jeszcze tego samego dnia, uzyskała audiencję. Populacja „Panny Czystej”, ze służbą włącznie, składała się z samych kobiet, przez co w wystroju numerów przeważały wyszywane zasłonki, pufeczki, poduszeczki, ławeczki osłonięte pokrowcami. Nowej mieszkance, przywykłej do prostoty mnisiej celi, te ozdoby okropnie się nie spodobały. A kiedy wyszła z tego żeńskiego rajy znów na ulicę, zrozumiała, prawem kontrastu, dlaczego nie podoba jej się również samo miasto.

Ono też było czymś w rodzaju rajy, tyle że nie żeńskiego, lecz męskiego. Tu każdym drobiazgiem zawiadywali mężczyźni, którzy wszystko zrobili i urządzili wedle swego rozumienia, nie oglądając się na żony, córki czy siostry, i przez to powstało miasto przypominające koszary gwardii: geometrycznie prawidłowe, porządne, ulizane nawet, ale mieszkać w czymś takim by się nie chciało.

Dokonawszy tego odkrycia, pani Lisicyna zaczęła rozglądać się wokół siebie ze zdwojoną ciekawością. A więc to takie życie urządziliby sobie na ziemi mężczyźni, gdyby im dać zupełną swobodę! Modlić się, machać miotłami, obrosnąć brodami i chodzić w szyku (Polina Andriejewna napotkała właśnie patrol klasztornych „strażników pokoju”). W tym momencie zrobiło jej się wszystkiego żal: i Nowego Araratu, i mężczyzn, i kobiet. Mężczyzn jednak bardziej

niż kobiet, dlatego że te drugie bez tych pierwszych jakoś się obejść jeszcze potrafią, mężczyźni natomiast, jeśli pozostawić ich samym sobie, z pewnością przepadną. Albo się rozbestwią i zaczną rozrabiać, albo popadną w taką właśnie, wyzbytą życia suchość. Nawet nie wiadomo, co gorsze.

Uratowanie kotka

Jak już mówiliśmy, szczodrej donatorce obiecano niezwłoczną audiencję u świątobliwego ojca Witalisa, toteż opuściwszy hotel, podróżniczka ruszyła w kierunku monasteru.

Klasztor, białościenny i wielogłowy, był widoczny niemal z każdego punktu miasta, ponieważ leżał na wyższym jego krańcu, wznoszącym się nad jeziorem. Droga od ostatnich miejskich domów do pierwszych zabudowań klasztornej przedmurza, w większości przeznaczonych do celów gospodarczych, wiodła przez park założony na wysokim brzegu, pod którego kamiennym stokiem kładły się z pokorą niezmordowane ciemnoniebieskie fale.

Idąc wzdłuż jeziora, Polina Andriejewna owinęła się ciasniej wełnianą peleryną, bo wiatr był dość zimny, ale nie skręciła z urwiska w głąb parku, bo z góry otwierał się zaiste przepiękny widok na bezmiar wód, a i porywisty zefir nie tyle ziębił, ile odświeżał.

Niedaleko od granic klasztoru, na otwartej łączce, najwyraźniej służącej miejscowym za ulubione miejsce spacerów, działo się coś niezwykłego, więc ciekawska pani Lisicyna natychmiast ruszyła w tamtą stronę.

Z początku zobaczyła gromadkę ludzi, którzy stłoczyli się na samym skraju nabrzeża, przy starej, przekrzywionej olsze, potem usłyszała dziecięcy płacz i jeszcze jakieś cienkie, przenikliwe dźwięki, niezupełnie zrozumiałego charakteru, ale także bardzo żałosne. W tym momencie Polina Andriejewna, z nauczycielskiego doświadczenia dobrze obznajmiona ze wszystkimi odcieniami dziecięcego płaczu, zaniepokoiła się, bo brzmiało to zawodzenie bardzo smutno i bardzo

szczerze.

Młodej damie wystarczyło pół minuty, by zorientować się w sytuacji. Zdarzyła się, prawdę mówiąc, rzecz najzwyczajniejsza i w pewnej mierze nawet komiczna. Malutka dziewczynka, bawiąc się z kotkiem, pozwoliła mu wleźć na drzewo. Czepiając się pazurkami sękatą kory, puszysta kuleczka wdrapała się za daleko i za wysoko i teraz nie mogła zejść z powrotem. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że olcha nawisała nad stromym brzegiem, a kotek ugrzązł na najdłuższej i najcieńszej gałęzi, pod którą, hen w dole, pluskały i pieniały się fale.

Na pierwszy rzut oka było jasne, że nie uda się biedaczka uratować. Szkoda, bo był zachwycająco śliczny: sierść białutka jak łabędzi puch, oczka okrągłe, błękitne, na szyi miłośnie zawiązana aksamitna wstążeczka.

Jeszcze bardziej żal było jego pani, dziewczyneczki sześć – lub siedmioletniej. Ona też była przemiła: w czyściutkim kaftaniku, chusteczce w kwiaty, spod której wysuwały się jasne kosmyki, w maleńkich jak dla lalki pantofelkach.

– Kicia! Kiciunia! – pochlipywało dziecko. – Złaż, spadniesz!

Ale jakie tam „złaż”. Kociątko resztką sił trzymało się za sam koniuszek gałęzi. Wiatr kołysał białym ciałkiem, okręcał je to w prawo, to w lewo i było widać, że wkrótce strząśnie je zupełnie.

Polina Andriejewna oglądała smutny obrazek, trzymając się za serce. Przypomniał jej się nie tak dawny przypadek, kiedy to ona sama znalazła się w położeniu tego tu kociątka i uratowała się tylko dzięki opiece Boskiej. Na wspomnienie tej strasznej nocy przeżegnała się i wyszeptała modlitwę, ale nie w podzięce za tamto cudowne ocalenie, tylko na intencję biednego, skazanego maleństwa: „Panie Boże, daj zwierzątku jeszcze pożyć! Po co Ci taka kruszynka?”

Sama oczywiście rozumiała, że uratować kociątko może tylko cud,

a trudno, żeby z takiego powodu Opatrzność cudami szastała. Byłoby to nawet śmieszne, wzniosłości pozbawione.

Zgromadzeni oczywiście nie milczeli – jedni pocieszali dziewczynkę, drudzy naradzali się, jak uratować głuptaska. Ktoś mówił: „Trzeba by wleźć na drzewo, nogą oprzeć się o gałąź i sączkiem go zgarnąć”, chociaż było jasne, że sączka w parku się nie znajdzie. Drugi głośno rozprawiał sam ze sobą: „Można by na gałęzi się położyć i spróbować dosięgnąć, tylko przecież zerwie się człowiek. Za poważną rzecz jeszcze można życie zaryzykować, ale przecież nie dla zwierzątka”. I miał rację, naprawdę miał rację.

Polina Andriejewna już chciała iść dalej, żeby nie widzieć, jak biały, puszysty kłębek z piskiem poleci w dół, i nie słyszeć, jak strasznie zakrzyczy dziewczynka (mogliby ją stąd zabrać czy jak), ale w tej chwili do zebranych dołączyła nowa osobistość, i to tak interesująca, że rzekoma moskwianka rozmyśliła się i nie odeszła.

Bezceremonialnie rozpychając gapiów, do olchy przedzierał się wysoki, szczupły pan w eleganckim, śnieżnobiałym palcie i również białej płóciennej czapce. Bez wątpliwości należał do sławetnej kategorii „chłopaków jak malowanie”, do której mężczyźni, jak wiadomo, trafiają wcale nie z powodu klasycznej prawidłowości rysów (choć pan był całkiem niebrzydki, w złotowłoso-błękitnookim słowiańskim stylu), tylko ze względu na ogólne wrażenie spokojnej pewności siebie i ujmującej chwackości. Te dwie cechy, działające niezawodnie na prawie wszystkie kobiety, malowały się na twarzy i w postawie eleganckiego pana tak wyraźnie, że obecne w tłumie damy, panny, baby i dziewczki od razu zwróciły na niego szczególną uwagę.

Nie była też wyjątkiem pani Lisicyna, która powiedziała sobie w duchu: „Patrzcie no, jakie w Araracie trafiają się typy. Ten też na pielgrzymce?”

Następnie jednak nowo przybyły zachował się w taki sposób, że stosunek do jego osoby ze szczególnej uwagi przekształcił się w oczarowanie (co zresztą, zauważmy, w przypadku „chłopaków jak malowanie” zdarza się nierzadko).

Jednym spojrzeniem oceniwszy i zrozumiałwszy stan rzeczy, przystojniak bez chwili wahania rzucił na ziemię czapkę, a w ślad za nią poleciało również eleganckie palto.

Jednemu z gapiów – na oko sądząc, czeladnikowi – panisko rozkazał:

– Ej, ty, marsz na drzewo. Ale nie bój się, na gałąź włązić nie będziesz musiał. Jak krzyknę „dawaj!” – potrząśnij nią z całej siły.

Nie posłuchać takiego nie było można. Czeladnik też rzucił pod nogi swój zasmarowany kaptur, popluł w ręce i zaczął się wspinać.

Publika wstrzymała oddech – no, co dalej?

A dalej przystojniak zrzucił na trawę swój surdut, też biały, wziął krótki rozbieg i skoczył z urwiska w otchłań.

Ach!

O „otchłani”, rzecz jasna, pisze się zazwyczaj dla większego efektu, ponieważ każdemu wiadomo, że oprócz tej jedynej i ostatecznej Otchłani wszystkie inne przepaści, czy to lądowe, czy wodne, zawsze mają jakieś tam dno. Również i ta pod jarem też nie była tak znowu strasznie bezdena, sążni miała bodaj z dziesięć. Ale i tej wysokości całkiem by starczyło, żeby rozbić się o lustro wody i utonąć, nie mówiąc już o tym, że od głębi wody wciąż wiało ołowianym chłodem.

Jednym słowem, jakkolwiek by na to patrzeć, postępek był szalony. Nie bohaterski, tylko właśnie szalony – bo na co tu było bohaterstwo okazywać!

Ze wspomnianym wyżej „ach!” wszyscy stłoczyli się nad urwiskiem, wypatrując, czy nie wychynie z fal junacka jasnowłosa głowa.

Jest! Zakołysała się między zdumionymi grzywami fal niczym maleńka piłeczka do lawn-tenisa.

Potem wynurzyła się również ręka, pomachała. Dźwięczny, podchwycony przez usłużny wiatr głos krzyknął:

– Dawaj!

Rzemieślnik co sił potrząsnął za gałązkę i kotek z żalnym piskiem urwał się i spadł. Upadł na sążeń od szurniętego pana, a po sekundzie został pochwycony i podniesiony nad wodę.

Widzowie zupełnie potracili głowy, krzyczeli i wyli z zachwytu do utraty przytomności.

Wiosłując swobodną ręką, bohater (mimo wszystko bohater, nie szaleniec, widać to było po reakcji publiczności) dopłynął do podnóża urwiska, z trudem wdrapał się na wąski gład i ruszył samą krawędzią brzegu do wyrąbanej w skale ścieżki. Z góry już ludzie biegli mu na spotkanie – wziąć pod ręce, roztrzeć, objąć.

Po kilku minutach powitany ogólną owacją chwatał był na górze. Ani trzymać się pod ręce, ani wycierać, ani tym bardziej obejmować nikomu nie pozwolił. Szedł sam, posiniały na całym ciele, drżący z zimna, z przylepionym do czoła skośnym kosmykiem. W tej postaci, mokry i wcale nieelegancki, wydał się Polinie Andriejewnie jeszcze piękniejszy niż w śnieżnobiałym stroju. I nie tylko jej – świadczyły o tym rozmarzone twarze kobiet.

Cudowny wybawiciel rozejrzał się z roztargnieniem i nagle zatrzymał wzrok na rudowłosej, pięknej damie, która patrzyła na niego nie, jak inne, z zachwytem, ale raczej z lękiem.

Podszedł, wciąż trzymając w ręku przemokłe, chude kociątko. Patrząc prosto w oczy, spytał:

– Kim pani jest?

– Lisicyna – cicho odpowiedziała Polina Andriejewna. Bohater tęczówki miał czarne, szerokie, otoczone jasno-błękitnymi kółkami

z lazurkowym odcieniem.

– Wdowa – sama nie wiedząc dlaczego, dodała onieśmielona tym spojrzeniem kobieta.

– Wdowa? – powoli upewnił się dziwny pan i uśmiechnął się w jakiś szczególny sposób: jakby Polina Andriejewna leżała przed nim na półmisku, ugarniowana pietruszką i selerem.

Pani Lisicyna mimo woli zmieszała się i powiedziała szybko:

– Ja mam narzeczonego.

– No to wdowa czy narzeczona? – Czarus roześmiał się, błyskając białymi zębami. – E tam, wszystko jedno.

Odwrócił się, poszedł dalej.

Ach, jaki był piękny! Polina Andriejewna namacała na piersi pod chustką krzyżyk i ścisnęła go w palcach.

Nieprzyjemnie zaskoczyło ją jedno. Uratowanego kotka bohater cisnął uszczęśliwionej dziewczynce pod nogi, nawet nie zaszczycając jej spojrzeniem i nie słuchając nieskładnego dziękczynnego mamrotania.

Narzucił na ramiona usłużnie podane palto (już nie tak olśniewająco białe jak przedtem), czapkę włożył byle jak, na bakier.

Poszedł sobie i ani razu się nie obejrzał.

Sen o krokodylu

Pani Lisicyzna wkroczyła na teren właściwego klasztoru, jeszcze nie w pełni przyszedłszy do siebie po niepokojącym spotkaniu – zarumieniona, wstydliwie mrugając powiekami. Jednak surowy, uroczysty widok klasztoru oraz obfitość zakonników i nowicjuszy w czarnych strojach pomogły pani Polinie odzyskać odpowiedni do sytuacji nastrój.

Minęła główną świątynię, potem korpusy, w których mieściły się cele i pomieszczenia gospodarcze, i znalazła się w wewnętrznej części klasztoru, gdzie wśród klombów stały dwa sztykowne domy – archimandrycki i archijerejski: w pierwszym kwaterował nowoararacki przeor, ojciec Witalis, drugi zaś był przeznaczony dla wyższej zwierzchności, jeśliby raczyła zaszczyścić odwiedzinami świętości archipelagu. A trzeba powiedzieć, że zwierzchność bywała na Kanaanie często – i cerkiewna, i synodalna, i świecka. Sam tylko gubernialny archijerej, któremu niby to bliżej było tutaj niż tym z Moskwy czy Petersburga, przez długie lata nie zawitał na archipelag ani razu. Nie z lekceważenia, przeciwnie – z szacunku dla sprawności archimandryty. Przewielebny lubił powtarzać, że nadzór jest potrzebny nad niezaradnymi, zaradnych zaś pilnować nie ma po co, i zgodnie z tą swoją maksymą wołał spośród podległych mu monasterów i parafii odwiedzać tylko gorzej zarządzane.

Służka ojca Witalisa zaprosił donatorkę do poczekalni, gdzie na ścianach rozwieszane były ikony, przemieszane z architektonicznymi planami rozmaitych budowli. Przed ikonami pątniczka skłoniła się, plany uważnie obejrzała, użaliła się nad mizernym geranium, które na

parapecie jakoś kiepsko rosło, aż wreszcie wezwano ją do archimandryty.

Ojciec Witalis powitał pątniczkę życzliwie, pobłogosławił z wysokości swego ogromnego wzrostu i nawet pochylił się ku wychodzącym spod chustki rudym włosom, jakby w symbolicznym pocałunku, ale widać było, że spraw ma mnóstwo i chciałby jak najszybciej pozbyć się przyjezdnej paniusi.

– Składasz, córko, ofiarę na klasztor w ogóle czy na jakieś szczególne dzieło? – spytał, otwierając księgę rachunkową i szykując się do wpisania wdowiego grosza.

– Zostawiam to do zupełnego uznania czcigodnego ojca – odpowiedziała Polina Andriejewna. – A czy wolno mi będzie przysiąc?

Witalis westchnął, bo zrozumiał, że bez pobożnej rozmowy się nie obejdzie i w zamian za swoją ofiarę wdowa po nieboszczyku Lisycynie zabierze mu kwadrans, jeśli nie więcej.

– Tak, proszę tutaj – wskazał jej niewygodne, specjalnie dla takich wypadków skonstruowane krzesło: z żebrowanym siedzeniem i guzowatym oparciem; więcej niż kwadrans na takim inkwizytorskim siedzisku człowiek nie wytrzyma.

Polina Andriejewna usiadła, jęknęła z cicha, ale na temat zadziwiającego krzesła nic nie powiedziała.

Pochwaliła w krótkich słowach wspaniałe ararackie porządki, stateczność i grzeczność mieszkańców, przemysłowe nowinki i wspaniałość budowli – archimandryta wysłuchał tego z zadowoleniem, bo pani Lisycyna, kiedy miała na to ochotę, schlebiać i głaskać z włosem umiała doskonale. Następnie przeszła do sedna sprawy, w imię której zostało ofiarowane pięćset rubli.

– Jakaż to dla czcigodnego ojca podpora – święta Pustelnia Wasiliskowa! Ileż to pobożności, iluż to pielgrzymów! – cieszyła się ze

szczęścia ludności Nowego Araratu przyjezdna dama. – Mało który klasztor włada takim nieocenionym skarbem.

Witalis wykrzywił swe krągłe, niepasujące do długokościstej postaci oblicze.

– Nie mogę się z tobą zgodzić, córko moja. To poprzednim przeorom, tym, co byli tu przede mną, Wyspa Rubieżna chleb dawała, a ja, uczciwie mówiąc, mam z nią tylko kłopot. Pielgrzymi teraz do Araratu nie tyle dla Wasiliska przybywają, ile dla wypoczynku duchowego i cielesnego. Przecież teraz mamy tu u nas istny raj! Bez pałników, chwała Bogu, też twardo na nogach stoimy. A od pustelni nic, tylko chwiejność wśród braci i zamęt. Nieraz, proszę mi wierzyć, marzę, żeby wyszedł dekret Synodu: pozamykać wszystkie pustelnie i pokutnictwa zakazać, niech nic nie narusza hierarchii ani porządku. – Przeor ze złością tupnął ciężką nogą, podłoga odpowiedziała mu głucho. – Tyś, córko moja, jak widzę, kobieta mądra, współcześnie myśląca, no to ja z tobą otwarcie, w bawełnę nie owijając. Co to za świętość, jeśli na Rubieżnej schiigumenem pustelni jest zakamieniały rozpustnik! A, nie słyszałaś? – spytał Witalis, ujrawszy grymas na twarzy rozmówczyni (wywołany zapewne nie tyle zdziwieniem, ile niewygodą krzesła). – Pokutnik Izrael, niegdyś dziki babiarz, istny Lucyfer lubieżności! Przeżył pozostałych pustelników i proszę bardzo – już od roku jest przełożonym pustelni, głównym strażnikiem modrojeziornej świętości. Za nic nie chce go Pan wziąć do siebie. A ja, co z tego, żem przeor, władzy nad tą nominacją nie mam, bo Rubieżna ma własną regułę!

Polina Andriejewna z frasunkiem, współczująco, pokiwała głową.

– I proszę mi nie mówić o Pustelni Wasiliskowej – wciąż gorączkował się czcigodny ojciec. – U mnie w klasztorze picie ziela spirytusowego jest najsurowiej zabronione, za naruszenie zakazu zsyłam na Ukataj albo do komory o chlebie i wodzie sadzam,

a pustelnia braciom przykład grzechu pijaństwa podaje, i to całkiem bezkarnie, bo nic na to poradzić nie mogę.

– Święci starcy wódkę piją? – Pątniczka zamrugła długimi rzęsami.

– Ależ skąd! Brat Kleopa pije, łódkarz, który jako jedyny ma pozwolenie na Rubieżna pływać. W picciu niepowściągliwy, prawie co wieczór awanturuje się, pieśni ryczy – i to nie zawsze pobożnej treści. A przepędzić go nie można, bo zastąpić nie ma kim. Wszyscy inni boją się nie tylko na wyspę płynąć, ale nawet do tamtego brzegu się przybliżyć. Żadnymi karami się ich nie zmusi!

– A to dlaczego? – z niewinną minką spytała ofiarodawczyni. – Co tam takiego strasznego?

Archimandryta obrzucił ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem.

– Nie słyszałaś jeszcze, córko?

– O czym, czcigodny ojcze?

Przeor burknął niechętnie:

– Takie tam głupstwa. Nie słyszałaś, to usłyszysz. Przecież mówię, że ta pustelnia to rozsadek bredni i zabobonów.

W rozmowy o Czarnym Mnichu z przyjezdną moskwianką się nie wdawał; zapewne szkoda mu było czasu.

– Wygodnie ci się siedzi, córko moja? – spytał grzecznie Witalis, spojrzawszy na zegar ścienny. – Meble klasztorne są z gruba ciosane, przeznaczone nie dla wygody, lecz dla umartwienia ciała.

– Zupełnie wygodnie – zapewniła Polina Andriejewna, nie zdradzając najmniejszej ochoty do pożegnania.

Archimandryta spróbował wobec tego wykonać manewr okrążający.

– Pora obiadowa się zbliża. Weź, córko, udział w naszej mnisiej obiacie z ojcem szafarzem i ojcem ekonomem. Ja sam dzisiaj nie obiadam – zajęć dużo, a ty pojedz sobie. Dziś dzień niepostny, tak że

i wołowinka świeżutka będzie, i kiełbaski klasztorne. Wołowina nasza na całą Rosję słynie. Zajada sobie człowiek, noża nie potrzebuje, bierz, bracie, i widelcem odłamuj, taka jest miękka i krucha. A wszystko dlatego, że u mnie bydełko z miejsca się nie rusza, je u siebie, w boksach: tam i trawkę mu najbardziej soczystą dostarczają, i kwasem poją, i boki myją. Naprawdę, radzę spróbować, nie pożałujesz.

Ale i łakoma pokusa na upartego gościa nie podziałała.

– A ja myślałam, że w klasztorach niepostnego w ogóle się nie jada, nawet w mięsopust – powiedziała pani Lisicyna, z widocznym zadowoleniem opadając na oparcie krzesła.

– U mnie się jada i grzechu w tym nie widzę. Jeszcze w początkach sprawowania urzędu doszedłem do wniosku, że z poszczącego dobry pracownik nie wyjdzie – siła nie ta. Dlatego brać swoją karmię pożywnie. Przecież Pismo Święte nigdzie jedzenia mięsa nie zakazuje, tylko je rozumnie ogranicza. Powiedziano bowiem: „Gdy da wam Pan mięso jeść...” I jeszcze: „I da wam Pan mięso jeść, i będziecie jeść mięso”.

– A nie żal życie biednym krówkom i świnkom odbierać? – spytała z wyrzutem Polina Andriejewna. – Też przecież stworzenia Boże, iskrę żywą w sobie noszą.

Czcigodnemu ojcu, zdaje się, nie pierwszy raz zadawano to pytanie, bo odpowiedział bez namysłu:

– Wiem, wiem. Słyszałem, że tam u was w stolicach teraz moda na wegetariaństwo panuje i wielu pasjonuje się obroną zwierząt. Ludzi by lepiej bronili! Proszę powiedzieć, łaskawa pani, czym nasza sytuacja jest lepsza? O bydełko chociaż ludzie dbają, zanim odprawią do rzeźni – karmią, pielęgnują. I proszę jeszcze to wziąć pod uwagę: krowy i świny nie znają strachu przed śmiercią, i w ogóle nie przypuszczają, że są śmiertelne. Życie mają spokojne i przewidywalne, bo póki

odpowiedniego wieku nie osiągną, nikt ich pod nóż nie pośle. My zaś, ludziska, co? Zguba w każdej minucie życia może nas zaskoczyć. Dnia swojego jutrzejszego nie znamy i na wszelkie sposoby szykujemy się do nagłej śmierci. My też mamy swojego Ubojcę, tylko o jego zasadach i o tym, co on tam sobie zamysła, mało co wiemy. Jemu od nas nie tłustego mięsa i nie dobrych udojów trzeba, tylko czegoś całkiem innego – nam samym nie wiadomo czego i od tej niewiedzy jest nam po stokroć straszniej. Tak że żal swój proszę zachować dla ludzi.

Petentka słuchała z uwagą, pamiętając, że ojciec Mitrofaniusz też nie był wielkim zwolennikiem postnego jedzenia i powtarzał słowa pustelnika Zosimy Wierchowskiego: „Nie trzymajcie się tylko postu. Bóg nigdzie nie powiedział: jeśli pościcie, to moimi uczniami jesteście, tylko – miłujcie się wzajemnie”.

Pora jednak była skierować rozmowę na inny tor, bo oprócz wybadania przeora w przedmiocie Wasiliska wizyta miała jeszcze jeden cel.

– A czy to prawda, ojcze, co opowiadają, że niewierzącym wstęp na Kanaan jest wzbroniony, żeby nie bezcześcili poświęconej ziemi? Czy to prawda, że wszyscy bez wyjątku mieszkańcy wysp to wyznawcy najsurowszego prawosławia?

– Kto ci, córko, takich głupstw naopowiadał? – zdziwił się Witalis. – U mnie najróżniejsi do prac się najmuja, jeśli mają potrzebną wiedzę lub znają rzemiosło. I ja im w duszę nie włożę – byle swoje robili, to i dobrze. Są ludzie różnych narodowości i różnej wiary, a nawet zgoła ateści. Ja, widzisz, córko moja, nie jestem za misjonarstwem. Daj Boże swoich, rodzonych ustrzec, a cudze stado, jeszcze z parszywych owiec złożone, mnie niepotrzebne. – I w tym momencie archimandryta sam, przez petentkę niepopędzany, skierował rozmowę tam właśnie, gdzie było trzeba. – O, na ten przykład, u mnie tu, na Kanaanie, milioner jeden mieszka, niejaki Korowin. Lecznicę dla słabych na umyśle

posiada. Niech będzie, ja nie przeszkadzam. Byle tylko niebezpiecznych nie osiedlał i płacił terminowo. On sam to człowiek całkiem bezbożny, nawet w świętą Wielkanoc do świątyni nie chodzi, ale pieniążki jego na miłą Bogu sprawę idą.

Dama klasnęła w ręce.

– Czytałam o lecznicy doktora Korowina! Piszą, że z niego prawdziwy cudotwórca od leczenia nerwowo-psychicznych rozstrojów.

– Bardzo możliwe.

Witalis znowu zerknął na zegar.

– I jeszcze słyszałam, że do niego na wizytę bez jakiejś szczególnej rekomendacji za nic się nie trafi – rozmawiać nawet nie będzie. Ach, jak ja bym chciała, żeby mnie przyjął! Ja tak się męczę, tak cierpię! Proszę powiedzieć, czy mógłby ojciec dać mi polecenie do doktora?

– Nie – skrzywił się przeor. – Między nami to nieprzyjęte. Proszę się zwrócić, wedle przyjętego porządku, do jego petersburskiego lub moskiewskiego gabinetu, a tam już oni zdecydują.

– Ja miewam straszne przywidzenia – poskarżyła się Polina Andriejewna. – Spać po nocach nie mogę. Moskiewscy psychiatrzy nie chcą się mną zająć.

– A co to za przywidzenia? – spytał ze znużeniem archimandryta, widząc, że gość jeszcze solidniej sadowi się na krześle.

– Proszę powiedzieć, czcigodny ojcze, czy zdarzyło ci się kiedy widzieć żywego krokodyla?

Witalis, zaskoczony, aż zamrugął.

– Nie, nie trafiło się. A czemu pytasz?

– A ja widziałam. W Moskwie na zeszłe Boże Narodzenie. Angielski zwierzyniec przyjechał, no i ja z głupoty poszłam.

– Dlaczego z głupoty? – westchnął archimandryta.

– Przecież to straszne! Cały zielony, guzowaty, zębisków pełna

paszcza i jeszcze tą paszczą on się, faraon egipski jeden, uśmiecha! Aż strach! I oczka maciupcie, krwiożercze, też z uśmiezkiem patrzą! Niczego straszniejszego w życiu nie widziałam! I śni mi się od tego czasu, śni mi się co noc ten jego koszmarne uśmieszek!

To, że donatorka, do tej chwili bardzo spokojna i rozumna, zdenerwowała się i uniosła, świadczyło, że w samej rzeczy nerwowo-psychiczne leczenie by jej nie zaszkodziło. Przecież zdarza się nieraz, że człowiek pod każdym względem normalny, rozsądny nawet, na jakimś jednym punkcie okazuje zupełną maniakałność. Było jasne, że dla moskiewskiej wdowy źródłem takiego pomieszania stał się afrykański gad.

Wysłuchawszy relacji z kilku chorobliwych snów, z których każdy był bardziej koszmarne od drugiego (a wszystkie z nieodmiennym udziałem uśmiechającego się jaszczura), ojciec Witalis poddał się: podszedł do stołu i pryskając atramentem, szybko skreślił kilka linijek.

– Proszę, córko moja. Polecenie od mnie. Jedź, moje dziecko, do Donata Sawwicza, a ja, proszę wybaczyć, mam pilne zajęcia.

Pani Lisicyna zerwała się, mimo woli dotykając ręką odgniecionych przez krzesło połędwicznych części ciała, przeczytała notatkę, ale nie była z niej zadowolona.

– Nie, proszę ojca. Co to za polecenie? „Proszę wysłuchać doręczycielki niniejszego i w miarę możliwości udzielić jej pomocy”? To w departamentach tak piszą na podaniu, kiedy chcą się odczepić. Ty, ojczu, surowiej, bardziej wymagająco napisz.

– Co znaczy „bardziej wymagająco”?

– „Wielce szanowny Panie doktorze – zaczęła dyktować Polina Andriejewna. – Jak pan wie, rzadko obciążam Pana prośbami o charakterze osobistym, dlatego błagam, by nie odmówił Pan spełnienia tej mojej petycji. Najserdeczniejsza moja przyjaciółka i duchowa współwyznawczyni, pani Lisicyna, ogarnięta ciężkim

niedomaganiem nerwowym, potrzebuje pilnej...”

Na „najserdeczniejszą przyjaciółkę i duchową współwyznawczynię” przeor stanął okoniem, ale Polina Andriejewna znów usiadła na krześle, wydostała z woreczka robótkę i zaczęła opowiadać jeszcze jeden sen: jak zwidział jej się na zimnym wdowim łożu świętej pamięci małżonek; jak go objęła, pocałowała i nagle widzi – spod szlafmocy ohydna paszcza, zębata, uśmiechnięta, i łapy straszne jak nie zaczna boków drapać...

Archimandryta, choć mąż twardy jak rzadko, jednak nie wytrzymał, nie dosłuchał do końca straszego snu, skapitulował. Napisał list polecający tak, jak się domagała uparta dama, słowo w słowo.

Okazało się, że nie na próżno ciało pani Lisicynej zniosło próbę krzesła – teraz już na serio mogła wziąć się do śledztwa.

Interesujący ludzie

Dopiero zdziwiłby się przewielebny ojciec Witalis, gdyby posłuchał, jak postrzelona moskiewska damulka poprowadziła rozmowę z doktorem Korowinem! Ani o uśmiechającym się jaszczurze, ani o dwuznacznych widzeniach sennych pani Polina właścicielowi kliniki nie opowiadała. Z początku prawie w ogóle nie otwierała ust, przyglądając się tylko pewnemu sobie, wygolonemu jegomościowi, czytającemu list polecający.

Jednocześnie obejrzała także gabinet – najzwyczajniejszy, z dyplomami i fotografiami na ścianach. Niecodzienny był tylko wiszący nad stołem obraz we wspaniałej brązowej ramie: bardzo przekonująco i szczegółowo namalowana ośmiornica, która w każdym z długich, przyssawkami pokrytych ramion trzymała po jednej, wyrrywającej się, nagiej ludzkiej postaci. Fizjonomia potwora (jeśli tylko głowę ogromnego mięczaka można nazwać „fizjonomią”) zadziwiająco przypominała uzbrojone w okulary, władcze oblicze samego Donata Sawwicza, przy czym żadną miarą nie można było stwierdzić, w jaki sposób osiągnięto tak ściśle podobieństwo – cienia karykaturalności ani sztuczności w obliczu gigantycznego głowonoga nie dawało się zauważyć.

Doczytawszy notatkę archimandryty, doktor z zainteresowaniem popatrzył na gościa sponad okularów w złoczonej oprawie.

– Nigdy dotąd nie otrzymałem od ojca Witalisa równie kategorycznego orędzia. Kim pani jest dla świątobliwego ojca, że okazał taką gorliwość? – Donat Sawwicz uśmiechnął się kpiąco. – „Współwyznawczyni”, to ci słóweczko. Czy to jakaś romantyczna

sprawa? To by było ciekawe z psychofizjologicznego punktu widzenia, bo zawsze uważałem ojca przeora za klasyczny przypadek niezrealizowanego pederasty. Proszę mi powiedzieć, pani... eee... Polino, czy pani rzeczywiście jest ciężko chora? Czytam tutaj: „Proszę uratować cierpiącą nieznośne męki kobiecą duszę”. Na pierwszy rzut oka nie bardzo wygląda na to, by pani dusza tak wiele wycierpiała.

Polina Andriejewna, która wyrobiła już sobie pogląd na gospodarza gabinetu, machnęła na list ręką i roześmiała się beztrusko.

– Ma pan rację. Co do archimandryty pewnie też. Kobiet on znieść nie może. Wykorzystałam to bezwstydnie, żeby siłą wyrwać od biedaka przepustkę do pańskiej cytadeli.

Doktor uniósł brwi i z lekka rozciągnął kąciaki warg, jakby uczestnicząc w śmiechu pani Lisicynej, nie w pełni jednak, lecz tylko częściowo.

– A do czego jestem pani potrzebny?

– O panu w Moskwie opowiadają tyle intrygujących rzeczy! Moja decyzja, by wybrać się z pielgrzymką na Nowy Ararat, była porywem, który mnie samą zadziwił. Wie pan, jak to bywa z nami, kobietami... No więc przyplłynęłam tutaj i pojęcia nie mam, czym się zająć. Cóż, próbowałam się modlić, ale, niestety, poryw minął. Poszłam zobaczyć archimandrytę. Jeszcze popłynę kutrem wokół archipelagu... – Polina Andriejewna rozłożyła ręce. – A wracać mam dopiero za cztery dni.

Szczerłość pięknej młodej damy nie rozgniewała doktora, raczej go rozbawiła.

– A zatem jestem dla pani czymś w rodzaju miejscowej atrakcji? – spytał, uśmiechając się już nie półgębkiem, tylko od ucha do ucha.

– Ależ nie, co też pan! – przestraszyła się lekkomyślna moskwianka, ale i sama się roześmiała. – A jeżeli nawet, to w najbardziej pozytywnym sensie. Naprawdę opowiadano mi o panu najprawdziwsze cuda. Grzech by było nie skorzystać z okazji!

I przychylnie usposobiwszy do siebie rozmówcę swoją otwartością, Polina poprowadziła konwersację zgodnie z regułami prawidłowego obchodzenia się z mężczyznami. Reguła numer jeden głosi: chcesz się spodobać mężczyźnie – schlebiaj. Im mężczyzna mądrzejszy i subtelniejszy, tym mądrzejsze i subtelniejsze powinno być pochlebstwo. Im bardziej prostacki, tym bardziej prostackie powinny być pochwały. Ponieważ doktor Korowin najwyraźniej do głupców nie należał, pani Lisicyna zaczęła tkać swą sieć w szczególnie dyskretny sposób.

Nagle poważniejąc, powiedziała:

– Bardzo mnie pan intryguje. Chciałabym zrozumieć, co z pana za człowiek. Po co dziedzic Korowińskich milionów traci najlepsze lata życia i ogromne środki na kurowanie wariatów? Proszę mi powiedzieć, czemu postanowił pan zająć się psychiatrią? Zblazowanie? Pusta ciekawość i pogarda dla ludzi? Chęć pogrzebania zimnymi rękoma w ludzkich duszach? Jeśli tak, to ciekawe. Ale podejrzewam, że przyczyna może być jeszcze bardziej niezwykła. Po pańskiej twarzy widać, że nie jest pan zblazowany. Ma pan żywe, gorące spojrzenie. Chyba że się mylę i błyszczą w nim tylko czysta ciekawość...

Kobieta musi dać mężczyźnie do zrozumienia, że wydaje się jej nieskończenie interesujący, że ona tylko widzi, jaki jest wyjątkowy i do nikogo niepodobny, a już mniejsza, czy w dobrym, czy niedobrym sensie – na tym właśnie polega w istocie pierwsza reguła. Trzeba powiedzieć, że Polina Andriejewna nie musiała specjalnie udawać, bo zupełnie szczerze uważała, że każdy człowiek, jeśli przyjrzeć mu się jak należy, jest jedyny w swoim rodzaju i choćby dlatego interesujący. Tym bardziej osoba tak niezwykła jak Donat Sawwicz Korowin.

Doktor badawczo przyjrzał się rozmówczyni, jakby oswajając się z przemianą, jaka w niej zaszła. Przemówił cicho, tonem zwierzenia:

– Nie, psychiatrią zająłem się nie z ciekawości. Raczej z rozpacz. Panią to naprawdę interesuje?

– Bardzo!

– Na wydział medyczny wstąpiłem z młodzieńczego narcyzmu. Z początku nie na kierunek psychiatryczny, lecz na fizjologiczny. W wieku dziewiętnastu lat uważałem się za pieszczocha Fortuny i księcia z bajki, który ma wszystko, co tylko może posiadać śmiertelnik. Chciałem zaś tylko jednego: odkryć tajemnicę wiecznego... albo jeśli już nie wiecznego, to co najmniej bardzo długiego życia. Wśród ludzi bogatych jest to dość często spotykany rodzaj manii – teraz też mam pacjenta, u którego narcyzm osiągnął stadium patologiczne. A co do mnie samego, to dwadzieścia lat temu marzyłem, by zgłębić mechanizmy pracy własnego organizmu i zapewnić mu możliwie najdłuższe funkcjonowanie...

– I co pana zawróciło z tej drogi?! – zawołała pani Lisicyna, kiedy w wypowiedzi doktora nastąpiła niewielka pauza.

– To samo, co zwykle spycha nadmiernie racjonalnych młodych ludzi z wytyczonego sobie toru.

– Miłość? – domyśliła się Polina Andriejewna.

– Tak. Namiętna, bezrozumna, wszechogarniająca, jednym słowem – taka, jaka powinna być miłość.

– I nie odpowiedziano panu wzajemnością?

– O nie, byłem kochany równie gorąco, jak kochałem.

– To dlaczego mówi pan o tym z takim smutkiem?

– Dlatego, że była to najsmutniejsza i najbardziej niezwykła ze wszystkich znanych mi historii miłosnych. Ciągnęło nas do siebie niepowstrzymanie, ale nawet na chwilę nie mogliśmy się objąć. Wystarczyło, żebym zbliżył się do mojej ukochanej na odległość ręki, a ona stawała się zupełnie chora: z oczu lały jej się łzy, z nosa ciekło strumieniem, na skórze występowała czerwona wysypka, skronie

ściskała nieznośna migrena. Wystarczyło, bym się odsunął, a symptomy niemal natychmiast zniknęły. Gdybym nie był studentem medycyny, dopatrywałbym się w tym pewnie jakichś złośliwych czarów, ale na drugim roku już wiedziałem o zagadkowej bezlitosnej chorobie, której na imię – reakcja idiosynkratyczna. W wielu wypadkach nie sposób dojść, na jakim tle ona powstaje, a tym bardziej nie wiadomo, jak ją leczyć. – Doktor Korowin przymknął oczy, uśmiechnął się, pokiwał głową, jakby dziwił się, że coś takiego mogło się przydarzyć właśnie jemu. – Cierpieliśmy w sposób nieopisany. Potężna siła miłości ciągnęła nas ku sobie wzajemnie, ale moje dotknięcia były zgubne dla tej, którą ubóstwiałem... Przeczytałem wszystko, co medycyna wiedziała o idiosynkrazji, i zrozumiałem: chemia i biologia to nauki jeszcze za mało doskonałe i za mojej ziemskiej drogi nie zdążą rozwinąć się tak, by przełamać mechanizm fizjologicznego odrzucenia jednego organizmu przez drugi. Wtedy właśnie postanowiłem zająć się psychiatrią – badaniem urządzenia duszy ludzkiej. Własnej duszy, tej, co zrobiła mi taki wredny kawał – kazała mi ze wszystkich kobiet na świecie pokochać tę jedyną, dla mnie z całą pewnością niedostępną.

– I rozstaliście się?! – zawołała pani Polina, wzruszona niemal do łez zarówno samą opowieścią, jak i powściągliwym tonem mówiącego.

– Tak. Taka była moja decyzja. Ona później wyszła za mąż. Mam nadzieję, że jest szczęśliwa. Ja zaś, jak pani widzi, pozostałem samotny i żyję pracą.

Pani Lisicyna, choć tak przecież pojętna, nie od razu domyśliła się, że chytry doktor też prowadzi z nią grę – tyle że nie kobiecą, lecz męską, równie jak tamta starodawną i niezmienną w swych regułach. Niezawodny sposób utorowania sobie drogi do kobiecego serca to pobudzić w nim instynkt współzawodnictwa. Z tego punktu widzenia najlepiej opowiedzieć o sobie jakąś romantyczną historię, koniecznie

ze smutnym zakończeniem, jakby pokazując: proszę, patrz, do jakiej głębi uczuć byłem zdolny niegdyś i być może byłbym zdolny teraz, gdyby znalazł się godny przedmiot.

Zorientowawszy się w tym, pani Polina Andriejewna doceniła manewr i uśmiechnęła się w duchu. Historia, niezależnie od jej wiarygodności, była oryginalna. W dodatku z całego monologu wynikało, że gość doktorowi się podoba, a to – co tu gadać – było i pochlebne, i korzystne dla sprawy.

– Tak pan kocha swoją pracę? – życzliwie spytała moskiewska dama.

– Bardzo. Moi pacjenci to ludzie niezwykli, każdy z nich to jakieś unicum. A unikatowość to rodzaj talentu.

– A na czym polega ich talent? Błagam, niech mi pan odpowie!

Okrągłe oczy rudowłosego gościa rozszerzyły się jeszcze bardziej w radosnym oczekiwaniu. Przyszła pora zastosować regułę numer dwa: podprowadzić mężczyznę do tematu, który go najbardziej zajmuje, a potem w odpowiedni sposób słuchać. Tylko tyle, a przecież ileż to męskich serc zawojowano za pomocą tej nieskomplikowanej metody! Ileż to głuptasek i bezposażnych panien znajduje sobie takich narzeczonych, że wokół wszyscy nadziwić się nie mogą – jakże to im się trafiło takie niezastężone szczęście? A trafiło im się właśnie tak: umiejcie, panny, słuchać.

Co jak co, ale słuchać pani Polina umiała. Kiedy było trzeba, unosiła brwi, od czasu do czasu wołała „ach!”, a nawet chwytła się za pierś, bez żadnej jednak przesady, zwłaszcza zaś – znów bez żadnego udawania, z czystej, niepodrabianej ciekawości.

Doktor zaczął mówić jakby niechętnie, ale wobec tak wzorowej słuchaczki stopniowo się zapalał.

– Moi pacjenci są, rzecz jasna, nienormalni, ale to oznacza tylko, że odchylają się od uznanej przez społeczeństwo średniej normy, czyli są

bardziej niezwykli, egzotyczni, dziwniejsi od „normalnych” ludzi. Ja jestem zasadniczym przeciwnikiem samego pojęcia „normy” w zastosowaniu do wszelkich porównań w sferze psychiki ludzkiej. Każdy z nas ma własną normę. I obowiązkiem jednostki wobec siebie jest wznieść się ponad tę normę.

Tu pani Polina pokiwała głową, jakby doktor wypowiadał tezę, która przychodziła jej do głowy już wcześniej i z którą ona w pełni się zgadza.

– W człowieku to właśnie jest cenne, właśnie to interesujące – kontynuował Korowin – właśnie to, mówiąc wprost, wielkie, że może on zmieniać się na lepsze. Zawsze. W każdym wieku, po każdym błędzie, każdym upadku moralnym. W naszą psychikę wszczepiony jest mechanizm samodoskonalenia. Jeśli się tego mechanizmu nie wykorzystuje – rdzewieje i wtedy człowiek degraduje się, stacza poniżej własnej normy. Drugi kamień węgielny mojej teorii jest taki: każda skaza, każda szczelina w osobowości jest jednocześnie także przewagą, wyniesieniem – należy tylko odwrócić ten punkt rzeźby duchowej o sto osiemdziesiąt stopni. I oto trzecia moja fundamentalna zasada: każdemu cierpiącemu można pomóc i każdego niezrozumianego można zrozumieć. A kiedy się go zrozumie, wtedy można zaczynać z nim pracę: przemieniać słabego w silnego, kalekiego w pełnowartościowego, nieszczęśliwego w szczęśliwego. Ja, miła pani Polino, nie jestem od swoich pacjentów wyższy ani mądrzejszy, ani lepszy, raptem tylko bogatszy, chociaż między nimi też są całkiem zamożni ludzie.

– Pan uważa, że każdemu człowiekowi można pomóc? – Słuchaczka, przejęta słowami doktora, klasnęła w dłonie. – Ale przecież są odchylenia, które wyleczyć bardzo trudno! Na przykład ciężkie pijaństwo albo jeszcze gorzej – opiumomania!

– To akurat bzdura. – Doktor uśmiechnął się pobłażliwie. – Od tego

właśnie zaczynałem kiedyś moje eksperymenty. Mam na własność wysepkę na Oceanie Indyjskim, daleko od morskich szlaków. Tam osadzam beznadziejnych alkoholików i narkomanów. Żadnych ziół oszałamiających na wyspie się nie znajdzie, za żadne pieniądze. Tam zresztą pieniędzy w ogóle nie ma w obiegu. Raz na trzy miesiące przypląwa szkuner z Malediwów, przywozi wszystko, czego potrzeba.

– I nie uciekają?

– Kto chce wrócić do dawnego, ma prawo tymże szkunerem odpłynąć z powrotem. Na siłę nikogo tam się nie trzyma. Uważam, że prawa wyborcu człowiekowi odbierać nie należy. Chce ginąć – cóż, jego prawo. Tak że prawdziwą trudność stanowią nie niewolnicy butelki i kalianu, tylko ludzie, do których anormalności nie tak łatwo dobrać klucz. Z takimi właśnie pacjentami pracuję tu, na Kanaanie. Czasem z powodzeniem, niekiedy zaś – niestety...

Korowin westchnął.

– W pawilonie siedemnastym mieszka u mnie pewien telegrafista kolejowy, który twierdzi, że porwali go mieszkańcy innej planety, wywieźli do siebie i przetrzymywali tam kilka lat, i to lat o wiele dłuższych niż na Ziemi, ponieważ tamtejsze słońce jest znacznie większe od naszego.

– Dostyc subtelna uwaga jak na prostego telegrafistę – wtrąciła Polina Andriejewna.

– To jeszcze nic. Gdyby pani posłuchała, jak on opowiada o tym całym Wuferze (tak się nazywa planeta) – niech się schowają Swift do spółki z Jules'em Verne'em! Co za plastyczność szczegółów! Jakie detale techniczne! Zastłuchać się można. A język! Udziela mi lekcji wuferskiego języka. Zacząłem specjalnie układać glosarium, żeby go zrozumieć. I co pani powie? Ani razu się nie pomylił, pamięta wszystkie słowa! I gramatyka jest zadziwiająco logiczna, o wiele bardziej konsekwentna niż w jakimkolwiek znanym mi ziemskim

języku!

Gość z Moskwy aż ręce splótł – tak ciekawa była opowieść o innej planecie.

– A jak on objaśnia swój powrót?

– Jak mówi, od razu go uprzedzili, że biorą go na pewien czas, w gości, a potem przywiozą z powrotem całego i zdrowego. Twierdzi też, że gości z Ziemi na Wuferze było niemało, po prostu większości Wuferianie ścierają pamięć, by nie utrudniać im powrotu. A mój pacjent poprosił, żeby zostawić mu wszystkie wspomnienia, i przez to teraz wciąż cierpi. Przy okazji proszę mi przypomnieć, żebym opowiedział pani o innym przypadku dziwactw pamięci...

Widać było, że Korowin dosiadł ulubionego konika i teraz nieprędko się zatrzyma, ale Polina Andriejewna wcale nie chciała, żeby się zatrzymywał.

– On mówi, że Wuferianie obserwują życie na Ziemi już od bardzo dawna, od stuleci.

– A dlaczego się nie objawiają?

– Z ich punktu widzenia jesteśmy jeszcze zbyt dzicy. Najpierw powinniśmy rozwiązać własne problemy i przestać męczyć się wzajemnie. Dopiero potem dojrzejemy do obcowania międzyplanetarnego. Wedle ich obliczeń powinno to nastąpić nie wcześniej niż w roku dwutysięcznym osiemdziesiątym, a i to w najbardziej sprzyjającym wypadku.

– Ach, jak późno! – zmartwiła się Polina Andriejewna. – Żadne z nas tego nie dożyje.

Donat Sawwicz uśmiechnął się.

– Pani daruje, przecież to majaczenia chorej fantazji, choć, co prawda, bardzo składne. W rzeczywistości nasz telegrafista nigdzie nie wyjeżdżał. Był na polowaniu z przyjaciółmi, ustrzelił kaczkę. Polazł w szuwary po swoje trofeum, nie było go najwyżej pięć minut. Wrócił

bez kaczk i bez strzelby, zachowywał się bardzo dziwnie i od razu zaczął opowiadać o planecie Wufer. Prosto z bagnisk dostarczono go do szpitala powiatowego, a dopiero potem, po wielu miesiącach, trafił do mnie. Męcę się nad nim i męcę. Najważniejsze to wybić dziurę w jego logicznym pancerzu, skompromitować majaczenia. Na razie nie udaje się.

– Ach, jakie to ciekawe! – westchnęła z rozmarzeniem pani Polina.

– Jak może nie być ciekawe? – Doktor teraz przypominał kolekcjonera, z dumą pokazującego najcenniejsze okazy ze swoich zbiorów. – Telegrafista przynajmniej zachowuje się zwyczajnie (no, nie licząc tego, że w dzień śpi, a całymi nocami gapi się w gwiazdy). Ale pamięta pani, mówiłem o maniacu, który, podobnie jak ja w młodości, chce żyć wiecznie? Nazywa się Weller, pawilon numer dziewięć. Jest cały skoncentrowany na swoim zdrowiu i długowieczności. Ten bodaj dożyje nawet roku dwutysięcznego osiemdziesiątego, kiedy przylecą Wuferianie, aby się nam przedstawić. Jada wyłącznie zdrowe pożywienie, dokładnie wyliczając jego skład chemiczny. Mieszka w hermetycznie zamkniętym i sterylnym pomieszczeniu. Nigdy nie zdejmuje rękawiczek. Ja i służba porozumiewamy się z nim wyłącznie przez osłonięte gazą okienko. Zanim trafił do kliniki psychiatrycznej, dobrowolnie poddał się kastracji; twierdzi, że każda ejakulacja odbiera dwudobową porcję energii życiowej, przez co mężczyźni żyją przeciętnie o siedem-osiem lat krócej od kobiet.

– Ale bez świeżego powietrza i ruchu długo nie pożyje!

– Proszę się nie martwić, Weller wszystko przemyślał. Po pierwsze, wedle jego rysunków w pawilonie założono skomplikowany system wentylacji. Po drugie, od rana do wieczora to gimnastykuje się, to ćwiczy głębokie oddychanie, to oblewa się gorącą i zimną wodą, destylowaną, rozumie się. Dzień w dzień godzinę spaceruje na

świeżym powietrzu, zachowując niewiarygodne środki ostrożności. Nie dotyka stopami ziemi, specjalnie nauczył się chodzić na szczudłach, „żeby nie wdychać miazmatów glebowych”. Szczudła stoją na ganku, na zewnątrz, dlatego inaczej niż w rękawiczkach ich nie dotyka. Spacerujący Weller, powiadam pani, to obrazek sam w sobie! Proszę przyjechać i popatrzeć między dziewiątą a dziesiątą rano. Wciśnięty w ceratowy kostium, na twarzy respirator, i z drewnianymi żerdziami po ziemi: bum, bum, bum. Po prostu posąg Komandora!

Doktor roześmiał się, a rozmówczyni ochoczo mu zawtórowała.

– A co pan chciał opowiedzieć o dziwactwach pamięci? – spytała jeszcze, uśmiechając się. – Też coś śmiesznego?

– Wręcz przeciwnie. Bardzo smutnego. Mam tu pacjentkę, która co rano, budząc się, wraca do jednego i tego samego dnia, najstraszniejszego dnia w jej życiu, kiedy otrzymała wiadomość o śmierci męża. Zaczęła wówczas krzyczeć, zemdłała i przeleżała bez pamięci całą noc. Odtąd co rano myśli, że nie obudziła się, tylko ocknęła po omdleniu, i że tamta straszna wiadomość dotarła do niej dopiero poprzedniego dnia wieczorem. Czas dla niej jakby się zatrzymał, ból po stracie w ogóle się nie stępia. Otwiera z rana oczy – i od razu krzyk, łzy, histeria... Przydzielono jej specjalnego lekarza, który ją pociesza, tłumacząc, że nieszczęście zdarzyło się dawno, siedem lat temu. Z początku ona oczywiście nie wierzy. Na dowodach i wyjaśnieniach schodzi pierwsza połowa dnia. Przed obiadem chora daje się przekonać, trochę się uspokaja, zaczyna dopytywać, co zaszło przez te siedem lat. Bardzo żywo wszystkim się interesuje. Wieczorem jest już zupełnie spokojna i opanowana. Kładzie się z uśmiechem, śpi jak niemowlę. A rankiem budzi się i wszystko od początku: rozpacz, szloch, próby samobójstwa. Męcę się, męcę i nic nie mogę zrobić. Mechanizm szoku psychicznego jest jeszcze mało zbadany, trzeba działać po omacku. Opiekować się tą pacjentką jest

bardzo trudno, przecież każdego dnia powtarza się to samo. Lekarze dłużej niż dwa-trzy tygodnie nie wytrzymują, trzeba ich zmieniać...

Doktor zauważył, że słuchaczka ma łzy w oczach, i powiedział raźnie:

– No dobrze, dobrze. Nie wszyscy moi pacjenci są nieszczęśliwi. Jest jeden zupełnie szczęśliwy. Widzi pani obraz?

Doktor wskazał wspomnianą już ośmiornicę, na którą pani Polina przez cały czas rozmowy często popatrywała – było w tym płótnie coś szczególnego, co z trudem i nie na długo pozwalało oderwać od niego wzrok.

– Dzieło pędzla Konona Jesichina. Słyszała pani o nim?

– Nie. Zdumiewający dar!

– Jesichin to geniusz – przytaknął Korowin. – Najprawdziwszy, bez skazy. Wie pani, to jeden z tych malarzy, którzy tworzą tak, jakby przed nimi nie było żadnego malarstwa – ani Rafaela, ani Goi, ani Cezanne’a. W ogóle nikogo, dopóki na świat nie przyszedł Konon Jesichin, pierwszy malarz na Ziemi, i nie zaczął wyprawiać takich rzeczy, że płótno mu wprost ożywa pod pędzlem.

– Jesichin? Nie, nie znam.

– Oczywiście. O Jesichinie mało kto wie, tylko niektórzy koneserzy sztuki, a i oni są przekonani, że już dawno umarł. Dlatego że Konon Pietrowicz to zupełny szaleniec, już szósty rok nie wychodzi z pawilonu numer trzy, a przedtem jeszcze dziesięć lat przesiedział w zwykłym domu wariatów, gdzie lekarze idioci, pragnąc przywrócić Jesichina do „normy”, nie dawali mu farb ani kredek.

– A na czym polega jego szaleństwo? – Polina Andriejewna wciąż przyglądała się ośmiornicy, która coraz bardziej magnetyzowała ją swoim dziwnym spojrzeniem.

– Pamięta pani Puszkina? O tym, że geniusz i draństwo nie mogą iść w parze? Przykład Jesichina dowodzi, że najdoskonalej mogą ze sobą

współistnieć. Konon Pietrowicz to drań odruchowy, naturalny. Pasja twórcza zniszczyła w jego duszy wszystkie inne uczucia. Nie od razu, stopniowo. Jediną istotą, którą Jesichin kochał, i to kochał namiętnie, była jego córka, cicha, przemiła dziewczynka, która wcześniej straciła matkę i z wolna gaśła na gruźlicę. Miesiącami prawie nie odchodził od jej łoża, najwyżej na godzinę czy dwie do atelier, popracować nad obrazem. Wreszcie wpadł na pomysł, żeby przenieść płótno do dziecinnego pokoju i w ogóle nie opuszczać małej. Nie jadł, nie pił, nie spał. Ci, co widywali go w tamte dni, opowiadają, że wyglądał przerażająco: rozczochrany, nieogolony, w zasmarowanej farbami koszuli, malował portret córki, wiedząc, że to portret ostatni. Nikogo do pokoju nie wpuszczał, wszystko robił sam: poda dziewczynce pić albo lekarstwo, albo coś do zjedzenia i znów chwyta za pędzel. Kiedy zaś zaczęła się agonia dziecka, wpadł w istne szaleństwo, ale nie ze smutku, tylko z zachwyty: tak cudownie grały światło i cień na wykrzywionej męczarniami, wychudłej twarzyczce. Ludzie zebrani w sąsiednim pokoju słyszeli zza zamkniętych drzwi żałosne jęki. Umierająca płakała, prosiła wody, ale na próżno, Jesichin nie mógł oderwać się od obrazu. Kiedy wreszcie wyłamano drzwi, dziewczynka już nie żyła, a Jesichin nawet na nią nie patrzył – wciąż poprawiał coś na płótnie. Córkę odwieziono na cmentarz, ojca – do domu wariatów. A obraz, chociaż niedokończony, wystawiono pod tytułem *La mort triomphante*^[10] na Salonie Paryskim, gdzie otrzymał złoty medal.

– Rozum ojcowski nie wytrzymał smutku i wzniosł sobie zapórę w postaci twórczości – zinterpretowała usłyszana historię dobra Polina Andriejewna.

– Tak pani sądzi? – Donat Sawwicz zdjął okulary, przetarł, nałożył znowu. – A ja, studiując przypadek Jesichina, dochodzę do wniosku, że prawdziwy, potężny geniusz nie jest w stanie w pełni dojrzeć, jeśli nie doprowadzi do obumarcia niektórych stref duszy. Zniszczywszy

w sobie, wraz z miłością do córki, resztki ludzkich uczuć, Konon Pietrowicz ostatecznie uwolnił siebie dla sztuki. To, co tworzy teraz u siebie w pawilonie numer trzy, będzie kiedyś ozdobą najlepszych galerii świata. I kto z wdzięcznych potomków przypomni sobie wówczas o płaczącej dziewczynce, która umarła, nie ukoivszy ostatni raz pragnienia? Wcale nie wątpię, że moją lecznicę, mnie samego, a i wyspę Kanaan, przyszłe pokolenia będą pamiętać tylko dlatego, że tu żył i tworzył geniusz. A skoro już przy tym jesteśmy – chce pani popatrzeć na Jesichina i jego obrazy?

Pani Lisicyzna odpowiedziała nie od razu i jakoś nie całkiem pewnie.

– Tak... Chyba chcę.

Pomyślała jeszcze chwilę, kiwnęła głową i powiedziała już bardziej stanowczo:

– Chcę koniecznie. Niech pan prowadzi.

Ciepło, cieplej, gorąco!

Polina Andriejewna, zanim udała się z wizytą do doktora Korowina, zaszła do hotelu i zamieniła lekką pelerynkę na długi czarny płaszcz z kapturem, najwidoczniej w przewidywaniu wieczornego ochłodzenia. Jednakże słońce, choć niezbyt mocne, w ciągu dnia zdążyło nieźle nagrzać powietrze i aby się przespacerować po terenie kliniki, nie warto było wkładać płaszcza. Pani Polina narzuciła tylko szal na ramiona, Korowin zaś w ogóle został tak, jak był, w kamizelce i surducie.

Pawilon numer trzy znajdował się na samym skraju porostej sosnami górki, którą doktor wydzierżawił od klasztoru. Domek z gładko otynkowanymi białymi ścianami wydał się gościowi całkiem banalny, zwłaszcza w porównaniu z innymi, z których wiele zadziwiało dziwacznymi formami.

– Tu wszystkie czary mieszczą się wewnątrz – objaśnił Donat Sawwicz. – Jesichina nie interesuje wygląd zewnętrzny jego domostwa. A zresztą mówiłem już, że on nigdzie nie wychodzi.

Weszli bez pukania. Później wyjaśniło się dlaczego: artysta i tak by nie usłyszał, a gdyby usłyszał, toby nie odpowiedział.

Polina zobaczyła, że pawilon składa się z jednego pomieszczenia z pięcioma wielkimi oknami, po jednym w każdej ścianie i piątym na suficie. Żadnych mebli tu nie było. Jesichin zapewne jadł i pił, siedząc na podłodze.

Zresztą urządzenia pokoju nie zdążyła porządnie obejrzeć, tak bardzo zdumiały ją ściany i sufit tego dziwaczного przybytku.

Wszystkie powierzchnie wewnętrzne, z wyjątkiem podłogi i okien,

były obciągnięte płótnem, niemal całkowicie zamalowanym farbami olejnymi. Sufit przedstawiał obraz nocnego nieba, tak dokładny i przekonujący, że gdyby nie kwadrat szkła, przez który widać było z lekka podmalowane zachodzącym słońcem obłoki, łatwo byłoby się pomylić i wyobrazić sobie, że dachu w ogóle nie ma. Jedna ze ścian, północna, wyobrażała zagajnik sosnowy; druga, wschodnia – teren łagodnie spadający ku rzece i gospodarstwom; zachodnia – łączkę i dwa sąsiednie pawilony; południowa – krzaki. Nietrudno było zauważyć, że artysta porażająco prawdziwie odtworzył zaokienne pejzaże. Ale w jego wizji wyglądały one nieskończenie bardziej soczyście i miały większą głębię. Te widoczne zza szyb sprawiały wrażenie bladych kopii malowanych landszaftów.

– Przeżywa teraz okres zapału do pejzaży – objaśnił półgłosem doktor, pokazując artystę, który stał pod wschodnią ścianą, plecami do przybyłych, i w skupieniu wodził maleńkim pędzelkiem, ani razu nawet się nie obejrawszy. – Właśnie maluje cykl Części doby. Widzi pani: tu świt, tu ranek, tu dzień, tu wieczór, a na suficie noc. Najważniejsze to w porę zmieniać płótna, bo inaczej zaczyna malować nowy obraz wprost na powierzchni starego. Przez te lata zebrałem niezgorszą kolekcję, kiedyś zwrócę sobie wszystkie wydatki na klinikę – zażartował Korowin. – No, jeśli nie ja, to moi spadkobiercy.

Geniusz pracował z boku, przy „wieczornej” ścianie; Polina ostrożnie podeszła, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Ujrzała chudy profil, nieustannie krzywiący się w grymasach, spadające na czoło na wpół siwe brudne włosy, zasmarowaną bluzę, zwisającą z miękkiej wargi nitkę śliny.

Sam obraz, oglądany z bliska, wywarł na niej równie nieprzyjemne, choć niewątpliwie silne wrażenie. Był z pewnością genialny: oświetlone okna dwóch namalowanych pawilonów, księżyc nad ich dachami, ciemne sylwetki sosen tchnęły tajemnicą, niepokojem,

umieraniem – nie był to po prostu wieczór, tylko jakiś wszechogarniający Wieczór, zwiastun wiecznego mroku i ciszy.

– Czemu w sztuce nieprzyjemne i szpetne wstrząsa bardziej niż to, co piękne, co raduje wzrok? – wzdrygnęła się Polina Andriejewna. – W przyrodzie to się nie zdarza, tam też bywają rzeczy wstrętne, ale one stworzone są tylko po to, by służyć za tło Pięknu.

– Mówi pani o dziele Niebiańskiego Twórcy, a sztuka to robota twórców ziemskich – odpowiedział doktor, przyglądając się ruchom pędzla. – Ma pani kolejne potwierdzenie tego, że ludzie sztuki wywodzą rodowód od zbuntowanego anioła Szatana. Kononie Pietrowiczu! – Właściciel kliniki podniósł nagle głos i trącił malarza w ramię. – Co pan tu przedstawił?

Pani Lisicyna zobaczyła, że nieco w bok od jednego z pawilonów, na poziomie dachu, namalowane jest coś dziwnego: nienaturalnie wyciągnięta postać w czarnym chałacie ze spiczastym kapturem, na długich i cienkich, jakby pajęczych nóżkach. Młoda dama mimo woli spojrzała w okno, ale niczego podobnego tam nie dostrzegła.

– To mnich – powiedziała najbardziej naiwnym głosem, na jaki było ją stać. – Tylko trochę dziwny.

– I to nie zwykły mnich, ale Czarny Mnich, główna kananejska ciekawostka. – Donat Sawwicz kiwnął głową. – Pani pewnie już o nim słyszała. Jednego tylko nie rozumiem... – Doktor jeszcze raz szturchnął malarza w ramię, tym razem mocniej. – Kononie Pietrowiczu!

Malarz nawet nie myślał się odwrócić, a pani Lisicyna sprężyła się wewnątrz. Czyżby korzystny zbieg okoliczności miał jej ułatwić zadanie? Ciepło, bardzo ciepło!

– Czarny Mnich? – upewniła się. – To widmo Wasiliska, które jakoby chodzi po wodzie i wszystkich straszy?

Korowin nachmurzył się, zniecierpliwiony uporem malarza.

– Nie tylko straszy. Jeszcze zaczęło mi dostarczać nowych

pacjentów.

Coraz cieplej!

– Kononie Pietrowiczu, mówię do pana. I skoro zadałem pytanie, to bez odpowiedzi nie odejdę – powiedział surowo doktor. – Namalował pan tutaj Wasiliska? Kto panu o nim opowiedział? Przecież pan z nikim oprócz mnie nie rozmawia. Skąd pan o nim wie?

Jesichin, nie odwracając się, burknął:

– Ja wiem tylko to, co widzą moje oczy.

Lekko dotknął czarnej postaci i Polinie Andriejewnie wydało się, że ta się zachwiała, jakby na wietrze.

– Nowych pacjentów? – Młoda dama zerknęła na doktora. – Pewnie też ciekawych?

– Tak, ale bardzo ciężkie przypadki. Zwłaszcza jeden, właściwie całkiem jeszcze chłopiec. Siedzi w oranżerii nagi jak praojciec Adam, dlatego pokazać go pani się nie ośmielę. Szybko postępujący idiotyzm traumatyczny – spala się wprost na naszych oczach. Nikogo do siebie nie dopuszcza, jedzenia od sanitariuszy nie przyjmuje. Je to, co rośnie na drzewach, ale czy to długo można pociągnąć na bananach i ananasach? Jeszcze tydzień, najwyżej dwa i umrze, jeśli tylko nie wymyślę metody leczenia. Niestety, na razie nic mi nie wychodzi.

– A drugi? – spytała ciekawska dama. – Też idiotyzm?

– Nie, entroposis. Bardzo rzadka choroba, podobna do autyzmu, ale nie wrodzona, tylko nabyta. Sposobu leczenia nauka dotąd nie zna. A poznałem go jeszcze jako całkiem normalnego i niezwykle mądrego człowieka... Niestety, w jeden dzień, ściślej – w jedną noc, zamienił się w ruinę.

Gorąco! Jakże pomyślnie wszystko się układało!

– Ach! – zawołała pani Lisicyna. – Przez jedną noc z wyjątkowo mądrego człowieka w ruinę? Co się z nim stało?

Biedaczyna Berdyczowski.

– Człowiek ten padł ofiarą szokogennej halucynacji, spowodowanej wydarzeniami, które ją poprzedziły, oraz ogólną chorobliwą podatnością natury. Na pierwszym etapie pacjent mówił wiele i niepohamowanie, toteż w charakterze przywidzenia jako tako się orientuję. Berdyczowskiego (tak się ten człowiek nazywa) zaniósło czemuś nocą do pewnego opuszczonego domu, gdzie niedawno zdarzyło się nieszczęście. Na ludzi o zaostrej wrażliwości takie miejsca oddziałują w szczególny sposób. Mniejsza o fantastyczne szczegóły na temat reputacji tego domu, nie są zbyt istotne. Ale treść halucynacji jest wielce charakterystyczna: Berdyczowskiemu objawił się Wasilisk, po czym halucynant ujrzał siebie żywcem zamkniętego w zabitej trumnie. Klasyczny przykład nałożenia się prepubertalnej psychozy mistycznej, powszechnie spotykanej nawet wśród ludzi bardzo wykształconych, na depresję o charakterze tanatofobicznym. Bodźcem, który wywołał majaczeniowe przywidzenie, były zapewne jakieś realne fakty. W tamtej chatce rzeczywiście na stole stała trumna, którą poprzedni mieszkaniec sklecił dla siebie, ale w końcu nie została wykorzystana. Ciemność, jakieś odgłosy, ruch cieni, do tego ów szokujący przedmiot – wszystko to doprowadziło Berdyczowskiego do załamania.

Tego uczonego wykładu, pełnego dziwacznych terminów, pani Lisicyzna wysłuchiwała z niezwykłą uwagą. Artysta zaś nadal pracował nad swoim płótnem, nie okazywał żadnego zainteresowania opowiadaniem i wątpliwe, czy je w ogóle słyszał.

– Jak to, zobaczył w ciemnej izbie pustą trumnę i od razu stracił rozum? – spytała z niedowierzaniem Polina Andriejewna.

– Trudno powiedzieć, co się tam naprawdę zdarzyło. Nie ulega wątpliwości, że Berdyczowski przeżył coś w rodzaju ataku epileptycznego. Turlał się pewnie po podłodze, obijał o kanty i sprzęty domowe, zwijał w konwulsjach. Ręce i nogi miał starte, zerwane

paznokcie, palce pełne drzazg, na potylicy guz, naciągnięte ścięgna lewego górnego stawu skokowego, a także oddał mocz, co też jest typowe dla ataku padaczki.

Nie mogąc opanować przejęcia, słuchaczka poprosiła:

– Wyjdźmy na powietrze. Te ściany czemuś mnie dławią... A więc ten nieszczęśnik jest zupełnie szalony? – zapytała cicho, kiedy opuścili pawilon.

– Kto, artysta?

– Nie... Berdyczowski.

Doktor Korowin rozłożył ręce.

– Widzi pani, przy entropozie człowiek z dnia na dzień coraz bardziej zamyka się w sobie, stopniowo przestaje reagować na to, co dzieje się wokół niego. Inna nazwa tej choroby to petrosis, ponieważ chory stopniowo jakby kamienieje. W przypadku Berdyczowskiego skutek wstrząsu doszło do zupełnego rozpadu osobowości. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nadal ma nocne halucynacje. Boi się zostawać sam, ulokowałem go zatem w siódmym pawilonie, gdzie mieszka jeszcze jeden arcyciekawy pacjent, z zawodu uczonec, fizyk. Nazywa się Sergiusz Nikołajewicz Lampe. To człowiek dobry, anioł po prostu, więc nie krzywi się na współlokatora. Doskonale się ze sobą pogodzili. Lampę przeprowadza na Berdyczowskim jakieś przemysłne eksperymenty, zresztą zupełnie nieszkodliwe, i obaj są zadowoleni.

Polina Andriejewna udała, że jej kapryśna uwaga przeskoczyła całkowicie z Berdyczowskiego na zwariowanego fizyka.

– Arcyciekawy pacjent? Oj, proszę opowiedzieć!

Wyszli na łączkę i zatrzymali się. Światło dnia prawie całkiem znikło, w pawilonach i zabudowaniach szpitalnych gdzieś już paliły się lampy.

– Sergiusz Nikołajewicz Lampe to najpewniej także geniusz, jak Jesichin. Kłopot jednak w tym, że Jesichin nie musi dowodzić swej

genialności słowami: maluje obraz i wszystko jasne. Lampe zaś to uczony, w dodatku zajmujący się dziwnymi, graniczącymi z szarlatanerią badaniami. Tu bez przekonujących i w miarę możliwości nawet wymownych objaśnień obejść się nijak nie można. Ale cóż, profesor Lampe cierpi na niezwykle ciężki rozstrój dyskursywności.

– Na co, na co? – nie zrozumiała słuchaczka.

– Naruszenie logiki wypowiedzi. Mówiąc po prostu – słowa u niego nie nadążają za myślami. Niemal nie sposób zrozumieć, co mówi. Nawet ja w dziewięciu wypadkach na dziesięć nie domyślam się, co on właściwie chce powiedzieć. No, a inni wręcz uważają go za idiotę. Ale Lampe wcale, ale to wcale nie jest idiotą. Gimnazjum ukończył ze złotym medalem, uniwersytet – na pierwszym miejscu. Tylko uczył się inaczej niż pozostali studenci: wszystkie egzaminy zdawał na piśmie, zrobiono dla niego wyjątek.

– A na czym polega jego genialność? – ostrożnie trzymała się swego pani Polina. – Co za doświadczenia on robi na tym... jak mu tam... Bogusławskim?

– Berdyczowskim – poprawił doktor. – Jeśli nasz malarz jest geniuszem zła, to Lampe jest bez wątpienia geniuszem dobra. Ma teorię, że wszystko wokół przenikają pewne niewidoczne dla oka promienie i każdy człowiek też wydziela emanację różnych barw i odcieni. Sergiusz Nikołajewicz stracił wiele lat na wynalezienie przyrządu, który pozwala mu rozróżniać i analizować tę aurę.

– I co to za aura? – spytała Polina, nie decydując się na razie skierować rozmowy znów na Berdyczowskiego.

– Sergiusza Nikołajewicza nade wszystko zajmuje emanacja moralności. – Korowin uśmiechnął się, ale nie drwiąco, raczej dobrodusznie. – Jakieś cenne, pomarańczowe promienie, po których można rozpoznać duchową szlachetność i dobre serce. Lampe zapewnia, że jeśli nauczymy się widzieć taką emanację, to źli ludzie na

świecie nie będą mieli żadnego wyjścia, nie pozostanie im nic innego, jak tylko rozwijać w sobie promieniowanie pomarańczowego widma.

– Ależ to zupełnie wyjątkowy człowiek! – stanowczo oświadczył gość doktora Korowina. – Koniecznie muszę go zobaczyć. Niech mnie zbada na okoliczność pomarańczowej emanacji!

Doktor wyjął z kieszonki zegarek.

– No, badać pani Lampe raczej nie będzie. Po pierwsze, nie przepada za kobietami, po drugie, ma ścisły rozkład zajęć. Obecnie, jeśli się nie mylę, jest pora doświadczeń. Chce pani zobaczyć? Tym bardziej że to tuż obok. Oto on, siódmy pawilon.

– Bardzo chcę!

– Dobrze, spełnię pani prośbę. A potem pani spełni moją, zgoda? – Oczy Korowina błysnęły chytrze.

– Jaka?

– Powiem później – roześmiał się Donat Sawwicz. – Niech się pani nie boi, niczego strasznego od pani nie zażądam.

Podchodzili już do ładnego piętrowego domku w alpejskim stylu – z bierwion, z szerokimi schodami i rzeźbionym kominem na pochyłym dachu.

U drzwi nie było ani kołatki, ani dzwonka elektrycznego, ani dzwoneczka. Najdziwniejszy zaś ze wszystkiego wydał się Polinie Andriejewnie brak klamki – nie wiadomo, jak się takie drzwi otwiera.

Doktor wyjaśnił:

– Sergiusz Nikołajewicz żyje wedle zasady: „Obcych mi nie trzeba, a swoim jestem zawsze rad”. Czyli nieznanomy za nic się tutaj nie dostuka, za to swoi, znający tajemnicę, mogą wchodzić zwyczajnie, bez uprzedzenia.

Nacisnął niepozorny guziczek z boku i drzwi rozsunęły się sprężyste.

– Wspaniale! – zachwyciła się pani Lisicyna, wchodząc do sieni.

– Na lewo drzwi do sypialni, na prawo do laboratorium. Schody prowadzą na piętro, tam mieści się obserwatorium, gdzie tymczasowo zamieszkała ofiara mistyki, pan Berdyczowski. Czyli my musimy na prawo.

Oświetlenie pracowni było niezwykle: przy ścianie, gdzie stał stół, cały zastawiony przyborami niepojętego przeznaczenia, paliło się wyjątkowo jasne światło elektryczne, ale długi metalowy kołpak nie dawał mu się rozproszyć, toteż pozostałe części dość obszernego pomieszczenia tonęły w gęstym mroku.

Chaos w pokoju panował taki, jakby nie powstał sam z siebie, lecz zaprowadzono go celowo. Na podłodze walały się książki, flaszki, skrawki papieru, kilka kwadratów starannie wyciętej darni, jakieś kamienie. Sam fizyk, małeńki człowieczek z potarganymi włosami, siedział przy lampie na krześle. Jedyne fotel zajmowała wielka kupa szmat, tak że nowo przybyli zupełnie nie mieli gdzie przysiąść.

– Tak, tak – obejrzawszy się, powiedział Lampe, zamiast się przywitać. – Po co?

Popatrzył na nieznaną damę, skrzywił się. Powtórzył:

– Po co?

Korowin podprowadził swoją towarzyszkę bliżej.

– Proszę, pani Lisicyna wyraziła chęć poznania pana. Chciałaby znać spektrum swojej emanacji. Proszę spojrzeć na nią przez swoje cudowne okulary. No jak, znajdzie pan pomarańczowe promieniowanie?

Fizyk zaczął bełkotać coś niezrozumiałego, co jednak najwyraźniej wyrażało niezadowolenie.

– U nich żadnego. Tylko z wątroby. Reprodukcyjne automaty. Mózgu nie ma. Malinowe, malinowe, malinowe. Cały mózg dostał się samej Marysi.

– Marysi? Jakiej Marysi? – spytała słuchająca z napięciem pani

Polina.

Lampe odwrócił się od niej gwałtownie i zaczął nacierać na Korowina.

– Pomarańczowe potem. Nie do nich. Emanacja śmierci, mówiłem. I Marysia z Tolkiem! Tylko gorzej! Tysiąc razy! Ach, dlaczego, no, dlaczego?!

– Tak, tak. – Doktor łagodnie, jakby miał do czynienia z dzieckiem, pokiwał głową. – Pańska nowa emanacja. Ciekawe, czemu poprzednia panu nie odpowiadała? Przynajmniej pan się tak nie denerwował. Pan mi już opowiadał o emanacji śmierci, pamiętam. Mam nadzieję, że pan też pamięta, czym to się wtedy skończyło.

Człowieczek od razu zamilkł i odskoczył od doktora, sam sobie zatykając usta dłonią.

– No, proszę, tak lepiej – powiedział Korowin. – Jak idą doświadczenia nad pańskim wiernym Sancho Pansą? Gdzie on jest, nawiasem mówiąc? Na górze?

Polina Andriejewna zrozumiała, że mowa o Berdyczowskim, i wstrzymała oddech.

– Tu jestem – rozległ się z półmroku dobrze jej znany głos Matwieja Bencjonowicza, dziwnie jakoś ospały.

To, co pani Lisicyna wzięła za kupę starych szmat zwaloną na fotel, poruszyło się i mówiło dalej:

– Dzień dobry, łaskawy panie. Dzień dobry, łaskawa pani. Czy wybaczą mi państwo, że nie przywitałem się wcześniej? Nie myślałem, że moja skromna obecność może mieć dla kogoś znaczenie. Pan, łaskawy panie, powiedział „Sancho Pansa”. To z powieści hiszpańskiego pisarza Miguela Cervantesa. Pan miał na myśli mnie. Na Boga, proszę mi wybaczyć, że nie wstaję. Zupełnie nie mam siły. Wiem, jakie to niegrzeczne, zwłaszcza w obecności damy. Przepraszam, przepraszam. Nie zasługuję na wybaczenie...

Pan Matwiej jeszcze dość długo przepraszał tym samym żalonym, zgnębionym tonem, jakiego Polina Andriejewna nigdy przedtem u niego nie słyszała. Porywczym gestem odwróciła kołpak lampy tak, żeby siedzący znalazł się w kręgu światła, i cicho krzyknęła.

O, jak strasznie zmienił się bystrooki, energiczny zastępca prokuratora gubernialnego! Zdawało się, że w jego ciele nie została ani jedna kość – był zgarbiony, ramiona mu obwisły, ręce bezwładnie leżały na kolanach. Mrugające raz po raz oczy patrzyły bez żadnego wyrazu, a wargi wciąż poruszały się i poruszały, mamrocząc niezliczone, stopniowo cichnące słowa przeprosin.

– Boże, co się z panem stało! – krzyknęła z przerażeniem pani Lisicyna, zapomniawszy o wszystkich swoich przemysłnych planach.

Idąc do pawilonu numer siedem, Polina Andriejewna liczyła się z tym, że pan Matwiej, któremu i dawniej zdarzało się widzieć ją we wcieleniu „moskiewskiej szlachcianki”, rozpozna starą znajomą, i przygotowała sobie na wszelki wypadek prawdopodobne wyjaśnienie, ale teraz stało się jasne, że nie ma się czego obawiać. Berdyczowski powoli przeniósł wzrok na młodą damę, zmrużył oczy i powiedział uprzejmie:

– Ze mną stała się bardzo nieprzyjemna rzecz. Ja zwariowałem. Przepraszam, ale nic na to nie można poradzić. Mnie jest naprawdę okropnie wstyd. Proszę mi wybaczyć, na Boga...

Korowin podszedł do chorego, wziął bezwładną rękę za nadgarstek, zbadał puls.

– To ja, doktor Korowin. Pan nie mógł mnie zapomnieć, widzieliśmy się dopiero co, dziś rano.

– Teraz przypominam sobie. – Berdyczowski pokiwał głową powoli, jak automat. – Pan jest naczelnikiem tej instytucji. Przepraszam, że nie od razu pana poznałem. Nie chciałem pana obrazić. Ja nikogo nie chciałem obrazić. Nigdy. Proszę mi wybaczyć,

jeśli pan potrafi.

– Wybaczam – szybko przerwał mu Donat Sawwicz i odwróciwszy się do swej towarzyszki, wyjaśnił: – Jeśli mu nie przerwać, będzie przepraszał godzinami. Jakieś niewyczerpane, bezdenne otchłanie kosmicznego poczucia winy. – Nachylił się do pacjenta i uniósł mu palcami powiekę. – Mm, tak. Bardzo źle pan spał. Co, znowu Wasilisk?

Matwiej Bencjonowicz, nie poruszywszy się i nawet nie próbując zamknąć odwiniętej powieki, zapłakał – cicho, żałośnie, beznadziejnie.

– Tak. Zaglądał do mnie przez okno, stukał i groził. On przychodzi kraść mi rozum. Mnie i tak prawie nic nie zostało, a on wciąż przychodzi i przychodzi...

– Z początku umieściłem go na tamtym tapczanie. – Korowin pokazał na ciemny kąt. – Ale nocą w okno pana Berdyczowskiego pozwolił sobie stukać Czarny Mnich. Wtedy kazałem posłać na górze, w obserwatorium. Dwie noce minęły spokojnie, a teraz, widzi pani, Wasiliskowi wyrosły skrzydła, już mu i piętro nie przeszkadza.

– Tak – chlipnął podprokurator. – Jemu wszystko jedno. Ja wykrzychałem formułę, a on odsunął się, roztopił.

– Stale tę samą? „Wierzę, Panie”?

– Tak.

– No więc proszę, pan nie ma czego się bać. To Wasilisk boi się pańskiej magicznej formuły.

Berdyczowski wyszeptał drżącym głosem:

– Nocą znowu przyjdzie. Ukradnie resztę. I wtedy zapomnę, kim jestem. Zamienię się w zwierzę. To nastarczy panu masę kłopotów, przecież pan nie jest weterynarzem, pan nie leczy zwierząt. Ja z góry proszę o wybaczenie...

– Mm, tak – westchnął Donat Sawwicz, ze zniechęceniem pocierając podbródek. – Oczywiście można dać na noc środek nasenny, ale nie wiadomo, co mu się przywidzi we śnie. Może coś

jeszcze gorszego... Co robić?

Serce Poliny Andriejewny pękało ze współczucia dla chorego, ale jak mu pomóc – nie wiedziała.

– Nasenny bzdura – burknął Lampe. – Do mnie. Bardzo prosto. We dwójkę. Mnie wszystko jedno, on nie boi.

– Posłać mu w pańskiej sypialni? To pan chce powiedzieć? – wzdrygnął się Korowin. – No cóż, jeśli on się nie sprzeciwia, to może to jest wyjście.

– Ej, ty! – krzyknął fizyk do Berdyczowskiego jak do głuchego. – Chcesz u mnie? Ale chrapię.

Chory zaczął nerwowo gładzić poręczę fotela, wstał, zamachał rękoma. Płaczliwą apatię zastąpiło niezwykle podniecenie.

– Bardzo chcę! Ja będę panu niezwykle, bezprecedensowe wdzięczny! Z panem spokojnie! Niech pan chrapie, ile pan ma ochotę, panie Lampe, to nawet jeszcze lepiej! Ja jestem panu tak wdzięczny, tak wdzięczny!

– Diabła wdzięczność! – zawołał groźnie Lampe. – A terror uprzejmością przepędzę!

Matwiej Bencjonowicz spróbował dalej przeproszać za swoją uprzejmość, ale fizyk krzyknął na niego jeszcze groźniej i chory zamilkł.

Kiedy doktor ze swoim gościem zaczęli się żegnać, chory na umyśle śledczy spytał nieśmiało panią Lisicynę:

– Czy my się już nie spotkaliśmy? Nie? Przepraszam, przepraszam. Ja się zapewne pomyliłem. Tak niezręcznie się czuję. Proszę się nie gniewać...

Polina Andriejewna z żalu omal się nie rozszłochała.

Skandal

W drodze powrotnej pani Lisicyna wyglądała na smutną i zadumaną, doktor zaś przeciwnie, był najwyraźniej w znakomitym nastroju. Co chwila popatrywał na swoją towarzyszkę, uśmiechał się zagadkowo, a raz nawet zatarł ręce, jakby z góry się ciesząc na coś interesującego lub przyjemnego.

Wreszcie przerwał milczenie.

– No cóż, szanowna pani Polino, spełniłem pani prośbę, pokazałem jej Lampego. Teraz pani kolej. Pamięta pani umowę? Spłata jest długu ozdobą...

– A jak ja mam się panu wypłacić? – Moskwianka odwróciła się i zauważyła chytre błyski w oczach psychiatry.

– W najmniej kłopotliwy sposób. Proszę zostać u mnie na kolacji. Nie, naprawdę – dodał pospiesznie Korowin, zauważywszy, że po twarzy damy przebiegł cień. – To będzie zupełnie niewinny wieczór, oprócz pani jest zaproszona jeszcze jedna osoba. A kucharza mam znakomitego, to maître Armand, sprowadzony z Marsylii. Klasztornej kuchni nie uznaje, na dziś ma zamiar podać fileciki z mlecznego jagnięcia w sosie delicieux, sandaczki faszerowane rakowymi sztyjkami, pierożki mignon i wiele innych rozmaitości. Potem odwiezę panią do miasta.

Nieoczekiwane zaproszenie bardzo odpowiadało Polinie Andriejewnie, ale nie od razu się zgodziła.

– A co to za osoba?

– Piękna pani, wielce malownicza – odpowiedział z tajemniczym uśmiechem doktor. – Jestem pewien, że panie się sobie spodobają.

Pani Lisicyzna podniosła twarz ku niebu, popatrzyła na wysuwający się z za drzew księżyc, zastanowiła się nad czymś.

– No cóż, faszerowane sandaczki, to brzmi zachęcająco.

Stół był nakryty na trzy osoby. Nie zdążyli przy nim usiąść, kiedy przybyła „malownicza pani”.

Za oknem dał się słyszeć lekki stukot kopyt, brzęczenie uprząży i minutę później do jadalnego energicznie wkroczyła ładna dziewczyna (może młoda kobieta) w czarnej jedwabnej sukni. Odrzuciła z twarzy leciutką woalkę, po czym dźwięcznie zawołała: Andre! – i zamilkła, widząc, że w pokoju jest jeszcze ktoś trzeci.

Pani Polina rozpoznała w porywczej damie osobę, która na przystani oczekiwała kapitana Jonasza, a i pięknotka bez żadnej wątpliwości przypomniwała sobie podróżną. Subtelne rysy, jak wtedy na molo, wykrzywił grymas, tyle że jeszcze bardziej nieprzyjazny: nozdrza zadrgały, cienkie brwi zbiegły się ku nasadzie nosa, nazbyt (zdaniem Poliny Andriejewny nawet nieproporcjonalnie) wielkie oczy zaiskrzyły złośliwymi iskierkami.

– No więc już są wszyscy! – wesoło oznajmił Donat Sawwicz, wstając z miejsca. – Panie pozwolą, że je przedstawię. Lidia Jewgieniewna Borejko, najpiękniejsza z panien kananejskich, pani Polina Andriejewna Lisicyzna, moskiewska pątniczka.

Rudowłosa dama skłoniła się czarnowłosej z jak najprzyjemniejszym uśmiechem, który jednak nie został odwzajemniony.

– Andre, tysiąc razy prosiłam pana, by mi nie przypominać o moim potwornym nazwisku! – zawołała pani Borejko głosem, który mężczyzna określiłby prawdopodobnie jako dźwięczny, pani Lisicyznej natomiast wydał się nieprzyjemnie przenikliwy.

– Co jest potwornego w nazwisku „Borejko”? – spytała Polina Andriejewna, uśmiechając się jeszcze przyjaźniej, i powtórzyła, jakby

smakując: – Borejko, Borejko... Jak najzwyczajniejsze nazwisko.

– W tym właśnie rzecz – z powagą wyjaśnił doktor. – Nie znosimy wszystkiego, co zwykłe; co zwykłe, to dla nas wulgarne. Na przykład „Lidia Jewgieniewna” brzmi melodyjnie, szlachetnie. Proszę powiedzieć – zwrócił się do brunetki, zachowując wciąż ten sam, pełen szacunku wyraz twarzy – dlaczego pani jest zawsze ubrana na czarno? Czy to żałoba po pani życiu?

Polina Andriejewna roześmiała się, doceniwszy odczytanie Korowina, ale Lidia Jewgieniewna cytatu z nowomodnej sztuki, zdaje się, nie rozpoznała.

– Noszę żałobę, bo na świecie nie ma już prawdziwej miłości – odpowiedziała posepnie młoda dama, siadając do stołu.

Uczta w samej rzeczy była zachwycająca, doktor powiedział prawdę. Polina Andriejewna, która w ciągu dnia zdążyła się przegłodzić, oddała sprawiedliwość i tartetkom z przecieranymi karczochami, i pierozkom mignon z cielęcym sercem, i małym canapes royals – jej talerz, który w czarodziejski sposób opustoszał, znów wypełnił się przekąskami i wkrótce na nowo był pusty.

W czymś jednak Korowin mimo wszystko się omylił: panie najwyraźniej nie przypadły sobie do gustu.

Zauważało się to zwłaszcza w zachowaniu pani Lidii. Ledwie umoczyła wargi w musującym winie, potraw nie tknęła w ogóle i na swoje vis-a-vis patrzyła z nieskrywaną niechęcią. W codziennym, mnisim wcieleniu Polina Andriejewna niewątpliwie znalazłaby sposób, by zmiękczyć serce nienawistnicy prawdziwie chrześcijańską pokorą, ale rola światowej damy w pełni usprawiedliwiała inny styl bycia.

Okazało się, że pani Lisicyna doskonale włada brytyjską sztuką looking down, to znaczy patrzenia z góry – w sensie przenośnym, rzecz jasna, bo wzrostem mademoiselle Borejko ją przewyższała. Nie

przeszkadzało to pani Polinie popatrywać na nią znad wyniośle zadartego piegowatego noska i od czasu do czasu ze zdziwieniem leciutko poruszać brwiami, co w wykonaniu mieszkanki stolicy, ubranej wedle najnowszej mody, tak boleśnie rani serce każdej prowincjuszki.

– Miłe pufki – mówiła na przykład, wskazując podbródkiem na ramiona Lidii Jewgieniewny. – Sama dawniej za nimi przepadałam. Okropna szkoda, że w Moskwie nosi się teraz wyłącznie opięte.

Albo nagle w ogóle przestawała zwracać uwagę na bladą z wściekłości brunetkę i zaczynała z panem domu długą dyskusję literacką, której pani Borejko podtrzymać nie chciała lub nie umiała.

Doktora, zdaje się, wielce bawiła tocząca się na jego oczach bezkrwawa bitwa i jeszcze starał się dolewać oliwy do ognia.

Najpierw wygłosił cały panegiryk na temat rudych włosów, które – jego zdaniem – są niezawodną oznaką nieprzeciętnej natury. Pani Polina słuchała tego z przyjemnością, ale mimo woli jeżyła się od wzroku Lidii Jewgieniewny, która najpewniej chętnie powyrywałaby co do jednego zachwalane przez Donata Sawwicza „ogniste loki”.

Nawet cudowny apetyt moskiewskiej pątniczki posłużył Korowinowi za okazję do komplementu. Zauważywszy, że talerz Poliny Andriejewny jest znowu pusty, i skinąwszy na lokaja, doktor powiedział:

– Zawsze lubiłem kobiety, które nie krygując się, dużo i z przyjemnością jedzą. To niezawodny znak zamiłowania do życia. Tylko kobieta, zdolna cieszyć się życiem, jest w stanie dać szczęście mężczyźnie.

Po tej replice kolacja właściwie się zakończyła w nagły, a nawet burzliwy sposób.

Lidia Jewgieniewna odrzuciła lśniący widelec, do końca nieskalany dotknięciem jedzenia, i klasnęła w ręce jak ranny ptak skrzydłami.

– Dręczyciel! Oprawca! – zakrzyczała tak głośno, że aż zadrżały stojące na stole kryształły. – Czemu znęcasz się nade mną?! A ona, ona...

Lidia Jewgieniewna spojrzała na panią Lisicynę i wypadła precz z pokoju. Doktor nawet nie myślał za nią biec, przeciwnie, wyglądał na w pełni zadowolonego.

Wstrząśnięta pożegnającym spojrzeniem egzaltowanej panny – spojrzeniem, w którym płonęła szalona, wszystko spalająca nienawiść – Polina Andriejewna odwróciła się do Korowina z pytaniem w oczach.

– Proszę wybaczyć. – Pan doktor wzruszył ramionami. – Sam zaraz wyjaśnię pani sens tej sceny...

– Nie warto – chłodno odpowiedziała Polina, wstając z krzesła. – Proszę mi darować swoje wyjaśnienia. Teraz rozumiem aż za dobrze, że pan przewidział taki koniec i wykorzystał moją obecność w jakichś nieznanym mi, paskudnym celach.

Donat Sawwicz zerwał się, już nie wyglądał na zadowolonego, tylko na zakłopotanego.

– Przysięgam pani, nic paskudnego! To znaczy, oczywiście, z jednej strony zawiniłem wobec pani tym, że...

Polina Andriejewna nie dała mu dokończyć:

– Nie będę pana słuchała. Żegnam.

– Proszę zaczekać! Obiecałem odwieźć panią do miasta. Jeśli... jeśli moje towarzystwo jest pani tak nieprzyjemne, to nie pojedę, ale proszę mi pozwolić przynajmniej dać pani powóz!

– Niczego od pana nie potrzebuję. Nie znoszę intrygantów i manipulatorów – ze złością powiedziała moskiewska dama już w przedpokoju, narzucając płaszcz na ramiona. – Nie trzeba mnie odwozić. Jakoś dam sobie radę sama.

– Ale przecież już późno, ciemno!

– To nic. Rozbójników na Kanaanie podobno nie ma, a przywidzeń się nie boję.

Odwróciła się dumnie i wyszła.

Jedyna z hufca

Znalazłszy się za progiem domu doktora Korowina, Polina Andriejewna przyspieszyła kroku. Za żywopłotem zarzuciła na głowę kaptur, owinęła się ciasniej swoim czarnym płaszczem i stała się niemalże niewidzialna w ciemności. Przy najlepszych chęciach Korowin niełatwo odnalazłby teraz, wśród jesiennej nocy, swojego drażliwego gościa.

Jeśli już mamy mówić całą prawdę, to pani Polina bynajmniej się na doktora nie obraziła, i w ogóle należałoby się zastanowić, kto kogo podczas tak nieszczęśliwie zakończonej kolacji wykorzystał. Niewątpliwie doktor miał jakieś swoje powody, by podrażnić czarnooką piękność, ale i pani Lisicyna nie bez przyczyny odgrywała rolę moskiewskiej snobki. Wszystko ułożyło się dokładnie tak, jak zaplanowała: została na terenie kliniki całkiem sama, z pełną swobodą manewru. Dlatego właśnie zastąpiła pelerynkę długim płaszczem, w którym tak wygodnie poruszać się w ciemności, pozostając prawie niewidzialną.

Tak więc cel przedstawienia, które doprowadziło do skandalu i kłótni, został osiągnięty. Teraz należało wykonać mniej skomplikowane zadanie – odszukać w zagajniku oranżerię, w której między tropikalnymi roślinami ukrywa się nieszczęsny Alosza Lentoczkin. Należało się z nim zobaczyć w tajemnicy przed wszystkimi, a zwłaszcza przed właścicielem lecznicy.

Pani Lisicyna zatrzymała się na środku alei i spróbowała określić punkty orientacyjne.

Przedtem, idąc z doktorem do domu zwariowanego malarza,

widziała z prawej strony nad żywo płótem szklaną kopułę, to na pewno była oranżeria.

Ale gdzie jest to miejsce? Sto kroków stąd? Może dwieście?

Polina Andriejewna ruszyła naprzód, wpatrując się w ciemność.

Nagle zza zakrętu ktoś wyszedł naprzeciw niej szybkim, utykającym krokiem – zwiadowczyni ledwie zdążyła przycisnąć się do krzewów i znieruchomieć.

Ktoś wysoki, przygarbiony, szedł, wymachując długimi rękoma. Nagle zatrzymał się o dwa kroki od przyczajonej kobiety i wymamrotał:

– Tak. Znów i wyraźniej. Nieskończoność kosmosu oznacza nieskończoną powtarzalność wariantów połączenia molekuł, a to znaczy, że połączenie molekuł zwane mną powtarza się jeszcze nieskończoną liczbę razy, z czego wynika, że ja nie jestem we wszechświecie jeden, tylko mnie jest nieskończone mnóstwo, a kto z tego mnóstwa w tej chwili znajduje się właśnie tutaj, określić w żaden sposób nie można...

Jeszcze jeden z kolekcji „interesujących ludzi” doktora Korowina – domyśliła się Lisicyna. Pacjent sam do siebie kiwnął głową z uznaniem i przemaszerował obok.

Nie zauważył. Uff!

Polina Andriejewna odetchnęła i ruszyła dalej.

Co to błysnęło z prawej, pod księżycem? Zdaje się, że szklany dach. Oranżeria?

Tak, oranżeria, przeogromna, istny szklany pałac.

Cichutko skrzypnęły przezroczyste, prawie niewidoczne drzwi i w twarz wchodzącej powiało przedziwnymi aromatami, wilgocią i ciepłem. Zrobiła kilka kroków po ścieżce, zaczepiła nogą ni to o szlauch, ni to o lianę, dotknęła ręką czegoś kolczastego.

Krzyknęła z bólu, nastawiła ucha.

Cicho.

Wspięła się na palce i zawołała:

– Panie Aleksy!

Nic, ani szelestu.

Popróbowwała głośniej:

– Aleksy! Alosza! To ja, Pelagia!

Co to zaszeleściło gdzieś w pobliżu? Czyjeś kroki? Szybko ruszyła ku źródłu szmeru, rozsuwając gałązki i łodygi.

– Proszę się odezwać! Jeśli będzie się pan chował, nie będę mogła pana znaleźć!

Jej oczy pomału przywykały do ciemności, która okazała się nie tak znów strasznie nieprzenikniona. Białe światło bez przeszkód wlewało się przez szklany dach, odbijając się od szerokich, błyszczących liści, migotało na kroplach rosy, zgęszczało dziwaczne cienie.

– Aa! – Polina zachłysnęła się krzykiem i chwyciła za serce.

Tuż przed jej nosem, z lekka się kołyszając, zwisała ludzka noga – zupełnie goła, wychudzona, śmietankowobiała w matowym świetle księżyca.

Kilka cali dalej, ale już nie w świetle, lecz w cieniu, kołysała się druga noga.

– Boże święty, Boże... – przeżegnała się pani Lisycyna, ale nie odważyła się podnieść głowy. Wiedziała już, co tam zobaczy: wisielca z wytrzeszczonymi oczyma, wywalonym językiem, naciągniętą szyją.

Zebrawszy siły ducha, ostrożnie dotknęła nogi – czy zdążyła ostygnąć?

Noga nagle odskoczyła, z góry doniósł się chichot i Polina Andriejewna, z jeszcze przeraźliwszym krzykiem niż poprzednio, odskoczyła w tył.

Na grubej, rozwidlonej gałęzi jakiegoś nieznanego drzewa nie wisiął, lecz siedział Alosza Lentoczkin, beztrosko wymachując nogami.

Jego twarz była zalana jaskrawym księżycowym światłem, ale Polina Andriejewna ledwie poznała byłego Cherubina – taki był wychudły. Splątane włosy zwisały kłakami, policzki utraciły dziecienną pulchność, obojczyki i żebra sterczały niczym druty pod rozpiętą parasolką.

Pani Lisicyna pospiesznie odwróciła wzrok, który mimowolnie opuścił się niżej, niż wypadało, ale od razu sama siebie zawstydziła: miała przed sobą nie mężczyznę, tylko biednego moribunda. Już nie zadzierzystego szczeniaka, co poszczekiwał kiedyś na pobłażliwego ojca Mitrofaniusza, ale raczej porzuconego wilczka – niekarmionego, głodnego, sparszywiąłego.

– Łaskocze – powiedział Aleksy Stiepanowicz i znowu zachichotał.

– Złaż, Aloszeńka, zejdź tutaj – poprosiła Polina, chociaż przedtem była z Lentoczkinem na „pan”. Ale dziwnie byłoby robić sobie ceremonie z chłopczykiem o zmańczonym umyśle, do tego jeszcze gołym. – No, no, chodź. – Polina Andriejewna wyciągnęła do niego obie ręce. – To ja, siostra Pelagia, poznałeś?

Poprzednio Aleksy Stiepanowicz i duchowa córka przewielebnego zdecydowanie za sobą nie przepadali. Raz czy dwa zuchwały młodzieniec próbował nawet zażartować sobie złośliwie z zakonnicą, ale natrafił na nieoczekiwanie silny opór i od tej pory udawał, że nie zwraca na nią uwagi. Teraz jednak nie było co wspominać dawnej zazdrości ani starych, niemądrych porachunków. Serce Poliny Andriejewny pękało z żalu.

– Masz, popatrz, co ci przyniosłam – łagodnie jak do dziecka powiedziała młoda kobieta i zaczęła wyjmować z wiszącego na szyi ręcznej roboty woreczka tarteletki, kanapeczki i pierożki mignon, zręcznie zgarnięte z talerza podczas kolacji. Okazało się, że nie taki znów wilczy apetyt miał gość doktora Korowina.

Obnażony faun łapczywie wciągnął nosem powietrze i skoczył w dół. Nie utrzymał się na nogach, zachwiał się, upadł.

Och, całkiem słaby – pomyślała Polina Andriejewna, chwytając chłopca za ramiona.

– Masz, masz, zjedz.

Prosić Aleksego Stiepanowicza nie było trzeba. Łapczywie chwycił od razu dwa pierożki mignon i wpakował je sobie do ust. Nie zdążył ich przeżuć, a już sięgnął po więcej.

Jeszcze tydzień, najwyżej dwa i umrze – przypomniała sobie Lisicyna słowa lekarza i zagryzła usta, żeby nie zapłakać.

Bo i co z tego, że dokazawszy cudów pomysłowości, dotarła aż tutaj? Czy w ogóle może mu pomóc? A i w śledztwie, jak widać, Lentoczkin na wiele się nie przyda.

– Cierpliwości, mój biedny chłopcze – mówiła, głaszcząc go po potarganych włosach. – Jeśli to są jakieś diabelskie knowania, to Pan Bóg i tak jest silniejszy. A jeśli to intrygi złych ludzi, ja je rozwikłam. Na pewno cię uratuję. Przyrzekam.

Wątpliwe, czy szaleniec zrozumiał znaczenie słów, ale miękki, pieszczotliwy ton znalazł odzew w jego zmaconej duszy. Alosza nagle przytulił głowę do piersi pocieszycielki i zapytał cichutko:

– Przyjdiesz jeszcze? Przyjdź. Bo inaczej on mnie niedługo zabierze. Przyjdiesz?

Polina Andriejewna bez słowa kiwnęła głową. Mówić nie mogła – dusiły ją łzy, powstrzymywane ostatkiem sił.

Dopiero kiedy wyszła z oranżerii i oddaliła się od szklanych ścian w głąb zagajnika, pofolgowała sobie wreszcie. Usiadła wprost na ziemi i wyplakała się za wszystkich: i za zgubionego Lentoczkiną, i za przygasłego, przygnębionego Berdyczowskiego, i za samobójcę Lagrange'a, i za schorowane serce przewielebnego Mitrofaniusza. Płakała długo – może pół godziny, może godzinę – i wciąż nie mogła się uspokoić.

Już księżyc doszedł do samego środka nieboskłonu, gdzieś w lesie

zahuczał puchacz, w oknach pawilonów lecznicy jedno za drugim pogasły światła, a przebrana mniszka wciąż wylewała łzy.

Nieznany, lecz groźny przeciwnik uderzał bez pudła i każdy cios powodował straszliwą, niepowetowaną stratę. Dzielne wojsko zawołzkiego archijereja, obrońcy Dobra i pogromcy Zła, było zdiesiątkowane, a sam wódz leżał na łożu, powalony ciężką, może śmiertelną chorobą. Z całego Mitrofaniuszowego hufca ocalała ona jedna, słaba i bezbronna kobieta. Całe brzemię odpowiedzialności spoczywa teraz na jej barkach, a cofać się nie ma dokąd.

Pod wpływem tej przerażającej myśli łzy z oczu pani Lisicyzny nie polały się jeszcze obficie, jak by należało przypuszczać, lecz paradoksalnie – nagle po prostu wyschły.

Dama schowała przemoczoną chusteczkę, wstała i poszła naprzód przez krzaki.

Nocą w przybytku smutku

Teraz poruszać się po terenie było łatwiej: Polina Andriejewna już lepiej rozpoznawała topografię kliniki, a i księżyc, stojący wysoko na niebie, świecił jasno. Zdziwiwszy się mimochodem łagodnością wyspiarskiego „mikroklimatu”, nawet w listopadzie darzącego takimi jasnymi, ciepłymi nocami, umocniona na duchu wojowniczką najpierw udała się do domu gospodarza kliniki.

Ale okna białego, ozdobionego kolumnadą pałacyku były ciemne – doktor już spał. Pani Polina postąpiła trochę, posłuchała, niczego godnego uwagi nie usłyszała i poszła dalej.

Teraz jej droga prowadziła do pawilonu numer trzy, siedziby oszalałego malarza.

Jesichin nie spał. W jego domku nie tylko się świeciło, ale w jasnym prostokącie okna migał jeszcze drobny, ruchliwy cień.

Polina Andriejewna obeszła „trójkę”, żeby zajrzeć do środka od drugiej strony.

Zajrzała.

Konon Pietrowicz szybko przebiegał wzdłuż ściany, domalowując na panneau Wieczór księżycowe bliki, rozsypane jak cętki po powierzchni ziemi. Teraz pejzaż osiągnął już pełnię wyrazu i w swej doskonałości dorównywał czarowi prawdziwego wieczoru, a bodaj nawet go przewyższał. Ale panią Lisicynę zajmowała tylko ta część płótna, na której artysta ukazał wyciągniętą czarną sylwetkę na pajęczych nóżkach. Polina Andriejewna przyglądała się jej dość długo, jakby próbowała rozwiązać jakąś skomplikowaną łamigłówkę.

Potem Jesichin wsunął pędzel za pas i wdrapał się na stojącą

pośrodku pokoju drabinkę. Obserwatorka przylgnęła do szkła policzkiem i nosem, żeby podpatrzeć, czym to artysta będzie się zajmował tam w górze.

Okazało się, że skończywszy z Wieczorem, Konon Pietrowicz nie dał sobie nawet chwili odpoczynku i od razu wziął się do domalowywania Nocy.

Dama pokiwała głową i więcej już nie podglądała.

Następnym punktem wytyczonej marszruty był stojący w sąsiedztwie pawilon numer siedem, w którym mieszkał fizyk Lampe ze swoim lokatorem.

Tu także nie spano. We wszystkich oknach parteru paliło się światło. Polina Andriejewna przypomniała sobie, że sypialnia jest od wejścia na lewo, laboratorium – na prawo. Matwiej Bencjonowicz jest zapewne w sypialni.

Tropicielka uchwyciła się rękoma za parapet, nogę oparła o stopień i zajrzała do wnętrza.

Zobaczyła dwa łóżka. Jedno było załane, puste. Przy drugim paliła się lampa, na wysoko zbitych poduszkach pół siedział, pół leżał człowiek, nerwowo kręcąc głową w lewo i w prawo. Berdyczowski!

Zwiadowczym wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć, czy w pokoju jest Lampe, i zapinka kaptura szczęknęła po szkle – ledwie dosłyszalnie, ale biedny Matwiej wzdrygnął się i odwrócił do okna. Twarz wykrzywiło mu przerażenie. Podprokurator poruszył konwulsyjnie dolną szczęką, jakby chciał krzyknąć, ale w tej samej chwili oczy uciekły mu w głąb i nieprzytomny padł głową na poduszkę.

Ach, jak niedobrze! Polina Andriejewna aż krzyknęła ze złości. No, oczywiście: ujrawszy w oknie czarną sylwetkę z opuszczonym na twarz kapturem, nieszczęsny chory wyobraził sobie, że znowu odwiedził go Wasilisk. Trzeba było, nie zważając na ryzyko, wyprowadzić Matwieja Bencjonowicza z błędu.

Już się nie kryjąc, pani Polina przycisnęła twarz do szyby, przekonała się, że fizyka w sypialni nie ma, i zaczęła działać.

Okno było oczywiście zamknięte na zasuwkę, ale nauczycielce gimnastyki wystarczył uchylony lufcik.

Zrzuciła na ziemię płaszcz, który krępował jej ruchy, i dokazując cudów zwinności, raz-dwa przedostała się przez wąski otwór. Oparła się palcami o parapet, zrobiła wspaniałe salto w powietrzu (spódnica wydeła się przy tym w nie całkiem przyzwoity dzwon, ale świadków przecież nie było) i zręcznie wylądowała na podłodze. Szumu narobiła tyle co nic. Zaczekała, czy na korytarzu nie rozlegną się kroki – ale nie, wszystko było w porządku. Fizyk zapewne pograżył się z kretelem w swoich dziwacznych doświadczeniach.

Przysunęła do pościeli krzesło, ostrożnie pogładziła leżącego po zapadłych policzkach, po żółtym czole, po zamkniętych w grymasie cierpienia powiekach. Zmoczyła chusteczkę w stojącej na nocnym stoliku szklance z wodą, natarła choremu skronie i wtedy rzęsy Berdyczowskiego drgnęły.

– Panie Matwieju, to ja, Pelagia – wyszeptwała, nachylając się do samego ucha chorego.

Ten uniósł powieki, zobaczył piegowatą twarz z niespokojnie wytrzeszczonymi oczyma i uśmiechnął się.

– Siostra... Jaki przyjemny sen... A władyka też tu jest?

Berdyczowski odwrócił głowę, najwyraźniej spodziewając się, że zaraz zobaczy także ojca Mitrofianusza. Nie zobaczył, zmartwił się.

– Kiedy nie śpię, źle mi – poskarżył się. – Och, gdyby tak w ogóle się nie budzić...

– W ogóle się nie budzić nie trzeba. – Polina Andriejewna wciąż gładziła biedaka po twarzy. – Ale teraz, gdyby pan się przespał, byłoby bardzo dobrze. Proszę zamknąć oczy i oddychać głębiej. Kto wie, może i władyka się przyśni.

Matwiej Bencjonowicz posłusznie zmrużył oczy, odetchnął głęboko, spokojnie, widać już bardzo chciał, by mu się przysnił przewielebny.

Może nie jest jeszcze tak źle – pocieszyła się pani Polina. Kiedy mu się przedstawić – poznaje. I władykę pamięta.

Popatrując na drzwi, pani Lisicyzna zajrzała do nocnej szafki. Nic godnego uwagi: chusteczki, kilka arkusików czystego papieru, portmonetka. W portmonetce pieniądze, zdjęcie żony.

Za to pod łóżkiem znalazła żółty sakwojaż ze świńskiej skóry. Przy zameczku wisiała miedziana tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem: F.S. Lagrange. Wewnątrz znalazły się zebrane przez Berdyczowskiego materiały śledcze: protokół obdukcji ciała samobójcy, listy Aleksego Stiepanowicza do przewielebnego, zawinięty w szmatkę rewolwer (Polina Andriejewna tylko głową pokiwała – dobry sobie ten Korowin, nie ma co, nie znalazł czasu, żeby zajrzeć do rzeczy pacjenta) i jeszcze dwa przedmioty niewiadomego pochodzenia: biała rękawiczka z dziurką i batystowa chusteczka, brudna.

Pani Lisicyzna postanowiła wziąć sakwojaż ze sobą – na co on teraz Berdyczowskiemu? Rozejrzała się, czy nie ma w pokoju jeszcze czegoś pożytecznego. Na nocnym stoliku przy łóżku Lampego zobaczyła gruby zeszyt. Zawahała się przez chwilę, ale sięgnęła po niego, przysunęła do palącej się lampy i zaczęła, przeglądając.

Niestety, zrozumieć cokolwiek z tych wszystkich wzorów, wykresów i skrótów nie było sposobu. A i charakter pisma uczonego miał niewiele bardziej zrozumiały niż sposób mówienia. Polina Andriejewna westchnęła rozczarowana i zajrzała na kartę tytułową. Tam w charakterze motto, jako tako wyraźnie, było wypisane:

Zmierzyć wszystko, co poddaje się mierzeniu, a co się nie poddaje –

uczynić mierzalnym.

G. Galilei

Ale już był czas zabierać się stąd.

Odłożywszy zeszyt na miejsce, pani Polina z powrotem przelazła przez lufcik. Najpierw wyrzuciła za okno sakwojaż (nie było tam niczego takiego, co mogłoby się potłuc), potem precisnęła się sama.

Do ziemi było dalej niż do podłogi, ale salto znów udało się wspaniale, skoczna dama była jak z gutaperki: wylądowała pomyślnie w kucki, wyprostowała się i potrzęsnęła głową. Po oświetlonej sypialni noc wydawała się nieprzenikniona, a i księżyc jak na złość skrył się za obłokiem.

Pani Lisicyna postanowiła zaczekać, aż wzrok nawyknie do ciemności, i oparła się ręką o ścianę. Słuch jednak służył jej bez zarzutu, toteż na dźwięk jakiegoś szelestu za plecami szybko się odwróciła.

Niedaleko, w odległości mniej więcej sążnia, z ciemności wyłaniała się jakaś wąska czarna figura. Osłupiała kobieta wyraźnie zobaczyła spiczasty kaptur z dziurkami na oczy. Straszna sylwetka okręciła się wokół własnej osi, a potem rozległ się świst przecinanego powietrza i na głowę pani Lisicynej spadł z boku straszliwy cios.

Polina Andriejewna przewróciła się na wznak, plecami na sakwojaż Lagrange'a.

Nowe grzechy

Dopiero rano ofiara zamachu mogła w pełni ocenić poniesione straty.

Pod ścianą pawilonu numer siedem przeleżała bez czucia nie wiadomo jak długo, zanim zimno przywróciło ją do przytomności. Zataczając się i trzymając za głowę, dobrnęła do hotelu – sama nie pamiętała jak. W ubraniu rzuciła się na łóżko i od razu zapadła w ciężkie, graniczące z omdleniem zamroczenie.

Przebudziła się późno, tuż przed południem, i zasiadła przy toalecie, żeby obejrzeć się w lustrze.

A oglądać było co. Nie wiadomo, jak bezcielesne widmo, do tego z odległości jednego sążnia, zdołało zbić ją z nóg, ale cios, który trafił w skroń i kość policzkową, był całkiem realny: przy lewym oku wykwitł ogromny ciemnopurpurowy krwiak, który rozlał się w górę i w dół prawie na pół twarzy.

Nawet samo wspomnienie o straszliwym i mistycznym wydarzeniu częściowo wyblakło, wyparte przez smutek z powodu własnego żałosnego wyglądu.

Młoda dama małodusznie odwróciła się do lustra nieuszkodzonym profilem i spojrzała na niego zezem – wyglądał zupełnie nieźle. Ale potem znów zwróciła się do zwierciadła en face i jęknęła. A gdyby spojrzeć z lewej strony, to twarz przypominałaby pewnie bakłażan.

To jest właśnie cielesna uroda – proch i pył; tyle warta, co jeden soczysty cios po łbie – stwierdziła w duchu pani Polina, przypominając sobie o tymczasowo porzuconej zakonnej godności. Myśl była słuszna, chwalebna nawet, ale pociechy nie przyniosła.

Przede wszystkim – jak w takiej postaci wyjść na ulicę? Nie będzie przecież siedzieć w numerze hotelowym przez tydzień, dopóki siniak nie zejdzie!

Trzeba coś wymyślić.

Z ciężkim westchnieniem i poczuciem winy elegancka moskwianka wyjęła z walizki przybory kosmetyczne – jeszcze jeden prezent od biura turystycznego „Cook & Kantorowicz”, otrzymany wraz ze wspomnianym już woreczkiem ręcznej roboty. Tylko że kosmetykami, w przeciwieństwie do użytecznego woreczka, pątniczka zrazu posługiwać się nie zamierzała. Chciała podarować go jakiejś świeckiej pani, a tu masz tobie!

Ładna mi zakonnica, nie ma co mówić! – zamartwiała się w myślach pani Polina, pudrując ohydne piętno. I jeszcze zazdrościła brunetkom: cerę mają grubą, smagłą, goi się szybko, a dla rudych, przy ich białej cerze, siniak to po prostu katastrofa.

Mimo wszystko nawet po kosmetykach wyglądało to okropnie. W rozpustnym Petersburgu czy lekkomyślnej Moskwie można by od biedy pokazać się tak na ulicy, zwłaszcza gdyby osłonić się woalką, ale w nabożnym Araracie to nawet nie do pomyslenia – pewnie ukamienowaliby ją jak jawnoгрzesznicę z ewangelii.

Co zatem robić? Upudrowana wyjść nie może, bez pudru, z siniakiem – też nie. A i czasu tracić nie wolno.

Myślała, myślała, aż wymyśliła.

Ubrała się w najprostszą suknię z czarnego tybetu. Głowę obwiązała pielgrzymią chustą, jak najciaśniej, po same kąci oczu. Wyzierającą spod chusty część siniaka pokryła blanszem. Jeśli ktoś się specjalnie nie będzie przyglądał – ujdzie, prawie nic nie widać.

Przemknęła do wyjścia, zasłaniając policzek chusteczką. Żółty sakwojaż zabrała ze sobą, nie zaryzykowała pozostawienia go w pokoju. Wiadomo, jaka jest służba hotelowa – wszędzie nos wetkną,

myszkują w rzeczach. Nie daj Bóg, znajdą rewolwer albo protokół. W końcu bagaż nie taki wielki, ręk nie oberwie.

Na ulicy pątniczka opuściła wzrok i w ten sposób, pod postacią osoby cichej i pokornej, doszła do głównego placu, gdzie jeszcze poprzedniego dnia zauważyła sklepik ze strojami zakonnymi.

Za trzy ruble siedemdziesiąt pięć kopiejek kupiła u mnicha subiekta strój nowicjusza: skufię, muchajerowy habit, parciany pas. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, powiedziała, że nabywa to na ofiarę dla klasztoru. Sprzedawca wcale się nie zdziwił – pielgrzymi często darowali braciom odzienie, do tego właśnie służył sklepik.

Cóż, trzeba było zaczynać nową maskaradę, jeszcze bardziej nieprzyzwoitą i świętokradczą od pierwszej. A niby co było robić?

W dodatku przemiana w skromnego mniszka niosła pewną dodatkową korzyść, która dopiero teraz przyszła pani Polinie do głowy.

Właśnie ten nowy koncept obmyślała, wypatrując miejsca, gdzie mogłaby się przebrać. Szła mniej ruchliwymi ulicami, rozglądała się na boki.

Czy to w następstwie uderzenia, czy to z przygnębienia spowodowanego zeszpeconą powierzchnością, pani Lisicyna odczuwała cały czas jakiś nerwowy niepokój. Odkąd tylko wyszła z pensjonatu, nie opuszczało jej dziwne uczucie, trudne do wyrażenia słowami. Czowała się, jakby była teraz nie sama, jakby stale był przy niej jeszcze ktoś, niewidzialny, kto ni to jej pilnuje, ni to jej się przygląda. A jego uwaga ma w sobie najwyraźniej coś wrogiego, nieżyczliwego. Wymyślając sobie za uleganie zabobonom i babską nadwrażliwość, Polina Andriejewna nawet obejrzała się kilka razy. Niczego szczególnego jednak nie zauważyła. No, idą sobie w swoich sprawach jacyś mnisi, to znów ktoś stoi przy pachółku nabrzeżnym i czyta gazetę kościelną, kto inny pochylił się, żeby podnieść upuszczone

zapałki. Przechodnie jak przechodnie.

A o nieprzyjemnym uczuciu Lisicyna zapomniała, kiedy znalazła wreszcie odpowiednie miejsce, i to w odległości pięciu minut od „Panny Czystej”.

Na rogu nabrzeża stał zamknięty pawilon z wywieszką: „Woda święcona. Automaty”. Fasadą do promenady, tyłem do płotu.

Polina Andriejewna obesza budkę z desek, dała nura w wąskie przejście między nią a płotem i – a to się udało! – drzwi okazały się zamknięte na najprostszą w świecie kłódkę. Przedsiębiorcza dama pogmerzała w niej trochę drutem do robótek (wybacz, Panie, i ten grzech) i wślizgnęła się do środka.

Stały tam wzdłuż ścian niezgrabne metalowe skrzynki z kranikami, a w środku było pusto. Przez szczeliny między deskami sączyło się światło, dochodziły głosy przechadzającej się po nadbrzeżu publiczności. Rzeczywiście – miejsce było po prostu doskonałe.

Pani Lisicyna szybko zdjęła suknię. Zawahała się – co z pantalonami? Zachowała – habit jest długi, nie będzie widać, a cieplej. Na dworze przecież nie lipiec.

Trzewiki, choć podobne do męskich, tęponose, zgodnie z najnowszą modą, mimo wszystko były dla nowicjusza zakonnego zbyt wymyślne. Ale Polina przyprószyła je kurzem i uznała, że ujdzie. Kobiety w subtelnościach obuwia zakonników się nie orientują, a mnisi, jako mężczyźni, nie dostrzegają takich drobiazgów, więc nie zwrócą uwagi.

Woreczek z robótką pozostawiła na szyi. Bo jeśli wypadnie gdzieś czekać albo prowadzić obserwację...? Robótkami wielu mnichów się zabawia, podejrzane to się nie wyda, a przy brzęku drutów lepiej się myśli.

Wsunęła woreczek pod ubranie, niech sobie wisi.

Sakwojaż schowała między automatami. Niedługie włosy wypuściła spod czapki, obciągnęła habit, puder starła rękawem.

Jednym słowem – weszła do pawilonu ze święconą wodą skromna młoda dama, a po dziesięciu minutach wyszedł stamtąd chudziutki, rudy mniszek, niczym się niewyróżniający, jeśli oczywiście nie liczyć solidnego sińca na lewym profilu.

Same zagadki

Do tej chwili działania samozwańczej śledczej były jeszcze mniej czy bardziej zrozumiałe, lecz teraz, gdyby komuś przyszło do głowy podglądać panią Lisicyną, obserwator całkiem straciłby rezon, ponieważ w zachowaniu pątniczki nie dało się dostrzec żadnej logiki.

Zresztą, dla uniknięcia dwuznaczności, wypadnie nam znów doprowadzić imię bohaterki naszej opowieści do stanu stosownego dla jej nowego wcielenia. Inaczej nie unikniemy dwuznacznych zwrotów w rodzaju: „Polina Andriejewna odwiedziła cele braci”, ponieważ, jak wiadomo, wstęp do wewnętrznych pomieszczeń mnichów jest kobietom surowo wzbroniony. Pójdziemy więc nie za siostrą Pelagią ani za wdową po panu Lisicynie, tylko za pewnym nowicjuszem, który, powtórzmy, zachowywał się owego dnia bardzo dziwnie.

W ciągu dwóch lub dwóch i pół godziny, poczynając od południa, młodego zakonnika można było zobaczyć w najróżniejszych częściach miasta, w granicach właściwego klasztoru, a nawet – niestety – we wspomnianych celach braci. Sądząc z leniwego kroku, szwendał się bez żadnego celu, jakby z nudów: tu postoi, tam posłucha, ówdzie się pogapi. Obijającego się podrostka kilka razy zatrzymywali starsi mnisi, a raz nawet „strażnicy pokoju”. Pytali surowo, kto on taki i skąd się wziął siniak, czy aby nie wskutek jakichś pijackich rękoczynów. Młodzieniec odpowiadał pokornie, cieniutkim głosem, że na imię mu Pelagiusz, że przybył do Araratu ze świętego Walaamu, spełniając małe ćwiczenie zakonne, a siniak na facjacie wziął się stąd, że ojciec szafarz za niedbalstwo go pouczył. To wyjaśnienie zadowalało wszystkich, jako że surowe usposobienie ojca szafarza było znane

i „pouczeni” – ten z siniakiem, ów z guzem, inny jeszcze z odstającym czerwonym uchem – na ulicach i w monasterze trafiali się nierzadko. Mniszek kłaniał się i szedł sobie dalej.

Około trzeciej po południu Pelagiusz zawędrował za miasto i znalazł się koło Mierzei Postnej, naprzeciw Wyspy Rubieżnej. Miejsce to w ostatnich tygodniach zasłynęło wśród pielgrzymów i tutejszych jako przynoszące nieszczęście i dlatego brzeg był zupełnie bezludny.

Nowicjusz przeszedł się po mierzei, dotarł do samego krańca i zaczął przeskakiwać z kamienia na kamień, oddalając się coraz bardziej w kierunku wyspy. W niezrozumiałym celu zanurzał w wodzie koniec pochwyconego gdzieś po drodze kija. Przy jednym z głazów długo siedział w kucki i gmerał rękoma w zimnej wodzie, jakby ryby łowił. Niczego nie wyłowił, ale ucieszył się i nawet zaklaskał w wyziębłe ręce.

Wrócił na początek mierzei, gdzie przycumowana była stara łódka, przysiadł obok na kamieniu i energicznie zaczął ruszać drutami do robótek, coraz to popatrując na boki.

Dość szybko pojawił się ten, na którego chłopak najwyraźniej czekał.

Ścieżką prowadzącą od starej kapliczki ku brzegowi szedł mnich o niezbyt czcigodnym wyglądzie: kosmata broda, krzaczaste brwi, wielka, wymięta twarz i siny, porowaty nos.

Pelagiusz zerwał się, wyszedł mu naprzeciw i nisko się pokłonił.

– Czy to nie wielce szanowny starzec Kleopa?

– No, ja. – Mnich pochmurnie zerknął na chłopaka, szeroką dłonią zaczerpnął wody z jeziora, popił. – A ty czego?

Westchnął męczeńsko, owionawszy nowicjusza kwaśnym zapachem alkoholu, i spomiędzy krzaków zaczął wydostawać wiosła.

– Przyszedłem, ojczy, poprosić o twoje święte błogosławieństwo –

cieniutkim tenorkiem przemówił Pelagiusz.

Brat Kleopa zdziwił się najpierw, ale że w obecnym stanie duszy i ciała był skłonniejszy do rozdrażnienia niż do zdziwienia, zamachnął się na chłopaczkę potężną piąchą.

– Żarty się ciebie trzymają? Ja ci dam błogosławieństwo, szczeniaku ryży! Raz-raz ci drugie limo podbiję!

Mniszek odbiegł o kilka kroków, ale nie odszedł.

– A ja chciałem półrubłówecką ojcu się pokłonić – powiedział. I rzeczywiście wyciągnął z rękawa srebrną monetę, pokazał.

– Ano daj.

Przewoźnik wziął półrubłówekę, popróbowował złotymi, przepalonymi zębami, uznał, że dobra.

– No, to czego chcesz, gadaj.

Nowicjusz nieśmiało zaszemrał:

– Marzenie mam. Świętym starcem chcę się zostać.

– Starcem? Zostaniesz – obiecał udobruchany srebrem Kleopa. – Za pół setki lat obowiązkowo zostaniesz, nie schowasz się. Jeśli, rzecz jasna, wcześniej nie umrzesz. A co do świętości, to tyś przecie i tak w habicie, choć jeszcze całkiem z ciebie kurczątko. Jak cię niby zwa?

– Pelagiusz, święty ojcze.

Kleopa zamyślił się, widocznie przypominając sobie rubrycelę.

– Ku pamięci świętego Pelagiusza z Laodycei, tego, co dostojną swoją małżonkę przekonał, żeby bratnią miłość więcej od małżeńskiej szanowała? Ale przecież ile to lat miał święty Pelagiusz, a tyś jeszcze życia nie widział. Co ciebie, przygłuptasie, między mnichy zaniosło? Pożyj sobie, pogrzesz do syta i wtedy dopiero staraj się przebaczenie wymodlić, tak mądrzy robią. W pustelni na ten przykład – kiwnął głową w stronę wyspy – jest ojciec Izrael, chłop jak się patrzy. Pohulał sobie, kurek poprzygniatał, a teraz jest tam za schiigumena. I na ziemi nieźle sobie pożył, i w niebie blisko Ojca i Syna ciepłe miejsce sobie

przyszykował. I tak trzeba.

Czarne oczy młodego mnicha aż zapłonęły.

– Ach, gdybym ja na świętego starca choć jednym oczkiem mógł spojrzeć!

– Siedź, czekaj. Bywa, że na brzeg sobie wyjdzie, ale rzadko, siły już nie te. Ani chybi, wyniesie się niedługo.

Pelagiusz nachylił się do przewodnika i zaszeptał:

– A ja bym z bliska, co? Zawiózłby mnie ojciec na wyspę, wiek cały bym się za niego do Pana Boga modlił.

Kleopa odepchnął z lekka chłopca, odwiązując koniec liny.

– Patrzcie tylko, czego się zachciało! Za to wiesz, co robią?

– Całkiem nijak nie można? – cichuteńko spytał rudzielec i pokazał wystający z białej piąstki skrawek papierka.

Brat Kleopa przyjrzał się – nic, tylko rublówka.

– Nie wolno – westchnął z żalem. – Dowiedzą się – pewna ciemnica. Tydzień albo i dwa. A ja o chlebie i wodzie siedzieć nie mogę, od wody łeb mi puchnie.

– Kiedy ja słyszałem, że niby takie teraz czasy, że oprócz ojca tak czy inaczej nikt na wyspę pływać nie śmie. Nie posadzą ojca do komory. A zresztą jak się dowiedzą? Tu przecież nikogo nie ma.

I papierek swój wprost do ręki podsuwa, kusiciel.

Wziął Kleopa rubelka, obejrzał, zamyślił się.

A tu nagle i drugi papierek wyrósł, jakby sam z siebie.

Ryży diabełek na siłę go wsunął w niezdecydowane palce łódkarza.

– Jednym oczkiem, co?

Mnich rozwinął oba banknoty, pogładził miłośnie, potrząsnął siwymi kudłami.

– A dwoma oczkami to tobie nawet się nie uda, he, he! – zarżał Kleopa, bardzo zadowolony ze swego żartu. – Gdzieś tu tak facjatę sobie urządził, co? Z remiechami jakimiś pewnie żeś się pożarł, co?

Cichy, cichy, a od razu widać, że szelma. O dziewczyny? Oj, niedługo ty, Pelagiusz, za nowicjusza pobędziesz. Przegonia. Powiedz, z remiechą? O dziewczyny?

– O nie – spuściwszy oczy, przyznał mniszek.

– O, to, to. „Świętym ojcem chce się zostać” – powiedział, przedrzeźniając go, Kleopa i schował półrublówkę razem z papierkami do pasa. – A na wyspę pewnie dla kawału się zachciało? Nie łzyj, prawdę mów!

– Przecież to ciekawe – pociągnął nosem Pelagiusz, na dobre już wchodząc w rolę.

– A pieniędzy to skąd tyle? Z ofiarnych podebrałeś?

– Nie, ojcze, gdzie tam! Ja tatusia mam z kupców. Lituje się, przysyła.

– Z kupców to dobrze. Za łobuzerkę do klasztoru wygnał? No nic, jak się lituje, to się zmiłuje, przyjmie z powrotem, ty tylko czekaj. No, więc tak. – Łódkarz rozejrzał się po pustym brzegu, zdecydował się. – W ogóle to raz się zdarzyło, w zeszłym roku. Całą prawą sobie obdarłem o mordę ojca Martyriusza. Zębiska, psisko śmierdzące, na piąchę mi nadstawił. Łapę tak mi rozwalilo, że wiosłować nie mogłem. Umówiłem się z Ezechielem zamiataczem, żeby poratował: ja jednym wiosłem, on drugim... Trzy dni tak pływaliśmy. Ech, było nie było. Zobaczą, to powiem, że znowu ręka zabolą. Właz!

I od razu oddarł ze spodniej bielizny kawałek płótna i namotał na rękę.

Wzięli za wiosła, popłynęli.

– A ty uważaj – surowo uprzedził Kleopa. – Z łódki na wyspę nawet nogi nie wystawisz. Tam wchodzić tylko mnie wolno. I na oba uszy słuchaj, co starzec wypowie; ja już łeb całkiem mam dziurawy, a powtarzać on nie będzie. Bywa, uczciwie powiem, że dopokąd do ojca ekonoma dojdę, już zapominam. To wtedy łzę, co tam do głowy

przyjdzie.

Pelagiusz wioskował i wciąż popatrywał przez ramię na powoli podpływającą Wyspę Rubieżną. Było tam pusto, nieruchomo: czarne kamienie, wypełzła szara trawa, proste sosny sterczące na szczycie wzgórza niczym włosy, stojące dęba.

Łódka utknęła dziobem w piasku. Brat Kleopa wziął koszyk z prowiantem i zeskoczył na brzeg. Pomocnikowi pogroził palcem: cicho siedź.

Młody mniszek odwrócił się na ławeczce, podparł rękoma podbródek, szeroko, szeroko otworzył oczy – jednym słowem, przygotował się.

I zobaczył, jak jeden z czarnych gładów nagle się poruszył i jakby podzielił na dwie części, większą i nieco mniejszą. Ta mniejsza wyprostowała się i przybrała postać jednolitego czarnego worka, od góry spiczastego, w dole nieco szerszego.

Worek powoli ruszył ku brzegowi. Pelagiusz zobaczył dwie ręce, kostur, białą obwódkę igumena, biegnącą wzdłuż dolnego rąbka habitu, a pod samym szczytem kaptura – czaszkę ze skrzyżowanymi pischcelami. Ręka chłopaczka sama uniosła się do znaku krzyża.

Przewoźnik wprawnymi ruchami wyłożył na płaski kamień dostawę: trzy małe chleby, trzy gliniane dzbanki, woreczek soli. Potem podszedł do starca, tknął wargami w żółtą kościstą rękę i został pobłogosławiony znakiem krzyża.

Pelagiusz siedział w łódce cały zjeżony. Czerep i pischcele oczywiście budziły lęk, ale najgorsze ze wszystkiego były dziurki na zasłoniętej twarzy, przez które patrzyło dwoje błyszczących oczu – wprost na nowicjusza. Ale i tego Izraelowi, starcowi o zasłoniętym obliczu, było mało. Z trudem przestawiając nogi, podszedł do samej łódki, stanął naprzeciw zamartwego z lęku mniszka i przez pewien czas przyglądał mu się z bliska – zapewne odwykł od oglądania innych,

poza Kleopą, wysłanników zewnętrznego świata.

Przewoźnik wyjaśnił:

– A bo ja rękę skaleczyłem, sam nie powiosuję.

Pokutnik skinął głową, dalej przypatrując się nowicjuszowi.

Wtedy Kleopa odkaszlnął i spytał:

– Jakie dziś będzie powiedzenie?

Pelagiuszowi wydało się, że czarny człowiek wzdrygnął się, jakby wyrwany z zadumy czy odrętwienia. Odwrócił się do mnicha, po czym rozległ się niski, nieco ochrypły głos, który bardzo wyraźnie, robiąc przerwy między słowami, powiedział:

– Pozwalasz – odejść – słudze – swemu – śmierć.

– Och, ty, Boże mój! – Kleopa, wyraźnie przestraszony, przeżegnał się pospiesznie. – No, teraz czekaj...

Szybko wlaźł z powrotem do łódki i odepchnął się nogą od brzegu.

– Co to, wujaszku? – spytał chłopak, oglądając się na świętego starca (ten, wsparty na kosturze, trwał nieruchomo). – Co to on takiego o śmierci powiedział, co?

– Bies ci „wujaszek” – odgryzł się zaniepokojony czymś Kleopa. – Rób wiosłem, rób! Tak, no tak, no tośmy popłynęli!

I dopiero przy samym kananejskim brzegu wyjaśnił:

– Jeśli powiedziano: „Pozwalasz odejść słudze swemu”, znaczy się, że jeden pustelnik odszedł. Jutro na jego miejsce drugiego powiozę. Bo też naczekał się już ojciec Hilariusz. Jeszcze dziś wieczór odprawiają po nim nabożeństwo i do kaplicy Pożegnalnej zaprowadzą, żeby w samotności się ze światem pożegnał – kaptur zaszył, dziurki w nim wyciął. A zaraz o świtanu powiozę żywego do martwych... Ech, i że też ludziom na świecie się nie żyje! – Kleopa pokiwał kosmatym łbem.

– No, ale starzec Izrael to ci dopiero! On ci już, jak by nie liczyć, siedmiu przeżył. Sporo, znaczy się, nagrzeszył, nie dopuszcza go, póki co, Pan Bóg do siebie. Kto też tam u nich ducha oddał? Starzec

Teognost czy starzec Dawid? Jak było dokładnie powiedziane?

– „Pozwalasz odejść słudze swemu śmierć” – powtórzył Pelagiusz. – A „śmierć” czemu dodana?

Kleopa poruszał wargami, żeby zapamiętać. Na pytanie tylko ramionami wzruszył: nie naszego to rozumu rzecz.

No i co jeszcze opowiedzieć o wydarzeniach tego dnia?

Chyba tylko o domku pławowego, chociaż to będzie już zupełnie niezrozumiałe.

Pożegnawszy się z łódkarzem, Pelagiusz nie od razu wrócił do miasta, tylko wpieryw przeszedł się brzegiem do samotnej drewnianej chatynki – tej samej, fatalnej, która już nieraz pojawiała się w naszej opowieści. Iść od Mierzei Postnej było tyle co nic: sto kroków do kaplicy Pożegnalnej, a potem jeszcze kroków jakieś półtorasta.

Nowicjusz obszedł wokoło niepokazne domostwo i zajrzał do środka przez zakurzone okienko. Przycisnął się policzkiem do szyby, zaczął wodzić palcem po ordynarnie wydrapanym ośmioramiennym krzyżu. Powiedział jedno jedyne słowo: „Aha”.

Potem nagle przysiadł w kucki i zaczął gmerać rękami wśród lebiody. Podniósł do oczu coś maleńkiego (światło jesiennego dnia już przygasało i widać było nie za dobrze). Powiedział drugi raz: „Aha”.

Stąd chłopak jakoś aż dziwnie odważnie skierował się ku zabitym drzwiom i szarpnął. Kiedy drzwi ze skrzypem wprawdzie, ale dość lekko się otworzyły, uważnie obejrzał sterczące z nich gwoździe. I sam sobie skinął głową.

Wszedł do środka. W półmroku widać było grubo ciosany stół, na nim – otwartą trumnę, której wieko walało się na podłodze. Nowicjusz obmacał trumnę i tak, i owak, nie wiedzieć czemu nałożył na nią wieko i leciutko stuknął z góry. Trumna zamknęła się szczelnie, z chrzęstem.

Młodzik podszedł do okna, przy którym leżały dwa worki ze słomą. Postawił, nie wiadomo dlaczego, jeden na drugim. Potem, popatrując z niepokojem na szybko gasnące światło za oknem, stanął na ławce i przeciągnął dłonią po gładko ociosanych bierwionach ściany. Zaczął z góry, tuż pod sufitem, potem przejechał po następnym rzędzie, niżej, jeszcze niżej. Zakończywszy te tajemnicze manipulacje przy jednej ścianie, przeszedł do następnej i zajmował się tą dziwną czynnością jeszcze długo.

Kiedy szyba zaróżowiła się ostatnimi odblaskami zachodu, Pelagiusz trzeci raz wypowiedział swoje „aha!”, teraz jeszcze radośniej niż przedtem.

Wyjął zza pazuchy drut do robótek, podłubał nim w bierwionie i wyciągnął palcami coś zupełnie maleńkiego, nie większego od wisienki.

Dłużej już w chatce się nie zatrzymywał.

Szybko pomaszerował pustą drogą do Nowego Araratu i pół godziny później był już na nabrzeżu, niedaleko automatów ze święconą wodą.

Najpierw przeszedł koło nich (było dość dużo ludzi), potem wyczekał na odpowiedni moment i hop! – w szczelinę między pawilonem a płotem.

A po następnych dziesięciu minutach na deptak wyszła skromna młoda dama w pielgrzymiej chuście zawiązanej aż po oczy – ostrożność bodajże nadmierna, bo o wieczornym czasie siniaka i tak nikt by nie zauważył.

To i owo się wyjaśnia

Wieczorem u siebie w pokoju Polina Andriejewna napisała list.

Władcyce Mitrofaniuszowi światła, radości, siły.

Jeśli, Przewielebny Ojczy, czytasz ten mój list, to znaczy, że spotkało mnie nieszczęście i nie miałam możliwości opowiedzieć Ci wszystkiego ustnie. Chociaż, co znaczy „nieszczęście”? Może to, co u ludzi przyjęło się nazywać „nieszczęściem”, jest w rzeczywistości radością, bo przecież kiedy Pan Bóg przywołuje do siebie jednego z nas, to co w tym złego? Nawet jeśli nie przywołuje, tylko poddaje jakiejś ciężkiej próbie, to i tym smucić się nie ma powodu, przecież po to właśnie przyszliśmy na świat, żeby sprostać próbom.

Ach, i po co ja Tobie, Ojczy, pasterzowi, prawie kazania o rzeczach tak oczywistych?! Wybacz mi głupiej.

A zwłaszcza wybacz mi moje oszustwo, samowolę i ucieczkę. To, że porwałam wszystkie Twoje pieniądze i że często złościłam Cię swoim uporem.

No dobrze, teraz, kiedy już mi, Ojczy, wybaczyłeś (a jak tu mi nie wybaczyć, skoro spotkało mnie nieszczęście?), przechodzę wprost do sedna rzeczy, ponieważ zapisać trzeba wiele, a dziś nocą mam jeszcze jedną sprawę. Ale o tym na samym końcu. Najpierw wyłożę wszystko po porządku, tak jak Ty, Ojczy, lubisz (czyli nie „po babsku”, ale „po męsku”): co słyszałam od innych; co widziałam na własne oczy; jakie z tego wyciągam wnioski.

Co słyszałam.

Na Kanaanie nocami Czarnego Mnicha widziało już wielu. Jednych Wasilisk przestrasza, pojawiając się z nagłą, inni przestraszają się sami,

kiedy widzą z daleka, jak gdzieś się skrada lub spieszy. Takich historii podśluchałam w mieście i w klasztorze pewnie z tuzin. Ogólnie biorąc, mnisi i tutejsi mieszkańcy sądzą tak: z Pustelnią Wasiliskową jest coś nie w porządku, bo któryś z pustelników sprzedał duszę Wrogowi Ludzkości, przez co miejsce to stało się przeklęte, toteż starców trzeba stamtąd wywieźć, a Wyspę Rubieżną uznać za zgubioną i opuszczoną, zakazać przyjeżdżania tam, a nawet podpływania w jej pobliże.

Powiem od razu, że wszystko to są zupełne bzdury. Święty Wasilisk z nieba nie zszedł, tylko najspokojniej przebywa blisko Tronu Pańskiego, tak jak mu się należy. Niczego mistycznego w tej historii nie ma, jest tylko świadome oszustwo. Teraz, pod koniec drugiego dnia pobytu na Kanaanie, przekonałam się z całą pewnością, że pojawianie się Czarnego Mnicha to nic więcej niż zręcznie rozegrany, pomysłowy spektakl.

Co widziałam.

Tajemnica „chodzenia po wodzie” wyjaśnia się prosto. Między czwartym a piątym kamieniem, wystającymi z wody za końcem Mierzei Postnej, wymacałam zwykłą, drewnianą ławkę. Jest schowana na płyciźnie, leży na boku. Jeśli się ją postawi na okutych żelazem nóżkach, to okazuje się, że deska leży na cal pod powierzchnią wody. Nocą, nawet z niewielkiej odległości, ktoś chodzący po tej ławce niezawodnie sprawia wrażenie, że po prostu spaceruje po falach. O „nieziemskim blasku”, jakoby otaczającym Wasiliska, nic pewnego powiedzieć nie mogę, przypuszczam jednak, że silna latarka elektryczna, trzymana za plecami i nagle włączona, da mniej więcej ten sam efekt: wyraźnie obrysuje sylwetkę i rozleje się w ciemności jasnym, rozproszonym światłem. Na mnichach, którzy są śmiertelnie przerażeni „chodzeniem po wodzie” i wątpliwe, czy kiedykolwiek widzieli oświetlenie elektryczne, ten nieskomplikowany trik powinien wywierać niemałe wrażenie. A może nie tylko na mnichach, ale i na

każdym człowieku z wyobraźnią albo skłonnością do mistyki. Proszę sobie wyobrazić: noc, księżyc, nienaturalnie jaskrawe światło, czarna postać bez twarzy unosząca się nad wodami. Ja ją spotkałam na łódzie i aż cała zamarłam! Nie, tu już przeskakuję wydarzenia i zaczynam opowiadać „po babsku”. O swoim spotkaniu z „Wasiliskiem” lepiej napiszę potem.

Teraz o znanej ojcu z listu Aloszy chatynce pławowego, w której zginął Lagrange, a rozum stracili Lentoczkin i Berdyczowski.

Tam złoczyńca zrobił trik sprytniejszy niż na mierzei, ale też obeszło się bez mistyki.

Krzyż na szybie jest wydrapany zwykłym żelaznym gwoździem, znalazłam go w trawie pod oknem. Nic dziwnego, że kiedy zbrodniarz pośród nocy pokazał pustelniczy kaptur z dziurkami i zazgrzytał żelazem po szkłe, biedna żona pławowego z przerażenia poroniła.

A z Ojca wysłannikami drań postępował w ten sposób.

Chował się w ciemnej izbie. Być może dla odwrócenia uwagi stawiał przy oknie kukłę w spiczastym kapturze – w każdym razie znalazłam w chatce dwa worki słomy, które trafiły tam bez żadnego powodu. Kiedy wchodzący na widok nieruchomej sylwetki odwracał się całym ciałem w jej stronę, rozbójnik uderzał go z tyłu czymś ciężkim w głowę. Stąd właśnie „guz o cal na prawo od czubka głowy”, o którym przeczytałam w protokole obdukcji ciała pułkownika. I nie idzie tu o żadne konwulsyjne uderzenia o podłogę, jak przypuszczał sporządzający opis Matwiej Bencjonowicz. Sam Berdyczowski, a wcześniej niewątpliwie również Lentoczkin, przybiegłszy do lecznicy, też mieli na głowie ślady uderzeń, ale doktor Korowin nie zwrócił na nie szczególnej uwagi, bo obaj mieli również mnóstwo innych uszkodzeń: otarć, zadraśnień, siniaków. Opowiadając o Berdyczowskim, doktor wspomniał o otartych palcach i zerwanych paznokciach. To mi pomogło odtworzyć obraz przestępstwa.

Ogłuszywszy ofiarę, złoczyńca kładł ją do trumny (w chatce stoi na stole trumna, którą pławowy sklecił dla siebie, ale pozostała niewykorzystana, bo topielca nie udało się znaleźć) i przykrywał wiekiem. Przyłożyłam je na miejsce i zobaczyłam, że otwory na gwoździe są wyrobione, czyli ktoś już zrzucił wieko silnymi uderzeniami od spodu. Myślę, że zdarzyło się to dwa razy: najpierw w trumnie miotał się pochowany żywcem Alosza, potem – pan Matwiej.

Żaden, nawet najtrzeźwiejszy rozum nie wytrzyma takiej próby – przestępca dobrze to sobie obliczył. W dodatku nie zadowolił się tym, co zrobił, o czym powiem dalej.

Najpierw o Lagrange’u. Z Feliksem Stanisławowiczem coś widocznie napastnikowi nie wyszło. Albo policmajster miał za mocną głowę, albo zdarzyło się co innego, w każdym razie pułkownik nie stracił przytomności i najwyraźniej nawiązał z łotrem walkę. Wtedy zbrodniarz zabił go strzałem z najbliższej odległości.

Tak, tak, Lagrange nie jest samobójcą, tylko człowiekiem niewinnie zabitym, co powinno Cię, Ojczy, ucieszyć. To wyjaśnia dziwny kierunek kanału kuli – z dołu do góry i z lewa na prawo. Tak właśnie przeszłaby kula, gdyby ktoś, kogo pułkownik – na przykład – trzymał rękoma za ramiona lub za gardło, wystrzelił do niego z prawej ręki, z dołu.

Pamiętałam, że kuli w ciele nie znaleziono, z czego wynika, że przeszła na wylot, zbadałam więc górne fragmenty ścian i znalazłam to, czego szukałam. Teraz mamy nieodparty dowód zabójstwa.

Kula, którą wyjęłam z bierwiona, nie jest kalibru 45, jak w smisiewessonie policmajstra, tylko kalibru 38, i została wystrzelona z rewolweru systemu colt, co sprawdziłam w podręczniku balistyki. Po zabójstwie przestępca wypalił z broni ofiary w powietrze i włożył smitha-wessona w rękę pułkownika, imitując samobójstwo.

Teraz wracam do naszych przyjaciół, których drań nie zabił, tylko

doprowadził do utraty zmysłów, co jest bodaj jeszcze straszniejsze. Gdybyś, Ojczy, widział, w jaką karykaturę człowieka przeobraził się tak chętnie karykaturujący innych Alosza! Jak mało rozumu zostało w przemądrym panu Matwieju! Grzech tak mówić, ale mnie na pewno lżej by było widzieć ich martwymi...

Najobrzydliwsze jest w pseudo-Wasilisku to, że nie zadowolił się swoim okrutnym czynem i nie zostawił nieszczęsnych szaleńców w spokoju.

Z mętnych słów Aloszy Lentoczki można wywnioskować, że „widmo” nadal mu się objawia. Co zaś do Berdyczowskiego, to sama byłam świadkiem, a nawet ofiarą, kolejnej zbrodniczej próby zdeptania ostatniej iskielki rozumu, tłęcej się wciąż w duszy pana Matwieja.

Wczoraj w nocy widziałam Czarnego Mnicha na własne oczy. Ach, jakie to było straszne! Pojawił się oczywiście nie po to, żeby straszyć mnie – chodziło mu o Berdyczowskiego. Ogłuszywszy mnie ciosem w głowę (znac wprawę), przestępca ukrył się nierozpoznany. Jednak właśnie to starcie przywróciło mi rozum i zaczęłam szukać nie diabła, tylko człowieka, chociaż nie tak bardzo znowu różniącego się od Nieczystego.

Nie od razu się domyśliłam, czym zadał cios, będąc w dość znacznej ode mnie odległości. A potem przypomniałam sobie pewną historię, opowiedzianą przez doktora, i pewien obraz, namalowany przez tutejszego malarza (oto człowiek, z którym powinien Ojciec porozmawiać, któremu powinien przemówić do rozumu!), i od razu wszystko zrozumiałam.

„Wasilisk” uderzył mnie szczudłem – takim, jakie widuje się na jarmarkach. Za długo by było i nie ma powodu objaśniać teraz, skąd w lecznicy jarmarczne szczudła, ale jasne jest jedno: zbrodniarz korzystał ze szczudeł, żeby zaglądać w okna na piętrze, gdzie przedtem

przebywał Berdyczowski – a wszystko wciąż w tym samym celu: zastraszyć, dobić. Jednak wczoraj w nocy pana Matwieja przeniesiono z piętra na parter, a Wasilisk mimo to wziął ze sobą szcudła. A zatem Czarny Mnich o przenosinach nie wiedział. No to co z niego za nadprzyrodzona siła?

A teraz wnioski.

Kto ukrywa się pod postacią rozgniewanego Wasiliska, tego nie wiem, mam jednak pewne przypuszczenie co do celu jego przestępczych działań.

Ten człowiek (właśnie człowiek, a nie istota z innego świata) chce zlikwidować Pustelnię Wasiliskową i prawie udało mu się tego dokonać.

Po co? To jest właśnie najważniejsze pytanie i na razie nie mam na nie odpowiedzi, tylko z lekka rysujące się wersje. Niektóre z nich wydadzą się Ojcu zupełnie nieprawdopodobne, ale może i one się przydadzą, jeśli wypadnie Ojcu kończyć sprawę beze mnie.

Zacznę od samego przeora, ojca Witalisa. Pustelnia to dla niego kłopotliwa przeszkoda, bo z gospodarczego punktu widzenia utraciła znaczenie (proszę mi wybaczyć, że rozpatruję rzecz w takich kategoriach, ale myślę, że mniej więcej tak rozumuje sam archimandryta), a z punktu widzenia ambicji, której czcigodny ojciec ma aż nadto, nawet mu przeszkadza, bo przyćmiewa dokonania władcy Nowego Araratu, w samej rzeczy wielkie. Zysk z różańców, z którego dawniej utrzymywała się wspólnota, jest teraz wręcz śmieszny i nie wytrzymuje porównania z innymi źródłami dochodu. Pustelnia przestała też być główną przynętą dla pątników, bo ci zamożni, na których szczególnie zależy ojcu Witalisowi, bardziej cenią zdrowe powietrze, lecznicze wody i malownicze przejażdżki po jeziorze. Zdaniem archimandryty Rubieżna i jej święci mieszkańcy tylko mącą braciom w głowach, odciągają ich od rzeczowej pracy i pośrednio

podrywają autorytet władzy przeorskiej, stale przypominając, że istnieje inna jeszcze Władza, nieskończenie wyższa od archimandryckiej. Witalis charakter ma bezwzględny, nawet okrutny. Dokąd sięga jego żądza władzy i ambicja – Bóg jeden wie.

Druga hipoteza to spisek wśród mnichów, niezadowolonych z gospodarskiej gorliwości Witalisa, realizowanej kosztem służby duchownej i zbawienia duszy. Fakt, że czcigodny ojciec ma wśród starszych braci niejawną partię przeciwników (dla wygody nazwę ich mistykami), nie ulega wątpliwości. Może niektórzy z „mystyków” postanowili nastraszyć pielgrzymów i poderwać autorytet Witalisa wobec hierarchów, na przykład wobec Waszej Przewielebności? W takim razie przedstawienie z Czarnym Mnichem mogłoby mieć na celu wybawienie Nowego Araratu od zgietku i tłumów. Wiadomo, jaki poziom perfidii, a nawet okrucieństwa, może osiągnąć fałszywie pojmowana pobożność – dzieje religii są pełne takich smutnych przykładów.

Możliwe też, że winowajcą jest jeden z pustelników mieszkających na wyspie. Dlaczego i po co – nie próbuję się nawet domyślać, bo na razie o życiu świętych starców prawie niczego mi nie wiadomo. Jednak wszystkie niejasne wydarzenia są tak lub inaczej związane właśnie z pustelnią i obracają się wokół niej. Trzeba zatem rozpatrywać i tę wersję. Byłam dzisiaj na Rubieżnej (tak, tak, proszę się na mnie nie gniewać) i igumen Izrael zadał zagadkę, której sens nie jest dla mnie jasny. Wypadnie udać się tam raz jeszcze.

Teraz dwa przypuszczenia niemające nic wspólnego ze sprawami cerkiewnymi.

Ciekawym typem jest doktor Donat Sawwicz Korowin – właściciel i dyrektor lecznicy. Ten milioner filantrop jest człowiekiem wyjątkowo niejednoznacznym, ochoczym do wszelkich zabaw i doświadczeń z żywymi ludźmi. Stać by go chyba było na urządzenie takiej

mistyfikacji w jakichś tam naukowych celach: powiedzmy – żeby zbadać oddziaływanie wstrząsu mistycznego na różne rodzaje psychiki czy coś w tym rodzaju. A potem wydrukować artykuł w jakimś „Heidelberskim Roczniku Psychiatrycznym”, żeby podtrzymać reputację znakomitości, na moje nieuczone oko niezbyt zasłużoną (leczy tych swoich pacjentów, leczycy, ale wyleczyć ich jakoś nijak nie może).

I wreszcie w „Wasiliska” może się zabawiać któryś z pacjentów Korowina. Wszystko to są ludzie niezwykli, przebywają na swobodzie. Jest ich wszystkiego dwudziestu ośmiu (obecnie, razem z Aleksym Stiepanowiczem i Matwiejem Bencjonowiczem – trzydziestu) i widziałam tylko kilku. Trzeba by przyjrzeć im się bliżej, tylko nie wiem, jak się do tego zabrać. Z Donatem Sawwiczem jestem skłócona, do czego sama doprowadziłam. Nie na tym jednak polega trudność – pogodzić się byłoby nietrudno. Dopóki z twarzy nie zejda mi następstwa znajomości z Czarnym Mnichem, lepiej nie pokazywać się na oczy Korowinowi. Dla niego jestem po prostu ładniutką kobietą (zapewne na tutejszym bezrybiu), a co to za uroda z obrzękiem na pół twarzy. Mężczyźni tak już są zbudowani, że z brzydulą rozmawiać nie będą.

Nawet stąd widzę ironiczny uśmiech na Ojca twarzy. Nie będę udawać, Ojciec i tak na wskroś mnie widzi. Owszem, nieprzyjemna mi jest myśl, że Donat Sawwicz, który patrzył na Polinę Andriejewnę Lisicyną w szczególny sposób i prawił jej komplementy, zobaczy ją w takim rozpaczliwym stanie. Cóż, jestem grzeszna, próżna, kajam się.

Teraz już dopisuję ostatnie linijki i idę.

Noc jest dziś taka, jak trzeba – księżycowa. Właśnie w takiej nocy „Wasilisk” pojawia się przy Mierzei Postnej. Plan mój jest prosty: zaczaję się na brzegu i spróbuję wysledzić mistyfikatora.

Jeśli ten spacer nie da, nazajutrz zajmę się igumenem i Wyspą

Rubieżną.

No, a jeśli zdarzy się tak, że spacerek zakończy się wyżej wspomnianym nieszczęściem, to liczę tylko na to, że do Waszej Przewielebności dotrze niniejsze pismo.

*Przewielebnego Ojca
kochająca córka Pelagia*

Straszne widzenie

Skończywszy list, pani Polina spojrzała w okno i zachmurzyła się z troską. Niebo, jeszcze niedawno jasne, całe zalane równym księżycowym światłem, zmieniało kolor: północny wiatr zaciągał od horyzontu do połowy nieba kurtynę obłoków, zasłaniając nimi bezdenną gwiazdną sferę. Trzeba było się spieszyć.

Pani Lisicyna chciała zostawić pismo do władzyki na stole, ale przypomniała sobie o ciekawskiej służbie. Pomyślała, pomyślała i wreszcie schowała arkusiki do woreczka na robótki, który kryła na piersi. Rozumowała tak: jeśli już spotka ją los Lagrange'a albo, nie daj Boże, Lentoczki i Berdyczowskiego (tu Polina Andriejewna wzdrygnęła się), to list tak czy inaczej nie zginie. Nawet jeszcze wcześniej trafi do przewielebnego. A jeśli archijerejowi nie jest sądzone podnieść się z łoża ciężkiej boleści (tu gorzko westchnęła), to już niech się martwią władze policyjne.

Dalej działała szybko.

Narzuciła płaszcz z kapturem, porwała sakwojaż i naprzód, w noc.

Na nabrzeżu było teraz zupełnie pusto, do zamkniętego pawilonu śledcza dotarła bez przeszkód. I niedługo potem drogą wiodącą z Nowego Araratu do Mierzei Postnej szedł już, kuląc się pod lodowatym wiatrem, chudziutki mniszek w czarnym, rozwiewającym się habicie.

Niebo ciemniało coraz szybciej. Jakkolwiek Pelagiusz przyspieszał kroku, nieprzejrzysta kurtyna przysuwała się do beznamietnego oblicza nocnego świedła bliżej i bliżej.

Dwie sprawy niepokoiły nowicjusza w związku z nadciągającą

ciemnością. Czy jego wyprawa nie będzie daremna, czy złoczyńca nie zrezygnuje z odgrywania Wasiliska? A jeśli mimo wszystko się pojawi, to czy nie należało zabrać ze sobą pułkownikowego rewolweru? Po co ma bez pożytku leżeć w sakwojażu, między żelaznymi skrzynkami? Z nim na opustoszałym, ciemnym brzegu byłoby o wiele raźniej.

Głupstwa – powiedział do siebie Pelagiusz. Przecież nie będzie strzelać do żywej duszy dla ratowania własnego życia. I młody mnich przestał myśleć o rewolwerze, niepokoił się teraz tylko o księżyc, który jednak schował się za chmurę.

Każdy stały mieszkaniec Kanaanu powiedziałby Pelagiuszowi, że przy północnym wietrze księżyc nie ma szans i już za nic nie wyjrzy, najwyżej na kilka króciutkich chwil, a i to nie w pełni, tylko poprzez jakiś niezbyt gęsty obłoczek. Jednak porozmawiać z doświadczonymi ludźmi o zachciankach księżyca nad Jeziorem Modrym nowicjusz nie miał okazji i dlatego na srebrzystomleczne sklepienie popatrywał mimo wszystko z pewną nadzieją.

Na początku mierzei Pelagiusz zgiął się jak najniżej, przylgnął do samej ziemi. Przypadł do wielkiego kamienia i zamarł – zaczął patrzeć tam, gdzie zabójca sprytnie ukrył swoją ławeczkę.

Noc z każdą minutą stawała się ciemniejsza. Z początku jeszcze było widać powierzchnię jeziora, które na zaciekłość północnego wiatru dąsało się wszystkimi swoimi zmarszczkami, ale wkrótce odblaski na wodzie wygasły i teraz o bliskości wielkiej wody dawał znać tylko plusk i świeży wilgotny zapach, jakby w pobliżu ktoś rozkroił gigantyczny ogórek.

Mniszek siedział skulony i wzdychał z rozczarowaniem. Co tu czekać na Wasiliska? Jak tu chodzić po wodzie, skoro nie leży płasko, tylko staje dęba, przecież cały efekt przepadnie!

Prawdę mówiąc, czas było iść sobie, wracać do pensjonatu, ale Pelagiusz wciąż zwlekał, niezdecydowany. Może z uporu, a może

instynkt mu coś podpowiadał.

Bo kiedy chłopaczek całkiem już przemarzył i szykował się do kapitulacji, został wynagrodzony za cierpliwość. W niebiańskiej kurtynie utworzyła się szpara, księżyc odnalazł jakiś cieńszy od innych obłoczek i na kilka chwil oświetlił jezioro, mętnie, byle jak, ale mimo wszystko wystarczająco, żeby przed wzrokiem obserwatora pojawił się niepokojący widok.

Pośrodku niezbyt szerokiej cieśniny, dzielącej dużą wyspę od małej, Pelagiusz zobaczył kołyszący się na falach strączek łódki i stojącą na niej czarną postać w spiczastym kapturze. Postać pochyliła się, podniosła coś jasnego i miękkiego i przerzuciła przez burtę.

Nowicjusz krzyknął, bo wyraźnie dostrzegł dwie gołe, chude, bezwolnie majtające się nogi. Woda zamknęła się nad ciałem, a w następnej sekundzie zamknęła się też luka w chmurach.

Pelagiusz sam nie wiedział, czy ten straszny obraz mu się nie przywidział? Nie byłoby w tym nic dziwnego – ciemność, niepewne światło...

Ale tu młodemu mnichowi przyszła do głowy myśl, od której aż krzyknął.

Zakasał poły habitu tak, że zabielały falbanki damskich pantalonów, i pobiegł kłusem znad brzegu w głąb wyspy.

Póki biegł, mamrotał słowa bezładnej, spiesznie ułożonej modlitwy: „Zachowaj, Boże, jagnię od zębów wilczych i od mężów krwi! I niech powstanie Bóg, i niech rozproszą się wrogowie Jego, i niech rozpierzną się nienawidzący Go przed obliczem Jego!”

Już trzewiki zastukały po brukowanej drodze, ale nie biegło się wcale lżej – teren z wolna się wznosił, i to im dalej, tym bardziej stromo.

Na skraju sosnowego zagajnika, gdzie zaczynały się Korowińskie włości, biegnący całkiem już stracił siły i przeszedł na zwykły krok.

Okna domków były ciemne, niespełna rozumu pacjenci spali.

Pelagiusz nie tyle zobaczył, ile domyślił się nad gęstą ścianą krzewów szklanego dachu oranżerii i pobiegł znowu.

Wpadł do środka i rozpaczliwym, nadrywającym się głosem krzyknął:

– Aleksy! Alosza!

Cisza.

Zaczął się miotać wśród wspaniałej roślinności, wdychając otwartymi ustami oszałamiające tropikalne aromaty.

– Alosza, kochany! Odezwij się! To ja, Pelagia!

Z kąta powiało chłodem. Młody mnich skręcił w tamtą stronę, wpatrując się w ciemność.

Najpierw pod nogami zachrzęściły odłamki szkła, a potem dopiero Pelagiusz dojrzał ogromną dziurę, wybitą w przezroczystej ścianie oranżerii.

Usiadł na ziemi, zasłonił twarz rękoma.

Och, nieszczęście!

Guliwer i liliputy

„Przyjdiesz jeszcze? Przyjdź. Bo inaczej on mnie niedługo zabierze. Przyjdiesz?” Głos Aloszy Lentoczki – zwłaszcza dziecinna, pełna nieśmiałej nadziei intonacja, z jaką wymówione było ostatnie słowo, tkwiły Pelagiuszowi wyraźnie w pamięci i teraz, kiedy już niczego nie można było zmienić – tak dręczyły duszę, że chłopak zakrył sobie uszy dłońmi. Nie pomogło.

Nie trzeba było śledzić zbrodniarza, tylko ratować biednego Aleksego Stiepanowicza, być cały czas obok, strzec, uspokajać. Przecież było jasne (i mniszka napisała to w liście do Mitrofianusza), że złoczyńca nie zrezygnuje ze swoich ofiar, że zamęczy je, dobije. Jak można było nie dosłyszeć w mamrotaniu Aloszy błagania o pomoc?

Pelagiusz jeszcze jakiś czas dręczył się tą myślą, po czym westchnął, wstał z ziemi, strzepnął z podołka uczepony okruch szkła i ruszył w drogę powrotną.

Niech Korowin dowie się o zaginięciu swojego pacjenta rano, od ogrodnika. Nie ma co tracić czasu na niepotrzebne wyjaśnienia, a w dodatku nie wiadomo jeszcze, jaką rolę w całej tej historii odgrywa sam doktor. I nie ma też co głowy sobie teraz łamać nad tym, co się stało, ona i tak omal nie pęka, ta biedna głowa. Położyć się do łóżka i spać, postarać się zasnąć. Ranek jest mądrzejszy od wieczoru.

To wzdychając, to pochlipując, nowicjusz dotarł pogrążoną w nocnych ciemnościach drogą do miasta. Dostał się do pawilonu, żeby zmienić swoje męskie wcielenie w kobiece.

Ledwie zdjął skufię i habit, ledwie wyciągnął z sakwojaża zwiniętą suknię, kiedy stało się coś niewiarygodnego.

Jedna z niezgrabnych metalowych szaf jakimś cudownym sposobem odłączyła się od ściany i ruszyła prosto na Polinę Andriejewną. Ta siedziała w kucki i z osłupieniem patrzyła z dołu na taki cud, nawet nie zdążyła się porządnie przestraszyć.

A przestraszyć się było czego. Automat zasłonił sobą jasną plamę drzwi i pani Lisicyna zobaczyła... nie, nie szafę, tylko ogromną sylwetkę w czarnym mnisim habicie.

Przycisnąwszy ręce do koszuli (oprócz bielizny i pantalonów nic na sobie w tym momencie nie miała), powiedziała drżącym głosem:

– Ja się ciebie nie boję! Wiem, że nie jesteś widmem, tylko człowiekiem!

I zrobiła to, na co raczej by się nie zdecydowała, gdyby była w skromnym mnisim stroju – wyprostowała się, nawet na palce się wspięła, i uderzyła koszmarną zjawę pięścią tam, gdzie powinna się znajdować twarz, a potem przyłożyła jeszcze raz i drugi.

Pięśćka pani Lisicynej, choć niewielka, była jednak mocna i ostra, ale uderzenia nie zrobiły na napastniku żadnego wrażenia. Pani Polina tylko kostki sobie podrapała o coś kłującego i szorstkiego.

Gigantyczne łapska chwyciły wojowniczkę za ręce. Jedna potężna garść złapała oba delikatne nadgarstki, druga z nieopisaną zręcznością obwiązała je szpagatem.

Polina Andriejewna straciła władzę w rękach, ale nie poddawała się – zaczęła kopać, starając się trafić przeciwnika w kolano, a jeśli się uda, to i wyżej.

Napastnik przykucnął, przy czym w tej pozycji okazał się niewiele niższy od stojącej damy, i kilkoma szybkimi ruchami omotał jej łydki i kostki u nóg. Polina Andriejewna chciała odskoczyć, ale mając skrępowane nogi, zwała się na podłogę.

Teraz pozostała już tylko ostatnia broń kobieca – krzyk. Może od razu należało jej użyć, zamiast wymachiwać piąstkami.

Otworzyła usta jak najszerzej, żeby zawołać pomocy – a nuż po nabrzeżu idzie właśnie patrol strażników pokoju albo po prostu spieszą zapóźnieni przechodnie – ale niewidoczna ręka wcisnęła jej między zęby grubą, obrzydliwą, kwaśną szmatkę, a żeby knebla nie można było wypluć – jeszcze obwiązała go z zewnątrz chustką.

Potem potężny mąż lekko podniósł bezradną niewolnicę, wziął ją za kark i związane nogi jak jakąś owieczkę i rzucił na rozestaną rogożę, którą Polina dopiero teraz zobaczyła. Dobrze przygotowany rzezimieszek przeturlał leżące ciało po podłodze, zawijając jednocześnie rogożę – i oto w jedną sekundę pani Lisicyna przekształciła się z nieubranej damy w jakiś nieforemny tłumok.

Głucho porykujące i szarpiące się zawiniątko zostało uniesione w powietrze, przerzucone przez bark, szeroki jak koński grzbiet, i Polina poczuła, że napastnik gdzieś ją niesie. Kołysząc się w takt długich, miarowych kroków, z początku jeszcze próbowała się wyrywać, wydawać krzyki protestu, ale w ciasnym juku za bardzo szarpać się nie było można, a i szanse, by ktoś mógł usłyszeć jęki, zagłuszone kneblem i grubym, workowatym materiałem, były raczej niewielkie.

Wkrótce zrobiło jej się źle: od napływu krwi do zwieszanej głowy, od przyprawiającego o mdłości kołysania, a najbardziej – od przekłętej rogoży, niedającej porządnie odetchnąć i na wskroś przesyconej kurzem. Porwana dama usiłowała kichnąć, ale nie mogła – spróbujcie sami, z kneblem w ustach!

Najgorsze było, że porywacz miał, zdaje się, zamiar zaciągnąć swoją zdobycz w jakieś nieziemskie dale, na sam kraj świata. Szedł i szedł, ani razu nie odsapnąwszy, i nie było końca tej męczącej podróży. Tracącej przytomność brance zaczęło się majaczyć, że wyspa Kanaan dawno już pozostała w tyle (bo nie było na niej miejsca dla takich niezmiernych odległości) i że olbrzym maszeruje po wodach

Jeziora Modrego.

Kiedy pani Lisicyzna z duchoty i braku powietrza już na serio zbierała się stracić przytomność, kroki nieznanego łotra, dotąd głucho, stały się skrzypiące, a do kołysania w rytm marszu doszło jeszcze jakieś inne, jakby zachwiała się sama skorupa ziemiska. Czyżby to naprawdę woda? – przemknęło przez gasnącą świadomość Poliny Andriejewny. Ale w takim razie skąd skrzypienie?

Tu udręczająca podróż wreszcie się zakończyła. Tłumok z rogoży został bez ceremonii rzucony na coś twardego, ale nie na ziemię, raczej na podłogę z desek. Rozległ się chrzęst, zgrzyt zardzewiałych zawiasów. Potem porwaną podniesiono znowu, ale już nie w pozycji poziomej, lecz w pionowej, i to głową w dół, i zaczęto ją opuszczać ni to w dziurę, ni to w jamę, jednym słowem – w jakieś miejsce leżące znacznie poniżej podłogi. Pani Polina stuknęła potylicą w coś twardego, po czym juk gruchnął na jakąś płaską powierzchnię. Z góry znów zaskrzypiało, zazgrzytało, trzasnęły jakieś drzwi. Rozległ się głuchy odgłos oddalających się kroków, jakby ktoś stapał po suficie – i zapadła cisza.

Uwięziona trochę poleżała, nasłuchując. Gdzieś blisko pluskała woda i było jej bardzo dużo. Co jeszcze dało się powiedzieć o miejscu uwięzienia (bo sądząc ze skrzypnięcia drzwi, brankę najwyraźniej gdzieś zamknięto)? Znajdowało się raczej nie na ładzie, lecz na jakimś statku, woda zaś pluskała nie ot tak sobie: uderzała o burtę, a może o molo. Wyteżony słuch pochwycił jeszcze jakieś ciche popiskiwanie, które pani Polinie okropnie się nie spodobało.

Podsumowawszy te wstępne wrażenia, niewolnica zaczęła działać.

Przede wszystkim trzeba było wyplątać się z obrzydliwej rogoży. Lisicyzna przewróciła się z pleców na bok, potem na brzuch, znowu na plecy, i niestety utknęła na ścianie. Do końca uwolnić się nie udało, była wciąż jeszcze ciasno zawinięta, ale wierzchnia warstwa

workowiny mimo wszystko odmotłała się, toteż pojawiła się możliwość wykorzystania jeszcze dwóch zmysłów: powonienia i wzroku. Z tego drugiego, co prawda, pożytku nie było: oczy uwięzionej nie zobaczyły niczego oprócz absolutnych ciemności. Co zaś do węchu, to w ciemnicy czuć było zatęchłą wodą, starym drewnem i rybią łuską. I chyba jeszcze zardzewiałym żelastwem. Ogólnie biorąc, w pierwszej chwili sytuacja specjalnie się nie wyjaśniła.

Ale po jakichś dziesięciu minutach, kiedy wzrok przywykł do ciemności, okazało się, że nie jest ona absolutna. W suficie były długie wąskie szczeliny, przez które przesączało się niesłychanie wprawdzie skąpe, niewiele lepsze od czerni, ale mimo wszystko światło. Dzięki temu ciemnoszaremu oświetleniu Polina Andriejewna z czasem zrozumiała, że leży w ciasnym, obitym deskami pomieszczeniu, najprawdopodobniej w ładowni niewielkiego, rybackiego stateczka (inaczej jak wytłumaczyć zastarzały zapach rybich łusek?). Łupinka była, zdaje się, bardzo marna. Szczeliny przeświecały nie tylko w suficie, ale gdzieniegdzie także w górnych częściach burt. Na wysokiej fali taki pancernik z pewnością natykałby się wody, a może i po prostu zatonał.

Jednak perspektywy nawigacyjne wątego statku zaprzętały teraz głowę pani Lisicynej o wiele mniej niż jej własne losy. A cała sprawa, i tak kiepska, przybierała tymczasem nieoczekiwany i nadzwyczaj nieprzyjemny obrót.

Pisk, który słyhać było już przedtem, nasilił się i na rogoży poruszył się maleńki cień. Za nim drugi i trzeci.

Rozszerzonymi z przerażenia oczami więźniarka widziała, jak po jej piersi, powoli zmierzając w kierunku podbródka, posuwa się procesja myszy.

W pierwszej chwili mieszkanki ładowni zapewne się pochowały,

ale teraz postanowiły jednak wyjść na zwiady, chcąc się zorientować, co to za gigantyczny przedmiot pojawił się nie wiedzieć skąd w ich mysim wszechświecie.

Polina Andriejewna nie była żadnym tchórzem, ale maleńkie, żwawe, szeleszczące mieszkanki mrocznego podziemnego świata zawsze budziły w niej obrzydzenie i niepojęty, mistyczny lęk. Gdyby nie pęta, w mig wyskoczyłaby z piskiem z tej ohydnej dziury. A tak pozostawało jedno z dwojga: albo w haniebnym, a zwłaszcza bezmyślnym sposobie porykiwać i trząść głową, albo przywołać na pomoc rozum.

Myślałby kto, myszy – powiedziała sobie moskiewska dama. Zupełnie nieszkodliwe zwierzątka. Powąchają i pójdą sobie.

Tu przypomniała sobie szczury obwąchujące Horodniczego^[11] i pocieszyła się dodatkowo takimi rozważaniami: myszy to nie szczury, na ludzi się nie rzucają, nie gryzą. Właściwie to nawet zabawne. One też straszliwie się boją, przecież ledwie pełzną, jak liliputy po związanym Guliwerze.

Ze skroni spłynęła kropla zimnego potu. Najodważniejsza mysz dotarła całkiem blisko. Oczy na tyle oswoiły się z ciemnością, że więźniarka obejrzała gościa ze wszystkimi szczegółami, aż do krótkiego, obgryzionego ogonka. Wstrętne zwierzę połaskotało wąsikami podbródek racjonalistki i rozum natychmiast skapitulował.

Uwięziona rzuciła się całym ciałem i dławiąc się krzykiem, przeturlała z powrotem na środek ładowni. Uwolniło ją to od myszy, ale za to znów nasunęła się rogoża. Lepiej już tak – powiedziała sobie porwana, wsłuchując się we wściekły stukot serca.

Niestety, nie minęło nawet pięć minut, gdy po workowatej tkaninie, wprost nad twarzą, znów zaszurały maleńkie, chwytne pazurki. Polina Andriejewna wyobraziła sobie, co będzie, jeśli tamta, z kusym ogonem, przedostanie się do wnętrza tobołu, i szybko przeturlała się z powrotem do ściany.

Leżała, wciągając nozdrzami powietrze. Czekwała.

A wkrótce znów wszystko się powtórzyło: pisk, potem ostrożny marsz po piersi. Znów turlanie się po podłodze.

Po jakimś czasie ustaliła się pewna rutyna. Więźniarka zrzucała z siebie nieproszonych gości, to nawijając, to rozwijając workowinę. Myszom chyba spodobała się ta wciągająca zabawa, bo stopniowo przerwy między ich wizytami stały się krótsze. Polinie Andriejewnie zaczęło się wydawać, że zamieniła się w pociąg ze zbioru zadań arytmetycznych, jadący z punktu A do punktu B i z powrotem z coraz krótszymi postojami.

Kiedy na górze (czyli, jak należało się domyślać, na pokładzie) rozległy się kroki, pani Lisicyna nie przestraszyła się, tylko ucieszyła. Niech się dzieje, co chce, byle skończył się ten koszmarny walc!

Przyszło jakichś dwoje: do ciężkiego, niedźwiedziego kroku, który Polina Andriejewna słyszała już wcześniej, doszedł jeszcze jeden – lekki, stukoczący.

Zagrzechotała klapa i granatowoszare światło nocy wydało się uwięzionej tak jaskrawe, że zmrużyła oczy.

Caryca Kanaanu

Rozległ się władczy kobiecy głos:

– Ano, pokaż ją!

Pani Polinie wypadł akurat przystanek w punkcie B, przy ścianie, tak że twarz miała odsłoniętą, zobaczyła więc, jak z góry zsuwa się przenośna drabinka.

Po szczeblach, obcasami naprzód, załomotały potężne buciory, nad którymi powiewał podolek czarnego habitu.

Oślepiające światło lampy naftowej obieгло sufit i ściany. Gigantyczna figura, która zajęła prawie pół ładowni, odwróciła się i ofiara rozpoznała swojego porywacza.

Brat Jonasz, kapitan parowca „Święty Wasilisk”!

Mnich postawił lampę na podłodze i splótłszy na brzuchu palce, stanął obok leżącej branki.

Kobieta, której twarzy Polina Andriejewna nie widziała, przykucnęła przy otwartym luku – zaszeleściła cienka tkanina i głos, który teraz wydał się bardzo znajomy, rozkazał:

– Rozwiń ją, nic nie widzę.

Lidia Jewgieniewna Borejko, histeryczny gość doktora Korowina – oto kim była ta kobieta!

Nie starczyło czasu, żeby cokolwiek zrozumieć, pojąć sens wydarzeń. Brutalne ręce jednym szarpnięciem wytrząsnęły uwięzioną ze zwojów rogoży na podłogę.

Polina Andriejewna jakoś zdołała uklęknąć, a potem dostać się na drewniany występ okalający całe ciasne pomieszczenie. A więc to na nim, nie na ścianach, zatrzymywała się, kiedy turlała się tam

i z powrotem po podłodze. Siedzisko okazało się twarde, ale mimo wszystko tak było godniej niż walać się na podłodze. Chociaż co tu mówić o godności, kiedy siedzi człowiek w samej bieliźnie, ze związanymi rękoma i nogami, z ustami zatkanymi szmatą...

Pani Borejko zeszła po stopniach, ale nie na sam dół, widać chciała górować nad więźniem. Spod czarnego aksamitnego płaszcza widać było jedwabną suknię, także czarną, na szyi uroczyście połyskiwał sznur wielkich pereł. Polina Andriejewna zauważyła, że znajoma Korowina jest teraz wystrojona znacznie wspanialej niż podczas poprzedniego spotkania: na palcach błyszcząły pierścienie, na nadgarstkach bransolety, nawet woalka była niezwykła, przypominała złotą pajęczynkę – jednym słowem, Lidia Jewgieniewna wyglądała wprost po królewsku. Kapitan patrzył na nią z zachwytem, a nawet nie tyle z zachwytem, co nabożnie, tak jak zapewne patrzyli na złotolicą Astarte starożytni poganie.

Obrzuciwszy pogardliwym wzrokiem obróconą w nicość brankę, pani Borejko powiedziała:

– Spójrz na mnie i na siebie. Ty jesteś żalosną, brudną, trzęsącą się ze strachu niewolnicą. A ja – carycą. Ta wyspa należy do mnie, jest moja! Nad tym męskim królestwem panuję ja, i to panuję niepodzielnie! Każdy przebywający tutaj mężczyzna i każdy, kto dotknie stopą tej ziemi, staje się moim. Stanie się moim, jeśli tylko sobie zażyczy. Jestem Kalipso, jestem Semiramidą Północy, jestem władczynią kananejską! Jak ty, ruda kocico, śmiałaś pokusić się o moją koronę! Uzurpatorka! Ryży samozwaniec! Przybyłaś tu specjalnie, by wydrzeć mi tron! O, od razu to zrozumiałam, kiedy cię zobaczyłam tam, na przystani. Takie jak ty tutaj się nie pojawiają, tylko ciche, nabożne myszki, a ty jesteś ognistoczerwony lis, zachciało ci się mojego kurnika!

Przy wzmiance o myszkach pani Polina chyłkiem zerknęła na

podłogę, ale małeńkie towarzyszeki jej niedawnej koszmarnej zabawy widocznie pochowały się przed hałasem i światłem w szczelinach.

– Ciebie nie obchodzą ararackie świętości! – ciągnęła swoją niesamowitą przemowę groźna pani Borejko. – Mój niewolnik – tu wskazała Jonasza – cię śledził. Nie odwiedziłaś ani jednej świątyni, ani jednej kaplicy! Jeszcze czego, nie po to przecież przyjechałaś!

A więc o to chodzi, to jest rozwiązanie zagadki – późno, zbyt późno, zrozumiała tropicielka. Wszystkie wersje, i te prawdopodobne, i te niezbyt wiarygodne, były błędne. Prawda jest fantastyczna, przechodząca wyobrażenie! Kto mógł przypuścić, że jedna z mieszkańek wyspy zechce się ogłosić „kananejską carycą”! To dlatego olśniewająca pani Borejko osiedliła się na dalekiej wyspie, dlatego stąd nie wyjeżdża! Nie ma co mówić, jest bardzo piękna, wspaniała, nawet na swój sposób majestatyczna. Ale w Petersburgu byłaby jedną z wielu; w stolicy guberni – jedną z nielicznych; nawet w jakimś zapadłym powiecie mogłaby się znaleźć rywalka. Tu zaś, w tym męskim świecie, współzawodniczyć z nią nie ma kto. Tutejsze damskie towarzystwo w ogóle nie istnieje, proste kobiety się nie liczą. A przyjezdne pątniczki są nastawione szczególnie, nabożnie, snują się z postnymi twarzami, zakutane w czarne chusty, na mężczyzn nie patrzą, zresztą po co, skoro tam, skąd na krótko przyjechały, żeby wymodlić sobie odpuszczenie grzechów, kawalerów mają aż nadto.

Borejko stworzyła sobie tu, na wyspie, własne mocarstwo. Ma swojego dzina, swojego wiernego niewolnika, kapitana Jonasza. Oto on, Czarny Mnich we własnej osobie! Stoi z idiotycznym, rozanielonym uśmiechem na wygarbowanej wiatrem twarzy. Taki pokornie spełni każdą zachciankę władczyni, nawet zbrodniczą. Rozkaże mu postraszyć poddanych, wsączyć w ich serca mistyczny strach – Jonasz to zrobi. Każe zabić, odebrać rozum, porwać – on bez namysłu spełni i ten rozkaz.

Wstrząśnięta Polina Andriejewna nie miała teraz czasu przeniknąć do końca możliwych motywów potwornego zamysłu, ale jedno wiedziała na pewno: kobieca ambicja jest bardziej niezmierna i absolutna od męskiej; a jeśli czuje z czyjejs strony zagrożenie, to zdolna jest do każdej perfidii i każdego okrucieństwa. Rozbestwioną „carycę” trzeba było wyprowadzić z błędu co do zamiarów rzekomej pątniczki (bo przecież araraccy mężczyźni i w ogóle mężczyźni pani Polinie do niczego nie byli potrzebni), inaczej Lidia Jewgieniewna w złości dopuści się jeszcze jednego przestępstwa. Bo jaką różnicę zrobi jej to teraz, po wszystkich poprzednich!

Związane w nadgarstkach ręce spróbowały dostać knebla, ale gdzie tam: zręczny marynarz połączył ze sobą pęta na rękach i nogach tak, że dosięgnąć mocno zaciągniętego węzła w tyle głowy nie było można.

Niewolnica zamyczała, dając do zrozumienia, że chce się wypowiedzieć. Wyszło to żałośnie, ale caryca Kanaanu nie okazała zmiłowania.

– Na litość chcesz mnie wziąć? Za późno! Innych jeszcze bym ci wybaczyła, ale jego... nigdy! – Oczy pani Borejko błysnęły taką nienawiścią, że Polina Andriejewna zrozumiała: ona i tak nie chciałyby jej słuchać, dla niej wszystko jest już rozstrzygnięte.

Kogo zaś nie mogła jej wybaczyć, pani Polina w końcu się nie dowiedziała, bo oskarżycielka wzięła się dumnie pod boki, opuściła rękę gestem rzymskiej cesarzowej, skazującej gladiatora na śmierć, i oznajmiła:

– Wyrok na ciebie jest już wydany i będzie wykonany natychmiast. Jonaszu, dotrzymasz przysięgi?

– Tak, caryco – ochryple odpowiedział kapitan. – Dla ciebie wszystko, czego tylko zażadasz!

– No to czyn swoją powinność.

Jonasz pogrzebał w ciemnym kącie i wyciągnął skądś żelazny łom.

Poplą w ręce, chwycił mocniej.

Rozbije głowę? Pani Polina zmrużyła oczy.

Rozległ się chrzęst, trzask wyłamywanych desek.

Branka otworzyła oczy i zobaczyła, że olbrzym z rozmachu wyłamał burtę, i to chyba poniżej linii wodnej, bo w otwór wdarła się woda. Kapitan zamachnął się i uderzył znowu. Potem jeszcze i jeszcze.

I oto już z czterech wyrw pociekły z bulgotem czarne, oleiście połyskujące strumienie.

– Dosyc – powstrzymała niszczyciela Lidia Jewgieniewna. – Chcę, żeby to potrwało. A ona niech wyje z przerażenia, niech przeklina dzień i godzinę, kiedy ośmieliła się wdrzeć w moje dziedziny!

Ogłosivszy ten straszny wyrok, pani Borejko wspięła się po drabince na pokład. Jonasz załomotał buciorami w ślad za nią.

Podłogi już nie było widać, cała zniknęła pod wodą. Polina Andriejewna uniosła nogi i położyła na ławeczce, potem z trudem wyprostowała się, napierając plecami na burtę.

Co za obrzydlistwo! Woda wygnała ze szczelin myszy, a te z piskiem polazły w górę po pantalonach skazanej.

Z góry rozległ się drwiący śmiech:

– Proszę, istna księżniczka Tarakanowa! Zamykaj!

Drabinka wjechała do luku, zatrzasnęła się kłapa, w ładowni zapadła ciemność.

Przez deski sufitu słysząc było rozmowę morderców.

Kobieta powiedziała:

– Zaczekaj na brzegu, dopóki nie zatonie. Potem przyjdź. Może dostaniesz nagrodę.

Odpowiedzią było pełne zachwyty wycie.

– Powiedziałam: może – uśmierzyła tryumfującego Jonasza pani Borejko.

Oddalające się kroki. Cisza.

Na świecie, który dla uwięzionej skurczył się teraz do rozmiarów drewnianej klatki, nie było nic prócz ciemności i plusku wody. Najgorsze ze wszystkiego wydało się ginącej pani Polinie to, że jej list do władzyki – błędny, co prawda, w części dedukcyjnej, ale mimo wszystko wiele tłumaczący i wyjaśniający – utonie razem z nią. I nikt się nie dowie, że Wasilisk to nie widmo i nie chimera, tylko złośliwa zabawa zbrodniczego umysłu.

Ale, tak czy inaczej, poddawać się nie można do ostatniej chwili. Dopiero kiedy wszystkie ludzkie możliwości są wyczerpane, wolno pogodzić się z nieuchronnym i zdać na Bożą wolę.

Tyle że możliwości związanej i zamkniętej w pułapce Poliny Andriejewny były potwornie ograniczone.

Wyjąć knebla się nie dawało, rozpętać rąk też nie.

W takim razie trzeba spróbować uwolnić nogi – powiedziała sobie więźniarka. Przysiadła w kucki i rzeczywiście – palce namacały sznurek krępujący kostki.

Niestety, nie były to zwykłe węzły, tylko jakieś wyjątkowo przemyślnie, pewnie żeglarskie, i tak mocno zaciągnięte, że paznokciami nie dawały się nijak poluznić.

Sądząc z plusku, woda podniosła się już do poziomu ławy. Gdzieś całkiem blisko piszczała mysz, ale Polina nie miała teraz głowy do kobiecych lęków. Gdyby tak wczepić się w węzeł zębami! Skurczyła się, jak tylko mogła, chwyciła mocniej za szmatkę, zatykającą jej usta, pociągnęła w dół i omal nie wywichnęła sobie dolnej szczęki, a do tego jeszcze od szarpnięcia kolnęła ją w pierś coś ostrego.

Co to?

Druty, druty do wełny. Przecież ma pod koszulką woreczek z robótką!

Szybko wsunęła od dołu ręce pod koszulę, namacała torebkę, a wyciągnąć stamtąd jeden z drutów było sprawą chwili.

Teraz podważyć węzeł ostrym, metalowym końcem, pociągnąć, połuźnić...

Zimna woda lizała podeszwy i powoli sączyła się do wnętrza trzewików.

Jest! Nogi wolne!

Ręk co prawda uwolnić się nie uda, ale teraz przynajmniej można je podnieść.

Najpierw rozwiązała mocno naciągniętą chustkę i wyszarpnęła z ust nienawidzony knebel. Potem wspięła się na palce i wparła szczepionymi pięściami w pokrywę luku.

Ach! Zamknięta na zasuwę. Nawet teraz nie można się wydostać z ładowni!

Ale Polina Andriejewna nie rozpaczała długo. Buchnęła na kolana (bryzgi poleciały na wszystkie strony) i zaczęła macać po podłodze.

Jest łom! Leżał tam, gdzie go rzucił Jonasz.

Znów się wyprostowała, wzięła zamach i – łups w pokrywę, ile sił.

Żelazo wyłamało zbutwiałą klapę na wskroś. Jeszcze kilka uderzeń i zasuwa wyskoczyła z obejm. Więźniarka otworzyła drzwiczki i zobaczyła nad sobą przedświtowe niebo. Powietrze było nieprzyjemne, wilgotne, ale pachniało życiem.

Wczepiwszy się palcami w skraj otworu, Polina Andriejewna podciągnęła się, oparła o brzeg jednym łokciem, potem drugim – nie było to zbyt trudne dla nauczycielki gimnastyki.

Kiedy już siedziała na pokładzie, spojrzała w dziurę. Kołysała się tam czarna, martwa woda, podnosząca się wciąż szybciej i szybciej – zapewne wyrwy rozszerzyły się pod jej naporem.

A co to za plamka na powierzchni?

Przyjrzała się – mysz. Jedyna ocalała, inne potonęły. A i ta taplała się ostatekiem sił.

Skrzywiwszy się z obrzydzeniem, cudownie ocalona pani Polina

zwiesiła się w dół, pochwyciła dłonią szarą pływaczkę (okazała się nią tamta, kusa) i jak najszybciej odrzuciła ją dalej od siebie, na pokład.

Mysz otrząsnęła się jak piesek, nawet nie obejrzała na swoją wybawicielkę i popędziła po trapie na brzeg.

I dobrze zrobiła, pokład już prawie się zrównał z powierzchnią jeziora.

Pani Lisicyna rozejrzała się wokoło. Zobaczyła na wpół zatopione barkasy, sterczące z wody maszty, gnijące na płyciźnie drewniane kadłuby.

Znajdowała się więc na cmentarzysku rybackich łódek i barek – oto gdzie przywłókł na zatracenie swą zdobycz oszalały z namiętności kapitan Jonasz.

I – o wilku mowa – akurat pojawił się on sam, we własnej osobie.

Z bladej mgły, snującej się nad brzegiem, do trapu zmierzała masywna, czarna sylweta.

Bieg długodystansowy

Niedawnej więźniarce rzuciły się w oczy ręce mnicha, niespiesznie, spokojnie zakasujące rękawy habitu. Sens tego ruchu był tak oczywisty, że zmartwychwstała od razu przestała wdychać błogosławiony zapach życia i idąc za przykładem swej żwawej przyjaciółki w nieszczęściu, ile sił w nogach popędziła w kierunku trapu.

Zbiegła po chwiejnej desce na ląd, dała nurka pod wyciągniętym łapskiem kapitana i ruszyła pędem po żwirze, po kamieniach, wreszcie po ścieżce – tam, gdzie wedle jej wyliczeń powinno znajdować się miasto.

Obejrzawszy się, zobaczyła, że Jonasz galopuje w ślad za nią, ciężko grzechocząc butami. Tylko gdzie mu tam było dogonić szybko nogą biegaczkę! W dodatku co innego długi habit, a zupełnie co innego leciutkie, niekrępujące ruchów satynowe pantalone.

Nie było wątpliwości, że gdyby teraz właśnie odbywały się igrzyska olimpijskie, ta nowomodna europejska zabawa, to medal za szybkość biegu zdobyłby nie ścigający, lecz jego niedoszła ofiara.

Pani Lisicyna najpierw wysforowała się o dwadzieścia kroków, potem o pięćdziesiąt, o sto. Już nawet tupotu prawie nie było słychać. Ilekroć jednak się oglądała, widziała, że uparty kapitan wciąż biegnie, biegnie i poddawać się nie myśli.

Ścieżka była zupełnie pusta, po obu jej stronach widać było gołe łąki, ani jednego domu, tylko przysadziste zabudowania gospodarcze, ciemne, bezludne. Na nic innego niż własne nogi liczyć nie było można.

Nogi sprawnie odbijały się od sprężystej ziemi: raz – dwa – trzy – cztery – wdech, raz – dwa – trzy – cztery – wydech, za to ręce im dalej, tym bardziej przeszkadzały. Wedle angielskiej nauki o sporcie prawidłowy bieg wymaga zwierciadlanych wymachów, energicznego udziału łokci i ramion, a o jakich wymachach można tu mówić, o jakim udziale, jeśli związane napiętki są przyciśnięte do piersi.

Potem, kiedy ścieżka zaczęła z wolna się wznosić, dały o sobie znać kłopoty z oddechem. Naruszając zasady właściwej metody, pani Polina oddychała już i ustami, i nosem, i to nie z czwartego kroku na piąty, tylko jak tam szło. Kilka razy potknęła się, ledwie utrzymała na nogach.

Tupot buciorów z wolna się przybliżał i uciekająca przypomniawszy sobie, że najnowszy regulamin olimpijski przewiduje oprócz sprintu, czyli biegu na krótki dystans, również stayering, zawody długodystansowców. Wyglądało na to, że w tej dyscyplinie zwycięstwo przypadłoby raczej bratu Jonaszowi.

Mgła rozwiała się, a i świt powolutku nabierał sił, tak że wreszcie można było zobaczyć, jaki to dystans trzeba będzie pokonać. Z lewej, o wiorstę albo i półtorej, sennie szarzały dzwonnice miasta. Tak daleko tracąca siły pani Polina za nic by nie dobiegła; cała nadzieja w tym, że spotka kogoś, kto ją uratuje. A jeśli nie spotka?

Na prawo, nie dalej niż o trzysta kroków, biała na skale samotna wieżyczka, na oko sądząc – latarnia ostrzegająca żeglarzy. Przecież musi tam ktoś być!

Pół biegiem, pół zwykłym krokiem, ciężko sapiąc, rzuciła się ku wąskiej, murowanej budowli. Trzeba by było krzyknąć, zawołać pomocy, ale na to już sił nie starczyło.

Dopiero kiedy do latarni zostało tyle co nic, uciekiniarka zobaczyła, że okienka są zabite deskami na krzyż, dziedziniec porósł burą trawą, a ogrodzenie jest na wpół zwalone.

Latarnia była nieczynna, opuszczona!

Polina biegła jeszcze przez chwilę, już bez żadnego sensu, po prostu z rozpędu. Potknęła się o kępkę trawy i padła tuż przed krzywo wiszącym skrzydłem rozwartej bramy.

Podnieść się nie starczyło już sił, a zresztą po co? Zamiast tego oparła się na łokciach, odrzuciła w tył głowę i zakrzyczała. Nie żeby wezwać pomoc (kto ją tu usłyszy?), tylko z rozpacz. Otom ja, Panie Boże, zakonnica Pelagia, w świecie Polina Lisicyna. Ginę!

Wyrzuciwszy z siebie strach, odwróciła się w stronę zbliżającego się tupotu.

Kapitan nawet się za mocno nie zasapał, tylko fizys jeszcze bardziej mu poczerwieniała.

Przycisnąwszy ręce do piersi (wyglądało to, jakby błagała o litość), Polina Andriejewna powiedziała żarliwie:

– Bracie Jonaszu! Co ja ci zrobiłam? Jestem twoją siostrą w Chrystusie! Nie gub żywej duszy.

Myślała, że nie odpowie.

Ale mnich zatrzymał się nad leżącą, otarł rękawem czoło i powiedział basem:

– Własną duszę zgubiłem, to co cudzej mam żałować?

Obejrzał się, schylił po leżący koło ścieżki wielki, porowaty kamień, podniósł go nad głowę. Pani Lisicyna tym razem nie mrużyła oczu, patrzyła w górę. Nie na swojego zabójcę – w niebo. Było pochmurne, surowe, ale pełne światła.

– Hej, przyjemniaczku! – rozległ się nagle dźwięczny, spokojny głos.

Polina Andriejewna, która już pogodziła się z tym, że jej ruda głowa zaraz rozpadnie się w kawałki, ze zdumieniem popatrzyła na Jonasza. Ten, nadal trzymając nad sobą głaz, odwrócił się w stronę latarni. Tak, głos dochodził właśnie stamtąd.

Drzwi wieży, przedtem zamknięte, otwarte były na oścież. Na niskim ganeczku stał pan w jedwabnym szlafroku z kutasami, we wzorzystych perskich bamboszach. Najwyraźniej zszedł prosto z posłania.

Pani Lisicyzna poznała go od razu. I jakże mogłaby nie poznać! Czy można zapomnieć tę śmiałą twarz, te błękitne oczy i złocisty lok, skośnie padający na czoło?

To on, ten sam. Wybawca kociąt, mąciciel kobiecego spokoju.

Co za czary!

Kuszenie świętej Pelagii

– Odłóż kamyczek, słuگو Boży – powiedział chłopak jak malowanie, przyglądając się ciekawie wielkiemu mnichowi i leżącej u jego stóp młodej kobiecie. – Chodź no tutaj, natrę ci uszu, żebyś wiedział, jak obchodzić się z damami.

Wygłaszając te zuchwałe słowa, był po prostu wspaniały: szczupły, zgrabny, z kpiącym uśmiechem na subtelnych wargach. Dawid rzucający wyzwanie Goliatowi – takie porównanie przyszło do głowy oszołomionej tempem wydarzeń wdowie Lisicynej.

Lecz, przeciwnie niż w biblijnym pojedynku, kamień trzymał w ręce nie piękny bohater, tylko olbrzym, który z głuchym rykiem obrócił się i rzucił pocisk w niespodziewanego świadka.

Ciężki kamień na pewno zbiłby blondyna z nóg, ale ten zwinnie się usunął i głaz uderzył w skrzydło otwartych drzwi, roztrzaskał je na dwoje, po czym spadł na ganek, stoczył się po trzech stopniach i ugrzązł w błocie.

– Ach, więc tak! No to czekaj, długopoły.

Twarz rycerza z drwiącej zmieniła się w zdecydowaną, podbródek wysunął się do przodu, oczy błysnęły stalą. Cudowny obrońca przyskoczył do mnicha, przyjął elegancką boksterską postawę i obsypał szeroką mordę kapitana gradem celnych, soczystych ciosów, które niestety nie zrobiły na Jonaszu żadnego wrażenia.

Drab odmachnął się od natarczywego przeciwnika jak od dokuczliwej muchy, potem chwycił go za ramiona, uniósł w górę i odrzucił na dobre dwa sążnie. Przyglądająca się walce dama tylko jęknęła.

Blondyn natychmiast zerwał się na nogi i zrzucił z siebie niepotrzebny w takich okolicznościach szlafrok. Koszuli pod szlafrokiem nie było, toteż oczom pani Poliny objawił się płaski brzuch i muskularna, porośła złotym włosom pierś. Teraz bojownik jeszcze bardziej przypominał Dawida.

Zrozumiawszy widocznie, że takiemu niedźwiedziowi gołymi rękami nie da rady, mieszkaniec latarni obrócił się w prawo, w lewo, rozglądając się za jakimś narzędziem. Na szczęście koło szopy z zapadniętym dziurawym dachem walał się w trawie stary dyszel.

Dwoma susami Dawid znalazł się przy nim, chwycił obiema rękoma i opisał nad głową świszczące koło. Wyglądało na to, że szansę się wyrównały. Polina Andriejewna nabrała otuchy, uniosła się z ziemi i wbiła zęby w sznurek. Ach, żeby szybciej uwolnić ręce, szybciej przyjść z pomocą!

Goliat wcale nie przestraszył się dyszla, szedł prosto na wroga, z zaciśniętymi pięściami, opuszczoną głową. Kiedy zaimprovizowana maczuga spadła mu na ciemę, kapitan nawet nie raczył się uchylić, tylko zachwiał się z lekka. Za to dyszel przełamał się na pół jak zapałka.

Kapitan znów chwycił przeciwnika za bary, rozpedził się i rzucił go, tym razem już nie na ziemię, tylko o ścianę latarni. Zdumiewające po prostu, że blondyn od takiego wstrząsu nie stracił przytomności!

Zatoczył się, wdrapał na ganek – chciał zrejterować do domu, gdzie prawdopodobnie miał jakieś inne narzędzie obrony, skuteczniejsze od zbutwiałego dyszla. Ale Jonasz odgadł zamiar pięknego pana, rzucił się z rykiem przed siebie i dogonił go.

Wynik pojedynku nie budził już wątpliwości. Jednym łapskiem mnich przycisnął biednego paladyna do framugi drzwi, drugie niespiesznie cofnął i zwinął w pięść, szykując się do zadania druzgoczącego, a nawet zapewne śmiertelnego ciosu.

W tym właśnie momencie pani Lisicyna uporała się wreszcie z więzami. Zerwała się na nogi i piszcząc przeraźliwie, na najwyższą nutę, rzuciła się na odsiecz swojemu obrońcy. Z rozbiegu wskoczyła kapitanowi na ramiona, objęła go rękami i na dodatek ugryzła w szyję, która okazała się w smaku słona i twarda jak suszona wobła.

Jonasz strząsnął lekką jak piórko damę niczym niedźwiedz psa: gwałtownie szarpnął cielskiem i pani Polina odleciała na bok. Ale od tego szarpnięcia stojący na skraju ganku olbrzym stracił równowagę, zachwiał się, a Dawid nie przegapił sprzyjającej okazji i z całych sił huknął mnicha-żeglarza czołem w podbródek.

Upadek giganta, choć z niewielkiej wysokości, wyglądał nie mniej monumentalnie niż zwalenie kolumny Vendôme (Polina Andriejewna widziała kiedyś obrazek, na którym paryscy komunardzi obalają napoleoński słup). Brat Jonasz gruchnął plecami o ziemię, a potylicą uderzył w ten sam żłobkowany kamień, którym nie tak dawno próbował się posłużyć jako narzędziem mordy. Temu spotkaniu towarzyszył przerażający trzask; olbrzym legł nieruchomo, rozłożywszy potężne ręce.

– Dzięki ci, Panie – z uczuciem wyszeptała pani Lisicyna. – To jest sprawiedliwe.

W tej samej chwili zawstydziła się jednak własnej krwiożerczości. Podeszła do leżącego, przykucnęła, podniosła opadłą powiekę, żeby sprawdzić, czy żyje.

– Żyje – westchnęła z ulgą. – To ci ma twardy czerep!

Jej towarzysz boju zeszedł po stopniach, przysiadł na ganku, spojrzał z obrzydzeniem na rozbite kostki palców.

– A do diabła z nim. Niechby i zdechł.

Niespiesznie, z zainteresowaniem obejrzał damę w ubłoconej bieliźnie. Polina Andriejewna zarumieniła się, przykryła dłonią haniebny siniak.

– Aha, wdowa-narzeczona – poznał ją mimo to piękniś. – Wiedziałem, że się spotkamy, i spotkaliśmy się. No, no, to ci dopiero. – Odsunął na bok jej dłoń i gwizdnął z cicha. – Jaką pani ma delikatną cerę! Ledwie upadła i już krwiał.

Ostrożnie (wydawało się nawet, że pieszczotliwie) powiódł palcem po sianej skórze. Pani Lisicyna nie odsunęła się. Nie usiłowała wyjaśniać, że siniak nie jest świeży, tylko wczorajszy.

Dziwny blondyn patrzył jej prosto w oczy, jego wargi próbowały się rozciągnąć w wesołym uśmiechu, ale niezupełnie się to udało, bo z kącika ust ściekały mu purpurowe krople.

– Pani jest odważna, lubię takie.

– Proszę się odwrócić – powiedziała pani Polina, przenosząc wzrok z jego twarzy na zranione ramię. – O, proszę, całe plecy ma pan odarte. Krew. Trzeba obmyć i opatrzyć.

Tu piękny blondyn roześmiał się, nie zwracając już uwagi na rozbitą wargę. Szpary między białymi zębami również były czerwone od krwi.

– Też się siostra miłosierdzia znalazła! Na siebie by pani popatrzyła.

Wstał, jedną ręką objął damę za ramiona, drugą chwycił pod kolana, porwał na ręce i zaniósł do wnętrza. Pani Polina chciała zaprotestować, ale po wszystkich nerwowych i fizycznych wstrząsach całkiem opadła z sił, a przytulona do ciepłej, twardej piersi zdecydowanego człowieka czuła się spokojna i radosna. Dopiero co, jeszcze minutę temu, wszystko było źle, po prostu strasznie, a teraz wszystko jest, jak trzeba, i jest dobrze – takie mniej więcej uczucia zawładnęły w tej chwili moskiewską damą. Można już o niczym nie myśleć, nie martwić się. Jest ktoś, kto wie, co należy robić, gotów wziąć na siebie każdą decyzję.

– Dziękuję – wyszeptała, przypomniawszy sobie, że jeszcze nie

podziękowała swemu wybawicielowi. – Uratował mnie pan od niechybnej śmierci. To prawdziwy cud.

– Rzeczywiście cud. – Piękny młodzian ostrożnie położył ją na tapczanie nakrytym niedźwiedzią skórą. – Miała pani szczęście. Ja osiedliłem się tutaj zaledwie tydzień temu. Latarnia jest już od dawna niezamieszkała. Stąd to zapuszczenie, proszę się nie gniewać.

Pokazał szerokim gestem pokój, który w obecnym stanie wydał się Polinie Andriejewnie niezwykle romantyczny. W połowie jedyne okna brakującą szybę zastępowała zwinięta burka, za to przez drugą połowę otwierał się doskonały widok na jezioro i siniejącą nieopodal Wyspę Rubieżną. Kulawy stół nakryty wspaniałym aksamitnym obrusem, miękki turecki fotel ze stosem poduszek i wspomniany już tapczan stanowiły całe umeblowanie. W poczerniałym od sadzy kominie trzaskały niedopalone przez noc polana. Jediną ozdobą gołych kamiennych ścian był barwny wschodni kobierzec, na którym wisały strzelba, kindżał i długi rzeźbiony cybuch.

– Jak pan tu mieszka sam? Dlaczego? – niezupełnie uprzejmie spytała uratowana. – Ach, przepraszam, przecież nie przedstawiliśmy się sobie. Jestem Polina Andriejewna Lisicyna, z Moskwy.

– Mikołaj Wsiewołodowicz – skłonił się gospodarz, ale nazwiska nie podał. – Mieszka mi się tu doskonale. Co zaś do przyczyny... Ludzików tu nie ma, tylko wiatr i fale. Ale porozmawiamy później. – Nalał z samowara do miski gorącej wody, wziął ze stołu czystą chusteczkę. – Najpierw zajmiemy się pani ranami. Raczy pani podnieść koszulę.

Podnieść koszuli Polina Andriejewna oczywiście nie zechciała, ale przemyć twarz, zadrapania na łokciach, a nawet otarte przez sznurek kostki u nóg – pozwoliła. Brat miłosierdzia był z Mikołaja Wsiewołodowicza niezbyt sprawny, ale staranny. Patrząc, jak ostrożnie zdejmuje z jej nogi mokry trzewik, pani Lisicyna ze

wzruszeniem zamrugła rzęsami i nie obraziła się na uzdrowiciela, kiedy boleśnie nacisnął obrzmiąłą kostkę.

– Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna. A szczególnie za to, że bez namysłu i nie próbując w ogóle zorientować się w sytuacji, rzucił się pan na pomoc zupełnie nieznanemu człowiekowi.

– Głupstwo. – Gospodarz machnął ręką, przemywając zadrapanie na łydce. – Nawet nie ma o czym mówić.

I widać było, że nie kryguje się – rzeczywiście nie przywiązywał do swego wspaniałego czynu żadnego znaczenia. Po prostu postąpił w naturalny dla siebie sposób, jak wtedy z kociątkiem. To właśnie było najbardziej ujmujące.

Pani Polina starała się nie odwracać do bohatera zeszpeconą połówą twarzy i dlatego musiała patrzeć na niego cały czas z ukosa.

Ach, jak bardzo jej się podobał! Gdyby, wykorzystując intymny charakter sytuacji, Mikołaj Wsiewołodowicz pozwolił sobie na chociaż jedno swawolne spojrzenie, choćby jedno nieskromne dotknięcie, pani Lisicyna natychmiast przypomniałaby sobie o czujności i obowiązku, ale zatroskanie gospodarza było autentycznie braterskie i serce przegapiło chwilę, w której powinno było zająć pozycję obronną.

Kiedy pani Polina połapała się, przestraszona, że patrzy na Mikołaja Wsiewołodowicza niezupełnie takim wzrokiem, jak by należało, było już za późno: serce biło o wiele szybciej, niż wypada, a od dotyku palców przypadkowego ratownika rozlewała się po ciele niebezpieczna omdlałość.

Należało bez zwłoki pomodlić się do Pana Boga o pokrzepienie ducha i przewyciężenie pokusy, ale w pokoju nie było ani ikony, ani najmniejszego choćby obrazka.

– No, proszę. – Mikołaj Wsiewołodowicz z zadowoleniem kiwnął

głową. – Przynajmniej nie będzie zapalenia. A teraz pani.

I odwrócił się do leżącej damy gołymi, poharatanymi plecami.

Zaczęły się jeszcze gorsze tortury. Usiadłszy na tapczanie, pani Polina zaczęła wycierać białą skórę swojego wybawiciela, z trudem powstrzymując się, by jej nie pogłaskać dłonią.

Szczególnie kłopotliwe były chwile milczenia. Przez lata klasztorного życia zapomniiała nawet, że takie przerwy w rozmowie są najniebezpieczniejsze. Od razu słyszeć własny przyspieszony oddech, a w skroniach zaczyna stukać.

Polina Andriejewna nagle zaczęła wstydzić się swego dezabilu i rozejrzała się wokoło – co by takiego włożyć? Ale nic nie znalazła.

– Zimno? – spytał gospodarz, nie odwracając się. – A niech pani narzuci burkę, nic innego i tak nie ma.

Pani Lisicyna podeszła po zimnej podłodze do okna, owinęła się w ciężką, ostro woniejącą owczą skórę. Zrobiło się nieco spokojniej, a wiejący przez dziurę wiatr przyjemnie studził zarumienioną twarz.

W dali, u stóp mierzei, stała grupka mnichów i na coś czekała. Potem otworzyły się drzwi kaplicy Pożegnalnej, wyszedł z niej człowiek bez twarzy, w czarnym, spiczaste zwieńczonym stroju. Zebrani skłonili się przed nim w pas. Tamten przeżegnał ich i skierował się w stronę brzegu. Dopiero teraz pani Polina zauważyła łódkę z wiosłarzem. Czarny człowiek usiadł na dziobie plecami do Kanaanu i czółno popłynęło ku Rubieżnej. Tam, nad samą wodą, czekały na niego jeszcze dwie takie same postaci bez twarzy, w pustelniczych kapturach.

– Brat Kleopa wiezie do pustelni nowego pokutnika – mrużąc oczy (etui z okularami zostało na podłodze nieczynnego pawilonu razem z sukienką), powiedziała pani Lisicyna do gospodarza, który też podszedł do okna. – Nazywa się ojciec Hilariusz. Spieszno mu opuścić ziemski padół. Uczony człowiek, przez wiele lat studiował teologię, ale

najważniejszego o Bogu nie zrozumiał. Pan chce od nas nie śmierci, tylko życia...

– Uwaga bardzo w porę – szepnął wprost do ucha pan Mikołaj, po czym znienacka wziął ją za ramiona i odwrócił do siebie. Patrząc z góry, spytał kpiąco: – No więc – po kim wdowa, czyja narzeczona?

I nie czekając na odpowiedź, objął i pocałował w usta.

W tym momencie Polina Andriejewna przypomniała sobie straszny obraz, który widziała dawno temu, jeszcze w dzieciństwie. Jechała malutka z rodzicami w gości do sąsiedniego majątku. Pędzili szybko, z wiatrem, po pokrytej śniegiem rzece Moskwie. Przed nimi jechały sanie z podarunkami (zbliżały się święta). Nagle rozległ się suchy trzask, na gładkiej białej powierzchni pojawiła się czarna szczelina i nieodparta siła pociągnęła w nią zaprzęg – najpierw sanie ze stangretem, potem chrapiącego, bijącego przednimi kopytami konia...

Ten właśnie trzask, który wbił jej się w pamięć na zawsze, usłyszała teraz. Znow zobaczyła jakby na jawie: spod czystej bieli wychodzi na powierzchnię coś ciemnego, straszego, palącego i rozlewa się coraz szerzej, coraz szerzej.

Zadrżała, wparła się rękoma w pierś uwodziciela, rzekła błagalnie:

– Mikołaju, miły, proszę się ulitować... Niech mnie pan nie dręczy! Nie mogę... W żaden sposób nie mogę!

I tak szczerze, z dziecięcą prostotą to powiedziała, że słodki kusiciel wypuścił ją z objęć, zrobił krok do tyłu, skłonił się żartobliwie.

– Szanuję pani wierność narzeczonemu i więcej nie osmielę się wystawiać jej na próbę.

Teraz dopiero Polina Andriejewna go pocałowała, ale nie w usta – w policzek. Chlipnęła:

– Dziękuję, dziękuję... Za... za zmiłowanie.

Mikołaj Wsiewołodowicz westchnął z żalem.

– Tak, to z mojej strony wielka ofiara, ponieważ miła pani jest niezwykle pociągająca, zwłaszcza z tym siniakiem. – Uśmiechnął się, zauważywszy, że dama pospiesznie odwróciła głowę w bok i spojrzała na niego z ukosa. – Jednakże w podzięce za moją bohaterską powściągliwość proszę mi przynajmniej powiedzieć, kto jest tym szczęśliwcem. Komu dochowuje pani takiej niezachwianej wierności, nie bacząc na ustronność miejsca, uczucie szczerzej wdzięczności, o którym pani wspominała, i... proszę wybaczyć... swoje doświadczenie – przecież nie jest pani panną?

Choć powiedział to lekkim tonem, czuło się, że miłość własna pięknego blondyna została zadraśnięta. I z tego powodu – a także dlatego, że w takiej chwili nie miała ochoty kłamać – pani Polina przyznała się:

– Moim oblubieńcem jest On.

A kiedy Mikołaj Wsiewołodowicz pytająco uniósł brwi, wyjaśniła:

– Jezus. Widział mnie pan w świeckim stroju, ale jestem zakonnica, Jemu zaręczoną.

Mniszka oczekiwała wszystkiego, ale nie tego, co nastąpiło.

Twarz piękniśia, dotąd spokojna i lekko drwiąca, nagle zmieniła się: oczy błysnęły, rzęsy zatrzępotały, na policzkach wystąpiły różowe plamy.

– Mniszka?! – zawołał. – Chrystusowa oblubienica?

Purpurowy język ze wzburzeniem oblizał górną wargę i przeobrażony Mikołaj Wsiewołodowicz z przedziwnym, złowrogim chichotem podszedł blisko, bliźniutko do pani Poliny.

– Przed każdym bym ustąpił, niech tam. Tylko nie przed Nim! Ano popatrzymy! Ja bym umiał obronić swoją narzeczoną, a czy On potrafi?

I już bez żadnej czułości, z samą tylko brutalną namiętnością, rzucił się na zaskoczoną damę. Rozerwał jej koszulę i zaczął obsypywać

pocałunkami szyję, ramiona, piersi. Zdradziecka burka spęzła na podłogę.

– Co pan robi?! – krzyknęła przerażona pani Lisicyna, odchylając głowę do tyłu. – Przecież to draństwo!

– Przepadam za draństwem! – zawarczał świętokradca, gładząc ją po plecach i bokach. – To moje rzemiosło! – Znów się roześmiał. – Pani pozwoli, że się przedstawię: Szatan Nowego Araratu! Przysłano mnie tutaj, bym zamieszał w tym cichym odmęcie, uwolnił czarty, których jest tu obfitość!

Własny dowcip bardzo się spodobał złowrogiemu Mikołajowi. Zatrząśł się w ataku gorączkowego, maniakalnego śmiechu, a Polina Andriejewna wzdrygnęła się, olśniona nagle nowym domysłem.

Bo czym jest ta cała historia ze zmartwychwstałym Wasiliskiem? Potwornym, świętokradczym dowcipem na użytek wrażliwych głupków! Kobieta nie jest skłonna do takich przebieranek, przeznaczonych dla nieznaney publiczności. Jej zawsze trzeba kogoś w pełni określonego, konkretnego, a nie przypadkowych widzów lub przypadkowych ofiar. Tu czuje się prawdziwie męskie, bezosobowe okrucieństwo, grę spaczoney ambicji. A jakiej trzeba zręczności i pomysłowości, żeby urządzić zabawę z widmami i chodzeniem po wodzie! Nie, „caryca Kanaanu” i jej przygłupiasty drab nie mają z tym nic wspólnego.

– Więc to wszystko pan? – wykrztusiła Polina Andriejewna. – Pan...? Co za straszny, bezlitosny żart! Ile zła pan narobił, ilu ludzi zgubił! I to wszystko ot tak, z nudów? Pan jest naprawdę Szatanem.

Prawy policzek nowo objawionego Szatana zadrgał nerwowym tikiem – jakby jego twarz tańczyła jakiegoś diabelskiego kankana.

– Tak, tak, jam Szatan! – wyszeptały cienkie, szkarłatne wargi. – Oddaj się Szatanowi, oblubienico Chrystusowa!

Lekko chwyciwszy kobietę na rękę, rzucił ją na niedźwiedzią skórę

i zwał się na nią. Polina Andriejewna podniosła rękę, żeby wbić się gwałcicielowi paznokciami w oczy, ale nagle poczuła, że nie potrafi – to było najgorsze i najbardziej haniebne.

Daj mi siłę – zaczęła się modlić do swej patronki, świętej Pelagii. Szlachetna Rzymianka, wydana za cesarskiego syna, wolała ponieść okrutną śmierć niż zgrzeszyć z pięknym poganinem. Ale już lepiej miotać się w rozpalonym miedzianym wole niż haniebnie stracić siły w objęciach uwodziciela!

– Wybacz, wybacz, poratuj – mamrotała biedna pani Lisicyna, obwiniając się przed Wiecznym Oblubieńcem o przeklętą kobiecą słabość.

– Chętnie! – bąknął Mikołaj Wsiewołodowicz, rozrywając na niej pantaloney.

Okazało się jednak, że i Niebiański Oblubieniec umie obronić cześć swojej narzeczonej.

Kiedy Polinie Andriejewnie wydawało się już, że wszystko przepadło i nie ma ratunku, z zewnątrz rozległ się gromki głos:

– Ej tam, Childe Haroldzie! Nie skostniał pan tu z zimna? Nawet drzwi ma pan rozwalone. Przyniosłem pled i koszyk ze śniadaniem od mistrza Armanda! Hej, Terpsychorow, jeszcze pan śpi?

Niedoszłego gwałciciela jakby huragan zmiotł z ofiary.

Twarz gospodarza wieży już drugi raz z rzędu zmieniła się niemal nie do poznania – z demonicznej zrobiła się przestraszona jak u małego chłopca przyłapanego na psocie.

– Ajajaj! Donat Sawwicz! – jęknął żałośnie osobliwy współzawodnik Pana Boga, wciągając szlafrok. – No, dostanie mi się na orzechy!

Interesujący ludzie II

Jeszcze nie wierząc w cud, Polina Andriejewna podniosła się szybko, jako tako uporządkowała na sobie strzępy rozerwanej bielizny i rzuciła się ku drzwiom.

Przy krzywym płocie stał doktor Korowin i przywiązywał za uzdeczkę do słupa krzepkiego pony, zaprzęzonego do dwumiejscowej angielskiej bryczki. Donat Sawwicz miał na sobie słomiany canotier z czarną wstążką i jasne palto. Wyjął z bryczki duży tłumok i koszyk, odwrócił się, ale udęrczonej damy (która zresztą instynktownie odskoczyła w głąb domu) na razie nie zauważył, wlepił zaś wzrok w leżącego bez przytomności brata Jonasza.

– Mnicha pan spoił? Wciąż pan bluźni Bogu? Prawdę mówiąc, niewielkie to świętokradztwo, do prawdziwego Stawrogina na razie panu daleko. Doprawdy, Terpsychorow, rzuciłby pan tę rolę, ona panu zupełnie...

W tym momencie Korowin spostrzegł wysuwającą się z za framugi drzwi kobietę w dezabilu i nie dokończył. Najpierw zamrugał oczami, potem się nachmurzył.

– Aha – powiedział surowo. – To aż tak. Tego należało się spodziewać. No, oczywiście, przecież Stawrogin to bardzo szybki jegomość. Dzień dobry, łaskawa pani. Obawiam się, że będę musiał pani coś niecoś objaśnić...

Te słowa doktor wypowiadał, już wchodząc na ganek, ale znów nie dokończył, bo poznał swojego przedwczorajszego gościa.

– Polina Andriejewna? Pani? – osłupiał. – Doprawdy nie... Boże, co z panią? Co on pani zrobił?!

Przyjrząwszy się okaleczonej twarzy i żalosnemu strojowi damy, Korowin rzucił się do środka. Kosz i pled cisnął w kąt, chwycił Mikołaja Wsiewołodowicza za ramiona i tak nim potrząsnął, że tamtemu głowa się zakołysała.

– A to, łaskawco, już nikczemność! Tak, szanowny panie! Przekroczył pan wszelkie granice! Rozerwana koszula – mogę zrozumieć. Uwodziciel, afrykańska namiętność, te rzeczy, ale jak można kobietę bić po twarzy? Pan jesteś nie genialny aktor, tylko zwykły podlec, ot co!

Blondyn, którego Donat Sawwicz nazwał Terpsychorowem, zawołał żałośnie:

– Przysięgam, nie biłem!

– Milcz, łajdaku! – huknął na niego Korowin. – Z panem rozmówię się później.

Sam zaś zwrócił się ku pani Polinie, która z tego osobliwego dialogu zrozumiała tylko jedno: choćby Mikołaj Wsiewołodowicz był najstraszniejszy, to właściciel kliniki jest widać jeszcze straszniejszy. Bo inaczej – czemu Szatan Nowego Araratu tak się go przeraził?

– Ba, kiepska sprawa – westchnął doktor, widząc, że dama patrzy na niego jak zaszczuta i cofa się przed nim. – No, co pani, miła pani Polino, to przecież ja, Korowin. Nie poznaje mnie pani? Tylko jeszcze jednej pacjentki mi brakowało! Proszę pozwolić, okryję panią tym oto.

Podniósł z podłogi pled i troskliwie otulił panią Lisicynę, która nagle rozszłochała się.

– Ech, Terpsychorow, Terpsychorow, coś pan narobił – dogadywał Donat Sawwicz, głaszcząc płaczącą po rudych włosach. – No nic, moja miła, no nic. Przysięgam, że oderwę mu głowę i podam pani na talerzu. A teraz odwiozę panią do siebie, napoję tonizującym wywarem, zrobię maleńki zastrzyk uspokajający...

– Nie trzeba zastrzyku – chlipnęła pani Polina. – Lepiej niech mnie

pan odwiezie do pensjonatu.

Korowin pokiwał głową. Z łagodnym wyrzutem, jak do bezrozumnego dziecka, powiedział:

– W takim stanie? Nawet słyszeć nie chcę. Trzeba panią zbadać. A może jakieś złamanie lub stłuczenie? Albo, nie daj Bóg, wstrząśnienie mózgu? Nie, moja miła, ja przysięgę Hipokratesa składałem. Jedziemy, jedziemy. Gdzie pani suknia?

Popatrzył wokół, zajrzał nawet pod tapczan. Pani Lisicyna milczała, oklapły, nieszczęsny Mikołaj Wsiewołodowicz także.

– No, dobrze, pal diabli suknię. Coś tam dla pani znajdziemy.

Objął Polinę Andriejewnę jedną ręką za ramiona i poprowadził do wyjścia. Nie miała siły się opierać, no i w rzeczy samej – przecież nie pojawi się w mieście w takim dezabilu.

Donat Sawwicz zaczął od przeprosin. Puściwszy konika lekkim kłusem, powiedział z miną winowajcy:

– Okropne wydarzenie. Nawet nie wiem, jak się usprawiedliwiać. Nic podobnego nigdy jeszcze się nie zdarzyło. Rozumie się, ma pani prawo poskarżyć się władzom, podać mnie do sądu i tak dalej. Dla mojej kliniki mogą z tego wyniknąć nieprzyjemności, może jej nawet grozić zamknięcie, ale mea culpa, zatem ja ponoszę odpowiedzialność.

– A co pan ma do tego? – zdziwiła się Polina Andriejewna, podwijając marznące nogi (trzewiczki zostały w latarni, a zresztą jaki z nich pożytek, wilgotnych i przemokłych). – Dlaczego ma pan odpowiadać za przestępstwa tego człowieka?

Już miała zamiar ujawnić doktorowi całą prawdę o Czarnym Mnichu, ale nie zdążyła – Korowin ze złością machnął ręką i zaczął mówić szybko, z podnieceniem:

– Dlatego, że Terpsychorow to mój pacjent i stanąć przed sądem nie może. Jest pod moją opieką i ja za niego odpowiadam. Ach, jakże mogłem się tak pomylić w diagnozie! To absolutnie niewybaczalne!

Przegapić latentną agresywność, i to jaką! Z pięściami na kobietę, to po prostu skandal! W każdym razie odeślę go z powrotem do Petersburga. W mojej klinice niebezpiecznych dla otoczenia się nie trzyma!

– Kto jest pańskim pacjentem? – nie wierzyła własnym uszom pani Polina. – Mikołaj Wsiewołodowicz?

Doktor uśmiechnął się gorzko.

– Mikołaj Wsiewołodowicz? Tak się pani przedstawił? No cóż, rozumie się! Och, dowiem ja się, kto mu to paskudztwo podsunął!

– Jakie paskudztwo? – Polina Andriejewna zupełnie się w tym wszystkim pogubiła.

– Widzi pani, Laertes Terpsychorow (to oczywiście pseudonim sceniczny) jest jednym z moich najciekawszych pacjentów. Był aktorem. Genialnym co się zowie – z Bożej łaski. Grając w spektaklu, całkowicie przeistaczał się w odtwarzaną postać. Publiczność i krytycy byli zachwyceni. Wiadomo, że najlepsi aktorzy to ci, co mają osłabioną indywidualność, którym własne „ja” nie przeszkadza zrastać się z każdą nową rolą. No więc Terpsychorow własnego „ja” nie posiada w ogóle. Jeśli go zostawić bez roli, będzie od rana do wieczora leżeć na tapczanie i gapić się w sufit jak marionetka w kufrze lalkarza. Ale wystarczy mu wejść w rolę i ożywa, wstępują w niego życie i energia. Kobiety zakochiwały się w Terpsychorowie do szaleństwa, do zatracenia. Był trzykrotnie żonaty i za każdym razem małżeństwo trwało kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy. Potem do kolejnej żony docierało, że jej wybranek to zero, nicość, a pokochała nie Laertes Terpsychorowa, lecz bohatera literackiego. Rzecz w tym, że z powodu patologicznego niedorozwoju osobowości ten aktor tak wżywał się w każdą kolejną rolę, że nie rozstawał się z nią nawet w życiu codziennym, rozwijał ją za autora, improwizując, wynajdując nowe sytuacje i nowe repliki. I tak było dopóty, dopóki nie dano mu do przestudiowania nowej sztuki. Dlatego pierwsza jego żona wyszła za

Czackiego i nagle stała się towarzyszką życia Chlestakowa. Druga straciła głowę dla Cyrana de Bergerac, a wkrótce trafiła do Skapego Rycerza. Trzecia zakochała się w melancholijnym duńskim księciu, który jednak przekształcił się w fircykowatego hrabiego Almavivę. Właśnie po trzecim rozwodzie Terpsychorow zwrócił się do mnie. Bardzo kochał swoją ostatnią żonę i z rozpaczony był na granicy samobójstwa. Mówił: „Rzucę teatr, tylko niech mnie pan ratuje, proszę mi pomóc zostać sobą!”

– I co, nie udało się? – spytała Polina Andriejewna, przejęta dziwną historią.

– Dlaczego? Udało się. Prawdziwy Terpsychorow, bez domieszki, to cień człowieka. Od rana do wieczora przebywa w stanie bierności, ma chandrę i jest głęboko nieszczęśliwy. Ale trafem wpadł mi w ręce przekład pewnej książki, zbioru opowiadań, gdzie jest opisany podobny przypadek. Zaproponowano tam też kurację, żartobliwie, rzecz jasna, ale pomysł wydał mi się obiecujący.

– A co to za pomysł?

– Z psychiatrycznego punktu widzenia całkiem zdrowy: nie zawsze trzeba prostować wypaczenie psychiki – można w ten sposób zdeptać indywidualność. Należy ze słabości uczynić siłę. Przecież każda wklęłość, jeśli obrócić ją o sto osiemdziesiąt stopni, przekształci się w wyniosłość. Skoro człowiek nie może żyć bez wcielania się w innych i żyje pełnią życia, tylko grając jakąś rolę, trzeba mu zapewnić stały repertuar. A role dobierać wyłącznie takie, w których ujawniają się najlepsze, wzniosłe zalety duszy ludzkiej. Żadnych Chlestakowów, Skąpych Rycerzy czy, nie daj Boże, Ryszardów Trzecich.

– A więc „Mikołaj Wsiewołodowicz” to Mikołaj Wsiewołodowicz Stawrogin z powieści Biesy!! – zawołała pani Lisicyna. – Ale czemu wybrał pan dla swojego pacjenta taką niebezpieczną rolę?

– Wcale nie wybierałem! – ze złością krzyknął doktor. – Bardzo starannie doglądam jego lektur, wiem, jaka rola może go pociągnąć, i dlatego już od roku jedyną książką, jaką pozwalałem mu czytać, była powieść tegoż pana Dostojewskiego, Idiota. Ze wszystkich bohaterów książki do emploi Terpsychorowa pasuje tylko książę Myszkina. I Laertesowi ta rola się spodobała. Przekształcił się w najcichszego, najwrażliwszego Lwa Nikołajewicza Myszkina, najlepszego człowieka na świecie. Wszystko szło dobrze, dopóki jakiś łobuz nie podsunął mu Biesów, a ja to przegapiłem. No cóż, Stawrogin oczywiście prezentuje się znacznie korzystniej od księcia Myszkina, toteż Terpsychorow zmienił repertuar. Bajronizm, walka z Bogiem, upoetyzowanie Zła – to wszystko jest z dramatycznego punktu widzenia o wiele bardziej pociągające od rozlazłego chrześcijańskiego wszechrozumienia i wszechwybaczenia księcia Myszkina. Kiedy się połapałem, było za późno – Laertes już się przeobraził, musiałem się przystosować do sytuacji. Na czas kryzysu ulokowałem go w pewnej odległości od pozostałych pacjentów i zacząłem szukać jakiejś lektury bardziej porywającej od Biesów. Zadanie, trzeba powiedzieć, nie najłatwiejsze. Ale nie przypuszczałem, że Stawrogin może być taki niebezpieczny, i nie doceniłem twórczej fantazji Laertesza. I mimo wszystko – Stawrogin bijący kobietę to już zbyt śmiałe potraktowanie postaci. Arystokrata, bądź co bądź.

– On mnie nie bił – powiedziała cicho pani Polina, która odgadła, skąd w rękach biednego szaleńca znalazła się niedobra powieść. Przecież to ojciec Mitrofaniusz dał ją Aloszy na drogę w celach pedagogicznych, a proszę, co z tego wyszło!

Czując się do pewnego stopnia współodpowiedzialna (do czytania powieści zachęciła władykę właśnie ona), Polina Andriejewna poprosiła:

– Proszę go nie wypędzać, on nie jest winny. Nie będę składać

skargi.

– Naprawdę? – Korowin się rozjaśnił i pogroził palcem niewidocznemu aktorowi. – No, teraz będziesz mi się uczył roli Cukru z Niebieskiego ptaka! – Ale od razu znów spuścił wzrok. – Trzeba przyznać, że uzdrawiacz dusz ze mnie nienadzwyczajny. Niezbyt wielu udaje mi się pomóc. Przypadek Terpsychorowa jest ciężki, ale nie beznadziejny, natomiast jak ratować Lentoczkinę – pojęcia nie mam.

Polina Andriejewna drgnęła: zrozumiała, że zniknięcia Aloszy jeszcze nie wykryto, i nic nie powiedziała.

Jednokółka jechała już przez sosnowy las, wśród różnobarwnych, w najrozmaitszych stylach utrzymanych domków kliniki. Zza zakrętu ukazała się willa doktora; u jej podjazdu stała zaprzężona w czwórkę koni, nisko osadzona kareta – czarna, ze złotym krzyżem na drzwiczkach.

– Czcigodny ojciec zawitał – zdziwił się Donat Sawwicz. – O co może chodzić? Zazwyczaj do siebie zaprasza, i to zawczasu. Widać stało się coś niezwykłego. Zaprowadzę panią do swoich prywatnych pokoi, powiem, żeby się panią zajęto, a sam, przepraszam pokornie, udam się do gabinetu, do władcy wyspy.

Nie stało się jednak wedle zamiaru Korowina. Archimandryta zobaczył zapewne podjeżdżającą bryczkę przez okno i wyszedł przywitać się do przedpokoju. A właściwie nie wyszedł – wypadł: cały czarny, rozwścieczony, groźnie stukający kosturem. Na rozchełstaną osobę płci żeńskiej spojrzał mimochodem, skrzywił się z obrzydzeniem i odwrócił wzrok, jakby bał się zbecześcić oczy widokiem takiej nieprzyzwoitości. Poznał szczodłą pątniczkę czy nie – nie wiadomo. Jeśli nawet poznał, to nic strasznego – uspokoiła samą siebie pani Lisicyna. Dojdzie do wniosku, że szurniętej paniusi znów się przyśnił krokodyl.

– Witaj, ojcze. – Korowin skłonił głowę, patrząc na gniewnego przeora z wesołym zdziwieniem. – Czemu zawdzięczam nieoczekiwany zaszczyt?

– Umowę pan łamie? – Witalis huknął swym berłem o podłogę. – A umowa, łaskawco, to więcej niż pieniądze! Co mi pan obiecał? Że ona do braci nie będzie się dobierać! I co?

– No właśnie, i co? – spytał wcale nieprzestraszony doktor. – Co takiego okropnego się stało?

– „Wasilisk” z rana nie wypłynął! Kapitana nie ma! W celi nie ma, na przystani nie ma, nigdzie nie ma! Pasażerowie się awanturują, w ładowni pilny towar – klasztorna śmietana, a statku nie ma kto poprowadzić! – Czcigodny ojciec chwycił się za krzyż na piersi, zapewne po to, by przypomnieć sobie o chrześcijańskim miłosierdziu. Nie pomogło. – Przeprowadziłem dochodzenie! Jonasza wczoraj wieczorem widziano z tą pańską wszeteczną babilońską!

– Jeśli mówi ojciec o Lidii Jewgieniewnie Borejko – spokojnie odpowiedział Donat Sawwicz – to ona nie jest żadną wszeteczną, postawiono jej inną diagnozę: patologiczna quasinimfomania z obsesyjnym natręctwem i deficytem libidoidalnym. Innymi słowy, jest jedną z tych zawołanych kokietek, które mącą mężczyznom w głowach, ale do swojego ciała w żadnym razie ich nie dopuszczają.

– Była umowa! – ryknął ogłuszająco Witalis. – Od moich mnichów ma się trzymać z daleka! Niech na przyjezdnych ćwicz! Była umowa czy nie?

– Była – przyznał doktor. – Ale może ten cały Jonasz sam się wobec niej nie po mnisiemu zachował?

– Brat Jonasz to prosta, szczerza dusza. Ja go spowiadam, wszystkie jego nieskomplikowane grzechy znam na wylot!

Korowin zmrużył oczy.

– Prosta dusza, mówi ojciec? A ja w sypialni Lidii Jewgieniewny

paczuszkę kokainy znalazłem, do tego dwie puste, ze śladami proszku. Wie ojciec, kto jej to paskudztwo z ładu przywiózł? Ukochany ojca król mórz!

– Łgarstwo!!! Ten, kto to panu powiedział, to oszczerca i łgarz!

– Sama pani Lidia mi się przyznała. – Doktor machnął ręką w stronę jeziora. – A ojca zagubiona owieczka, prosta dusza, wala się teraz pijana w trupa przy starej latarni. Może ojciec się tam udać i samemu się przekonać. Tak więc pani Borejko nie jest winna temu, że statek nie wypłynął.

Archimandryta tylko oczami błysnął, ale więcej się nie spierał. Wypadł jak czarny szkwał na zewnątrz i trzasnął drzwiczkami karety.

– Jazda! No! – krzyknął.

Kareta wyrwała z miejsca, wyrzucając żwir spod kół.

– To pani Borejko też jest pańską pacjentką? – spytała niepewnie Polina Andriejewna.

Doktor skrzywił się, wsłuchany w oddalający się wściekły łoskot kopyt.

– Żeby tylko teraz nie powiedział, że to Terpsychorow rozpija kapitana... Co, przepraszam? A, Borejko. No, rozumie się, to moja pacjentka. Co, nie widać tego po niej? Dość rozpowszechniona akcentuacja żeńskiej osobowości, popularnie zwanej femme fatale, ale u pani Lidii doprowadzona do skrajności. Ta dziewczyna stale musi się czuć przedmiotem pragnień możliwie największej liczby mężczyzn. Właśnie czyjeś pożądanie zaspokaja ją uczuciowo. Przedtem mieszkała w stolicy, ale po kilku tragicznych historiach, zakończonych pojedynkami i samobójstwami, rodzice oddali ją pod moją opiekę. Życie na wyspie dobrze robi pannie Borejko. O wiele mniej podniet, prawie żadnych pokus, a co najważniejsze – zupełny brak rywalek. Czuje się najpierwszą pięknością tego zamkniętego światka i dlatego jest spokojna. Czasem wypróbowała swoje czary na kimś

z przyjezdnych, upewnia się, że jest wciąż nieodparta, i to jej wystarcza. Niczego niebezpiecznego w tych maleńkich psotach nie widzę. Na mnichach Borejko obiecała nie eksperymentować, za złamanie tej obietnicy przewidziane są surowe sankcje. Najwidoczniej ów Jonasz sam jest sobie winien.

– Maleńkie psoty? – Pani Lisicyzna uśmiechnęła się smutno i opowiedziała doktorowi o „carycy kananejskiej”.

Korowin słuchał i tylko za głowę się łapał.

– Straszne, po prostu straszne! – powiedział przybitym głosem. – Co za potworna recydywa! I odpowiedzialny znów jestem wyłącznie ja. Mój eksperyment z kolacją w trójkę należy uznać za całkowity niewypał. Pani wtedy nie dała mi wyjaśnić... Widzi pani, stosunki między psychiatrą a pacjentami przeciwnej płci buduje się wedle kilku modeli. Jeden, nader efektywny, to wykorzystanie instrumentu zakochania. Moja władza nad Borejko, moja dźwignia wpływu na nią polega na tym, że drażnię w niej ambicję. Jestem jedynym mężczyzną zupełnie obojętnym na jej famfatalne fortele i czary. Gdyby nie moja nieprzystępność, panna Lidia już dawno uciekłaby z wyspy z jakimś wielbicielem, ale póki nie zdoła mnie zawojować, nigdzie nie czmychnie, ambicja jej nie pozwoli. Od czasu do czasu ten wrzód trzeba koniecznie podlać roztworem soli, co też próbowałem zrobić z pani pomocą. Efekt, niestety, przeszedł moje oczekiwania. Zamiast wzbudzić w niej lekką zazdrość oznakami uwagi, jaką okazuję pociągającej damie, doprowadziłem ją do stanu paranoidalno-histerycznego. Dopatrzyła się w pani przyjeździe całego spisku. W rezultacie omal nie przypłaciła pani mego eksperymentu życiem. Ach, nigdy sobie tego nie daruję!

Donat Sawwicz tak się przejął, że litościwa pani Lisicyzna musiała go jeszcze pocieszać. Zapędziła się tak daleko, że nawet zaczęła utrzymywać, że sama jest wszystkiemu winna – specjalnie drażniła

biedną psychopatkę (co było częściowo prawdą). Co zaś do pomyłki lekarskiej, to któż ich nie popełnia, zwłaszcza w tak subtelnej dziedzinie jak leczenie schorowanej duszy. Jednym słowem, jakoś uspokoiła zgnębionego lekarza.

Ten zaś z gabinetu natychmiast wezwał dzwonkiem dyżurnego lekarza.

– Lidię Jewgieniewnę Borejko natychmiast do mnie – powiedział posępnym głosem. – Proszę przygotować iniekcję środka trankwilizującego; istnieje prawdopodobieństwo ataku. Niech siostra przełożona dobierze pani Lisicynej jakieś obuwie, ubranie. I koniecznie – masaż relaksujący z kąpielą lawendową.

Błękitny, zielony, żółty, słomkowy

Ogólnie biorąc, wynik tych wszystkich nocnych i porannych wstrząsów był taki: pani Polina, jak starucha z bajki, została nad pękniętym korytem.

W sprawie, dla której przyjechała na wyspę, nie posunęła się ani o krok. A najprzykrzejsze było to, że aż dwa razy w krótkim czasie uwierzyła całą duszą najpierw w jedną wersję, potem w drugą, i nie wiadomo nawet, która była bardziej niedorzeczna. Nigdy przedtem przenikliwej siostrze Pelagii nie zdarzyła się taka konfuzja. Fakt, że okoliczności szczególnie utrudniały swobodną pracę umysłu, ale jednak potem, rozmyślając już na spokojnie, czuła wstyd.

Wyniki dochodzenia w sprawie Czarnego Mnicha prezentowały się smętnie.

Przede wszystkim – ilu ludzi przedwcześnie zginęło: najpierw ze strachu szlag trafił adwokata Kubowskiego; potem poroniła swoje maleństwo i razem z nim zmarła żona pławowego; utopił się sam pławowy; zastrzelił Lagrange; wreszcie biedny Alosza Lentoczkin...

Kubowskiego wywieziono na statku w okutej cynkiem trumnie; nieszczęsną matkę z nienarodzonym dzieckiem pogrzebano w ziemi; Feliks Stanisławowicz leży w kostnicy obłożony bryłkami lodu; ciała utopionych poniosły nie wiadomo dokąd niezbadane podwodne prądy...

A czy lepszy los spotkał pana Matwieja, któremu się rozum pomieszał?

W następnych dniach, pamiętając o losie Aleksego Stiepanowicza (którego sanitariusze Korowina szukali po całym Kanaanie i w końcu

nie znaleźli), pani Lisicyna zachodziła do Berdyczowskiego często, ale nic pocieszającego się nie działo – było z nim coraz gorzej. Odwiedzającej bądź nie poznawał, bądź zupełnie się nią nie interesował. Siedzieli naprzeciw siebie i milczeli. Potem pani Polina z ciężkim sercem szła w swoją stronę.

Strasziwa, pełna fatalnych wydarzeń noc zakończyła się zupełną farsą. No i oczywiście – także surowym ukaraniem winowajców.

Czcigodny ojciec zdegradował brata Jonasza z kapitana na palacza, lecz najpierw wsadził go na miesiąc do ciemnicy o chlebie, wodzie i modlitwie.

Doktor Korowin ze swoimi podopiecznymi postąpił równie surowo.

Pani Borejko zakazano (także na cały miesiąc) posługiwać się pudrem, perfumami, pomadkami i ubierać się na czarno.

Aktora Terpsychorowa umieszczono w areszcie domowym z jedną jedyną książką, także utworem Fiodora Dostojewskiego, ale nieszkodliwym, opowiadaniem Biedni ludzie, żeby zapomniał o roli „obywatela kantonu Uri” i zasmakował w obrazie uroczego, najspokojniejszego Makara Diewuszkinia. Na trzeci dzień pani Polina odwiedziła aresztanta i zdumiała się zaszłą w nim zmianą. Były uwodziciel posłał jej miękki, ciepły uśmiech, nazwał „gołąbką” i „mateczką”. Uczciwie mówiąc, tę metamorfozę odwiedzająca przyjęła z mieszanymi uczuciami – w dawnej roli Terpsychorow był bez porównania ciekawszy.

Z innych godnych uwagi wydarzeń trzeba wspomnieć o pojawieniu się w jednej z liberalnych gazet moskiewskich artykułu o nowoararackich cudach i złej sławie rubieżnej pustelni. Nic, tylko doniósł jakiś pielgrzym. Pierwszy raz w klasztorным sklepiku nie wykupiono różańców, wyrzniętych przez świętych pustelników. Ojciec Witalis kazał urządzić wyprzedaż, cenę obniżono najpierw do

dziewięciu rubli dziewięćdziesięciu dziewięciu kopiejek, potem nawet do czterech dziewięćdziesięciu dziewięciu. Dopiero wtedy różańce wykupiono, a i to nie wszystkie. To był zły znak. W mieście mówiło się już otwarcie, że pustelnia to teraz miejsce nieszczęśliwe, nieczyste, że trzeba ją na pewien czas zamknąć, zakazać wstępu na Wyspę Rubieżną przynajmniej na rok i przekonać się, czy święty Wasilisk się nie uspokoi.

Co prawda Orędownik nawet bez tego jakby się uspokoił: po wodzie więcej nie chodził, nikogo w mieście nie straszył, ale może dlatego, że noce były stale ciemne, bezksiężycowe.

Co do pani Lisicynej, to w tym okresie ciszy była prawie cały czas pogrążona w głębokiej zadumie i na ogół nic nie robiła. Rankami długo oglądała okaleczoną twarz w lustrze i odnotowywała zmiany barwy krwiaka. Bodajże tylko tym różniły się kolejne, kubek w kubek do siebie podobne dni. Sama tak właśnie je określała, od koloru siniaka.

Przyjmijmy, że pierwszy ze spokojnych dni – ten, co nastąpił po nocy, podczas której najpierw omal jej nie utopiono, a potem omal nie pohańbiono – nie liczy się, że go, można powiedzieć, nie było. Po wannie, masażu i kojącym nerwy zastrzyku cierpiętница przespała prawie całą dobę i do pensjonatu wróciła dopiero następnego ranka, odświeżona i silniejsza.

Popatrzyła w lustro przy toaletce. Zobaczyła, że piętno na twarzy nie jest już purpurowobłękitne, tylko po prostu błękitne. Tak też nazwała cały ten dzień.

„Błękitnego” dnia po południu przebrała się w pawilonie w strój nowicjusza (który wraz z innymi rzeczami szczęśliwie przeleżał na podłodze od przedwczorajszego dnia), co chwila mimo woli oglądając się na posępne sylwety automatów.

Stąd chudziutki, niewysoki mniszek udał się na Mierzeję Postną, żeby czekać na przewodnika. Brat Kleopa pojawił się punktualnie,

równy o trzeciej, i zobaczywszy Pelagiusza, bardzo się ucieszył – nie tyle na widok samego nowicjusza, ile ze spodziewanego bakszyszu. Spytał rzeczowo:

– No co, popłyniesz dzisiaj czy jak? Ręka ciągle boli. – I mrugnął.

Dostał rubelka, opowiedział, jak wczoraj rano odwoził starca Hilariusza na Rubieżną, jak dwóch pustelników powitało nowego pobratymca: jeden bez słowa go pocałował, to znaczy właściwie tknął kapturem w kaptur, a schiigumen głośno oznajmił: „Twoje są niebiosa, Teognosta”.

– Dlaczego Teognosta? – zdziwił się Pelagiusz. – Przecież święty starzec nazywa się Hilariusz.

– Sam żem zrazu nie wyrozumiał. Myślałem sobie, Izrael całkiem już sił się wyzbył, imiona mu się mylą. To jego współpustelników tak nazywali, Teognost i Dawid. Ale kiedym ojcu ekonomowi słowa igumena pustelni przekazał, z tym, co żem sobie pomyślał, ten mnie za brak szacunku zrugął i sens wyłożył. Pierwsze trzy słowa – „Twoje są niebiosa” – regulaminowe są, z Etanowego psalmu, zapowiadają królestwo niebieskie. Tak przełożony zawsze nowego pustelnika spotykać powinien. A ostatnie słowo – dowolne, od siebie, dla monasterskich uszu przeznaczone. Powiedział ojciec ekonom, że starzec zawiadamia nas, kto z braci do nieba poszedł. Nie Dawid, znaczy się, tylko Teognost.

Pelagiusz zastanawiał się przez chwilę.

– Ojczy, ty przecież już dawno za łódkarza tu jesteś. I poprzedniego pustelnika też, myślę sobie, na wyspę wozieś?

– Na Wielkanoc, starca Dawida. A przedtem, zeszłego roku na Zaśnięcie, starca Teognosta. A jeszcze wcześniej starca Amfilochiusza, przedtem Geroncjusza... A może, czekaj, czekaj, Agapita? Nie, Geroncjusza... Wielu ich, orędowników naszych, przeprawiłem, wszystkich człowiek nie spamięta.

– To znaczy, że igumen pewnie za każdym razem nowego starca tak witał, o zmarłym oznajmiając. Tyś, ojczy, po prostu zapomniał.

– Niczego nie zapomniałem! – rozeźlił się brat Kleopa. – „Twoje są niebiosy” pamiętam, było. A imienia nigdy nie wymieniał. To już potem wedle wszystkich okoliczności się wyjaśnia, kto z pokutników duszę Panu Bogu oddał. Dla nas, żywych, oni i tak już nieboszczyki, przez braci odśpiewane i do kaplicy Pożegnalnej odprowadzone. Mógłby Izrael i imienia nie mówić. Widać skonanie rychło czuje, sercem zmięknął.

Popłynęli na wyspę: Kleopa przy jednym wiosle, Pelagiusz przy drugim.

Wyszedł im na spotkanie starzec Izrael, przyjął, co przywieźli, przekazał wyrżnięte od wczoraj różańce, powiedział:

– Zadrżało Dawidowi serce jego mętna.

Pelagiuszowi wydało się, że ostatnie słowo igumen wymówił jakby wolniej i głośniej, a spoglądał przy tym nie na Kleopę, tylko na jego młodego pomocnika, chociaż spróbuj się rozeznaczyć, kiedy przez dziurki patrzy.

Ledwie odpłynęli, nowicjusz spytał cichutko:

– Co to on powiedział? Nijak nie rozumiem.

– „Zadrżało Dawidowi serce jego” to o starcu Dawidzie. Widać znowu na serce choruje. Jak Dawid w pustelni się znalazł, igumen zaczął często z Pierwszej Księgi Królewskiej powiedzenia swoje brać, gdzie o królu Dawidzie wiele się pisze. Imię to samo, to i słowo jedno zaoszczędzone. A ostatnie jakie było? „Mętna”? No, to już niech ojciec ekonom odgaduje, głowę ci ma wielką.

I to był cały „błękitny” dzień. O innych jego wydarzeniach nawet wspominać nie warto – bo i bardzo były błahe.

Nadszedł następny dzień, „zielony”. No, nie całkiem zielony, nie

liściastego koloru, tylko raczej morskiej fali – siniak zaczął tracić gęsty błękit, zbladł i tak jakby trochę pozieleniał.

O trzeciej Pelagiusz wręczył bratu Kleopie dwie półrubłówki. Popłynęli.

Przewoźnik podał igumenowi lekarstwo dla brata Dawida. Izrael wziął, jeszcze na coś zaczekał. Potem westchnął ciężko i patrząc wprost na rudego mniszka, wypowiedział słowa już zupełnie dziwne:

– Mający uszy niechaj słyszą cucullus.

– Co, co? – spytał Pelagiusz, kiedy starzec już kuśtykał w głąb wyspy.

Kleopa wzruszył ramionami.

– „Mający uszy niechaj słyszą” tom zrozumiał, to z Apokalipsy, chociaż nie wiem, do czego to powiedziane, co zaś on na końcu dodał, tom nie rozumiał. Coś jak „kuku”. Widać że miał rację względem Izraela, niesłusznie mnie ojciec ekonom od durniów rugał. Starzec coś tego. – Kleopa pokręcił palcem przy skroni. – Kuku, kukuryku.

Sądząc po ściągniętych w skupieniu brwiach, Pelagiusz był innego zdania, ale nie spierał się, powiedział tylko:

– Jutro znowu popłyniemy, dobrze?

– A pływaj sobie, póki tacie rubelki się nie skończą.

Potem był dzień „żółty” – zielony krwiał zrobił się raczej żółty.

Tego dnia starzec odezwał się tak:

– Mirowariec przyrzadzi ci mieszaninę nonfacit.

– Znow po ptasiemu – podsumował przemowę brat Kleopa. – Niedługo całkiem na mowę ptasząt niebieskich przejdzie. Tej gadaniny nawet nie będę próbował zapamiętać, zmyślę coś tam ojcu ekonomowi.

– Czeka, ojciec – zaoponował Pelagiusz. – O mirowarcu to chyba z Księgi Jezusa, syna Syrachowego. Mirowariec to w języku

cerkiewnosłowiańskim „lekarz”, „aptekarz”, mieszanina to „lekarstwo”, uczenie mówiąc – „mikstura”. Tylko co nonfacit ma oznaczać – tego nie wiem.

Jeszcze kilka razy powtórzył nonfacit, nonfacit i zamilkł, więcej już z przewoźnikiem nie rozmawiał. Na pożegnanie powiedział:

– Do jutra.

A nazajutrz twarz Poliny Andriejewny była już prawie całkiem w porządku, tylko troszeczkę mieniła się słomkowo. Taki też odcień miał dzień: z łagodnym słońcem, mgliście przydymiony.

Pelagiusz tak się spieszył na Rubieżną, że wciąż za szybko robił wiosłem. Napierał mocniej, niż trzeba, przez co łódka szła nierówno. W końcu za bezmyślną gorliwość dostał od brata Kleopy szcztuka w potylicę i pohamował swój zapał.

Igumen stał na brzegu. Co do mikstury – Pelagiusz widać zgadł dobrze: starzec wziął buteleczkę i skinał głową. A powiedział nowicjuszowi coś takiego:

– Nie smuć się zdrów monachum.

Mniszek skinał głową, jakby właśnie te słowa spodziewał się usłyszeć.

– No, chwała Bogu, choremu jakby się poprawiło – mówił w powrotnej drodze Kleopa. – Wiesz, jak to Dawida przezwano – monachum. Dziwaczy święty starzec... Co, jutro przyjdiesz? – spytał przewoźnik dziwnie dziś milkliwego chłopaka.

A ten jakby nie słyszał.

Tak zatem było „słomkowego” dnia, a potem nastał dzień ostatni, kiedy wszystko się zakończyło.

A tego ostatniego dnia tyle się zdarzyło rozmaitych rzeczy, że daj Boże nie pomylić się i niczego nie opuścić.

Dzień ostatni. Poranek

Zaczniemy, jak należy, od samego ranka.

O dziewiątej, kiedy jeszcze dobrze nie rozedniało, od strony jeziora rozległo się długie buczenie – to przybył z Modroozierska parowiec „Święty Wasilisk” z nowym, najemnym kapitanem. Pani Lisicyna zdążyła już przedtem wypić kawę i siedziała przed lustrem, z zadowoleniem oglądając swoją zupełnie już czystą twarz. Odwracała się to tą, to tamtą stroną i wciąż nie mogła się nacieszyć. Buczenie usłyszała, ale nie zwróciła na nie uwagi.

A szkoda.

Od posępnego, przeciągłego sygnału upłynęła mniej więcej godzina, no, może trochę więcej, gdy do pokoju Poliny Andriejewny, która już zjadła śniadanie, ubrała się i właśnie zamierzała iść do Berdyczowskiego, zastukał mnich, służka archimandryty Witalisa.

– Czcigodny ojciec przeor prosi, by raczyła pani udać się do niego. – Czerniec skłonił się uprzejmie, lecz tonem nieznoszącym sprzeciwu dodał: – Już zaraz. Kareta czeka.

Na pytania zdziwionej pątniczki odpowiadał wymijająco. Można powiedzieć, że w ogóle nie odpowiadał, ot, tylko tak, monosylabami. Ale z wyglądu posłańca pani Polina wywnioskowała, że w klasztorze stało się coś nadzwyczajnego.

Nie chce mówić – nie trzeba.

Wahała się przez chwilę, czy brać ze sobą sakwojaż, ale w końcu go zostawiła. Uznała, że jechać do monasteru z narzędziem mordu to świętokradztwo. Dla zabezpieczenia się przed ciekawską służbą zawinęła rewolwer w koronkowe pantalonki i wsunęła na samo dno.

Pomoże czy nie – Bóg jeden raczy wiedzieć.

Dojechali szybko – w dziesięć minut.

Wysiadłszy z powozu i rozejrzawszy się po dziedzińcu klasztornym, Polina Andriejewna upewniła się w swoich przypuszczeniach: tak, coś się stało.

Mnisi nie chodzili jak zazwyczaj powoli, kołyszając się z boku na bok, tylko biegali. Jeden zamiatał i tak czysty bruk, inny targał gdzieś pierzyny i poduszki, a najdziwniej wyglądało, jak do cerkwi soborowej truchtali z zakasnymi habitami śpiewacy chóru archimandryckiego, z brzuchatym i wyniosłym regentem na czele.

Co za dziwy!

Przewodnik zaprowadził damę nie na pokoje archimandryty, tylko na archijerejskie, przeznaczone dla najważniejszych gości i zwykle niezamieszkałe. Tu w sercu pani Poliny coś zadrżało, ale od razu stłumiła nachodzące ją myśli jako nierealne i grożące rozczarowaniem.

A jednak przeczucie jej nie oszukało!

Wpadające do refektarza słońce świeciło wchodzącej w twarz, w plecy zaś – osobom siedzącym za długim stołem, nakrytym białym obrusem, dlatego z początku pani Lisicyna zobaczyła tylko sylwetki kilku mężczyzn, trwających w statecznym znieruchomieniu. Ukłoniła się z szacunkiem od progu i nagle usłyszała głos ojca Witalisa:

– Oto, władzyko, osoba, którą życzyłeś sobie widzieć.

Pani Polina szybko wyciągnęła z etui okulary, zmrużyła oczy i wydała lekki okrzyk. Na honorowym miejscu, w otoczeniu klasztornej starszyczny, siedział Mitrofaniusz – żywy, zdrowy, może tylko trochę wymizerowany i blady.

Archijerej obrzucił „moskiewską szlachciankę” od stóp do głów wzrokiem niezapowiadającym niczego dobrego i w milczeniu poruszył wargami. Nie pobłogosławił, nawet nie skinął głową.

– Niech z nami zje, potem z nią pomówię.

I odwrócił się do przeora, by kontynuować przerwana rozmowę.

Pani Lisicyna usiadła na samym brzegu krzesła, na wpół żywa z radości i oczywiście ze strachu. Zauważyła, że w brodzie przewielebnego przybyło siwych włosów, policzki mu się zapadły, a palce, jakby cieńsze, z lekka drżą, czego dawniej nie bywało. Westchnęła.

Brwi biskupa surowo wędrowały w górę i w dół. Było jasne, że się gniewa, ale czy mocno – na oko określić się nie dawało. Patrzyła pani Polina na swojego ojca duchowego błagalnym wzrokiem, patrzyła, ale on uwagą jej nie zaszczycił. Doszła do wniosku: gniewa się mocno.

Znów westchnęła, ale mniej gorzko niż za pierwszym razem. Zaczęła słuchać, o czym rozmawiają archijerej i ojciec przełożony.

Konwersacja tyczyła się spraw Bogu oddanej wspólnoty.

– Ja, wasza przewielebność, w swoim postępowaniu trzymam się poglądu, że mnich powinien być jak zmarły wśród żywych. Nieustanne prace dla pomyślności wspólnoty i modlitwy – oto jego bytowanie, i niczego więcej mu nie potrzeba – mówił ojciec Witalis, widocznie odpowiadając na jakieś pytanie czy może wyrzut. – Dlatego dla braci surowy jestem i swobody im nie daję. Kiedy postrzyżyny przyjmowali, sami się swej woli wyrzekli ku chwale Bożej.

– A ja z tobą, ojciec czcigodny, zgodzić się nie mogę – żywo odpowiedział Mitrofaniusz. – Po mojemu mnich powinien być żywszy od każdego świeckiego, bo to on właśnie żyje prawdziwym, to jest duchowym życiem. I ojciec do swoich podopiecznych też powinien z szacunkiem się odnosić, bo każdy z nich posiada wzniosłą duszę. A tu się ich do ciemnicy sadza, głodem morzy i jeszcze, powiadają, po mordach okłada. – Władyka zerknął na dorodnego zakonnika, który siedział na prawo od archimandryty. Polina wiedziała, że jest to groźny ojciec Triadiusz, szafarz monasteru. – Na takie rękoczynny

pozwolić nie mogę.

– Toż mnisi są jak dzieci – zaoponował przeor. – Nie znają przecież zwykłych ziemskich trosk. Podejrzliwi, ciekawi świata zewnętrznego, w języku niepowściągliwi. Wielu od małego w klasztornych murach zbawienia szuka, więc w duszy pozostali dziećmi. Z nimi bez ojcowskiej surowości nie można.

Przewielebny zauważył powściągliwie:

– A ty, ojcze, nie przyjmuj do stanu zakonnego takich, co życia nie zaznali i samych siebie jeszcze nie znają. Człowiek ma przecież i inne drogi zbawienia oprócz służby zakonnej. I dróg tych jest mnóstwo nieskończone. Tylko prostakowi wydaje się, że klasztor to najkrótsza droga do Pana Naszego, ale w świecie Bożym prosta droga nie zawsze jest najkrótsza. Jeszcze raz i z naciskiem chcę cię, czcigodny ojcze, wezwać: nie zapędzaj się zbytnio z surowością. Kościół Chrystusowy ma wpajać nie strach, lecz miłość. Bo inaczej to patrząc na sprawy naszych duchownych, ma się ochotę za Gogolem powtórzyć: „Od tego smutno, że w tym, co dobre, dobra nie ma”.

Ojciec Witalis wysłuchał napomnienia, z uporem pochylając głowę.

– A ja przewielebności waszej na to nie słowami świeckiego autora, tylko zdaniem pobożnego starca Zosimy Wierchowskiego odpowiem: „Jeśli nie będziemy ze świętymi, to będziemy z diabłami; trzeciego miejsca przecież dla nas nie ma”. Pan Bóg odsiew między ludźmi przeprowadza – temu zbawienie, temu zatracenie. Nieubłagany to wybór, straszny, jakże tu bez surowości?

Polina Andriejewna wiedziała, że dla świętej pamięci starca z optińskiej pustelni, Zosimy Wierchowskiego, władcyka żywi szczególną cześć, tak że argument archimandryty nie chybił celu.

Mitrofaniusz milczał. Pozostali mnisi patrzyli na niego, czekali. Pani Lisicyna nagle poczuła się nieswojo: ona jedna była tu w świeckim stroju, jedyna jasna plama pośród czarnych habitów.

Jakby jakaś sikorka przez pomyłkę wleciała między stado wron.

Nie – powiedziała sobie Polina Andriejewna – należę do tej samej rasy. A oni to nie żadne wrony, mówią o ważnych rzeczach, o całą ludzkość się spierają.

Co zatem powie przeorowi Mitrofaniusz?

– Katolicyzm dopuszcza jeszcze istnienie czyścca, dlatego że ludzi całkiem dobrych i całkiem złych jest niewielu – powiedział powoli biskup. – Czyściec oczywiście należy rozumieć w sensie duchowym, jako miejsce oczyszczenia od oblepiającego nas brudu. Nasza zaś wiara prawosławna czyścca nie uznaje. Długo rozmyślałem nad tym, skąd takie nieprzejednanie, i wymyśliłem. To nie z surowości się bierze, tylko z jeszcze większego miłosierdzia. Przecież całkiem czarnych, niedających się omyć grzeszników nie bywa, w każdym, choćby najbardziej zakamieniałym, tli się jakaś żywa iskierka. I nasze prawosławne piekło, w przeciwieństwie do katolickiego, nikomu, nawet Judaszowi, nadziei nie odbiera. Wydaje mi się, że męki piekielne nie są u nas przewidziane na wieczność. Prawosławne piekło jest właśnie czyścem, bo każda grzeszna dusza ma tam wyznaczony swój termin. Nie może być tak, żeby Pan Nasz w swoim miłosierdziu karał duszę raz na zawsze i nigdy jej nie wybaczał. Bo i po co męki, jeśli nie dla oczyszczenia?

Nowoararaccy ojcowie spojrzeli po sobie, nic na temat tego poglądu nie powiedzieli, a Polina Andriejewna pokiwała głową. Wiedziała, że mówiąc o religii, władcyka często wypowiada poglądy, które mogą być uznane za wolnomyślnie albo nawet heretyckie. Wśród swoich – w porządku, to nie straszne. Ale wobec tych doktrynerów? Przecież doniosą, naplotkują.

A Mitrofaniusz swej admonicji jeszcze nie zakończył.

– I muszę na coś, czcigodny ojcze, zwrócić ci uwagę. Słyszałem, że bardzo ojciec dogadza ziemskim władcom, kiedy go odwiedzają.

Opowiadano mi, że zeszłego roku, kiedy tu wielkie księżne na pielgrzymkę przywieziono, ojciec podobno w każdej świątyni dywan przed nimi ułożył, a chór wasz klasztorny dla przyjezdnych odegrał cały koncert. Dla małych dziewczynek! A po co ojciec do generała-gubernatora osobiście jeździł, by jego daczę w Modrooziersku święcić, i nawet ikonę cudami słynącą ze sobą woził?

– Dla miłej Panu Bogu sprawy! – zakrzyknął z żarem Witalis. – Przecież ciałem na ziemi żyjemy i po ziemi stąpamy! Za to, że ich cesarskim wysokośćom wygodziłem, resort pałacowy w Petersburgu klasztorowi działkę pod cerkiew filialną wyznaczył. A generał-gubernator z wdzięczności dzwon spiżowy pięćsetpudowy przysłał. Przecież to nie mnie, grzesznemu wielce Witalisowi, tylko Cerkwi potrzebne!

– Och, boję się, że naszej Cerkwi za pieśczoćy z władzą doczesną przyjdzie wysoką cenę zapłacić – westchnął biskup. – I może w nie tak dalekiej przyszłości... No tak, dobrze. – Po krótkiej pauzie przewielebny nieoczekiwanie się uśmiechnął. – Ledwie przyjechał, od razu się kłóci, też niezbyt ładnie to wychodzi. Chciałbym, ojcie Witalisie, słynną waszą wyspę obejrzeć. Od dawna marzę...

Archimandryta z uszanowaniem pochylił głowę.

– Ja już nawet dziwiłem się, czym waszą przewielebność rozgniewałem, że nigdy Araratu odwiedzinami nie zaszczycił. Gdybyś, przewielebny ojcie, zawczasu raczył się zapowiedzieć, to i powitanie uroczyste bym przygotował. A tak cóż... proszę nie mieć żalu.

– To nic, ja do parad nieskory – dobrodusznie powiedział archijerej, udając, że nie zauważył utajonego w słowach przeora wyrzutu. – Chciałbym zobaczyć wszystko tak, jak bywa na co dzień. I od razu teraz zacznę.

– A posilić się? – zaniepokoił się ojciec szafarz. – Rybki z naszego

Jeziora Modrego, pierogów, marynat, pierniczków miodowych...?

– Wielkie dzięki, doktorzy nie każą. – Mitrofaniusz poklepał się po lewej stronie piersi i wstał. – Wywary piję, kaszki nudne zajadam, tym żyję.

– Cóż, gotów jestem zaprowadzić, gdzie tylko wasza przewielebność każe. – Witalis wstał także, za nim pozostali. – Kareta zaprzężona.

Władyka odrzekł łagodnie:

– Wiadomym mi jest, ojcze czcigodny, ile masz trosk na głowie. Proszę nie tracić czasu na czcze czołobitności, ani mnie to nie pochlebia, ani tobie, ojcze, zadowolenia nie przynosi.

Archimandryta zachmurzył się.

– No, to ja z waszą przewielebnością wyprawię ojca Siluana albo ojca Triadiusza. Nie można przecież tak w ogóle bez oprowadzającego...

– Ich też nie trzeba. Ja przecież do was nie na inspekcję przyjechałem, jak sobie pewnie, ojcze, wyobraziłeś. Dawno już chciałem, a nawet marzyłem, żeby pobyc u was ot tak, jak zwykły pielgrzym. Po prostu, bez żadnych zwierzchniczych zamiarów.

Mówił władyka rzeczywiście po prostu, ale Witalis zasępił się jeszcze bardziej – nie uwierzył w Mitrofaniuszową szczerłość. Uznał pewnie, że biskup chce obejrzeć monasterskie włości bez podpowiadaczy i doglądaczy. I uznał trafnie. Dopiero teraz przewielebny spojrzął na panią Polinę.

– O, niech pani... Lisicyna ze mną pojedzie, dawna moja znajoma. Proszę, Polino Andriejewno, nie odmawiać staruszkowi swego towarzystwa. – I jak spojrzął wprost spod gęstych brwi, to pani Polina od razu się poderwała. – Pogadamy o dawnych dniach, o tym, jak się pani żyje, porównamy nasze wrażenia ze świętego monasteru.

Nieprzyjemnym tonem było to powiedziane – w każdym razie tak wydało się przebranej zakonnicy.

– Dobrze, ojcie – wymamrotała ze spuszczonej oczami.

Przeor wpatrzył się w nią ciężkim, podejrzliwym wzrokiem. Zainteresował się z niemiłym uśmiechem:

– No, jak tam, łaskawa pani, krokodyl już nie dręczy?

Pani Lisicyna nie odpowiedziała, tylko głowę opuściła jeszcze niżej.

Wyjechali z bramy tą samą kareta, która przywiozła Polinę Andriejewnę z pensjonatu. Na razie żadne słowa nie padły. Przestępczyni denerwowała się, nie wiedziała, od czego zacząć: kajać się czy usprawiedliwiać, czy o głównej sprawie mówić. Mitrofaniusz zaś milczał z rozmysłem – żeby się przejeła.

Patrzył przez okno na porządne ararackie ulice, z aprobatą cmokał językiem. Odezwał się nieoczekiwanie – pani Lisicyna nawet się wzdrygnęła.

– No, a z tym krokodylem to co? Znów jakiś kawał?

– Moja wina, ojcie. Oszukałam ojca przeora – przyznała z pokorą Polina Andriejewna.

– Winna, winna jesteś, Pelasiu. Dużo rzeczy nawyrabiałaś...

No tak, doczekała się. Westchnęła ze skrucą, spuściła głowę.

Mitrofaniusz zaś zaczął, zaginając po kolei palce, wyliczać wszystkie jej winy:

– Przysięgę złamałaś, daną ojcu duchowemu, choremu i nawet prawie umierającemu.

– Nie przysięgałam! – szybko zaprzeczyła duchowa córka.

– Nie kręć. Tyś moją bezgłośną prośbę, żeby do Araratu nie jechać, jak najdoskonalej zrozumiała i głową kiwnęła, i w rękę mnie pocałowałaś. Może to nie przysięga, ty żmijo wiarołomna?

– Żmija, po prostu żmija – zgodziła się pani Polina.

– W strój niedozwolony się przebrałaś, godność zakonną pohańbiłaś. O, szyja goła, tfu, wstręt patrzeć.

Pani Lisicyzna pospiesznie osłoniła szyję chustką, ale spróbowała ten punkt aktu oskarżenia odrzucić.

– Kiedy indziej ojciec sam mi dał błogosławieństwo na takie postępowanie.

– A tym razem nie tylko błogosławieństwa nie dałem, ale wprost zabroniłem – odparł Mitrofaniusz. – Tak czy nie?

– Tak...

– Myślałem, żeby na policję na ciebie donieść. I nawet trudno mi wybaczyć, że tego nie zrobiłem. Pieniądze pasterzowi porwać! Już trudno niżej upaść! Na katorgę by cię posłać, najodpowiedniejsze to dla złodziejki miejsce!

Polina Andriejewna nie oponowała – nie miała argumentów.

– I jeśli nie doniosłem na ciebie, zbiegłą czernicę i rozbójniczkę, do policji śledczej na całe imperium – a po rudości i piegach szybko by cię znaleźli – to tylko z wdzięczności za uleczenie.

– Za co? – zdumiała się pani Lisicyzna, sądząc, że się przestyszała.

– Jak się dowiedziałem od siostry Krystyny, że ty, powoławszy się na mnie, gdzieś pojechałaś, i zrozumiałem, coś sobie zamyśliła, od razu zdrowie mi się poprawiło. Zawstydzilem się, Pelasiu – cicho powiedział archijerej i od razu widać było, że wcale się nie gniewa. – Zawstydzilem się słabości swojej. Co to ja, płacziwa starucha jestem? W pościeli się wałam, dekokty panów doktorów po łyżeczce popijam. Owieczki swoje nieszczęśliwe w kłopotach opuściłem, wszystko na kobiece barki zwałem. I tak mi się wstyd zrobiło, że już następnego dnia zacząłem siadać, na czwarty się przeszedłem, na piąty trochę kolaską po mieście się przejechałem, a na ósmy zebrałem się w drogę, tutaj, do was. Profesor Schmidt, który z Pitra przyjechał, żeby mnie pochować, mówi, że w życiu nie widział takiego szybkiego wyzdrowienia po naderwaniu mięśnia sercowego. Wyjechał do stolicy bardzo z siebie dumny. Teraz za wizyty i konsultacje jeszcze więcej

zaczną mu płacić. A wyleczyłaś mnie ty, nie on.

Polina Andriejewna chlipnęła i ucałowała chudą białą rękę przewielebnego. On zaś pocałował ją w przedziałek na głowie.

– Patrzcie ją, jak to się naperfumowała – zawarczał biskup, już nie udając, że jest zły. – No dobrze, o sprawie mów.

Pani Lisicyzna wyciągnęła list z za pazuchy.

– Lepiej przeczytaj, ojczec. Tu jest wszystko najważniejsze. Co wieczór dopisywałam. Wyjdzie krócej i jaśniej, niż gdybym opowiadała. A może mam ustnie?

Mitrofaniusz włożył binokle.

– Daj, przeczytam. Jak czegoś nie zrozumieć – będę pytał.

Ze wszystkimi dopiskami, które uzbierały się w ciągu tygodnia, list wyszedł długi na prawie dziesięć stron. Niektóre wiersze tu i ówdzie podmokły, rozpląły się.

Kareta przystanęła. Mnich-woźnica zdjął kołpak i zapytał:

– Dokąd wasza przewielebność każe? Z miasta już wyjechaliśmy.

– Do lecznicy doktora Korowina – powiedziała Polina Andriejewna półgłosem, żeby nie przeszkadzać czytającemu.

Ruszyli dalej.

Pani Polina z żalnością przyglądała się zmianom, jakie w twarzy władcy spowodowała choroba. Och, za wcześnie wstał z łóżka. Żeby znów z tego nie było jakiegoś nieszczęścia. Ale z drugiej strony – od beczynnego leżenia w pościeli tylko by mu się pogorszyło.

W pewnym miejscu przewielebny krzyknął, jakby z bólu. Polina Andriejewna domyśliła się: przeczytał o Aloszy.

Wreszcie władca odłożył arkusiki i zamyślił się posepnie. Pytać nie pytał – widać sensownie wszystko było wyłożone.

Wymamrotał:

– A ja, staruch bezużyteczny, pigułki łykałem, chodzić się uczyłem...
Ech, wstyd.

Pani Polinie spieszno było porozmawiać o sprawie.

– Mnie, włądyko, zagadkowe powiedzenia starca Izraela spokoju nie dają. Wynika z nich przecież...

– Zaczekaj no ze swoimi zagadkami. – Mitrofaniusz machnął na nią ręką. – O tym później porozmawiamy. Najpierw najważniejsze: Matiuszę chcę widzieć. Jak z nim, źle?

– Źle.

Dzień ostatni. Południe

– Bardzo źle – potwierdził doktor Korowin. – Z każdym dniem trudniej się do niego przebić. Entropoza postępuje. Dzień po dniu chory staje się bardziej bezwolny i bierny. Nocne halucynacje ustały, ale widzę w tym nie poprawę, tylko pogorszenie: psychika nie potrzebuje już pobudzeń, Berdyczowski utracił zdolność doznawania takich silnych uczuć jak strach, osłabł w nim instynkt samozachowawczy. Wczoraj przeprowadziłem doświadczenie: kazałem nie przynosić mu jedzenia, dopóki sam nie poprosi. Nie poprosił. Cały dzień przesiedział głodny... Przestaje poznawać ludzi, jeśli ich nie widział przez ostatnią dobę. Jedyńy, któremu udawało się jako tako wciągnąć go w sensowną rozmowę, to sąsiad, Lampe, ale to też postać specyficzna i nie żaden mistrz krasomówstwa – Polina Andriejewna widziała go i wie. Całe moje doświadczenie podpowiada, że dalej może być tylko gorzej. Jeśli chcecie, możecie odebrać chorego ode mnie, ale nawet w najmodniejszej szwajcarskiej klinice, choćby u samego Schwangera, wynik będzie taki sam. Niestety, współczesna psychiatria jest wobec takich przypadków bezsilna.

W trójkę – doktor, biskup i pani Lisicyna – weszli do pawilonu numer siedem. Zajrzeli do sypialni. Dwa puste łóżka: jedno – Berdyczowskiego, ze zmiętą pościelą, drugie akuratnie posłane.

Udali się do pracowni. Story w biały dzień zasłonięte, światło się nie pali. Cicho.

Nad oparciem krzesła sterczała łysiejąca czaszka Matwieja Bencjonowicza, niegdyś zawsze przykryta wirtuozersko zaczesaną pożyczką, teraz bezbronna, naga. Na dźwięk kroków chory nie

odwrócił się.

– A gdzie Lampe? – zapytała szeptem Polina Andriejewna.

Korowin odpowiedział normalnym głosem:

– Nie mam pojęcia. Ilekroć przyjdę – nigdy go nie ma. Chyba już kilka dni go nie widziałem. Nasz Sergiusz Nikołajewicz to osobowość samodzielna. Pewnie odkrył jeszcze jakąś emanację i zajmuje się „eksperymentami polowymi”. Takiego terminu używa.

Władyka pozostał na progu. Patrzył na potylicę swego duchowego dziecka, raz po raz mrugając.

– Panie Matwieju! – zawołała Polina Andriejewna.

– Może głośniej – poradził Donat Sawwicz. – On teraz reaguje tylko na silne bodźce.

Pani Lisicyna krzyknęła na cały głos:

– Panie Matwieju! Proszę spojrzeć, kogo panu przywiozłam!

Polina Andriejewna trochę liczyła na to, że widok ulubionego nauczyciela wstrząśnie chorym, pobudzi go do życia.

Na okrzyk podprokurator obejrzał się, poszukał źródła dźwięku. Znalazł. Ale popatrzył tylko na kobietę. Jej towarzyszy nie zaszczycił spojrzeniem.

– Tak? – zapytał powoli. – Czym mogę pani służyć?

– Przedtem on o waszą przewielebność stale pytał! – Zrozpaczona Polina zaszeptała do Mitrofianusza. – A teraz nawet nie spojrzy... Gdzież to pan Lampe? – zapytała ostrożnie, podchodząc do siedzącego.

– Pod ziemią – odpowiedział pytany bezbarwnym, obojętnym głosem.

– Widzi pani? – Korowin wzruszył ramionami. – Reakcja tylko na intonację i gramatykę pytania, z majaczeniowym odzewem. Nowy etap w rozwoju choroby umysłowej.

Archijerej postąpił naprzód, zdecydowanie odsuwając doktora na bok.

– Proszę pozwolić. Fizyczne uszkodzenia mózgu to niewątpliwie domena medycyny, ale choroba duszy, w którą, jak dawniej mawiano, bies wstąpił, to już, doktorze, mój resort. – I podnosząc władczo głos, nakazał: – Wie pan co, niech pan nas zostawi z panem Berdyczowskim sam na sam. I proszę nie wchodzić, póki nie zawołam. Nikt inny też nie. Rozumie pan?

Donat Sawwicz uśmiechnął się.

– Ach, władzyko, nie z ojca diecezji to sprawa, proszę mi wierzyć. Tego biesa modlitwą ani wodą święconą się nie przegoni. A poza tym nie pozwolę u siebie w klinice średniowiecza urządzić.

– Nie pozwoli pan? – Archijerej zmrużył oczy, przyglądając się doktorowi. – A pętać się chorym pośród zdrowych pan pozwala? Co pan tu, w Araracie, za galimatias zaprowadził? Nie można się rozeznąć, kto z publiczności jest poczytalny. I tak człowiek żyje sobie na tym świecie i nie zawsze rozumie, kto tu zwariował, a kto nie, lecz u was na wyspie to w ogóle jedno zgorszenie i zamęt. Tu i zdrowy sam w siebie zaczyna wątpić. Niech pan lepiej robi to, co panu powiedziałem. A jak nie, to odmówię pańskiej instytucji prawa pobytu na terytorium kościelnym.

Korowin więcej spierać się nie ośmielił. Rozłożył ręce – a róbcie, co chcecie – odwrócił się i wyszedł.

– Chodźmy, Matusza.

Biskup łagodnie wziął chorego za rękę, wyprowadził z ciemnej pracowni do sypialni.

– Ty, Pelagio, nie idź z nami. Kiedy będzie można, zawołam.

– Dobrze, ojcze, zaczekam w pracowni – skłoniła się pani Lisicyna.

Berdyczowskiego władzyka posadził na łóżku, sobie przysunął krzesło. Milczeli. Mitrofaniusz patrzył na Matwieja Bencjonowicza, tamten – w ścianę.

– Matwiej, czy ty naprawdę mnie nie poznałeś? – nie wytrzymał przewielebny.

Dopiero teraz Berdyczowski przeniósł wzrok na niego. Mrugnął parę razy oczyma, powiedział:

– Pan przecież jest osobą duchowną. O, i panią ma pan na piersi. Twarz pańska jest mi znajoma. Pewnie widziałem pana we śnie.

– A ty mnie dotknij. Ja ci się nie śnię. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Matwiej Bencjonowicz posłusznie dotknął rękawa gościa. Odpowiedział uprzejmie:

– Dlaczego? Bardzo rad.

Popatrzył na władkę jeszcze raz i nagle zapłakał – cichutko, bezgłośnie, ale obfitymi łzami.

Objaw uczuć, choćby nawet taki, ucieszył Mitrofianusza. Zaczął gładzić upośledzonego po głowie, dogadując wciąż:

– Popłacz, popłacz, ze łzami jad z duszy wychodzi.

Ale wyglądało na to, że Berdyczowski rozplakał się na dobre. Wciąż wylewał łzy i wylewał, i to jakoś dziwnie monotennie. I płacz był dziwny, przypominał uporczywą jesienną mżawkę. Przewielebny całą chusteczkę przemoczył, wycierając twarz duchowego syna, a chusteczka była spora, prawie na arszyn.

Biskup zachmurzył się.

– No, no, popłakałeś i wystarczy. Ja przecież dobre wieści ci przywiozłem, bardzo dobre.

Matwiej Bencjonowicz pokornie zamrugnął powiekami i oczy natychmiast mu obeschły.

– To dobrze, kiedy wieści są dobre – zauważył.

Mitrofianusz nie doczekał się pytania. Oznajmił więc uroczyście:

– Awansowano ciebie do wyższej rangi. Gratuluję. Przecież dawno na to czekałeś. Teraz jesteś radcą stanu.

– Ja radcą stanu być nie mogę. – Berdyczowski z namysłem zmarszczył czoło. – Wariaci nie mogą być urzędnikami piątej rangi, prawo tego zakazuje.

– Jeszcze jak mogą! – próbował żartować władyka. – Ja znam osoby czwartej i, aż strach powiedzieć, trzeciej rangi, których właściwym miejscem byłby dom obłąkanych.

– Tak? – zdziwił się nieco podprokurator. – A tymczasem regulamin służby państwowej absolutnie tego nie dopuszcza.

Znów milczeli przez chwilę.

– Ale to jeszcze nie najważniejsza moja wieść. – Biskup klepnął Berdyczowskiego w kolano, ten wzdrygnął się i płacząco zmarszczył. – Chłopczyk ci się urodził, syn! Zdrowiusieńki, i Masza też jest zdrowa.

– To bardzo dobrze, kiedy wszyscy są zdrowi. – Podprokurator skinął głową. – Bez zdrowia nic nie daje szczęścia, ani sława, ani bogactwo.

– Już nawet imię wybraliśmy. Pomyśleliśmy, pomyśleliśmy i nazwaliśmy... – Mitrofaniusz zrobił znaczącą pauzę – Akakiuszem. Będzie teraz Akakiusz Matwiejewicz. Złe imię?

Matwiej Bencjonowicz zaaprobował również imię.

I znów zapadła cisza. Teraz obaj milczeli z pół godziny, nie mniej. Widać było, że Berdyczowskiemu to nie ciąży. Patrzył prosto przed siebie, prawie bez ruchu. Dwa razy, kiedy poruszył się Mitrofaniusz, przeniósł na niego wzrok i uśmiechnął się życzliwie.

Nie wiedząc, jak przebić się przez głuchą ścianę, archijerej zaczął rozmowę o rodzinie – w tym celu zabrał ze sobą z Zawołńska zdjęcia. Matwiej Bencjonowicz oglądał je z uprzejmym zainteresowaniem. O żonie powiedział:

– Miła twarz, tylko bardzo poważna. Dzieci też mu się spodobały.

– Masz, ojczy, czarujące maleństwa – powiedział. – I jak dużo.

Nawet nie wiedziałem, że osobom stanu zakonnego pozwala się mieć dzieci. Szkoda, ja nie mogę mieć dzieci, ponieważ jestem umyślowo chory. Prawo zabrania umyślowo chorym zawierać ślub, a jeśli ktoś już zawarł, to taki ślub uznaje się za nieważny. Wydaje mi się, że ja też przedtem byłem żonaty. Coś takiego sobie przypo...

Wtem rozległo się ostrożne stukanie i w drzwiach pojawiła się piegowata twarz Poliny Andriejewny – bardzo nie w porę. Władyka zamachał ręką na swoją córę duchową: idź sobie, nie przeszkadzaj – i drzwi się zamknęły. Ale chwila minęła, Berdyczowski nie wdał się we wspomnienia – zagapił się na karalucha, który powoli pełzł po nocnym stoliku.

Mijały minuty, godziny. Zaczęło zmierzchać. Zapadł zmrok. W pokoju zrobiło się ciemno. Do drzwi nikt więcej nie stukał, nie śmiał niepokoić biskupa i jego szalonego podopiecznego.

– No tak – powiedział Mitrofaniusz, ze stęknieniem wstając z krzesła. – Jakoś się zmęczyłem. Będę się układał na noc. Fizyka twojego i tak nie ma, a jak się pojawi, doktor mu inne miejsce wyznaczy.

Położył się na drugim pościaniu, wyciągnął odrętwiałe członki.

Berdyczowski po raz pierwszy zdradził jakieś objawy zaniepokojenia. Zapalił lampę, odwrócił się do leżącego.

– Ojcu tu nie wolno – powiedział nerwowo. – To jest pomieszczenie dla umyślowo chorych, a ojciec jest zdrowy.

Mitrofaniusz ziewnął, zrobił znak krzyża przed ustami, żeby zły duch nie wleciał.

– Co z ciebie za umyślowo chory? Nie wyjesz, po podłodze się nie tarzasz.

– Po podłodze się nie tarzam, ale wyc mi się zdarzało – przyznał się Berdyczowski. – Kiedy bardzo strasznie mi się robiło.

– No, to ja razem z tobą będę wył. – Głos przewielebnego był

beznamiętny. – Ja, Matusza, teraz ciebie nigdy nie zostawię. Zawsze będziemy razem. Dlatego że jesteś mi synem duchowym i dlatego że cię kocham. Wiesz, co to jest miłość?

– Nie – odpowiedział Matwiej Bencjonowicz. – Ja teraz nic nie wiem.

– Miłość to znaczy cały czas być razem. Zwłaszcza kiedy temu, kogo kochasz, jest źle.

– Tu ojcu nie wolno! Jak można nie rozumieć! Przecież ojciec jest biskupem!

Aha! Mitrofaniusz w półmroku zacisnął pięści. Przypomniał sobie! No, no...

– Mnie, Matusza, jest wszystko jedno. Zostanę z tobą. I tobie już więcej nie będzie straszno, bo we dwójkę straszno nie bywa. Będziemy razem, obaj umysłowo chorzy, ty i ja. Doktor Korowin mnie przyjmie, to dla niego ciekawy przypadek: gubernialny archijerej tracony na umyśle.

– Nie! – upierał się Berdyczowski. – We dwójkę rozumu się nie traci.

I to także wydało się przewielebnemu dobrem znakiem – przedtem Matwiej Bencjonowicz na wszystko się zgadzał.

Mitrofaniusz usiadł na łóżku, zwiesił nogi. Odezwał się, patrząc byłemu śledczemu w oczy.

– A ja, Matwieju, wcale nie myślę, żeś ty rozum stracił. Tak tylko, kopnięty jesteś troszkę. Z bardzo mądrymi to się zdarza. Bardzo mądrzy chcą często cały świat w swoją głowę wcisnąć. A on cały się tam nie mieści, ten Boży świat. Są w nim kanty, wiele kantów, niektóre bardzo ostre. Wyłażą z czaszki, na mózg naciskają, ranią.

Pan Matwiej chwycił się za skronie, poskarżył się:

– Tak, naciskają. A wie ojciec, jak czasem boleśnie?

– Jak może być nieboleśnie? Wy, mądrzy, jeśli coś wam w mózg nie

wchodzi, to zaczynacie od swojego mózgu uciekać, od rozumu odchodzić. A przenieść się gdzie indziej nie jest wam dane, bo człowiek oprócz rozumu może mieć jeszcze tylko jedno oparcie – wiarę. Ty zaś, Matusza, choćbyś powtarzał i powtarzał: „Wierzę, Panie mój”, to i tak naprawdę nie uwierzysz. Wiara to dar Boży, nie każdemu dany, a bardzo mądrym dostaje się on dziesięć razy trudniej niż innym. No więc wychodzi na to, że od rozumu się odstręczyłeś, a wiary nie dostałeś, stąd i cała twoja choroba umysłowa. Cóż... wiary ci dać nie mogę, nie w mojej to władzy. A na drogę do rozumu spróbuję cię zawrócić. Żeby znowu świat Boży mógł ci się między uszami zmieścić.

Berdyczowski słuchał nieufnie wprawdzie, ale z nadzwyczajną uwagą.

– Czytać jeszcze się nie oduczyłeś? No, to masz, poczytaj, co inna mądrała pisze, jeszcze mądrzejsza od ciebie. O trumnie poczytaj, o kuli, o Wasilisku na szczudłach.

Władyka wyjął z rękawa list i podał rozmówcy.

Ten wziął, przysunął się do lampy. Z początku czytał wolno, po cichu, pracowicie poruszając wargami. Przy trzeciej stronicy drgnął, zacisnął usta, zamrugnął powiekami. Odwrócił stronę, zaczął czytać następną, nerwowo zwichrzył sobie włosy.

Mitrofaniusz patrzył z nadzieją i też poruszał wargami – modlił się.

Doczytawszy do końca, pan Matwiej energicznie przetarł oczy. Zaszleścił kartkami, przewracając je w przeciwnym kierunku, i zaczął czytać od nowa. Palce uniosły się i uchwyciły koniuszek długiego nosa – w poprzednim życiu miał podprokurator takie przyzwyczajenie, któremu ulegał w chwilach napięcia.

Nagle szarpnął się, odłożył list i całym ciałem odwrócił się do władyki.

– Jak to „Akakiusz”! Mój syn – Akakiusz? Co to za imię! I Masza się

zgodziła?!

Archijerej uczynił znak krzyża, wyszeptał modlitwę dziękczynną, z uczuciem przywarł ustami do drogocennej panagii. A odezwał się lekko, wesoło:

– Nałgałem, Matwiejuszka. Rozruszać cię chciałem. Masza jeszcze nie urodziła, donasza dopiero.

Matwiej Bencjonowicz zachmurzył się.

– A o radcy stanu też nieprawda?

Na dźwięk głośnego śmiechu, połączonego z zadyszką i szlochem, drzwi do sypialni znowu się otworzyły, tym razem bez pukania, i nie była to pani Lisicyna, lecz doktor Korowin z asystentem, obaj w białych kitlach – widocznie prosto z obchodu. Z lękiem w oczach zagapili się na poczerwieniałego, ocierającego łzy władykę, na potarganego pacjenta.

– No, kolego, muszę powiedzieć: nie myślałem, że schizofrenia rozpadowa jest zaraźliwa – wymamrotał Donat Sawwicz.

– Ależ, kolego! Toż to prawdziwe odkrycie! – wykrzyknął asystent.

Naśmiawszy się i otarłszy łzy, Mitrofaniusz powiedział zbitemu z tropu podprokuratorowi:

– O awansie nie nałgałem, to byłby grzech niewybaczalny. Pozdrawiam zatem, wasza wielmożność.

Doktor Korowin przyjrzał się minie pacjenta i rzucił się ku niemu.

– Za po-zwo-le-niem. – Przykucnął przed łóżkiem, jedną ręką chwycił pana Matwiej a za puls, drugą uniósł mu powieki. – Co to za cuda! Co ojciec z nim zrobił? Hej, panie Berdyczowski! Tu! Na mnie!

– Ale co pan tak krzyczy, panie doktorze? – Świeżo upieczony radca stanu zmarszczył brwi, odsuwając się od lekarza. – Głuchy przecież nie jestem, zdaje się. A przy okazji – już dawno chciałem panu powiedzieć: nie ma pan racji, sądząc, że chorzy nie słyszą tych pańskich „replik na stronie”, które wymienia pan z lekarzami,

siostrami albo swoimi gośćmi. Pan przecież nie jest na scenie.

Korowinowi opadła szczeka, co w połączeniu z drwiącą, zarozumiałą maską, którą na dobre sobie przyswoił, wyglądało dosyć osobliwie.

– Doktorze, kolacji u pana nie dają? – zapytał przewielebny. – Od rana nawet ziarenka maku w ustach nie miałem. A ty jak tam, Matwieju, nie zgłodniałeś?

Ten niezbyt pewnie, ale już nie tak mgliście jak przedtem odpowiedział:

– Zjeść by chyba było nieźle. A gdzie to pani Lisicyna? Ja niezbyt dokładnie pamiętam, co się tu działo, ale ona mnie odwiedzała, przecież to mi się nie przyśniło.

– Kolacja potem! Potem! – zawołał nadzwyczaj podniecony Korowin. – Musi pan natychmiast mi opowiedzieć, co konkretnie pan pamięta z wydarzeń ostatnich dwóch tygodni! Ze wszystkimi szczegółami! A pan, panie kolego, niech stenografuje każde słowo! To dla nauki rzecz niezwyklej wagi! Wasza przewielebność natomiast musi koniecznie zdradzić mi swoją metodę leczenia. Szok przecież ojciec zastosował, prawda? Ale jaki konkretnie?

– No, co to, to nie – zaproponował ostro Mitrofaniusz. – Najpierw kolacja. I proszę posłać po Pela... po Polinę Andriejewnę. Gdzież to się ona zapodziała?

– Pani Lisicyna wyjechała – odpowiedział z roztargnieniem Donat Sawwicz i potrząsnął głową. – Nie, stanowczo nie słyszałem i nie czytałem o niczym podobnym! Nawet w „Jahrbuch fur Psychopathologie und Psychotherapie”!

– Dokąd wyjechała, kiedy?

– Jeszcze za dnia. Poprosiła, żeby ją odwiedzić do hotelu. Chciała coś ojcu powiedzieć, ale nie została wpuszczona. Ach, prawda. Przedtem pisała coś u mnie w gabinecie. Prosiła, żebym przekazał waszej

przewielebności kopertę i jakąś torbę. Kopertę mam przy sobie, wsadziłem ją do kieszeni. Tylko do której? A torba jest za drzwiami, w poczekalni.

Asystent, nie czekając, aż go poproszą, już niósł torbę – wielką, ceratową, na oko niezbyt ciężką.

Póki Donat Sawwicz klepał się po niezliczonych kieszeniach, władcyka grzebał w torbie.

Wyciągnął z niej wysokie kauczukowe buty, elektryczną latarkę niezwyklej konstrukcji (zasłoniętą metalowymi tarczkami z drobnymi dziurkami) i zwiniętą czarną szmatę. Rozwinął – okazało się, że to czarny habit z kapturem, którego brzegi były niedbale ściągnięte surową nitką. Na piersi rozcięty, żeby można było odrzucić na plecy, a sam kołpak zszyty bokami, z wykrojonymi dwiema dziurkami na oczy. Mitrofaniusz niepewnie wsunął palec najpierw w jedną dziurkę, potem w drugą.

– No jak, panie doktorze, znalazł pan list? Proszę mi dać.

Nałożył pince-nez, burknął, otwierając zaklejoną kopertę:

– Od rana nic innego nie robimy, tylko listy pewnej osoby czytamy... A to ci naskrobała jak kura pazurem. Widać bardzo się spieszyła...

Jeszcze jeden list

Rozumiem, Ojczy, że zairzałam do Ciebie nie w porę. Wiadomość mam ważną, ale Ojca działanie po stokróć jest ważniejsze. Oby Bóg dopomógł Ojcu przywrócić panu Matwiejowi utracony rozum. Gdyby się udało, znaczyłoby to, że prawdziwy z Ojca czarodziej i cudotwórca.

Proszę mi wybaczyć, że nie doczekałam się i znów postępuję samowolnie, ale przecież nie wiem, jak długo potrwa prowadzona przez Ojca kuracja. Mówił Ojciec, że może nawet cały tydzień, a tyle czekać naprawdę nie sposób. Myślę, że w ogóle czekać nie wolno, bo jeden Pan Bóg wie, co temu człowiekowi w głowie siedzi.

Chociaż piszę w pośpiechu, postaram się mimo wszystko trzymać kolejności wydarzeń.

Czekając na Ojca, niespokojna o zakończenie tej trudnej (a może i nierozwiązywalnej?) sprawy, nie umiałam znaleźć sobie miejsca. Zaczęłam kręcić się po pawilonie – najpierw po samej tylko pracowni, potem i po innych pokojach, co oczywiście było z mojej strony nieładne, ale wciąż dręczyły mnie słowa doktora Korowina, że nie widział Lampego już od kilku dni. Pacjenci kliniki przebywają, rzecz jasna, na wolności, ale mimo wszystko to trochę dziwne. W dodatku przyszło mi do głowy, że skupiwszy się zbytnio na ojcu Izraelu i Wyspie Rubieżnej, prawie zupełnie spuściłam z oka lecznicę, lekceważąc tym samym hipotezę, że przestępcą jest któryś z jej mieszkańców. A tymczasem, jeśli przypomnieć sobie noc, kiedy Czarny Mnich napadł na mnie, to nasuwa się ta właśnie wersja.

Po pierwsze – kto mógł wiedzieć o szrudłach chorobliwie dbającego o czystość pacjenta i o tym, skąd można je sobie pożyczyć?

Tylko człowiek dobrze znający przyzwyczajenia mieszkańców kliniki i położenie budynków.

Po drugie, kto mógł wiedzieć, gdzie przebywa pan Matwiej, żeby straszyć go po nocach? Odpowiedź taka sama.

I po trzecie – znów tylko ktoś mający coś wspólnego z kliniką mógł bez przeszkód wielokrotnie nachodzić Lentoczki w oranżerii (przecież ze słów Aleksego Stiepanowicza wynikało jasno, że Czarny Mnich go odwiedzał), a potem zabić biednego chłopca i wynieść ciało.

Co prawda, mógł to zrobić również ktoś z zewnątrz – przecież ja dostałam się do oranżerii tak, że nikt nie zauważył – ale najłatwiej by to przyszło komuś z miejscowych.

Czy fizykowi też coś się stało? – zaniepokoiłam się. Może zobaczył coś, czego nie powinien był zobaczyć, i teraz też leży na dnie jeziora? Przypomniały mi się chaotyczne wypowiedzi Lampego, w których mówił namiętnie o mistycznej emanacji śmierci i o jakimś straszliwym niebezpieczeństwie.

Postanowiłam wobec tego pójść do garderoby, żeby sprawdzić, czy jego wierzchnie odzienie jest na miejscu. Najpierw wypytałam pielęgniarkę, w czym zazwyczaj chodzi pan Lampe. Okazało się, że zawsze w tym samym stroju: czarnym berecie, kraciastym płaszczu z pelerynką, w kaloszach i z nieodłącznym wielkim parasolem, niezależnie od pogody.

Proszę sobie wyobrazić, z jakim przejęciem stwierdziłam, że wszystkie te przedmioty są w garderobie! Przykucnęłam, żeby obejrzeć dokładniej kalosze – czasem z zaschniętych grudek błota można wyrozumieć bardzo dużo: czy dawno buty ostatni raz przebywały poza domem, po jakim gruncie stąpały i temu podobne. W tym momencie rzuciła mi się w oczy ceratowa torba, wciśnięta w ciemny kącik za stojak z kaloszami.

Jeśli jeszcze nie zdążyłeś, Ojczy, zajrzeć do torby, zrób to teraz. Jest

tam cały komplet dowodów rzeczowych: strój Czarnego Mnicha, buty, w jakich wygodnie się „chodzi po wodzie”, osobliwa latarka, która daje jaskrawe, a jednocześnie rozproszone światło, skierowane na bok i do góry. Jak Ojciec niewątpliwie pamięta, przewidywałam istnienie czegoś w tym rodzaju.

W pierwszej chwili pomyślałam sobie: podrzucili. Przestępca podrzucił. Ale potem przyłożyłam kalosz Lampego do podeszwy buta i stwierdziłam, że rozmiar jest ten sam. Stopę ma fizyk maleńką, kobiecą niemal, pomyłki więc być nie mogło. Nagle jakby mi się oczy otworzyły. Wszystko się dopasowało!

Czarny Mnich to oczywiście Lampe, zwariowany fizyk. Prawdę mówiąc, nie może to być nikt inny. Powinnam była się domyślić o wiele wcześniej.

Myślę, że było tak.

Opętany maniacką myślą o jakiejś „emanacji śmierci”, wydzielanej jakoby przez Wyspę Rubieżną, Lampę postanowił usunąć wszystkich z „przeklętego” miejsca. Z umysłowo chorymi, jak wiadomo, często bywa tak, że szalona jest tylko ich podstawowa idea, przy jej realizacji natomiast potrafią dokazywać cudów zręczności i sprytu.

Najpierw fizyk wymyślił sztuczkę z chodzącym po wodzie Wasiliskiem – schowana pod wodą ławeczka, kaptur, przemyślna latarenka, grobowy głos przemawiający do przerażonego świadka: „Idź, powiedz wszystkim. Niechaj pusto tu będzie”, i inne tego rodzaju rzeczy. Pomysł się sprawdził, ale niewystarczająco.

Wtedy Lampe przeniósł swój spektakl również na ląd, przy czym tu już doszło do draństwa: śmierci brzemiennej żony pławowego, a potem i jej męża. Szaleństwa tego rodzaju zwykły się pogłębiać, pobudzając maniaka do coraz potworniejszych czynów.

O napaści na Aloszę, na Feliksa Stanisławowicza i na pana Matwieja pisałam już Ojcu. Jestem pewna, że wszystko tak się właśnie odbyło.

Ale Lampe bał się, że Lentoczkin albo Berdyczowski otrząsną się po straszliwym wstrząsie i przypomną sobie jakiś szczegół, który może naprowadzić na ślad zbrodniarza. Dlatego dalej straszył ich w klinice.

Lentoczkin był w rozpaczliwym stanie, wystarczyło mu byle co. Berdyczowskiemu natomiast, który zachował szczątki pamięci i umiejętność posługiwania się mową artykułowaną, Lampe poświęcił szczególną uwagę. Tak wszystko urządził, żeby pana Matwieja przeniesiono do jego pawilonu, gdzie ofiara Wasiliska znalazła się pod stałym nadzorem samego Czarnego Mnicha. Straszenie Berdyczowskiego było dla fizyka rzeczą najprostszą w świecie. Starczyło wyjść na zewnątrz, stanąć na szczydłach, postukać w okno na piętrze – i po wszystkim.

I jeszcze przypominałam sobie, że kiedy wkradłam się do sypialni Berdyczowskiego, łóżko Lampego było puste. Pomyślałam, że pracuje w laboratorium, w rzeczywistości zaś w tym czasie znajdował się na zewnątrz, przebrany za Wasiliska szykował się do kolejnego przedstawienia. Kiedy niespodziewanie dla niego wydostałam się przez lufcik i zeskoczyłam na ziemię, jemu nie pozostało nic innego, jak ogłuszyć mnie ciosem drewnianej żerdzi.

O tym właśnie chciałam Ojcu opowiedzieć, kiedy ośmieliłam się zajrzeć do pokoju. Przepędził mnie Ojciec i słusznie zrobił. Wyszło na lepsze.

Zaczęłam rozmyślać dalej. Gdzie się podział Lampe? Dlaczego bez wierzchniej odzieży? Nie widziano go kilka dni; czy nie od tej nocy, kiedy zabito Aleksego Stiepanowicza?

Przypominałam sobie straszny obraz: łódka, sylweta Czarnego Mnicha, chudziutkie, obnażone ciało przerzucone przez burtę. I aż dreszcz mnie przeszył. Łódka! Lampe miał łódkę!

Po co? Czy nie dlatego, żeby potajemnie odwiedzać Rubieżną?

Usiadłam przy stole i szybko spisałam wszystkie wypowiedzi starca

Izraela, razem sześć. Pisałam ci, Ojczy, w poprzednich listach, że wyczuwam w tych dziwnych słowach jakieś tajemne orędzie, którego sensu w żaden sposób nie mogę przeniknąć.

Oto one, te krótkie repliki dzień po dniu.

„Pozwalasz odejść słudze swemu – śmierć”.

„Twoje są niebiosa – Teognosta”.

„Zadrżało Dawidowi serce jego – mętna”.

„Mający uszy niechaj słyszą – cucullus”.

„Mirowariec przyrządzi ci mieszaninę – nonfacit”.

„Nie smuć się zdrów – monachum”.

Oddzieliłam kreską ostatnie słowo każdej frazy, dlatego że igumen dodał je do cytatów z Pisma Świętego od siebie. A jeśli tajemne orędzie jest zawarte tylko w tych właśnie słowach? – pomyślałam.

Wypisałam je w jednym wierszu. Oto co z tego wyszło:

„Śmierć – Teognosta – mętna – cucullus – nonfacit – monachum”.

Z początku uznałam, że wychodzi bzdura, ale przeczytałam drugi raz, trzeci i umysł mi się rozjaśnił.

To nie jest jedno orędzie, lecz dwa, każde z trzech słów!

I sens pierwszego jest zupełnie jasny!

Śmierć Teognosta mętna.

Oto co chciał oznajmić zwierzchności klasztornej starzec! Że okoliczności śmierci pustelnika Teognosta, którego miejsce zwolniło się sześć dni temu, są podejrzane. I jeszcze z Apokalipsy dodał potem słowa: „Mający uszy niechaj słyszą”. Nie usłyszeli mnisi, nie zrozumieli.

Co znaczy „śmierć mętna”? Czy aby nie o zabójstwie mowa? Jeśli tak, to kto zabił świętego starca i w jakim celu?

Odpowiedź dawało drugie orędzie, nad którym niedługo łamałam sobie głowę. Rozwiązanie podpowiedziało słowo monachum, czyli po łacinie „mnicha”. A więc przestanie jest po łacinie!

Cucullus to „kaptur”, a nonfacit, właściwie non facit – „nie czyni”.

Jednym słowem: Cucullus non facit monachum, czyli „Kaptur nie czyni mnicha” bądź „Nie każdy, kto w kapturze, jest mnichem!”

Dlaczego po łacinie? – zastanawiałam się jeszcze, nie rozumiejąc całego znaczenia tych słów. Przecież wątpliwe, by ojciec ekonom, któremu przekazują wszystko, co mówi igumen, znał obcy język, a i niezbyt wykształcony brat Kleopa jeszcze by przekręcił takie szwargotanie. Starzec Izrael nie mógł tego nie wiedzieć.

Znaczy to, że łacińskie słowa były skierowane nie do braci, lecz do mnie. I pustelnik w ostatnie trzy dni patrzył tylko w moją stronę, jakby chciał to szczególnie podkreślić.

Skąd on wie, że skromny mniszek z podbitym okiem zna łacinę? Zagadka! Ale tak czy inaczej jest oczywiste, że Izrael chciał, bym zrozumiała go tylko ja jedna. Widać nie liczył na pojętność ojca ekonomy.

I tu znów moje myśli wróciły wstecz, do głównej sprawy. Zrozumiałam sens łacińskiej przenośni. Zrozumiałam, co chciał powiedzieć starzec! Nowy właściciel pustelniczego kaptura to nie ojciec Hilariusz! To przestępca, Lampe! Oto gdzie przepadł, ale czemu go nie widać, oto dlaczego całe jego ubranie jest na miejscu!

Fizyk przedostał się na Wyspę Rubieżną! A jeśli tak, to znaczy, że owej nocy dokonał nie jednego zabójstwa, tylko dwóch! Po prostu księżyc wyszedł zza chmur na zbyt krótko i zobaczyłam tylko połowę straszego rytuału. Lentoczkinowi zbrodniarz zamknął usta na zawsze, a dlaczego oszczędził Berdyczowskiego – Bóg jeden wie. Może i w ogarniętym szaleństwem, zapiekłym w okrucieństwie sercu nie wszystkie uczucia obumierają i przez dni, przeżyte z panem Matwiejem pod jednym dachem, Lampe zdążył się przywiązać do swego potulnego sąsiada.

Nocą maniak przedostał się do kaplicy Pożegnalnej, gdzie ojciec Hilariusz w samotności szykował się do pustelniczego życia, modlił się

i zaszywał kaptur. Dokonało się zabójstwo. A rankiem, w czarnym całunie śmiertelnym, do łódki poszedł już nie starzec, lecz przestępca.

Nie wiem i nawet nie usiłuję zgadywać, jakie potworne fantazje opanowały ten zmacony umysł. Czy nie ma zamiaru unicestwić również i dwóch pozostałych pustelników?

Doszedłszy do tej myśli, znów omal nie popędziłam do Ojca. Przecież chodziło o ludzkie życie, wybaczyłbyś mi, Ojcze! Trzeba natychmiast udać się do pustelni i zdemaskować samozwańca!

Już za klamkę chwytałam, gdy naszły mnie wątpliwości.

A jeśli się mylę? A jeśli Lampego na Rubieżnej Wyspie nie ma, a ja skłonię cię, Ojcze, do naruszenia samotności świętej pustelni! Następstwa takiego świętokradztwa będą straszne. Toż przez osiem stuleci nie stanęła tam stopa postronnego człowieka! Takiego świętokradztwa archijerejowi nie wybaczą. Rozdepczą Ojca, rozszarpią, pohańbią – już ojciec Witalis się o to postara. Jaka to będzie strata dla guberni! Co tam zresztą gubernia – dla całej Cerkwi prawosławnej!

A z głupią ciekawską babą co zrobić? Odeślą najwyżej ze wstydem pierwszym statkiem – i cała kara.

Dlatego ot co postanowiłam: teraz pojedę do miasta, przebiorę się za nowicjusza. Potem udam się na Mierzeję Postną, tam jest przywiązana łódka brata Kleopy. Kiedy ściemnieje (a ciemnieje teraz bardzo wcześniej), popłynę na Rubieżną – Bóg da, to nikt mnie z brzegu nie zobaczy.

Sprawdzę w pustelni swoje przypuszczenie – i z powrotem. Jeśli się pomyliłam, to nic strasznego. Starcowi Izraelowi całego Pisma nie starczy, żeby naskarżyć ludziom z Nowego Araratu o mojej niestychanej zuchwałości, w tempie jednego słowa dziennie. A zresztą – tępawi są, może i nie rozumieją.

Bardzo możliwe, że wrócę, jeszcze zanim wyjdiesz, Ojcze, z pokoju Matwieja Bencjonowicza, który, mam nadzieję, został wskrzeszony do

życia miłosierdziem Bożym i Twoją, Ojczy, mądrością serca.
Proszę mnie nie rugać.

Twoja córka, Pelagia

Dzień ostatni. Wieczór

Ostatnie wiersze listu Mitrofaniusz czytał, trzymając się ręką za brodę, a kiedy skończył, zaczął się miotać po pokoju: rzucił się do drzwi, zatrzymał, odwrócił do Berdyczowskiego.

– Ach, Matwieju, nieszczęście, nieszczęście! Ach, szalona pałka, do pustelni się wybrała! Patrzcie ją, o mnie się zlekła! Że o świętokradztwo oskarżą! Nie świętokradztwa trzeba się bać, tylko tego, że on ją zabije!

– Kto zabije? Kogo? – zdziwił się pan Matwiej, który jeszcze niezbyt dobrze kojarzył, a zresztą jak miał kojarzyć, skoro listu nie czytał?

Przewielebny podał mu list, a sam natarł na doktora:

– Szybciej, szybciej tam! Co takiemu za różnica, jedno zabójstwo więcej!

– Jakiemu „takiemu”? – nie mógł pojąć doktor.

– Fizykowi pańskiemu, Lampemu! On właśnie jest Czarnym Mnichem, teraz to już ustalone z całą pewnością! I zabójcą też on jest! Na Wyspie Rubieżnej się ukrył! A Pelagia, czy tam Lisycyna, tam właśnie popłynęła!

Podprokurator, który nie zdążył wczytać się porządnie w list, z niedowierzaniem pokiwał głową.

– Lampe na Wyspie Rubieżnej? Skąd, ojcie, tam go wcale nie ma!

– A gdzie jest? – odwrócił się Mitrofaniusz.

– Tam. – Berdyczowski machnął ręką, wskazując gdzieś w dół. – Pod ziemią.

Władyka aż zamarł. Co to, nie doleczył? Albo znowu zaczęły się majaczenia?

– To znaczy, chciałem powiedzieć, w piwnicy – wyjaśnił Matwiej Bencjonowicz. – Jakiś czas temu urządził sobie nową pracownię. Tam właśnie przesiaduje. Pomagałem mu nosić na dół arkusze metalu, zerwane z dachu. Sergiusz Nikołajewicz coś mi o emanacji tłumaczył, jakieś niebezpieczne doświadczenia tam robi, ale ja nic nie rozumiałem, byłem oteępiaty. I instrumenty wszystkie ma teraz w piwnicy. Prawie stamtąd nie wychodzi. Może raz na dzień wyjrzy, kawałek chleba zje i znowu pędzi na dół.

Śledczy mówił powoli, z trudem dobierając słowa, widać niezupełnie jeszcze doszedł do siebie, ale na umysłowo chorego nie wyglądał.

– Gdzie ta piwnica? – zapytał biskup doktora, nie wiedząc, czy ma wierzyć w to, co usłyszał. Może nawet żadnej piwnicy nie ma?

– O, tam, proszę za mną.

Doktor poprowadził zebranych do poczekalni, stamtąd do komórki, z komórki po kamiennych schodach w dół. Było ciemno, asystent Korowina zaświecił zapałką.

– Proszę, drzwi. Ale tam żadnej pracowni...

Korowin, nie kończąc zdania, pociągnął za klamkę i zza otwartych drzwi napłynęło nieziemskie, czerwone światło. Słychać było ciche potrzaskiwanie, zadźwięczało szkło.

Mitrofaniusz zajrzał do środka.

Nad długim stołem, zastawionym aparatami i instrumentami niejasnego przeznaczenia, pochylała się maleńka figurka w obszernej bluzie. Pod sufitem płonęła lampa, owinięta czerwoną chustą – stąd owo dziwaczne oświetlenie.

Skulony nad stołem człowieczek patrzył przez jakiś osobliwy mikroskop na imadełko, w którym zaciśnięta była pionowo czarna metalowa płytką. Za nią na specjalnej podstawie stała pusta kolba. Nie, nie pusta – na samym dnie pobłyskiwała maleńka kupka jakiegoś

proszku czy może drobnego piasku.

Badacz był tak pochłonięty obserwacjami, że nie usłyszał kroków. Wyglądał osobliwie: na głowie miał hełm strażacki, a do piersi przymocowaną cynkową miednicę, zwykłą, taką w jakiej pierze się bieliznę.

– A więc to tu się zapodział hełm z kompletu przeciwpożarowego – powiedział półgłosem asystent. – Frołow przychodził do mnie na skargę. Nie chciałem panu, panie doktorze, takim głupstwem głowy zaprzętać.

Nie odpowiadając swemu pomocnikowi, Korowin ruszył do przodu i zawołał głośno:

– Panie Lampe! Panie Sergiuszu! Co to za tajemnice podziemi?

Mały człowieczek obejrzał się, zamachał na przybyszów rękoma.

– Precz, precz! Nie można! Jej niczym nie zatrzyma! Niczym! Żelazo próbowałem, miedź próbowałem, stal, cynę, teraz, o – cynk – jak nóż w masło! Będę blachę. – Pokazał kawałek blachy do pokrywania dachów, leżący na skraju stołu. – Potem ołów, potem srebro! Coś przecież powinno zatrzymywać!

Obok arkusza blachy rzeczywiście połyskiwał arkusz matowego metalu oraz – o wiele jaśniej – srebrna taca.

– Tak – skonstatował Korowin. – Taca z mojego kredensu. No, panie Lampe, u pana do całego bukietu patologii dochodzi jeszcze kleptomania! Wstydź się pan, panie Sergiuszu. I to apologeta moralności!

Fizyk zmieszał się, wymamrotał niewyraźnie:

– Tak, niedobrze. Ale gdzie? Czas! Przecież nikt, ani jeden! Wszystko sam! A jeszcze by złota. Ja na złoto bardzo. I inne szlachetne! Albo niech już będzie platyna, żeby podobne podobnym. Ale gdzie, gdzie?

Mitrofaniusz wysunął się do przodu, popatrzył na wątego Lampego

z góry. Gęstym, niedopuszczającym sprzeciwu głosem powiedział:

– Ja panu, łaskawco, będę zadawał pytania. A pan niech odpowiada wyraźnie, niczego nie tając.

Uczony przechylił na bok głowę i przyjrzał się archijerejowi. Potem nagle wskoczył na krzesło i zdarł z lampy czerwoną szmatkę – pomieszczenie załało zwykłe światło.

Nawet stojąc na krześle, Lampe był niewiele wyższy od potężnego biskupa. Dziwny człowiek sięgnął do kieszeni bluzy, wyjął wielkie okulary z fioletowymi szklami, wsadził je na nos i znów zaczął oglądać przewielebnego, teraz jeszcze bardziej metodycznie.

– Ach, ach! – zagdakał. – Ile niebieskiego! I pomarańczowy, pomarańczowy! Tyle nigdy!

Zdjął okulary, wlepił w Mitrofaniusza zachwycone oczy.

– Cudowne widmo! Ach, gdyby wcześniej! Pan potrafi! Powiedzieć im! Oni tacy! Nawet ten! – Uczony pokazał na właściciela kliniki. – Ja jem, a on igła! Reszta gorsi! Malinowe, wszyscy malinowe! Przecież trzeba coś! I pilnie! Jej się nie zatrzyma!

Władysław, nachmurzony, zaczekał, aż Lampe ucichnie.

– Nie szalej pan. Ja wszystko wiem. To pańskie?

I skinął palcem na Berdyczowskiego: dawaj. Pan Matwiej, który tymczasem usiadł pod lampą, żeby czytać list Pelagii, wyjął z torby habit, buty, latarkę i znów zagłębił się w lekturze. Przesłuchanie jakby w ogóle go nie interesowało.

Na widok nieodpartego dowodu Lampe zamrugał oczami, pociągnął nosem, jednym słowem – zmieszał się, ale mniej niż przedtem, kiedy doktor przyłapał go na kradzieży.

– Moje, tak. A jak? Przecież nikt! Wymyśliłem. Skoro malinowe. Niech nie rozumieją, byle się nie pchali. Szkoda.

– Dlaczego urządził pan ten świętokradczy spektakl? – Biskup podniósł głos. – Dlaczego ludzi pan straszył?

Lampe przycisnął ręce do piersi i zaterkotał jeszcze szybciej. Widać było, że ze wszystkich sił stara się wyjaśnić coś bardzo dlań ważnego i nijak nie pojmuje, dlaczego nie chcą go zrozumieć:

– Ach, no, ja przecież! Malinowe, nieprzepuszczalni! Próbowałem! Ja tamtemu, bez twarzy! On nic! Ja jemu! – Znów pokazał na Korowina. – A on mnie kłuć! Paskudztwem! Potem dwa dni głowa! Nie słyszą! Głos! Puszczą!

– Mówi o usypiającym zastrzyku, który musiałem mu zaaplikować – wyjaśnił doktor. – Co za pamiętliwość, przecież już trzy miesiące minęły. Bardzo wtedy się wzburzył. Gorzej niż teraz. Ale nic, dobę pospał, uspokoił się. Wcisnął mi zeszytik, żebym czytał jego notatki. Gdzie tam – same wzory. A na marginesach, w skos i w poprzek, z tysiącami wykrzykników – o „emanacji śmierci”.

– Żeby jaśniej! – krzyknął rozpaczliwie Lampe, pryskając śliną. – Trzeba inaczej. Myślałem! Nie o śmierć! Niczym się nie zatrzyma, ot co. Może „penetracja”? Bo przez wszystko! Ale „penetrująca emanacja” nie wymówić!

– Zatem nie przeczy pan, że przebierał się za Wasiliska, chodził po wodzie i świecił zza pleców swoją przemyślną latarką? – przerwał mu władyka.

– Tak, zabobonem w zabobon. Jak nie słyszą. O, ja bardzo chytry.

– I pławowemu przez okno pan groził, gwoździem po szkle zgrzytał? A potem w chatynce napadł pan na Lentoczkiną, na Lagrange’a, na pana Matwieja?

– Jaka chatynka? – wymamrotał Sergiusz Nikołajewicz. – Gwoździem po szkle... – brrr, paskudztwo. – Wzdrygnął się. – Do diabła chatynkę! O głównym! Reszta bzdura!

– I na szczudłach też pan nie chodził, żeby do Matwieja stukać?

Fizyk zdziwił się:

– Po co szczudła? A stukać?

Podprokurator, który już przeczytał list, powiedział cicho:

– Władko, to nie mógł być pan Sergiusz. Ona się myli. Niech ojciec sam rozważy. Sergiusz Nikołajewicz wiedział, że tamtej nocy przenieśli mnie z piętra na parter. Po co mu były szcudła? Nie, to był ktoś inny. Ktoś, kto nie wiedział, że mnie przenieśli do sypialni na parterze.

Zdaje się, że Berdyczowski odzyskał zdolność logicznego myślenia, i to przewielebnego ucieszyło. Ale znaczyło, że...

– Czyli był jeszcze jeden Wasilisk? – Archijerej potrząsnął głową, żeby lepiej myślała. – Napastliwy? Ten, co uderzył Pelagię, a przedtem w taki sam sposób zaatakował ciebie, Aloszę, Lagrange’a? Absurd jakiś!

Matwiej Bencjonowicz zauważył ostrożnie:

– Do wniosków jeszcze nie jestem gotów. Ale proszę popatrzeć na pana Sergiusza. Czy miałby siłę podnieść bezwładne ciało i włożyć do trumny stojącej na stole? Aleksego Stiepanowicza jeszcze jako tako, chociaż to też wątpliwe, ale mnie to już na pewno by nie podniósł. Ja przecież ciężkokościsty jestem, ponad pięć pudów.

Mitrofaniusz popatrzył na Berdyczowskiego, jakby go ważył, potem na chuderlawego fizyka. Westchnął.

– No dobrze, panie Lampe. A gdzie w takim razie pan był tamtej nocy? No, wtedy, gdy pana Matwieja przeniesiono do pańskiej sypialni?

– Jak to gdzie? Tu. – Uczony szerokim gestem ogarnął ściany piwnicy, a potem wskazał palcem na przybory. – Wszystko najważniejsze tutaj. Jednak kamienne. Ja – dobrze, ja badacz. A jemu – tu Lampe kiwnął na Berdyczowskiego – nie trzeba. Niebezpiecznie.

– Ale co jest niebezpieczne?! – zawołał władka, wsłuchując się z napięciem w majaczenia. – O jakim niebezpieczeństwie pan cały czas gada?

Lampe zamilkł, patrząc z ukosa na doktora i nerwowo oblizując

wargi.

– Słowo? – spytał cicho przewielebnego.

– Jakie słowo?

– Honoru. Nie przerywać. I nie kłuć.

– Słowo. Przerywać nie będę i na zastrzyki nie pozwolę. Proszę mówić, tylko powoli. I proszę się nie denerwować.

Ale dla uczonego to było za mało.

– Na to – wskazał pierś przewielebnego, a ten widać nauczył się już trochę rozumieć dziwną mowę karzełka, bo ucałował panagę.

Lampe z zadowoleniem kiwnął głową i zaczął mówić, starając się ze wszystkich sił, by to wypadło możliwie najjaśniej.

– Emanacja. Penetracyjne promienie. Moja nazwa. Marysia chce inaczej. A ja bardziej tak.

– Znowu promienie! – jęknął Donat Sawwicz. – Nie, panowie, wy jak chcecie, ale ja krzyża nie całowałem, więc chodźmy, kolego, na świeże powietrze.

Obaj eskulapowie wyszli z piwnicy i fizyk od razu zrobił się spokojniejszy.

– Ja wiem. Mówię nie tak. Cały czas naprzód. Słowa za wolne. Potrzebny doskonalszy system komunikacyjny. Żeby od razu myśleć. Myślałem o tym. Przez elektromagnetykę? Impuls biologiczny? Wtedy wszyscy zrozumieją. Najlepiej myśleć wprost – z oka do oka. Nie, oczy źle. – Lampe zapalił się. – Wykluć oczy! Tylko mylą! Ale nie można! Wszystko na wzroku. A wzrok – oszustwo, fałszywa informacja. Nieistotne tak, najważniejszego nie dostrzega. Ubogi aparat. – Lampe tknął się w oko. – Tylko siedem barw widma! A jest tysiąc, milion, nie zliczyć!

W tym momencie potrząsnął głową, splótł przed sobą ręce.

– Nie, nie, nie o tym. O penetracji. Ja postaram. Powoli. Słowo!

Fizyk z lękiem spojrział na władkę – czy nie przestanie słuchać,

nie odwróci się. Ale nie, Mitrofaniusz słuchał w skupieniu, cierpliwie.

– Tam Rubieżna, tak? – Sergiusz Nikołajewicz pokazał na prawo.

– Tak. – Władyka kiwnął głową, chociaż pojęcia nie miał, w którym kierunku od tego miejsca znajdowała się pustelnia.

– Legenda, tak? Wasilisk. Ognisty palec, niebiosy, płonąca sosna.

– Tak, to oczywiście legenda – przyznał biskup. – Bo też z religią wiąże się wiele czarodziejskich podań, odbijają one ludzki głód cudowności. Trzeba te historie traktować przenośnie, nie dosłownie.

– Właśnie dosłownie! – krzyknął Lampe. – Dosłownie! Tak właśnie było! Palec, sosna! Nawet węgle są! Skamieniałe, ale widać, że pień!

– Zaraz, mój synu, zaraz – przerwał mu Mitrofaniusz. – Jak pan mógł widzieć opalony pień tej sosny? Pan co... – Oczy władyki rozszerzyły się. – Pan co, był na Wyspie Rubieżnej?!

Uczony przytaknął jakby nigdy nic.

– Ale... ale po co?

– Potrzebna dobra emanacja. Złej, szarego koloru, dużo. Nie rzadkość. A pomarańczowa bez domieszki, jak pana, prawie nigdy. Nawet dokładny odcień nie mogłem. A trzeba – dla nauki. Myślałem, myślałem. Eureka! Pustelnicy – sprawiedliwi, tak? Egoizm, chciwość, nienawiść bliska zeru, tak? Znaczy – mocna emanacja moralna! Logika! Sprawdzić, zmierzyć. Jak? Bardzo proste. Nocą łódka, popłynąłem.

– Popłynął pan do pustelni, żeby zmierzyć moralną emanację pustelników? – z niedowierzaniem spytał władyka. – Tymi pańskimi fioletowymi okularami?

Lampe przytaknął, bardzo zadowolony, że go zrozumiano.

– Ale to przecież najsurowiej zakazane!

– Głupstwa. Zabobon.

Przewielebny chciał się oburzyć i już nawet brwi zmarszczył, ale ciekawość była silniejsza od słusznego gniewu. Nie umiał się

powstrzymać i spytał cicho:

– No i co tam, na wyspie?

– Wzgórze, sosny, pieczara. Królestwo śmierci. Łysi. Nieprzyjemnie. Ale nieważne. Główne – kula.

– Co?

– Kula. Tam tak. Wejście, po bokach cele. Wewnątrz, pod szczytem, okrągła.

– Co „okrągła”?

– Pieczara. Tam trafił. Przebił sklepienie. Potem dziura korzeniami, trawą, ziemią, teraz nie widać. A pień jeszcze widać. Osiemset lat, a widać! Węgle. Kula jak wielka, wielka tykwa. Jeszcze większa. Jak... – Lampe rozejrzał się na boki. – Jak fotel.

– W okrągłej pieczarze pod szczytem wzgórza leży kula? – upewnił się Mitrofaniusz. – Co za kula?

Sergiusz Nikołajewicz westchnął boleśnie.

– No, przecież ja już. Z góry. Przebiła sklepienie. Kiedy Wasilisk. Meteoryt. Spadł, przebił, zapalił sosnę. Nocą daleko widać. No to zobaczył.

– Kto, święty Wasilisk? – Archijerej otarł czoło. – Czekaj pan. Chce pan powiedzieć, że osiemset lat temu Wasilisk zobaczył, jak na Ziemię spada jakieś ciało niebieskie? Uznał, że to wskazujący palec Boży, poszedł po wodzie i nocą znalazł wyspę, kierując się na płonąca sosnę?

– Po wodzie chodzić nie można – nieoczekiwanie wyraźnie zauważył fizyk. – Gęstość nie pozwala. Nie szedł. Na czymś płynął. Nieważne. Ważne, że tam. W pieczarze. Gdzie spadł.

– A co tam?

– Uran. Słyszał? Wie? Smółka. Złoże.

Przewielebny pomyślał, kiwnął głową.

– Tak, tak, czytałem w „Wiadomościach Fizycznych”. Uran to taki naturalny pierwiastek, obdarzony niezwykłymi właściwościami.

Badają go teraz, jak i inny pierwiastek, rad, najwybitniejsze umysły Europy. A smółka uranowa, jeśli się nie mylę, to minerał, w którym zawartość uranu jest bardzo wysoka. Tak, zdaje się?

– Osoba duchowna interesuje się. Dobrze – pochwalił Lampe. – Niebieska aura. Mądra głowa.

– Bóg z nią, z moją głową. No więc co z tą pańską smółką?

Fizyk wyprostował się dumnie.

– Moje odkrycie. Jądro zaczyna się dzielić. Samo. Potrzebny szczególny mechanizm. I nazwę wymyśliłem: „dzielnik jądrowy”. Niewiarygodnie trudne warunki. Na razie niemożliwe. W przyrodzie teoretycznie możliwe. Ale rzadki zbieg. A tu jak raz! Nadzwyczaj rzadkie! – Uczony przyskoczył do stołu, zaszeleścił kartkami grubego zeszytu. – O, o! Ja jemu, a on kłuć! O! Meteoryt, nadzwyczaj wysoka temperatura – raz! Złoże smółki – dwa! Podziemne źródła – trzy! I koniec! Dzielnik! Naturalny! Uruchomił się! Energia jądra – łańcuszkiem! Ruszyła – nie zatrzymać! Osiemset lat! Ja do Marysi i Tolka list! Nie, nie wierzą! Myślą, ja rozum! Bo z domu wariatów!

– Ale czekaj pan! – zawołał błagalnie Mitrofaniusz, któremu z napięcia wystąpiły na czole krople potu. – Wskutek upadku meteorytu na złoże uranu uruchomił się jakiś naturalny mechanizm, który zaczął wydzielać energię. Ja się zupełnie na tym nie znam, ale przyjmijmy, że wszystko jest tak, jak pan mówi. Ale co tu jest niebezpiecznego?

– Nie wiem. Nie lekarz. I w zeszycie nie pisałem, bo nie wiem. Ale pewien. Zupełnie pewien. Ja tam kilka godzin, a wymioty, potem gorączka. Pustelnicy cały czas. No i umierają. Pół roku, rok – i śmierć. Przestępstwo! Zamknąć! A nikt. Nie słuchają! Ja do tamtego, z czaszką. On na mnie ręką...

– Z jaką czaszką? – Przewielebny znów przestał rozumieć. – O kim pan mówi?

– No, na czole. O, tutaj. Bez twarzy. Z dziurkami. Tam. – Fizyk znów machnął ręką w kierunku Wyspy Rubieżnej.

– Pustelnik? Starzec Izrael? Ten, co ma na kapturze czaszkę z puszczelami?

– Tak. Główny. Nie, macha! Ja do Korowina, a on igła! Ja zeszyt, on nie czyta! – Głos pana Sergiusza aż zadrżał na wspomnienie dawnej krzywdy. – Myślałem, myślałem, wymyśliłem. Czarny Mnich. Przestraszą się. Przeklęte miejsce. I wtedy spokojnie zbadać. Bez przeszkód.

– Ale jak pan wykrył emanację? Pamiętam – czytałem, że tego rodzaju promieniowania nie daje się wykryć organami zmysłów.

Lampe uśmiechnął się dumnie.

– Nie od razu. Najpierw próbę kuli. Z miejsca zrozumiałem – meteoryt. Nadtopiona powierzchnia. Tęczowa. Pięknie. Zwłaszcza kiedy latarką. Tajemnica pustelni. Święta. Starcy sekret. Osiemset lat. Na pewno dlatego milczenie. Żeby nie wygadali. Próbę i tak, i owak. Nic. Twardość wyjątkowa. Przypląnąłem znowu. Pilnik hartowanej stali. I tak nic. Wtedy diamentowy pilnik. Z Antwerpii. Poczta. Pomogło. W kwadrans... – o, trzy gramy. – Wskazał kupkę proszku w kolbie. – Do analizy starczy.

– Sprowadził pan pocztą z Antwerpii diamentowy pilnik? – Mitrofaniusz otarł chustką pot, czując, że jego głowa, choć otoczona niebieską aurą, odmawia przyjmowania tak zdumiewających wiadomości. – Ale to przecież musi być bardzo drogie?

– Możliwe. Wszystko jedno. Korowin dużo pieniędzy.

– I Donat Sawwicz nawet nie zapytał, po co panu taka dziwna rzecz?

– Zapytał. Ja zadowolony. Objaśnić – on rękami. „O emanacjach nie chcę, będzie pilnik”. Niech. Najważniejsze – dostałem.

Władyka ciekawie popatrzył na stół.

– A gdzie on? Jak wygląda?

Uczony niedbale machnął ręką:

– Przepadł. Dawno. Nieważne, już niepotrzebny. Nie przerywać głupstwami! – rozzłościł się. – Krzyż całował! Słuchać!

– Tak, tak, synu, wybacz – uspokoił go przewielebny i odwrócił się do Berdyczowskiego, żeby sprawdzić, czy słucha.

Podprokurator słuchał, i to bardzo uważnie, ale sądząc ze zmarszczonego czoła – niewiele rozumiał. W przeciwieństwie do biskupa niezbyt interesował się nowościami postępu naukowego, oprócz czasopism prawniczych niemal niczego nie czytał, a o tajemniczych właściwościach radu i uranu w ogóle nie słyszał.

– Co zatem wykazała analiza składu meteorytu? – spytał włądyka.

– Platynowo-irydowy samorodek. Stamtąd. – Lampe pokazał palcem na sufit. – Czasem z kosmosu. Ale rzadko. Taki wielki nigdy. Oczywiście stalowym pilnikiem w żaden sposób! Gęstość dwadzieścia dwa! Tylko diamentem. I z miejsca nijak. Pudów półtorej setki, dwieście.

– Dwieście pudów platyny! – zawołał podprokurator. – Ale to przecież ogromna wartość! Po ile uncja platyny?

Sergiusz Nikołajewicz wzruszył ramionami.

– Pojęcia. A wartości żadnej. Tylko niebezpieczeństwo. Przez osiemset lat spenetrowany na wskroś. Ja odkryłem: promienie. – Pokazał ruchem głowy kolbę. – Przechodzą przez wszystko. Dokładnie jak pisał Tolek. Doświadczenie z kliszą fotograficzną. I Marysia pisała. Dawniej. Korowin do nich list. Że ja w domu wariatów. Teraz nie piszą.

– Tak, tak, czytałem o paryskich doświadczeniach z promieniowaniem radowym – przypomniał sobie włądyka. – Przeprowadzali je Antoni Becquerel i małżeństwo Curie, Piotr i Maria.

– Piotrek malinowa głowa – odparł Lampe. – Nieprzyjemny. Marysia niepotrzebnie. Lepiej starą panną. A Tolek Becquerel rozumny, niebieski. Ja przecież ciągle o nich: Marysia i Tolek. Tu nieuki! I Korowin! To ci wyspa! Na przystań chodziłem. W spektroskop patrzyłem. Może ktoś mądry. Pomoże. Objąsnić im. Ja nijak. Dobrze teraz pan. Zrozumiał, tak?

Patrzył na archijereja z lękiem i nadzieją.

– Zrozumiał?

Mitrofaniusz podszedł do stołu, ostrożnie wziął kolbę, popatrzył na matowo połyskujące opiłki.

– Czyli samorodek jest zarażony szkodliwym promieniowaniem?

– Na wskroś. I cała pieczara. Osiemset lat! Nawet jeśli sześćset, wszystko jedno. Nie wyspa, szafot! – Sergiusz Nikołajewicz chwycił przewielebnego za rękaw sutanny. – Pan dla nich zwierzchność! Zakazać! Żeby nikt! Ani jeden! A tamtych z powrotem! Jeśli nie za późno. Chociaż nie, ich za późno. Słyszałem, niedawno nowego. Jeśli do okrągłej nie wchodził albo na niedługo, to może jeszcze można. Uratować. Dwóch poprzednich – nie. A tego jeszcze. Ile on? Pięć dni? Sześć?

– Mówi o nowym pustelniku, co do którego siostra Pelagia się pomyliła – wyjaśnił zachmurzonemu i niepewnemu biskupowi Berdyczowski. – Ale że też mi nawet do głowy nie przyszło, że ojca mniszka i pani Lisicyna to jedna osoba!

– Ja ci to później wyjaśnię – zmieszał się Mitrofaniusz. – Rozumiesz, wedle reguły zakonnej to oczywiście rzecz niedopuszczalna, nawet oburzająca, ale...

– Głupstwa dosyć. – Lampe bezceremonialnie pociągnął archijereja za sutannę. – Tamtych wywieźć. Nowych nie wpuszczać. Tylko mnie. Najpierw materiał ekranujący. Szukam. Na razie nic. Miedź nie, stal nie, blacha nie. Może ołów. Albo srebro. Ty mądry. Ja pokażę.

Pociągnął władykę do stołu, przekartkował zeszytik, zaczął wodzić palcem po obliczeniach i wzorach. Mitrofaniusz patrzył z zainteresowaniem, czasem nawet kiwał głową – może z uprzejmości, a może i rzeczywiście coś rozumiał.

Berdyczowski też zajrzał ponad chudziutkim ramieniem pana Sergiusza. Westchnął. W kieszonce jego kamizelki coś czterokrotnie zabrzęczało.

– O Boże, władyko! – zawołał podprokurator. – Czwarta w nocy! A Poliny Andriejewny, Pelagii, ciągle nie ma! Czy nie stało się...

Przerwał, nie kończąc pytania – tak zmieniła się nagle twarz Mitrofaniusza, wykrzywiona grymasem lęku i winy.

Odsunąwszy interesujący zeszytik, władyka całkiem niestatecznie podkasał sutannę i z tupotem pobiegł z piwnicy w górę po schodach.

Pieczara

W „Pannie Czystej”, dokąd Polina Andriejewna zajęchała z kliniki, by wziąć niezbędne do wyprawy rzeczy, czekała ją nieprzyjemność.

Środki ostrożności, które przedsięwzięła w celu ustrzeżenia niebezpiecznego Lagrange’owego dziedzictwa przed ciekawością służby, nie pomogły. Już w westybulu Lisicyna zauważyła, że dyżurna recepcjonistka patrzy na nią jakoś dziwnie – ni to podejrzliwie, ni to ze strachem. A kiedy zajrzała do sakwojażu, okazało się, że w nim grzebano: przestrzelona rękawiczka leżała nie tak jak przedtem, a rewolwer też był zawinięty w pantalonki nieco inaczej.

Nic – powiedziała sobie Polina Andriejewna. Jeden kłopot mniej, jeden więcej... Jeśli nocna wyprawa ujdzie jej bezkarnie, to i z bronią jakoś się ułoży. Władyka załatwi.

A można postąpić jeszcze prościej. Kiedy będzie się przebierać, wyciągnie rewolwer z sakwojażu i schowa w pawilonie, a jeśli przyjdą monasterscy „strażnicy spokoju”, to powie, że głuptasce pokojówce coś się pomyliło. Boże mój, jaka broń? U pątniczki?

I w ogóle – tak czy inaczej, sakwojaż trzeba zabrać ze sobą.

Pani Polina dołożyła do niego parę świec, zapałki. Co jeszcze? No, chyba już nic.

Przysiadła na chwilę, jak to przed drogą, przeżegnała się – i naprzód, w gęstniejący zmierzch.

Na nabrzeżu koło pawilonu wypadło długo czekać. Wieczór zdarzył się jasny, bezwietrzny i spacerowiczów było tylu, że prześlizgnąć się za drewniany domek bez zwracania na siebie uwagi w żaden sposób się nie dawało.

Polina Andriejewna przechadzała się tam i z powrotem, owijała się szczerzej w swój długi płaszcz, ledwo panując nad zniecierpliwieniem, a publiczności wciąż nie ubywało. Tuż przy pawilonie zatrzymała się grupka niemłodych dam i zaczęła omawiać przyjazd gubernialnego arcykapłana – wydarzenie na araracką miarę kolosalne. Pątniczki wysuwały wiele przypuszczeń i domysłów i było jasne, że szybko się nie rozejdą.

A właściwie czy warto się przebierać? – pomyślała nagle pani Polina. Wstęp na Wyspę Rubieżną jest tak samo wzbroniony kobiecie jak nowicjuszowi. A jeśli trzeba będzie odpowiadać – to za maskaradę podwójnie. Dla kobiety przebrać się w mnisi strój to nie tylko świętokradztwo, ale bodaj także przestępstwo kryminalne.

Nie czekała więc dłużej, poszła tak, jak stała, w damskim stroju i z sakwojażem.

Jak już wspomnieliśmy, wieczór był księżycowy, jasny. Łódkę brata Kleopy znalazła szybko.

Rozejrzała się po kananejskim brzegu – cicho, ani żywej duszy.

Wsiadła do czółna, zmówiła szeptem modlitwę i chwyciła za wiosła.

Wyspa Rubieżna wypływała z ciemności – okrągła, porośnięta sosną, co czyniło ją podobną do jeża z nastawionymi kolcami. Dno łodzi zazgrzytało obrzydliwie, dziób utknął w żwirze.

Pani Polina posiedziała, nastawiła ucha. Innych dźwięków prócz plusku wody i sennego szelestu igliwia nie było słychać.

Przycisnęła łańcuch łodzi ciężkim kamieniem. Zaczęła obchodzić wysepkę, poruszając się nieco po spirali w górę. Gdyby nie księżyc, chyba nie znalazłaby wejścia do pustelni: ciemnych, dębowych drzwi, wyłożonych wzdłuż framugi nierównymi, omszałymi kamieniami.

Drzwi były osadzone wprost w zboczu, zwróconym nie w stronę Kanaanu, tylko ku jezioru, tam gdzie wieczorami wschodzi księżyc.

Choć pani Lisicyna stanowczo nie była z tych tchórzliwych,

musiała wziąć się w garść, zanim chwyciła za miedziane kółko.

Pociągnęła leciutko, przygotowana na to, że pustelnię nocą zamykają na zasuwę. Ale nie, drzwi poddały się lekko. No bo i przed kim tu się zamykać?

Skrzypnęło niegłośnie, ale w najzuppełniejszej ciszy tak wyraźnie, że świętokradczyni zadrżała. Zatrzymała się jednak tylko na mgnienie oka, znów pociągnęła za kółko.

Za drzwiami było ciemno. Nie była to taka ciemność jak na zewnątrz, przeniknięta srebrzystym światłem, ale prawdziwa, kompletna, pachnąca stęchlizną i jeszcze czymś dziwnym – ni to woskiem, ni to myszami, ni to starym drewnem. A może nagromadzonym przez wieki kurzem?

Kiedy zwiadowczyni zrobiła krok do przodu i zamknęła za sobą drzwi, świat Boży jakby zniknął, pochłonięty przez ciemność i ciszę, i poza dziwnym zapachem niczym o sobie nie przypominał.

Polina Andriejewna powstała, powęszyła. Zaczekała, czy oczy nie przywykną do ciemności. Nie przywykły – widać światło nie przenikało tu wcale, nawet najmniejsze.

Wyjęła z sakwojazu zapałki, potarła, zapaliła świeczkę.

W głąb wzgórza prowadziła dość szeroka galeria, której sklepienie ginęło w mroku. Ściany były guzowate, białawe, wyłożone ni to jakimiś wapiennymi bryłami, ni to wapieniem muszlowym. Pani Lisicyna podniosła świecę wyżej i krzyknęła.

Miała powód. Nie były to żadne bryły, tylko ułożeni jeden na drugim zmarli, tworzący sag wyższy od wzrostu człowieka. Nie szkielety, lecz wyschnięte ze starości trupy, obciążone skórą mumie z zapadłymi powiekami i ustami, rękoma pobożnie złożonymi na piersi. Zobaczywszy kościste palce leżącego na wierzchu nieboszczyka, z długimi, zagiętymi paznokciami, Polina Andriejewna jęknęła z cicha. Strach!

Chciała szybciej minąć przerażające miejsce, ale gdzie tam! Szeregi nieboszczyków ciągnęły się i ciągnęły, były ich tu setki. Ci bliżej wejścia leżeli prawie goli, ledwie przysłonięci zetłętymi strzępami ubrania – widocznie tych złożono w grobowcu najdawniej. Potem ściany stopniowo poczerniały od lepiej zachowanych całunów pustelników. Ale wszystkie kaptury, zakrywające twarze świętych starców za życia, były rozcięte i panią Lisicynę uderzyło zadziwiające podobieństwo tych martwych głów: z gładkimi czaszkami, bez brwi, bez wąsów, bez bród, nawet bez rzęs, sprawiedliwi wyglądali jak rodzeni bracia. Gdy dokonała tego odkrycia, strach, który sprawiał, że chciała odwrócić się i uciec – uciekać ile sił w nogach z tego królestwa śmierci – nagle minął.

Przecież to żadne królestwo śmierci – powiedziała sobie – to bramy raju. Rodzaj szatni, gdzie jasne dusze zostawiają wierzchnie odzienie, nim wejdą do świetlistego pałacu. To jest to odzienie, już im niepotrzebne. Leży i rozpada się.

A nawet nie bardzo się rozpada – pomyślała wzmocniona na duchu śledcza. Przecież te ciała należały nie do prostych ludzi, tylko do świętych starców. Dlatego nie ulegają rozkładowi. Tu właściwie wszystko powinno być martwą, śmierdzieć rozkładem, a tymczasem jeśli coś się nawet rozłożyło, to chyba tylko Czas. Tak, to jest ten zapach: zapach rozkładającego się Czasu.

Szła dalej między ułożonymi z trupów ścianami i nie bała się już niczego. A potem mumie się skończyły. Z lewej strony Polina Andriejewna ujrzała gołą kamienną ścianę, z prawej rząd nieboszczyków był niepełny: zaledwie trzy ciała leżały jedno na drugim.

Pochyliła się nad górnym, zobaczyła, że ten człowiek umarł niedawno. Między fałdami rozciętego kaptura bieląca łysa czaszka; naga, pomarszczona twarz wydawała się nie martwa, lecz śpiąca.

Starzec Teognost. Tydzień temu ducha wyzionął, a zgnilizną go nie czuć. A może tu, w pieczarze, skład powietrza jest jakiś szczególny? Tę ostatnią myśl, bluźnierczą i niewątpliwie podpowiedzianą przez wiecznie wątpiącego wroga rodzaju ludzkiego, pani Polina zdecydowanie odrzuciła. Starzec jest święty, dlatego nie gnije.

Galeria, wznosząc się powoli, wiodła dalej, w kompletną ciemność. I stamtąd, z samego wnętrza wzgórza, dobiegł nagle ledwie słyszalny dźwięk, niepokojący i jakoś straszliwie nieprzyjemny, jakby gdzieś daleko ktoś miarowo drapał żelaznym pazurem po szkłe.

Pani Lisicyzna zjeżyła się. Zrobiła kilka kroków do przodu – dźwięk ucichł. Przesłyszwała się?

Nie. Po chwili pazur znów wziął się do roboty. Serce drgnęło: nietoperze! Boże, skrzep duszę, obroń od głupich babskich strachów. Myślałby kto – nietoperze! Nie ma w nich niczego niebezpiecznego. A że krew wysysają, to nieprawda, dziecinne wymysły.

Zatrzymała się niezdecydowanie, wpatrzyła w nieprzyjemną ciemność i nagle szybko ruszyła przed siebie. Galeria ciągnęła się dalej, ale w ścianach zarysowały się kontury trojga drzwi: dwojga z prawej, jednych z lewej. Spod tych z prawej przebijało się cieniutkie jasne pasemko.

Cele pustelników!

Kobięcy lęk przed latającymi stworami od razu się ulotnił. Nie ma głowy do głupstw, kiedy tu, zaraz obok, jest to najważniejsze, to, dla czego zdobyła się na coś tak strasznego!

Podkradła się pod drzwi, spod których sączyło się światelko. Zasuwy na nich nie było, tak samo jak na zewnętrznych, za to nasmarowane zostały starannie. Kiedy pani Polina z lekka pociągnęła je do siebie, nie skrzypnęły, nie pisnęły.

Świecę trzeba było zdmuchnąć.

Przypadła do wąskiej szczeliny. Zobaczyła grubo ciosany stół,

oświetlony oliwnym kagankiem. Człowieka, pochylonego nad książką (usłyszała, jak zaszeleściła kartka). Siedział odwrócony plecami, głowę miał idealnie okrągłą i błyszczącą jak pionek szachowy.

Żeby lepiej oświetlić celę, Lisicyzna popchnęła drzwi jeszcze trochę – tylko odrobinę, ale teraz złośliwym zawiasom zachciało się pisnąć!

Zaskrzypiało krzesło. Siedzący odwrócił się gwałtownie. Twarzy pod światło nie było widać, ale z przodu na habicie białął podwójny szlaczek, znak schiigumeńskiej godności. Starzec Izrael!

Polina Andriejewna w panice zatrzasnęła drzwi. Głupio! Została w nieprzeniknionej ciemności i ze strachu nawet zapomniała, z której strony jest wyjście. Zresztą jak uciekać, skoro własnego nosa nie widać?

Zastygła w zupełnej czerni, z której dochodził udręczający duszę zgrzyt: grzyk-grzyk, grzyk-grzyk. Tylko czekać, jak muśnie w policzek błoniaste skrzydło!

Ale stała tak niedługo, ledwie kilka sekund.

Drzwi otworzyły się, w galerii pojaśniało.

Na progu stał przełożony z kagankiem w ręku. Czaszkę miał tak samo nagą jak martwy Teognost i też nie miał brody ani wąsów – dobrze chociaż, że zachowały się brwi i rzęsy, bo aż strach by było... W nagiej twarzy wyróżniał się duży, rasowy nos i mięsiste wargi. Pani Polina rozpoznała przenikliwe spojrzenie czarnych oczu, choć przedtem widziała je tylko przez wycięcia w kapturze.

Starzec pokiwał łysą głową i powiedział znajomym głosem – niskim, nieco ochrypłym:

– A jednak przyszła. Zrozumiała. No, odważna.

Pojawienie się w pustelni, o północy, nieproszonego gościa nie bardzo go zdziwiło.

Ale nawet nie to zdumiało panią Polinę.

– Święty ojczy, ty mówisz? – wymamrotała.

– Z nimi – wskazał ruchem ręki drzwi naprzeciwko – nie. Z tobą, sam na sam, tak. Wchodź. Nocą w Dojściu nie można.

– Gdzie? Gdzie? W dojściu? W dojściu dokąd? – Pani Lisicyna popatrzyła w głąb galerii. – I dlaczego nie można?

Na pierwsze pytanie Izrael nie odpowiedział. Na drugie odrzekł:

– Reguła zakazuje. Od zachodu słońca do świtu trzeba siedzieć w celach, zajmować się czytaniem, modlitwą lub spać. Wchodź.

Odsunął się na bok, a ona weszła do celi – ciasnej, wyrybanej w kamieniu komórki, której całe umeblowanie składało się ze stołu, krzesła i leżącego w kącie siennika. Na ścianie wisiała ciemna ikona z migoczącą lampką, a w kącie potrzaskiwał mały piecyk, którego komin wchodził wprost w niski pułap. Tam też w sklepieniu czerniała szczelina, zapewne wywietrznik.

A więc to tak osiąga się zbawienie – pomyślała z żalem Lisicyna, rozglądając się po ubogiej izdebce. Więc to tu modlą się za cały ród ludzki.

Pustelnik patrzył na nocnego przybysza dziwnie: jakby na coś czekał albo może chciał się w czymś upewnić. Spojrzenie było tak intensywne, że pani Polina nastroszyła się.

– Ładna... – niemal niedosłyszalnie wyszeptał starzec. – Piękna. Nawet więcej niż piękna – żywa. I niczego, całkiem niczego. – Przeżegnał się zamasyście i już innym, radosnym głosem oznajmił sam sobie: – Uratowany! Zbawiony! Uwolnił mnie Pan!

Oczy nie były już nieufne, badawcze – jakby wypełniły się światłem, rozświeciły.

– Siadaj na krześle – powiedział przyjaźnie. – Niech ci się lepiej przyjrzę.

Przysiadła na brzeżku, z obawą popatrzyła na osobliwego pustelnika.

– Ojciec jakby się mnie spodziewał.

– I owszem – potwierdził igumen, stawiając lampkę na stole. – Miałem nadzieję, że przyjdiesz. I do Pana Boga się o to modliłem.

– Ale... Jak się ojciec domyślił?

– Że nie jesteś zakonnikiem, tylko kobietą? – Izrael ostrożnie zsunął jej z głowy kaptur płaszcza, ale od razu cofnął rękę. – Ja płęć niewieścią wyczuwam, mnie się nie nabierze. Ja zawsze, przez całe życie, każdą z was węchem czułem, skórą, włoskami na ciele. Teraz mi, co prawda, prawie wszystkie powypadały – uśmiechnął się starzec – ale i tak od razu zrozumiałem, kim jesteś. I że śmiała jesteś, też zrozumiałem. Nie bałaś się za nowicjusza przebrać, na wyspę popłynąć. A żeś mądra – też widać: spojrzenie bystre, dociekliwe. Kiedy drugi raz przyplłynęłaś, już wiedziałem: uchwyciłaś w moich słowach szczególny sens. Nie to co ararackie tępaki. A potem to już tylko do ciebie mówiłem, tylko na ciebie liczyłem. Że się domyślisz.

– Czego się domyśle? Jak umarł Teognost?

– Tak.

– A co się z nim stało?

Izrael po raz pierwszy odwrócił od niej wzrok, zmarszczył czoło.

– Zabity. Z początku myślałem, że zgaśł zwyczajnie, że czas jego nastał... Do południa nie wychodził z celi. Pomyślałem – sprawdzę. Patrę, leży na choinie (sienników nie uznawał) nieruchomo, nie oddycha. Słaby był, chorowity, dlatego wcale się nie zdziwiłem. Chciałem mu usta zamknąć i nagle widzę – między zębami tkwią niteczki. Czerwone, wełniane. A miał Teognost szal czerwony, na drutach robiony, którym gardło obwiązywał. No i ten szalik leżał sobie nieopodal, na stole, równiuteńko złożony. Co za cuda, myślę sobie. Rozwinąłem, patrę – w jednym miejscu wełna rozerwana, nitki sterczą...

– Ktoś wszedł w nocy – szybko przerwała pani Lisicyna – nakrył Teognostowi twarz jego własnym szalem i udusił? Inaczej się tego nie

wytłumaczy. Starzec, dusząc się, gryzł wełnę, stąd nitki między zębami. A potem morderca szal złożył i zostawił na stole.

Igumen potakująco kiwnął głową.

– Nie pomyliłem się co do ciebie, mądra jesteś. Zaraz wszystko przeniknęłaś. Ja o wiele dłużej od ciebie rozmyślałem. Wreszcie zrozumiałem i w duszy mi zadrzało. Kto mógł tak straszną rzecz uczynić? Nie ja. A zatem kto? Czy nie starzec Dawid? Może w niego bies wstąpił, do złego czynu pobudził? Ale Dawid jeszcze słabszy był od Teognosta, przez chorobę serca z łoża prawie nie wstawał. Gdzie mu tam! Znaczy się, ktoś obcy. Ktoś czwarty. Tak wychodzi?

– Tak. – Pani Polina skinęła głową. Niespieszne jej było podzielić się ze starcem swoimi przypuszczeniami. Święty samotnik chyba jeszcze nie wszystko powiedział.

– Trzy miesiące temu był tu ktoś. Tak jak ty, nocą. Do mnie do celi zaszedł – powiedział Izrael, potwierdzając jej domysł.

– Malutki, potargany, wciąż podryguje? – spytała Polina Andriejewna.

Starzec zmrużył oczy.

– Widzę, że go znasz. Tak, malutki. Mówił niewyraźnie, śliną tryskał. Na nawiedzonego wyglądał. Tyle że on nie zabijał.

Po tych słowach pani Lisicyna wyjęła z futerału okulary i popatrzyła na przełożonego pustelni bardzo uważnie.

– Ojciec z taką pewnością to mówi. Dlaczego?

– To nie taki człowiek. Ja ludzi dobrze znam. I jego oczy widziałem. Z takimi oczami się nie zabija, do tego śpiącego, potajemnie. Nie rozumiałem, co on mi tu opowiadał. O jakichś promieniach. Koniecznie chciał moją łysinę bliżej obejrzeć. Przepędziłem go. Ale tym z Araratu się nie poskarżyłem. Trudno im objaśnić po jednym słowie na dzień, a i szkody ten nawiedzony żadnej nie wyrządził... Nie, córko moja, Teognosta ktoś inny udusił. I wydaje mi się, że wiem kto.

– Cucullus non facit monachum? – Polina Andriejewna ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Tak. To już tylko do ciebie mówiłem, żeby łódkarz nie zrozumiał.

– A skąd wiedziałeś, ojcze, że ja znam łacinę?

Starzec uśmiechnął się pełnymi wargami, tak mało pasującymi do ascetycznej, obciągniętej skórą twarzy.

– Co to, wykształconej kobiety od kucharki nie odróżnię? Na nasadzie nosa ślad od okularów, ledwie widoczny, ale ja do drobiazgów mam dobre oko. Zmarszczki, o tutaj. – Wskazał palcem na kąciaki oczu. – To od ciągłego czytania. A zresztą, co tam, moja miła, ja o kobietach wszystko wiem. Wystarczy, że raz spojrzę, i każdej mogę całe jej życie opowiedzieć.

Pani Lisicyna nie mogła znieść takiego zarozumiałstwa, choćby nawet od świętego starca.

– No, zaraz każdej... A co o moim życiu ojciec powie?

Izrael przechylił głowę na bok, jakby utwierdzając się w poczynionych już obserwacjach. Zaczął mówić powoli:

– Lat masz trzydzieści. Nie, raczej trzydzieści jeden. Nie jesteś panną, ale i nie mężatką. Myślę, że wdową. Ukochanego nie masz i nie chcesz mieć dlatego, że... – Wziął osłupiałą słuchaczkę za rękę, popatrzył na paznokcie, na dłoń. – Dlatego że jesteś mniszką albo nowicjuską. Wyrosłaś na wsi, w jakiejś środkoworosyjskiej majętności, ale potem mieszkałaś w stolicach i bywałaś w wysokich sferach. Najbardziej chciałaś żyć samym tylko duchowym życiem, ale ciężko ci to przychodzi, bo młoda jesteś i sił masz w sobie dużo. A najważniejsze – jest w tobie wiele miłości. Cała jesteś tą nierozdaną miłością przepelniona. I to ona się z ciebie wylewa. – Starzec westchnął. – Takie kobiety cenilem najbardziej. Cenniejszego od nich nic na świecie nie ma. A jakieś pięć lub sześć lat temu przytrafiło ci się wielkie nieszczęście, ogromny smutek, po którym postanowiłaś

odejść ze świata. Popatrz no mi w oczy. Tak, więc to tak... Widzę, co za smutek. Powiedzieć?

– Nie! – wzdrygnęła się Polina Andriejewna. – Nie trzeba!

Starzec uśmiechnął się miękkim, nieobecnym uśmiechem.

– Nie dziw się, żadnych czarów tu nie ma. Słyszałaś pewnie. Ja do mnichów z zajadłych lubieżników się przenieśliem. Cały sens mojego poprzedniego życia do kobiet się sprowadzał. Kochałem ja Ewy plemię bardziej niż cokolwiek na świecie. Nie, źle mówię: oprócz kobiet nie kochałem niczego. Od jak dawna siebie pamiętam, zawsze taki byłem, od wczesnej małoletniości.

– Tak, słyszałam, że przedtem był ojciec niesłychanym Don Juanem, poznał jakoby tysiąc kobiet i nawet jakiś atlas o nich sporządził.

Patrzyła na wyschłego staruszka z lęklwym podziwem, jaki wcale nie przystoi osobie zakonnego stanu.

– Atlas to głupstwo, cyniczny żart. A że z tysiącem kobiet się przespałem, to bzdury. To żadne bohaterstwo arytmetyką imponować. Każdy potrafi, nawet niedrogo wypadnie, jeśli ktoś trzyrublowymi jawnogrzesznicami nie gardzi. Nie, moja miła, samego ciała było mi zawsze za mało, chciałem jeszcze i duszą zawładnąć.

Pokutnik, gdy zaczął mówić o kobietach, zupełnie się przeobraził. Wzrok mu złagodniał, stał się marzycielski, usta ułożyły się w smutny uśmiech, a i mówić zaczął jakoś swobodniej, jakby to nie pustelnik przemawiał, lecz normalny mężczyzna.

– Bo co jest w kobietach najczarowniejsze? Nieskończona różnorodność. I ja z każdą, którą kochałem, stawałem się inny niż przedtem. Jak żaba, przyjmująca temperaturę otoczenia. Za to właśnie one mnie kochały. Że choćbym był z którą nie na długo, to wyłącznie dla niej istniałem. A jak kochały! Ja ich miłością żyłem i karmiłem się jak wampir żywą krwią. Nie z lubieżności w głowie mi się kręciło,

tylko od tego, że wiedziałem: ona teraz jest gotowa dla mnie duszę nieśmiertelną oddać! Że ja dla niej od Boga więcej znaczę! I jedynie kobiety tak kochać potrafią. – Schiigumen opuścił głowę i westchnął ze skruchą. – A jak już o władnąłem i ciałem, i duszą, kiedy już krwi się napiłem, to szybko nudno mi się robiło. Czego nigdy nie umiałem i nawet za podłość uważałem – to udawać miłość. I litości dla tych, które kochać przestawałem, nie było we mnie wcale. To wielki grzech – serce obłąskawić, a potem z rozmachu o ziemię nim rąbać. „Pogromca serc” to tylko pięknie brzmi, gorszej zbrodni nie ma na świecie... A przecież wiedziałem to zawsze. Po kropelce, rok po roku, ta trucizna się we mnie zbierała. Kiedy zaś wypełniła się czara, kiedy zaczęła się przelewać, oświeciło mnie – już nie wiem, na dobre czy złe. Pewnie na jedno i drugie. Uznałem swoją winę. Była jedna historia, ja ci ją potem opowiem, tylko najpierw o sobie skończę... Poszedłem dla ratowania duszy do klasztoru, ale nie było dla mnie ratunku, bo w klasztorach wiele jest marności. Wtedy postanowiłem tu się dostać, do Pustelni Wasiliskowej. Cztery lata czekałem na swoją kolej, doczekałem się. Teraz już dwa lata tu się ratuję, ale zbawienia wciąż nie mogę dostąpić. Mnie jednemu z tych wszystkich, co się stąd przede mną wynieśli, taka długa próba przypadła – za grzechy moje. A wiesz, jaką mękę w klasztorze przecierpiałem? – Starzec popatrzył powątpiewająco na swoją słuchaczkę, jakby nie mogąc się zdecydować, czy ma powiedzieć, czy nie. – Powiem. Przecież nie jesteś panienką bezrozumną. Cieleśność mnie dręczyła. Nieodstępnie, przez wszystkie lata zakonnego życia. Dniem i zwłaszcza nocą. Taka mi się próba dostała za moje sprawki. Mnisi szeptali – nawet nie wiem, skąd wiedzieli – że w Pustelni Wasiliskowej Pan Bóg pierwsza rzecz – od zmysłowej męki uwalnia, żeby owieczki swoje ze złych myśli oczyścić i do siebie przybliżyć. I rzeczywiście, innych pustelników cieleśność szybko opuszczała, a mnie wcale. Noc w noc –

widzenia lubieżne. Tu włosy na głowie i na ciele się nie trzymają, szybko wypadają, takie to już miejsce. A ja dłużej od innych włosy miałem. Dopiero kiedy igumenem zostałem, wszystkich przeżyłem, wtedy wypadły.

– A dlaczego włosy wypadają? – spytała pani Lisicyna, patrząc ze współczuciem na łyse ciemię męczennika.

Starzec wyjaśnił:

– To szczególna łaska Boża, tak samo jak wybawienie od lubieżności. Przez pierwsze tygodnie starców mocno wszy i pchły dręczą – myć się reguła nam nie pozwala. A bez włosów o wiele lżej i ręce, od wstydliwego czochrania się oswobodzone, nabożnie do modlitwy się składają. – Złożył bogobojnie dłonie. – A mnie insekty ponad rok dręczyły. I nie było moim mękom końca, powtarzałem za Hiobem: „Ducha rozpadu noszę, proszę trumny i jej nie dostaję”. Nie było dla mnie trumny ani wybaczenia. Dopiero niedawno zrobiło się lepiej. Czuję, że na ciele osłabłem. Chodzę z trudem, trzewia pożywienia nie trzymają, a rano, kiedy wstaję, w głowie wciąż mi się kręci. – Izrael uśmiechnął się z zachwytem. – To znaczy, że już blisko. Niedługo już mi zbawienia czekać. A do tego wreszcie i w głównej mojej męce ulgi zaznałem. Cieleśnego biesa Pan odwołał. I sny teraz mam jasne, radosne. Kiedy ciebie zobaczyłem, młodą, piękną, wsłuchałem się w siebie – nic się nie poruszyło. Znaczy się, oczyścił mnie Pan Bóg. Oczyścił i przebaczył.

Polina Andriejewna ucieszyła się w imieniu świętego starca, że łatwiej mu teraz duszę ratować, ale był już czas skierować rozmowę na to, co najpilniejsze.

– To co chciałeś mi, ojczy, zagadką swoją łacińską powiedzieć? Że nowy wasz brat to nie Hilariusz, tylko ktoś inny, kto podstępem się tu dostał?

Izrael uśmiechał się rozjaśnionym uśmiechem, wciąż jeszcze nie

odrywając myśli od swojej rychłej rozkoszy.

– Co, córko moja? A, Hilariusz. Nie wiem, my przecież sobie twarzy nie pokazujemy, a mówić nam ze sobą nie wolno. Co trzeba – znakami tłumaczymy. Widziałem kiedyś w klasztorze uczonego brata Hilariusza, ale dawno to było. Ani postawy, ani nawet wzrostu jego nie pamiętam. Tak że czy to on, czy nie on, nie jest mi wiadome, ale jedno wiem na pewno: nowy starzec tu nie dla ratowania duszy przybył. Różańców nie rzeźbi, z celi w ciągu dnia w ogóle nosa nie wysuwa. Zachodziłem do niego, przyzywałem na wspólne modlitewne rozmyślenia (to taka nasza modlitwa bezgłówna). A on leży, śpi. Na mnie ręką machnął. Odwrócił się na drugi bok i dalej śpi. I to w dzień!

– A co on nocą robi? – spytała szybko Lisicyna.

– Nie wiem. Nocą jestem tu, w celi. Reguła jest surowa, wychodzić nie dozwala.

– Ale ślub milczenia wobec mnie, ojczy, naruszyłeś! Czyżby nigdy ojciec do galerii nie wchodził?

– Nigdy – surowo powiedział igumen. – Ani razu. I nie wejść. A że z tobą długą rozmowę prowadzę, to jest tego pewna szczególna przyczyna...

Zmieształ się, nagle zakrył twarz dłońmi, zamilkł. Odczekawszy tyle, na ile starczyło jej cierpliwości, pani Polina zainteresowała się:

– Co to za szczególna przyczyna?

– Chcę cię prosić o wybaczenie – odpowiedział głucho starzec przez złożone ręce.

– Mnie?!

– Innej kobiety już nie ujrę... – Odsunął ręce od twarzy i Polina Andriejewna zobaczyła, że oczy starca Izraela są mokre od łez. – Pan mnie wypróbował i przebaczył mi, od tego właśnie jest Panem Bogiem. A ja wobec was, sióstr moich, ciężko winien jestem. Jak ja będę świat opuszczać bez kobiety wybaczenia? Wszystkich moich

obrzydliwych postępów ci nie opowiem, za długo by to trwało. Tylko tę historię, o której już wspominałem. Ona to najbardziej mi na sercu ciąży. Od niej przejrzenie się moje zaczęło. Wysłuchaj i powiedz tylko, czy może mi kobieca dusza wybaczyć. Mnie i to wystarczy...

Spowiedź pogromcy serc

I zaczął opowiadać.

Historia jest jedna, lecz kobiety były dwie. Pierwsza jeszcze całkiem dziewczynka. Szczuplutka, krucha, ledwie do łokcia mi sięgała. No, tam u nich takie to nie rzadkość.

Dobiegała wówczas końca moja podróż dookoła świata, która cztery lata mi zajęła. Zacząłem od Europy, a kończyłem na krańcu świata, w Japonii. Napatrzyłem się. Nie powiem „wszystkiego i różnego”, tylko raczej „wszystkich i różnych”, tak będzie dokładniej.

W Nagasaki, a potem w Jokohamie, widziałem tamtejsze gejsze i dzoro (to ichnie nierządnice). A kiedy już zebrałem się do dalszej drogi, niczym się w Japonii nie zainteresowawszy, zobaczyłem w domu pewnego urzędnika jego młodszą córkę. I ona tak mi się przypatrywała swoimi wąziutkimi oczkami, niczym goryłowi jakiemuś człekopodobnemu, aż zagrała we mnie moja zwykła skłonność do hazardu. A, myślę sobie, będzie ciekawie. Coś takiego chyba jeszcze nigdy mi się nie trafiło.

Panna wychowana bardzo surowo, po samurajsku, dwa razy mniejsza ode mnie, niemal cztery razy młodsza; byłem dla niej jakimś włochatym potworem, a do tego nie miałem swego głównego narzędzia – języka. Rozmawiać nie mogliśmy w ogóle, po żadnemu.

No cóż, zatrzymałem się w Tokio, zacząłem częściej bywać w domu owego urzędnika. Zaprzyjaźniliśmy się. Peroruję o polityce, kawę z likierem piję i córeczce się przyglądam. Ją widać dopiero co zaczęli do gości dopuszczać – bardzo jeszcze była nieśmiała. Jak tu, myślę sobie, do takiej szkatułeczki z laki dobrać kluczyk?

Ale nic, dobrałem. Doświadczenia mi nie brakowało. Ani – tym bardziej – znajomości kobiecego serca.

W zwykły sposób spodobać się jej nie mogłem, za bardzo byłem niepodobny do mężczyzn, których nawykła widywać. Czyli – właśnie na tej odmienności można zagrać.

Powiedziała mi kiedyś żartem jej mamusia, że córeczka mnie do niedźwiedzia porównuje – że niby bardzo duży i z bokobrodami.

No cóż – jak niedźwiedź, to niedźwiedź.

Kupiłem w porcie od marynarzy żywego niedźwiadka – burego, syberyjskiego – i przywiozłem jej w prezencie. Niech do włochatych przywyka. Misio był wspaniały, urwis, pieszczoch. Moja Japoneczka od rana do wieczora z nim się bawiła. Polubiła go bardzo: głaszcze, całuje, on ją ozorem oblizuje. Doskonale, myślę sobie. Zwierzę pokochała, to i mnie pokocha.

A ona rzeczywiście na tego, co misia jej podarował, zaczęła inaczej patrzeć, bez lęku, za to z ciekawością. Tak jakby go porównywała ze swoim ulubieńcem. Ja specjalnie zacząłem chodzić zwałistym krokiem, bokobrody szerzej rozczesałem, mówiłem donośniej.

I już staliśmy się przyjaciółmi. Ona mnie nazywała Kumatian, to po ichniemu niedźwiedź.

Dalej cóż... Zwykła sprawa – dręczy dziewczynkę bezczynność, cielesne pokwitanie. Chciałoby się jej czegoś nowego, nieznanego, niezwykłego. A tu egzotyczny cudzoziemiec. Najrozmaitsze ciekawe sztuczki pokazuje, z całego świata przywiezione. Pocztówki z Paryżem i Petersburgiem, niebotyki chicagowskie. A najważniejsze – nawykłszy do sierści misia, przestała się mną brzydzić w fizycznym sensie. To za rękę mnie weźmie, to po wąsach pogładzi – ciekawi ją to. A dziewczęca ciekawość to materiał łatwopalny.

No, nie będę opowiadał szczegółów, nieciekawe. Główna trudność polegała na tym, żebyśmy, naukowo się wyrażając, znaleźli się

w jednym biologicznym gatunku, w obrębie którego możliwe jest krzyżowanie. A kiedy staliśmy się wzajem wobec siebie już nie Japoneczka i zamorskim niedźwiedziem, tylko niewinną panienką i doświadczonym mężczyzną, to dalej wszystko poszło zwykłym trybem, wielokrotnie już wypróbowanym.

Krótko mówiąc – kiedy odpływaliśmy z Japonii, Japoneczka była ze mną, sama się wprosiła. A rodzice, widzisz, nigdy się nie dowiedzieli, gdzie znikła ich córka.

Do Władywostoku kochałem ją mocno. I potem, podczas podróży koleją, też. Ale w samym środku Syberii jej dziecięca namiętność troszkę już mnie nudzić zaczęła. Przecież nawet o niczym się z nią nie pomówi. Ona zaś, przeciwnie, coraz bardziej rozkochana. Bywało – budzę się w nocy, ona nie śpi. Podpiera się łokciem i patrzy na mnie swoimi szparkami. W kobietach, gdy czują w mężczyźnie początek ochłodzenia, miłość jeszcze goręcej się rozpala, to od dawna wiadomo.

Kiedy zbliżaliśmy się do Pitra, już patrzeć na nią nie mogłem. Głowę sobie łamałem: gdzie ją spławić? Z powrotem do rodziców? Ale to przecież nie zwyczajni papa i mamana, tylko samuraje! Jeszcze wykończą dziewczynkę, szkoda. No to dokąd? Języków, oprócz swego ptasiego kwilenia, nie zna. Odstępne jej dać? Nie weźmie i jeszcze w spokoju nie zostawi, strasznie już przylepna. Robić niczego nie umie, z wyjątkiem tego, czego ją z zapałem w kajucie i w przedziale uczyłem.

Ta właśnie myśl podsunęła mi rozwiązanie. Słyszałem od kogoś poznanego w pociągu, że w czasie mojej nieobecności pojawiła się w Petersburgu nowa instytucja niejakej madame Pozdniajewej. Elegancki burdel z panienkami zwiezionymi z różnych krajów: mają tam i Włoszki, i Turczynki, i Murzynki, i Annamitki – do wyboru, do koloru. Cieszy się wielkim powodzeniem wśród petersburżan.

Pojechałem do Pozdniajewej, żeby się przyjrzeć. Przekonałem się,

że z dziewczętami obchodzą się dobrze. Gospodyni powiedziała, że część zarobków odkłada każdej do banku, na specjalny rachunek. Zaraz następnego ranka przekazałem swoje maleństwo gospodyni z rąk do rąk. Na dobry początek złożyłem na nazwisko dziewczyny tysiąc rubli.

Tylko nie przyniosły te pieniądze Japoneczce pożytku. Kiedy zrozumiała, dokąd ją przywiozłem i że zabrać jej stamtąd nie mam zamiaru, skoczyła z okna głową w dół, na jezdnię. Potrzepotała się tam trochę, jak ryba wyrzucona na brzeg, i znieruchomiła.

Kiedy się o tym dowiedziałem, zasmuciłem się, ale nie tak znowu strasznie, bo w tym czasie zdążyłem się już zapalić do nowego celu, najbardziej ze wszystkich niepojętego.

Celem tym był nikt inny, tylko sama madame Pozdniajewa, właścicielka owego zakładu. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie, kiedy pertraktowałem z nią w sprawie Japoneczki. Niemłoda już, latek czterdzieści, ale gładka, bardzo o sobie dbająca i – po oczach to widać – wszystkiego na świecie się napatrzyła. Każdego mężczyznę na wskroś widzi i za żadnego grosza nie da. Serce – kamień, dusza – popioły, rozum – maszyna do liczenia.

Patrzyłem na tę przerażającą osobę i powoli się rozpałałem. Najrozmaitsze mnie kobiety kochały, ale taka, chłodna i okrutna – nigdy. A może ona w ogóle do miłości jest niezdolna? Tym większa pokusa, by w tym pogorzeliśku poszperać, nie do końca zagasty węgielek znaleźć i ostrożnie, powoluteńku, rozdmuchać go, rozpalić aż do wszechogarniającego płomienia. Jeśli się uda, będzie to prawdziwa praca Herkulesa.

Niejeden miesiąc zeszedł mi na obleganiu tej Troi. Umyśliłem sobie, że najpierw trzeba doprowadzić do tego, by na mnie inaczej niż na innych mężczyzn spojrzała. Nasz męski stan dzielił się dla pani Pozdniajewej na dwie kategorie: ci, przy których nie ma się czym

pożywić z powodu ich wieku, ubóstwa lub choroby, oraz ci, co chcą i mogą płacić za rozpustę. Pierwsi dla niej w ogóle nie istnieli, drugimi gardziła i bezlitośnie ich obdzierała. Jak się potem dowiedziałem, również szantażem nie gardziła (miała tam u siebie w zakładzie różne chytre urządzenia do podglądania i fotografowania).

Musiałem zatem zająć miejsce między dwiema męskimi kategoriami: niby że pożywić się moim kosztem można, ale sprzedanej miłości nie potrzebuję. A jeszcze takie kobiety, które przez ogień i wodę przeszły i same wszystko osiągnęły, wielce są na subtelne pochlebstwo łapczywe.

I zacząłem jeździć do jej bajzlu niemal codziennie. Ale do panienek nie chodziłem, siedziałem z gospodynią i prowadziłem z nią mądre, cyniczne rozmowy w takim duchu, jaki mógł się jej spodobać. I za każdym razem zostawiałem pieniądze – szczerze, dwa razy więcej od zwykłej stawki.

Ja to zaczęło intrygować. Wciąż w żaden sposób nie mogła mnie do określonej męskiej kategorii przyszpilić. Potem wyobraziła sobie, że jestem w niej zakochany, i z początku nabrała do mnie jeszcze większej pogardy niż do innych swoich klientów. Mówi do mnie kiedyś ze śmiechem: „Co to się pan tak migdali? Dziwię się panu. Na nieśmiałego pan nie wygląda. Ja, chwała Bogu, nie jestem jakąś tam ingenuie. Jeśli chce mi pan wleźć do łóżka, to niech pan powie. Tyle pan tu pieniędzy zostawił, że z samej uczciwości panu nie odmówię”. Podziękowałem uprzejmie, zaproszenie przyjąłem i udaliśmy się do jej sypialni.

Dziwna to była miłosna schadzka: każde z nas chciało zaimponować drugiemu swoją sztuką i oboje byliśmy chłodni. Ona dlatego, że już dawno była całkiem wypalona. Ja dlatego, że czegoś innego było mi trzeba. Pod koniec, zupełnie już wyczerpana, powiedziała: „Nie mogę pana zrozumieć”. I to był pierwszy krok do zwycięstwa.

Chodzić do niej potem nie przestałem, ale do sypialni się nie pchałem, a ona nie zapraszała. Przyglądała mi się, wpatrywała we mnie, jakby chciała wyszukać coś dawno zapomnianego.

Zacząłem ją po trochu wypytywać o przeszłość. Nie o kobietę przeszłość – uchowaj Boże. O dzieciństwo, o rodziców, o przyjaciółki z gimnazjum. Chciałem, żeby przypomniawszy sobie inne czasy, kiedy jeszcze w niej dusza i uczucia nie zmartwiały. Madame Pozdniajewa z początku odpowiadała krótko, niechętnie, ale potem stała się rozmowniejsza – nic, tylko słuchać. No, co jak co, ale słuchać umiałem.

Tak przekroczyłem drugi stopień, zdobyłem jej zaufanie, co samo w sobie było niemałym osiągnięciem.

I kiedy zaprosiła mnie do swego buduaru drugi raz, kilka tygodni później, to zachowywała się już zupełnie inaczej, bez żadnej mechaniczności. A w końcu wzięła i rozplakała się. Sama strasznie się tym zdziwiła; trzynaście lat – powiada – jednej łezki uronić nie potrafiłam, a tu masz!

Takiej miłości, jaką mnie Pozdniajewa obdarzyła, nigdy przedtem nie znałem. Jakby groblę przerwało, a potok mnie porwał i poniósł. Było to prawdziwe cudo – obserwować, jak martwa dusza ożywa. Jakby z pustynnej popękanej ziemi trysnęły nagle czyste źródła, wyrosły wspaniałe trawy i rozwinęły się niebywałej piękności kwiaty.

Burdel swój zamknęła. Zarobione na rajfurzeniu pieniądze rozdała dziewczynom, rozpuściła je na cztery strony świata. Złowrogą swoją fototekę zniszczyła. A sama zmieniła się nie do poznania. Odmłodziła, odświeżyła się – no, po prostu dziewczynka. Od rana śpiewa, śmieje się. I płakała też, co prawda, często, ale bez goryczy – po prostu wypływały z niej niezużyte przez tyle lat łzy.

I ja ją kochałem. Po prostu nie mogłem się nacieszyć dziełem swoich rąk.

Cieszyłem się miesiąc, dwa.

Na trzeci zmęczyłem się radością.

Kiedyś rankiem (ona jeszcze spała) wyszedłem z domu, wziąłem fiakra i kazałem się wieźć na dworzec. Pojechałem do Paryża. A jej zostawiłem liścik: że niby mieszkanie do końca roku opłacone, pieniądze w szkatułce, wybacz, żegnaj.

Opowiadano mi potem, że ona, obudziwszy się i liścik przeczytawszy, wyskoczyła z domu w samej koszuli, pobiegła gdzieś ulicą i więcej do mieszkania nie wróciła.

Z zagranicy przyjechałem pół roku później, już zimą. Wynająłem dom, zacząłem żyć wedle dawnego obyczaju, ale tymczasem coś we mnie pękło, znajome zabawy nie przynosiły mi radości.

Jechałem raz Ligówką do jakiejś podmiejskiej willi i w rowie przy drodze zobaczyłem ją, Pozdniajewą – brudną, sparszywiałą, siwowłosą, prawie bezzębną. Ona mnie widzieć nie mogła, bo walała się pijana do nieprzytomności.

W tej właśnie chwili niewidzialna czara się przelała. Cały zdrząłem, oblałem się zimnym potem, zobaczyłem rozwierające się przede mną piekło. Przestraszyłem się, sumienie się we mnie przebudziło.

Kazałem zabrać stamtąd ten ludzki łachman, umieścić w porządnym pokoju. Przyjeżdżałem do niej, prosiłem o wybaczenie. Ale moja dawna ukochana znów się zmieniła. Już nie było w niej miłości, tylko złość i chciwość. Wysechł rozkwitły sad, wyczerpało się cudowne źródło. I zrozumiałem, że najgorsze draństwo to nie zgubić żywą duszę, lecz duszę umarłą wskrzesić do życia i potem znów, już ostatecznie, ją unicestwić.

Przepisałem na nieszczęsną cały majątek, a sam poszedłem między mnichów, żeby samego siebie z odłamków sklejać i z brudu oczyszczać.

Cóż, to cała moja historia.

A teraz powiedz mi, siostrze: jest za moje zbrodnie przebaczenie czy nie ma?

Wstrząśnięta Polina Andriejewna milczała.

– To tylko Panu Bogu wiadomo... – powiedziała, nie patrząc na skruszonego grzesznika.

– Bóg wybaczy. To ja wiem. Może nawet już wybaczył – niecierpliwie dorzucił Izrael. – Ale ty powiedz, ty, kobieta, czy możesz mi wybaczyć? Tylko prawdę mów!

Lisicyna próbowała uchylić się od odpowiedzi.

– Co tam moje wybaczenie warte? Przecież mnie, ojciec, zła nie wyrządziłeś.

– Wiele warte – odpowiedział schiigumen twardo, jak o rzeczy z dawna przemyślanej. – Jeśli ty wybaczysz, to i one by wybaczyły.

Polina Andriejewna chciała powiedzieć mu jakieś pocieszające słowa, ale nie potrafiła. To znaczy: wyrzec je byłoby nawet nietrudno, ale nie wątpiła, że starzec wyczuje nieszczerłość, a to będzie jeszcze gorsze.

Od jej milczenia pustelnik pociemniał na twarzy. Rzekł cicho:

– Wiedziałem... – Położył siedzącej rękę na ramieniu. – Wstań. Idź. Wracaj do świata. Nie powinnaś tu być. I jeszcze chcę cię przeprosić. Przecież ja ciebie specjalnie tutaj, do pustelni, przywabiłem. Nie z powodu Teognosta i nie z powodu Hilariusza. Kto zabił, czemu zabił – to wszystko marność. Pan odda każdemu wedle uczynków jego i ani jeden postępek, dobry czy zły, nie pozostanie bez odpłaty. A słowa tajemnicze, zaciekawiające mówiłem ci dlatego, że chciałem jeszcze przed śmiercią Kobietę zobaczyć i o wybaczenie poprosić... Poprosiłem, nie dostałem. Znaczący – tak musi być. Idź.

I już mu było spieszo, żeby gość poszedł, zostawił go samego. Zaczął ją popychać ku drzwiom.

Znalazłszy się w galerii, pani Lisicyzna znów usłyszała cichutki, obrzydliwy zgrzyt. Wzdrygnęła się i spytała:

– Co to? Nietoperze?

Izrael odpowiedział obojętnie:

– Nietoperzy tu nie ma. A co w pieczarze nocami się dzieje, tego nie wiem. Takie to miejsce, że wszystko być może. Przecież to nie byle co, tylko kawałek sfery niebieskiej.

– Co? – zdziwiła się pani Polina. – Kawałek sfery niebieskiej?

Starzec skrzywił się; chyba żałował, że powiedział coś niepotrzebnego.

– Nie powinnaś o tym wiedzieć. Idź sobie. O tym, co tu widziałaś, nikomu nie opowiadaj. Zresztą wiem, że nie będziesz, mądra jesteś. Nie zabłądź tylko. Do wyjścia na prawo się idzie.

Drzwi zatrzasnęły się i Polina Andriejewna została w zupełnej ciemności.

Zapaliła świeczkę, wsłuchała się w niezrozumiały dźwięk. Poszła.

Ale nie na prawo: na lewo.

Wasilisk

Galeria, którą starzec Izrael nazywał Dojściem, prowadziła w głąb pieczary, stopniowo wznosząc się coraz wyżej. Teraz po obu stronach ciągnęły się gołe ściany i pani Polinie przyszło na myśl, że starczy tu miejsca jeszcze na wiele setek martwych ciał.

Dźwięk robił się coraz wyraźniejszy i bardziej nieznosny – jakby żelazny pazur skrobał nie po szkłe, lecz po bezbronny, obnażonym sercu. Raz Lisicyna nie wytrzymała, przystanąła nawet, postawiła sakwojaż na ziemi i zatkała uszy, chociaż ryzykowała, że od zaciśniętej w palcach świeczki zapalą się włosy.

Nie zapaliły się, ale na skroń kapnęła kropla wosku i to gorące, żywe dotknięcie ukoło nerwy pani Poliny.

Ruszyła dalej.

Galeria, do tej pory niemal prosta, a w każdym razie pozbawiona widocznych załomów, nagle skręciła o dziewięćdziesiąt stopni.

Pani Lisicyna wyjrzała zza węgła i zamarła.

Z przodu migotało niezbyt jasne światelko. Rozwiązanie zagadki dziwnego zgrzytu było na wyciągnięcie ręki.

Zdmuchnąwszy świecę, Polina Andriejewna przylgnęła do samej ściany i ostrożnie skręciła za róg.

Skradała się na paluszkach, bezgłośnie.

Korytarz rozszerzył się, zamienił w okrągłą pieczarę, której wysokie sklepienie ginęło w ciemności.

Pani Polina zresztą w górę nawet nie spojrzała, tak bardzo uderzył ją obraz, otwierający się przed jej wzrokiem.

Na środku pieczary leżała idealnie okrągła kula, jedną trzecią

objętości zagrzebana w ziemi. Rozmiary miała mniej więcej takie jak wielka śnieżna kula, którą dzieci kładą jako podstawę śniegowego bałwana. Powierzchnia mieniła się tęczowymi plamami – fioletowymi, zielonymi, różowymi. Widok był tak cudowny, tak nieoczekiwany po długim błakaniu się w mroku, że Lisicyna wydała z siebie krótki okrzyk.

Obok stała lampa. Ona to właśnie oświetlała połyskującą gładź, każąc jej błyskać blikami i iskierkami.

Między lampą a kulą widać było skurczony, czarny, miarowo kołyszący się cień. Przyprawiające o mdłości zgrzytanie rozlegało się w rytm jego wahadłowych ruchów.

Polina Andriejewna zrobiła jeszcze kroczek, ale w tym samym momencie dźwięk ustał i w nagłej ciszy szelest podeszwy wydał się wprost ogłuszający.

Zgarbiona postać zastygła, najpewniej nasłuchując. Zrobiła ostrożny ruch, jakby gładziła kulę lub coś z niej delikatnie zmiatała.

Pani Lisicyna nie wiedziała, co robić. Zastygnąć w miejscu, w nadziei, że jakoś jej ujdzie, czy rzucić się do ucieczki?

Stała w arcyniewygodnej pozycji: z jedną nogą wysuniętą do przodu i utrzymującą cały ciężar ciała, z drugą wspartą na czubku stopy.

A na dodatek jeszcze straszliwie załaskotało ją w nosie. Kichnięcie stłumiła, naciśnawszy mocno palcem nasadę nosa, ale gorączkowego westchnienia powstrzymać nie zdołała.

Czarny człowiek (oczywiście jeśli był to człowiek) uczynił szybki ruch, którego sens pani Polina zrozumiała nie od razu. Dopiero kiedy górna część sylwetki z okrągłej przekształciła się w zaostrzoną, pojęła: naciągnął na głowę kaptur.

Chować się już nie miało sensu. Uciekać zaś pani Lisicyna nie chciała.

Ruszyła zatem ku wyprostowanemu, wysokiemu pustelnikowi (teraz już było widać, że to właśnie pustelnik); ten cofnął się.

Tuż przed wąskim, czarnym cieniem Polina Andriejewna się zatrzymała – tak strasznie błysnęły oczy w wycięciach kaptura. Pewnie tak właśnie błyszczący wzrok bazyliczka. Nie świętego i sprawiedliwego Wasiliska, lecz właśnie bazyliczka, koszmarnego wysłannika piekieł, o żabim tułowi, węzowym ogonie i koguciej głowie. Potwora o śmiercionośnym spojrzeniu, od którego pękają kamienie, więdną kwiaty i padają trupem ludzie.

Pani Polina wzdrygnęła się.

– A więc taki pan jest, Aleksy – powiedziała.

Czarny Mnich nie poruszył się, ciągnęła więc dalej, cicho, niespiesznie:

– Tak, to pan, to pan. Nikt inny to być nie może. Najpierw myślałam o Sergiuszu Nikołajewiczu Lampem, ale teraz, kiedy sama szłam Dojściem w ciemności, przejrzałam. Tak często bywa: kiedy oczy są ślepe, rozum i dusza zaczynają widzieć jaśniej, nie odciągają ich pozory. Nie doniósłby pana Sergiusz Nikołajewicz z oranżerii do jeziora. Sił by mu, mizerakowi, zabrakło, w dodatku daleko. I jeszcze słowa Galileusza o mierzeniu tego, co się nie poddaje mierzeniu, które wyczytałam w zeszyciku z wzorami, nie dawały mi spokoju. Skąd to ja je znam? I przypominałam sobie, dopiero teraz przypominałam sobie – skąd. To z pańskiego trzeciego listu. Czyli przed napisaniem był już pan w pracowni Lampego i zaglądał do jego zeszyciku. Tu mi się wszystko wyostrzyło, wszystko wyjaśniło. Szkoda tylko, że nie wcześniej. – Polina Andriejewna zaczęła, czy pustelnik czegoś na to nie odpowie, ale on milczał. – Zaraz pierwszego dnia znalazł pan ukrytą pod wodą ławeczkę i o tej „niezwykle pikantnej okoliczności” wspomniał w liście, że niby jutro wszystko wykryję i efektownie przedstawię wam całe nieskomplikowane rozwiązanie. Nocą ruszył

pan śledzić Czarnego Mnicha i udało się panu nad wszelkie spodziewanie. Szedł pan za mistyfikatorem aż do lecznicy, żeby się dowiedzieć, kto to jest. Zobaczył pan pracownię, zainteresował się. Wsadził nos w notatki... Ja niczego z tych wszystkich wzorów nie rozumiałam, ale pan się zorientował. Nie darmo na uniwersytecie widziano w panu nowego Faradaya. O pieczarze i kuli było tam napisane coś takiego, przez co zmieniły się wszystkie pańskie plany i zaczął pan odgrywać własny spektakl. – Pani Polina z obawą popatrzyła na tajemniczą kulę. – Co szczególnego jest w tej kuli, że przez nią pan na takie straszne rzeczy się zdecydował, tylu ludzi zgubił?

– Wszystko – powiedział pustelnik, który tymczasem ściągnął niepotrzebny już kaptur i potrząsnął kędzierzawą głową. – W tej kuli jest wszystko, czego sobie zażyczę. Najzupełniejsza wolność, sława, bogactwo, szczęście! Po pierwsze, w tym okrągłaczku mieści się najostrożniej licząc sześćset tysięcy złotych^[12] najcenniejszego na świecie metalu, a każdy złotnik to miesiąc swobodnego życia. Po drugie, najważniejsze, dzięki półszalonemu konusowi mam taki projekt, taką ideę! Tylko ja ją ocenię i zrozumiem! Kiedy przepędzili mnie z uniwersytetu, myślałem już, że to koniec wszystkiego. Ale nie, oto ona, moja przyszłość. – Powiódł ręką wokół pieczary. – Nie potrzebuję ani stopni naukowych, ani wieloletniej asystentury przy jakiejś domoroślej znakomitości. Założę własną pracownię w Szwajcarii. Opracuję teorię emanacji sam! Nikt nie będzie mi rozkazywał, o pieniądze u nikogo żebrać nie muszę! O, świat jeszcze pozna Lentoczkina! – Aleksy Stiepanowicz pochylił się i miłośnie pogładził mieniącą się powierzchnię. – Szkoda, mało platynoirydu zdążyłem upiłować. Ale nic, dla moich celów wystarczy i to, co jest.

Odwrócił się do Poliny Andriejewny i zapadłe policzki, na których nie pozostał nawet ślad dawnych dołeczków, zmarszczyły się

w czymś, co przypominało uśmiech.

– Nieco za wcześnie mnie wytropiłaś, siostrzyczko. Za to wygadam się przynajmniej, bo tak to tylko sam do siebie mamrocę. Jeszcze trochę i rzeczywiście mózg mi się zakwasi. Tyś, siostrzo, osoba bystrego rozumu, potrafisz ocenić mój zamysł. Może źle obmyślane? Zwłaszcza ta rajska nagość, co? Trzeba przecież było jakoś zaczepić się na Kanaanie, dopóki wszystkiego nie przygotuję. W dzień oddycham w edenie, jem ananasy (uch, obrzydły mi, przekłete), nocą spod krzaczka habit wyciągam i jazda, jako Czarny Mnich po wyspie się szlajać, poczciwców straszyć. Najważniejsze – żadnych podejrzeń. Doskonale popracowaliśmy jako Wasiliskowie do spółki z panem Lampem – wszystkich ciekawskich i rozmodlonych z brzegu wystraszyliśmy. Ech, gdybym jeszcze z miesiąc miał, tobym nie pięć, lecz pięćdziesiąt albo i sto funtów spiłował! Wtedy mógłbym nie tylko laboratorium, ale i cały ośrodek badawczy rozwinąć. Warunki pracy naturalnego dzielnika są znane i potwierdzone doświadczeniami Lampego – powiedział półgłosem już nie do niej, lecz sam do siebie. – Teraz można spróbować stworzyć dzielnik sztuczny. Pieniądzy na początek wystarczy, a dalej to już grube ryby do sakiewek sięgną...

– Co to takiego „dzielnik”? – nieufnie spytała Lisicyna.

Lentoczkin wzdrygnął się i obdarzył ją jeszcze jednym przywiedłym uśmiechem.

– Tego, siostrzyczko, i tak nie zrozumiesz. Lepiej oddaj sprawiedliwość elegancji rozwiązania. Jak pięknie wszystko zostało urządzone, co? Siedzi w szklanym pałacu nieszkodliwy idiota, goły jak anioł z nieba, zagadkami mówi, głupie karasie na miejsce odłowu do cichej chatynki zwabia. A tam cyk na haczyk, młoteczką po głowie i do wiaderka! Ja wiem, że pani, mademoiselle Pelagio, nigdy mnie znieść nie mogła, ale proszę się zgodzić: cudownie to obmyślane.

– Tak, pomysłowo – nie spierała się Polina Andriejewna. – Tylko

bardzo bezlitośnie. Właśnie za okrucieństwo za panem nie przepadałam. Nie podobało mi się, jak wstrętne pan odpłacił za swoją krzywdę prorektorowi.

Alosza przeszedł się po pieczarze, rozcierając zmęczone piłowaniem palce.

– No tak, oczywiście. Książę Bołkoński by tak nie postąpił. Dlatego też Bonaparte z niego nie wyszedł. A ze mnie wyjdzie. Proszę, to mój Tulon. – Lentoczkin wskazał cudowną kulę. – Ja z tego punktu oparcia tę drugą kulę, o wiele większą, zdołam poruszyć. Ech, że też ci wtedy mocniej szczudłem nie przyłożyłem! Raptem sześć nocy spędziłem przy kuli. A teraz przyjdzie wziąć nogi za pas. Ale nic, tego, co już mam, dla mojej idei też wystarczy.

Przystanął przy czarnej gardzieli galerii i poklepał się po piersi. Podniósł rękę do ust, polizał dłoń – cała ociekała krwią z popękanych odcisków. Ale uwagę pani Lisicynej zwróciły nie bąble, tylko coś dziwnego i długiego, co błysnęło w palcach Aleksego Stiepanowicza.

– Co pan tam ma?

– To? – pokazał wąski klinek, cały usypany jaskrawo lśniąco kropkami. – Pilnik z diamentową końcówką. Niczym innym stopu platyny z irydem się nie ruszy. Od przepoczwicznego Lampego pożyczyłem. On jest oczywiście kompletny bałwan, ale za ideę jądrowego dzielnika i analizę materii meteorytowej należy mu się podziękowanie.

Polina Andriejewna nie zrozumiała, ani o jaką ideę chodzi, ani co to jest „materia meteorytowa”, ale już nie pytała – dopiero teraz zobaczyła, że Lentoczkin, niby to przypadkowo wędrując po pieczarze, odciął jej jedyną drogę ucieczki.

– Mnie też pan zabije? – spytała, patrząc jak urzeczona na błyszczący pilnik. – Jak Lagrange’a, jak Teognosta, jak Hilariusza?

Alosza przycisnął rękę do piersi, jakby się usprawiedliwiał:

– Ja bez potrzeby nikogo nie zabijam, tylko z konieczności. Lagrange sam sobie winien, że miał taką twardą czaszkę i ogłuszyć go się nie udało, trzeba było przystrzelić. Teognost przeszkadzał mi dostać się do pustelni, zajmował moje miejsce. A za Hilariusza bracia już i tak mszę odprawili...

Błysnęły białe zęby i stało się jasne, że pomysłowy młodzieniec wcale się nie usprawiedliwia, tylko żartuje. Zresztą uśmiech zniknął z jego twarzy natychmiast. I głos stał się poważny, zabarwiony zdziwieniem.

– Jednego nijak nie mogę zrozumieć. Na coś, siostrzo, liczyła, przychodząc tutaj? Przecież wiedziałaś już, że zobaczysz nie wątlęgo Lampego, tylko mnie! Na rycerskość wobec damy postawiłaś, czy jak? Niepotrzebnie. Ja przecież, siostrzyczko, choćbym najbardziej chciał, żywej zostawić cię nie mogę. Potrzebuję przynajmniej doby, żeby głowę z archipelagu całą wynieść.

Westchnął z żalem, ale zaraz potem mrugnął, wyszczerzył zęby – okazało się, że znów się wygłupiał.

– A prawdę mówiąc, gdyby nawet nie ten wzgląd, to tak czy inaczej bym cię wykończył. Mnie ciebie w ogóle nie szkoda, myszko wścibska. A i po co mi do przyszłej sławy naukowej taki świadek?

Aleksy Lentoczkin wysoko podniósł rękę z pilnikiem, a ten sypanął wielobarwnymi błyskami – zupełnie jak czarodziejska różdżka.

– Proszę łaskawie spojrzeć, mademoiselle Pelagio. Toż to po prostu marzenie cudowne – śmierć przyjąć od czegoś tak pięknego. Sama Kleopatra by pozazdrościła. A jaki ostry! Ryżą twoją głowę najzwyczajniej od ucha do ucha przetnie. Położę cię w sagu, pod jakimś wysuszonym sprawiedliwym. – Alosza przymrużył oczy z rozmarzeniem. – Pustelnicy nie od razu zauważą. Dopiero kiedy szanowna pani gnić zacznie. Przecież tyś nie święta, przed gniciem niezabezpieczona. – Zaczął się śmiać. – I dla ciebie przyjemnie.

Chociaż po śmierci pod mężczyzną poleżysz.

Polina Andriejewna cofnęła się, osłoniła pierś sakwojażem jak tarczą. Palce w panice zaczęły szarpać się z zamkiem.

– Aleksy, idź pan stąd. Nie bierz jeszcze jednego grzechu na duszę, i tak już tyle złego zrobiłeś. Ja panu na imię Chrystusa przysięgnę, że do jutra, do trzeciej po południu, nic nie będę robić. Zdaży pan porannym parowcem opuścić wyspę.

Szczęknięta niklowanymi kulkami, wsunęła rękę do sakwojaża. Tam, zawinięty w pantalony, leżał rewolwer Lagrange'a. Strzelać oczywiście z niego nie będzie, ale na postrach się nada. Wtedy też Alosza zrozumie, na co liczyła, wchodząc do niebezpiecznej groty.

Aleksy Stiepanowicz zrobił kilka szybkich kroków do przodu i pani Polina zrozumiała nagle: nie rozwinie cienkiego jedwabiu, nie zdaży. Trzeba było wcześniej wyjąć broń, kiedy szła galerią.

Oparła się plecami o nierówną ścianę. Już nie było dokąd się cofać.

Fałszywy pustelnik nie spieszył się. Stał przed najeżoną kobietą, jakby się przymierzał, gdzie uderzyć: w ucho, jak groził, w szyję czy w brzuch.

Oliwa w lampce prawie się dopaliła i światło dawała minimalne. Za plecami Aloszy czaiła się kompletna ciemność.

– No, co się tak nastroszyłaś? – uśmiechnął się Aleksy Stiepanowicz. – Chciałabyś ubóść, ale Bozia rogów nie dała? A skoro tak, to było nie leżać na korridę, krowo ty bezroga. – I wznosząc pilnik niczym szpadę, zaśpiewał arię z modnej opery: To-re-a-dor, prends garde a toi!

I zachłysnął się melodią, gruchnął na ziemię jak skoszony pod uderzeniem sękatego kostura, który spadł na jego kędzierzawą głowę.

Tam gdzie dopiero co stał Alosza, troszeczkę dalej, czerniał wysoki cień w spiczastym kapturze. Polina Andriejewna chciała krzyknąć, ale tylko wciągnęła powietrze ustami.

– Regułę przez ciebie naruszyłem – rozległ się warkliwy głos starca Izraela. – Nocą z celi wyszedłem. Grzechem przemocy się zhańbiłem. A wszystko przez to, że wiem: kobiety twojego rodzaju są uparte i ciekawskie do szaleństwa. Za nic byś do świata nie wróciła, póki byś wszystkiego tu swym nosem piegowatym nie obwąchała. No cóż, patrz się, skoroś przyszła. Oto on, odłamek z niebios, którego my, pustelnicy, od wieków strzeżemy. To znak, zesłany naszemu założycielowi, świętemu sprawiedliwemu Wasiliskowi. Tylko pamiętaj – nikomu o tym ani słowa. Umowa stoi?

Pani Lisicyzna tylko kiwnęła głową, bo przez te wszystkie straszne przejścia dar mowy jeszcze jej nie wrócił.

– A co to za młodzieniaszek? – Igumen oparł się na kosturze i pochylił nad leżącym.

Odpowiedzieć nie zdążyła.

Alosza uniósł się gwałtownie i wbił pustelnikowi pilnik w sam środek piersi. Wyrwał i znów uderzył.

Izrael zwałił się na swojego zabójcę. Poszurał rękoma po ziemi, ale ani wstać, ani nawet unieść głowy już nie mógł.

Tylko kilka chwil trzeba było Lentoczkinowi, żeby zrzucić z siebie kościste ciało starca i zerwać się na nogi, ale i tego starczyło, żeby Polina Andriejewna oderwała się od ściany, wybiegła na środek pieczary, wyrwała z sakwojaża rewolwer i zsunęła z niego śliski jedwab. Sakwojaż rzuciła na podłogę, a sama wpiła się obiema rękoma w żłobkowaną rękojeść i wycelowała w Aleksego Stiepanowicza.

Ten patrzył na nią bez lęku. Uśmiechnął się krzywo, pocierając bolącą potylicę. Wyciągnął z piersi pustelnika pilnik, nie wkładając w to najmniejszego wysiłku, jakby przyrząd tkwił w maśle.

– A umiesz, siostrzyczko, z broni palnej strzelać? – spytał Lentoczkin drwiąco. – A na jaki dzyndzelek trzeba nacisnąć, wiesz?

Niedbale, rozkołysanym krokiem szedł prosto na nią. Diamenty na

klindze zmatowiały od krwi i już nie lśniły.

– Wiem! Rewolwer „Smith-Wesson” typ Double-Action, kalibru 45, sześć naboí z centralną spłonką, spust podwójnego działania – wypaliła pani Lisicyna wiadomości zaczerpnięte z podręcznika balistyki. – Kula wagi trzech złotych, początkowa prędkość – sto sążni na sekundę, z dwudziestu kroków przebija trzycalową deskę sosnową.

Szkoda tylko, że głos jej się łamał. Ale nic, i tak podziałało.

Lentoczkin zamarł. Popatrzył z zastanowieniem w czarną dziurę lufy.

– A gdzie colt kalibru 38? – spytała pani Polina, idąc za ciosem. – Ten, z którego zastrzelił pan Lagrange’a? Proszę mi go dać zaraz, ale powoli, rękojeścią do przodu.

Kiedy Alosza nie posłuchał, już niczego więcej nie mówiła, tylko odciągnęła kurek. Szczęk, właściwie nie bardzo głośny, w ciszy pieczary zadźwięczał nadzwyczaj przekonująco.

Zabójca drgnął, cisnął pilnik i wysunął dłonie do przodu.

– Nie mam go! Wrzuciłem do wody jeszcze tej samej nocy! Miałem trzymać w oranżerii? Żeby ogrodnik znalazł?

Ośmielona śledcza groźnie poruszyła długą lufą.

– Łgarstwo! Wasiliskowego przebrania nie bał się pan tam chować?

– Myślałby kto, habit i stare buciory! Jakby nawet ktoś znalazł, toby się nie przejął. Ach! – Aleksy Stiepanowicz klasnął nagle w ręce, patrząc z przerażeniem na coś za plecami pani Lisicyny. – Wa... Wasilisk!

Niestety, Polina Andriejewna dała się nabrać na nieskomplikowany, dziecinny podstęp. Największy mędrzec ma coś z dziecka. Odwróciła się, spłoszona, wpatrzyła w ciemność. Czy to naprawdę cień świętego Orędownika się zjawił, by swojego skarbu bronić?

Cienia żadnego nie było, za to zwinny Alosza skorzystał z tej jednej chwili, pochylił się i ruszył pędem w głąb galerii.

– Stój! – zawołała Polina Andriejewna strasznym głosem. – Stój, bo strzelam!

I sama też chciała rzucić się w Dojście.

Przeszkodził jej w tym jęk. Ciężki, pełen niewypowiedzianego cierpienia.

Odwróciła się i zobaczyła, że starzec Izrael oparł się na łokciu i wyciąga do niej drżącą, wychudłą rękę.

– Nie odchodź, nie zostawiaj mnie tak...

Wahała się tylko chwilę.

Niech ucieka. Miłosierdzie ważniejsze i od pomsty, i nawet od samej sprawiedliwości. Zresztą – jakiż pożytek z uganiania się za draniem? A jeśli się nie zatrzyma? Przecież nie będę do niego strzelać. No i gdzie się podzieje na Kleopowym czółenku z cienkimi wiosłami? Dopłynie najwyżej do Kanaanu. Na ląd i tak się nie dostanie.

I wyrzuciwszy z głowy wszystko, co nieistotne, Polina Andriejewna podeszła do umierającego, siadła na ziemi i położyła sobie na kolanach głowę starca. Ostrożnie ściągnęła z niej kaptur. Zobaczyła ledwie drgające rzęsy, bezdźwięcznie poruszające się wargi.

Lampka na koniec błysnęła jaśniej i zgasła. Trzeba było świeczkę zapalić, przylepić do kamienia.

A starzec tymczasem przygotował się do tego, żeby duszę wypuścić na wolność, już ręce złożył na piersi.

Tylko nagle żałośnie poruszył brwiami. Popatrzył na panią Polinę lękliwie i błagalnie. Usta wyszeptaly jedno jedyne słowo:

– Wybacz...

I tym razem wybaczyła mu – bez przymusu, po prostu wybaczyła i koniec, bo mogła. I jeszcze pochyliła się, ucałowała go w czoło.

– Dobrze. – Starzec się uśmiechnął, zamknął powieki. Po paru

minutach znów je rozchylił, ale wzrok miał już zgasły, martwy.

Kiedy pani Lisicyna wyszła na brzeg, żeby popatrzeć, czy Aleksy Stiepanowicz zdążył dotrzeć do Kanaanu na łódce brata Kleopy, czekały na nią dwie niespodzianki. Po pierwsze – łódeczka była tam, gdzie ją zostawiła, cała, calusienka. A po drugie – z przeciwległego brzegu ku Wyspie Rubieżnej, zgodnie machając wiosłami, płynęła cała flotyła. Skrzypiały dulki, stękali wiosłarze, jaskrawo płonęły pochodnie.

Na dziobie przedniej łodzi, wojowniczo potrząsając pastorałem, stał przewielebny Mitrofaniusz. Jego długa broda rozwiewała się, szarpana rześkim wiatrem.

Epilog

Ku pociesze wszystkich strapionych

Ten sam wiatr, nawet nie po prostu rześki jak w cieśninie, lecz silny i nieustępliwy, dał również po drugiej stronie Wyspy Rubieżnej, na pełnych wodach jeziora.

Młody człowiek w habicie, z odrzuconym na plecy kapturem, wyciągnął schowaną między dwoma głazami zwinną „chybotkę”, wsiadł do niej, odepchnął się wiosłem, a kiedy odpłynął trochę od brzegu, rzucił je na dno łódeczki. Podniósł za to lekki maszt, wystawił na sprzyjający wiatr biały żagiel i kruche czółenko pomknęło po falach z nie lada szybkością, bodaj żywiej od parowca, albowiem parowiec musiałby trzymać się farwateru, by omijać mielizny, a „chybotka” na nie nie zważała.

Podróżnik miał przy sobie kompas, który co chwila sprawdzał, widocznie bojąc się w ciemności zgubić kurs. Od czasu do czasu poruszał sterem albo zmieniał kąt żagla, ale kiedy nad zasnutym mgiełką jeziorem zaróżowiło się wschodzące słońce, młody człowiek uspokoił się zupełnie.

Rzecz w tym, że od razu pierwszy, nieśmiały jeszcze promień dziennej gwiazdy, nakreśliwszy linię aż po horyzont, zapalił na skraju nieba złotą iskierkę, która odtąd już nie gasła. Była to dzwonnica Pocięchy Wszystkich Strapionych – głównej świątyni miasta Modroozierska – w jasny dzień widoczna na trzydzieści wiorst. A więc łódka nocą nie zabłądziła, wypłynęła dokładnie tam, gdzie

należało.

Sternik skierował dziób „chybotki” tak, żeby szła wprost na Pocięgę, a sam zanucił wesołą piosenkę.

Wszystko układało się jak najlepiej. Jeszcze dwie godziny i koniec żeglugi. Mało prawdopodobne, by wiatr się zmienił. Szkoda, rzecz jasna, że nie zdążył upiłować więcej drogocennych opiłków, ale i tak będzie z pięć funcików.

Malutki, lecz ciężkawy woreczek zwisał pod habitem przy kości biodrowej. Sznur tarł trochę szyję, ale to było głupstwo. Pięć funtów to bez mała pięćset złotych, każdy po...

Rachunki wypadło przerwać, bo nagle chwyciły go nudności. Przechyliwszy się przez burzę, młody człowiek zaryczał i zabalgotał, wstrząsany spazmami. Potem opadł bezsilnie na dno, wytarł pot z czoła, uśmiechnął się beztrosko. Podobne ataki ostatnio trafiały mu się często – zapewne wskutek kiepskiego odżywiania się i nerwowego pobudzenia. Odpocząć, podjąć – i wszystko przejdzie.

Potarł niecierpliwie skronie, odpędzając zawrót głowy. Między palcami został mu kosmyk wijących się włosów, co zmartwiło młodzieńca o wiele bardziej niż niedawny atak. Zresztą – nie na długo. Co się dziwić – powiedział sobie. Od miesiąca głowy nie myłem. Dobrze jeszcze, że maleństwa się nie zaległy. No nic, do Wołogdy trzecią klasą, skromniutko, a tam się przebrać i do porządnego hotelu – z łazienką, restauracją, fryzjerem.

A pracownię najlepiej urządzić nie w Szwajcarii, tylko w Ameryce. Spokojniej będzie. Oczywiście trzeba przybrać nowe nazwisko. Na przykład „mister Vasilisq”, co, źle brzmi?

Roześmiał się, ale śmiech się nie udał: przeszedł w długi, męczący kaszel. Żeglarz otarł usta, ciaśniej owinął wokół szyi czarny kaptur. Może to i lepiej, że nie zatrzymał się dłużej na wyspie. Tylko patrzeć, a mrozy przyjdą, i tak jesień trafiła się niezwykle długa. Przeziębic

płuca byłoby nie w porę. Nie ma czasu chorować.

Nowa fizyka promieniotwórczości otwiera perspektywy, których nie potrafi ogarnąć żalosnym swoim rozumkiem na wpół zwariowany Lampe ani żaden z paryskich szczurów laboratoryjnych. „Promienie śmierci!” Tylko idiocie mogło przyjść do głowy takie majaczenie. To jedynie nowy rodzaj energii, nie bardziej niebezpieczny niż fale magnetyczne czy elektryczne. Nieoszacowana moc atomowego jądra – oto klucz do wszystkiego. Kto pierwszy to zrozumiał, ten będzie władał światem. I wiek znakomity, dwadzieścia cztery lata, jak Bonaparte!

Słońce błysnęło na ciemieniu tryumfatora, tam gdzie przeświecała okrągła łysinka, wielce przypominająca tonsurę.

Przypisy

- [1] Pomińmy (fr.).
- [2] Eminencjo (fr.).
- [3] Przepraszam (niem.).
- [4] Pomylenieć (łac.).
- [5] William Szekspir. Hamlet, I, 5, przekł. Jarosława Iwaszkiewicza.
- [6] Wysłuchajmy również drugiej strony (łac.).
- [7] Klęcznik (fr.).
- [8] Przyjęta wśród ludności rosyjskiej Dalekiej Północy nazwa Spitsbergenu (przyp. tłum.).
- [9] Niemodny (fr.).
- [10] Śmierć tryumfująca (fr.).
- [11] Postać z Rewizora Gogola. W pierwszej scenie sztuki opowiada, że śniły mu się dwa ogromne szczury (przyp. tłum.).
- [12] Tradycyjna rosyjska miara wagi, około 4,26 g (przyp. tłum.).

Spis treści

Prolog Pojawia się Wasilisk

Część pierwsza Wyprawy na Kanaan

Wyprawa pierwsza Przygody prześmiewcy

Wyprawa druga Przygody śmiałka

Wyprawa trzecia Przygody mądrali

Część druga Pielgrzymka pani Lisicynej

Szlachcianka guberni moskiewskiej

Notatki z podróży

Męski raj

Uratowanie kotka

Sen o krokodylu

Interesujący ludzie

Ciepło, cieplej, gorąco!

Skandal

Jedyna z hufca

Nocą w przybytku smutku

Nowe grzechy

Same zagadki

To i owo się wyjaśnia

Straszne widzenie

Guliwer i liliputy

Caryca Kanaanu

Bieg długodystansowy

Kuszenie świętej Pelagii

Interesujący ludzie II

Błękitny, zielony, żółty, słomkowy

Dzień ostatni. Poranek

Dzień ostatni. Południe

Jeszcze jeden list

Dzień ostatni. Wieczór

Pieczara

Spowiedź pogromcy serc

Wasilisk

Epilog Ku pociesze wszystkich strapionych

Przypisy